

*Susan
Wiggs*

powrót

1

Po siedemnastu latach nieobecności Michelle Turner wracała do domu. Wracała do przeszłości, której nie chciała pamiętać, do ojca, którego prawie nie znała, do miasta, gdzie zbyt szybko dorosła, gdzie za bardzo się zakochała, zaszła w ciążę i została sama.

W czasie długiej podróży z Seattle do Montany powtarzała sobie po cichu, tak żeby Cody nie mógł jej usłyszeć, co powie ojcu, kiedy się z nim spotka.

- Cześć, tato. - Zabawne, że nadal myśli o nim jak o ojcu, mimo że przez wiele lat był dla niej niczym więcej niż tylko zdjęciem na ścianie albo twarzą, która pokazywała się późno w nocy na ekranie telewizora. - Przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej... - Przepraszam... przepraszam... przepraszam. Wszystkie żale. Tak wiele żalu.

Ale żal nic tutaj nie pomoże. Jej ojcem był Gavin Slade, wielka gwiazda kina. Nawet kiedy przeszedł na emeryturę, zachował sceniczny pseudonim. Dobrze wiedział, dlaczego zwlekała tyle czasu, żeby go odwiedzić.

Zacisnęła ręce na kierownicy rangę rovera i spojrzała w lusterku na syna, który siedział z tyłu. Cody sprawiał wrażenie zagubionego między ogromnymi słuchawkami swojego discmana. Może to ja jestem zagubiona, pomyślała. Miała trzydzieści pięć lat. Była matką nastolatka, ale na myśl o spotkaniu z ojcem sama czuła się jak dziecko. Bezsilna. Nie na swoim miejscu.

Krajobrazy śmigały za oknami, kiedy kierowała się na wschód, w stronę miejsca, które nie było dla niej gościnne. Oboje z Codym zamknęli drzwi swojego domu jeszcze przed zmrokiem. O wschodzie słońca mknęli między łagodnymi pagórkami i płaskimi terenami porośniętymi krzewami, aż w końcu znaleźli się na płaskowyżu, w bezbarwnym, pozbawionym życia, mrocznym krajobrazie.

Nic za oknem nie przyciągnęło jej uwagi ani jej nie odpychało.

Dawno temu była artystką. Malowała, używając żywych kolorów, które wyrażały jej uczucia. Nie potrafiła tłumić swoich emocji, musiała o nich opowiadać poprzez sztukę. Jednak gdzieś po drodze na ścieżce życia ujarzmiła te szalone i cudowne impulsy. To było tak, jak gdyby nocą zakradał się do niej złodziej, który ograbia ją ze snów, a ona nie zauważyła tego, aż było za późno.

Zmieniała się także tematyka jej prac. Dawniej tworzyła z pasją i klarownością bez względu na to, czy był to koń na ranczu jej ojca, czy abstrakcyjne uczucie. Kiedy raz coś zobaczyła albo sobie wyobraziła, praca po prostu paliła się jej w dłoniach. Musiała malować, tak jak musiała oddychać.

A teraz agencja, której była współnikiem, narzucała jej tematy. Używała komputera do projektowania animowanych tańczących szczotek do sedesu, mówiących protez czy armii puszek środków chwastobójczych maszerujących przez las zielska.

Oderwała myśli od pracy i włączyła wycieraczki, żeby odgarnąć z szyby kilka płatków śniegu. Mijali teraz magazyny i zakłady przemysłowe. Po chwili zobaczyła drewniane domki stojące rzędem jeden obok drugiego. Na poboczu utworzyły się śnieżne zaspasy.

Monotonia jazdy i cel, który sobie wyznaczyła: przejechać aż trzy stany, sprawiły jej prawie fizyczny ból. Wspomnienia zaczęły dążyć w niebezpiecznym kierunku. Obrazy z przeszłości ukazały, wbrew jej woli, pełne kolorów lato.

Kiedy miała osiemnaście lat, zapierało jej dech w piersiach

na widok tego, co oferowało jej życie. Była trochę przerażona, ale przede wszystkim szczęśliwa i bezpieczna w swoim świecie. Skończyła liceum z wyróżnieniem, na którym wcale jej nie zależało. Miała talent, którego jeszcze wówczas nie doceniała, i nawet nie przeczuwała zbliżającej się katastrofy. Operacje plastyczne matki stały się niemalże rutyną. Już dawno przyzwyczaiła się do coraz to nowych zabiegów. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że pewnego dnia Sharon Turner umrze w skutek komplikacji w czasie jednego z nich.

W przerażająco krótkim czasie Michelle straciła matkę i została całkiem sama. Nagle zapragnęła bliskości ojca, którego prawie nie znała. Spodziewała się, że natychmiast wyśle ją na studia i odetchnie z ulgą, kiedy zniknie z jego życia, ale on całkiem ją zaskoczył. Zaprosił ją do siebie do Montany. zaproponował, by spędziła u niego cały rok, zanim wybierze się na studia. To miał być dla niej rok żałoby po matce i nauki o własnym ojcu.

W rzeczywistości w przeciągu jednego lata przeżyła wiele chwil, które na zawsze zmieniły jej życie. Dowiedziała się, jak to jest zostać bez matki. Zakochała się. Została malarką. Być może to wszystko nie działo się dokładnie w takiej kolejności. Wszystko wydarzyło się naraz. Nawet teraz tamte słodko-gorzkie chwile wydawały jej się tak nieodległe jak wczorajszy dzień. Już nie powinny jej ranić, ale nadal zadawały cierpienie, mimo że on tak dawno od niej odszedł.

Zostawił po sobie tylko wspomnienia.

Ponownie spojrzała w lusterko. Cody, który miał szesnaście lat i był absolutnie niesamowity, nie zmienił pozycji na tylnym siedzeniu samochodu. Ze słuchawek dobiegło ją kilka dźwięków heavymetalowej muzyki.; Przez cały czas chłopak wpatrywał się w druty elektryczne, ciągnące się w nieskończoność na słupach przy drodze. Kiedy zielono-biała tablica oznajmiła im, że dojechali do Montatny, mrugnął oczami, a całe jego ciało napięło się.

Na billboardzie widniał kartonowy kowboj, który zapraszał

ich do „Stop N Eat”, baru, znajdującego się o niecały kilometr stąd.

- Jesteś głodny? - Podniosła głos, żeby mógł ją usłyszeć.

Cody wsunął do ust garść fritosów.

- Nie - odparł z pełnymi ustami.

Przez krótką chwilę Michelle zobaczyła w Codym szkraba, który wypycha sobie policzki chrupkami niczym mała wiewiórka. Odniosła wrażenie, że jeszcze wczoraj był jej małym synkiem w ogrodniczkach, z mlekiem kapiącym z brody. Tymczasem to dziecko już dawno temu odeszło z jej życia. Poczowała ukłucie w piersi. Wymknął się jej, kiedy nie patrzyła. Zniknął tak szybko i bezpowrotnie, jak gdyby zabłądził na lotnisku i już nigdy się nie odnalazł. Na jego miejscu pojawił się ten cyniczny, przemądrzały i nieznośny nieznajomy, który chciał pociągnąć za każdy sznurek, jaki miał w ręku.

Cody błagał ją, żeby pozwoliła mu zostać w Seattle i pojechała bez niego. Przekonywał, że doskonale poradzi sobie sam w domu. Jak gdyby naprawdę miał nadzieję, że Michelle zgodzi się na coś równie niedorzecznego.

Zasugerował nawet, żeby zaopiekował się nim Brad.

Ale Brad nie poradziłby sobie z Codym. Poza tym nie mogła tego od niego wymagać, skoro ich związek znalazł się w martwym punkcie. Całe jej życie zamarło i nie ruszy się z miejsca do chwili, kiedy w końcu rozwiąże konflikt z ojcem.

Krajobraz przeistaczał się bardzo powoli, ale zmiany dały się zauważyć, jeszcze zanim dojechali w wyższe partie postrzępionych turni, ciągnących się w nieskończoność dolin i jakby zawieszonych w próżni górskich jezior. Ogarnęło ją podekscytowanie. Już niedługo dojadą na ranczo Błękitna Skała.

W Missoula skręcili na północ, mijając ogromny posąg byka z Hereford, który stał przy sklepie turystycznym, kawiarni oraz stacji benzynowej.

- Już nie jesteśmy w Kansas - odezwała się, ale Cody jej nie słyszał.

Cały kicz Dzikiego Zachodu oznaczał, że przekroczyli granicę całkiem innego świata. Znaleźli się na ziemiach, gdzie

poczucie ogromu i bezkresu nieba rozciągającego się wysoko w górze zawładnęło nią i uwiodło.

Autostrada numer osiemdziesiąt trzy prowadziła prosto do celu tej podróży. Na tle zachmurzonego popołudniowego nieba majaczyły wierzchołki gór Swan i Mission.

- Popatrz, Cody! - Wskazała za okno. Ogromne stado łosi opuszczało na zimę wyższe partie gór i podążało w stronę porośniętych zagajnikami wzgórz.

Chłopak spojrzął na łosie, po czym ziewnął.

Czego się spodziewała? Że usłyszysz „O rany, mamoo!” od szesnastolatka?

Ale mimo to chciała podzielić się z nim tą chwilą, tym cudownym uczuciem, które obudził widok dzikich zwierząt, lasów iglastych i ośnieżonych górskich szczytów. Przypominający klejnoty łańcuch jezior błyszczał w oddali. Chciała powiedzieć synowi, że te morenowe jeziora były kiedyś wielkimi blokami lodu, które roztopiły się i wypełniły szczeliny w ziemi.

Zastanawiała się, czy podobnie działo się z ludźmi. Kiedy strata drażyła dziurę, która zbyt długo pozostawała pusta, czy ta pustka wypełniała się lodem?

Dojechali do zjazdu z autostrady, który prowadził do Crystal City, gdzie droga wiła się pod górę. Skalny krajobraz bronił się przed najazdem człowieka niczym najbardziej niedostępna z fortec. Trzeba było mieć odpowiednie umiejętności, żeby wdrzeć się do niej.

Michelle od lat nie jeździła po zaśnieżonych drogach. Range rover wpadł w niewielki poślizg i zakołysał się.

- Niezły manewr, mamoo - skomentował Cody z tylnego siedzenia.

Michelle podziękowała w duchu za napęd na cztery koła rovera. Opony złapały przyczepność. Zmuszona do minimalnej prędkości, Michelle mogła podziwiać widoki. Mijali otwartą przestrzeń i rozległe łąki. Pasma gór otaczających dolinę

przypominało mury mitycznej świątyni. Znała każdy najmniejszy fragment tej drogi. Widok był tak znajomy, że aż sprawiał jej ból.

Zerknęła na Cody'ego, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarł na nim przyjazd tu. Chłopak wyglądał przez okno. Jego palce pociągały za struny niewidzialnej gitary. Zmrużył oczy, które nie wyrażały nic poza obojętnością. Nie powinna być zaskoczona. Ostatnio swoim zachowaniem demonstrował jedynie obojętność i bunt.

Wyblakła tablica klubu rotariańskiego wyznaczała granice miasta.

Naprawdę wróciłam. Wiedziała, że to tylko wyobraźnia płata jej figle, ale usłyszała świst wiatru, który obwieszczał jej powrót... do przeszłości.

Tuż nad znakiem Lions Club wisiał duży napis ogłaszający zimowe mistrzostwa, zapowiedziane na drugiego i trzeciego marca.

Cudownie. To znaczy, że nie zostanie ojca w domu. Jako jednego z przodujących hodowców zwierząt dla potrzeb rodeo nie mogło go zabraknąć na arenie. Zatrzymała samochód przed budką telefoniczną. Boże, czy ktokolwiek poza jej ojcem miał ten sam numer telefonu od ponad dwudziestu pięciu lat?

- Błękitna Skała. - Młody głos z pewnością nie należał do jej ojca.

- Zastałam Gavina? Mówi... jego córka, Michelle Turner. Zapanowało milczenie.

- Bardzo mi przykro, ale wyszedł. Spodziewał się pani dopiero jutro.

- Jest na arenie? - zapytała.

- Tak, proszę pani.

Oczywiście mogła pojechać na jego ranczo, usiąść i zaczekać, aż wróci, ale nie chciała w nieskończoność odwlekać tego spotkania. Całe miasto będzie świadkiem ich pojednania. Czy ktokolwiek ją pamięta? Czy ktokolwiek wie, co działo się z nią przez te lata? Czy jej powrót wprawi ludzkie języki w ruch?

POWRÓT

Czy ludzie zaczną się z nią witać? Czy wymienią znaczące spojrzenia na widok jej syna?

- W takim razie znajdę go na zawodach. - Odłożyła słuchawkę.

Często fantazjowała na temat swego powrotu do tego miasta. Zawsze myślała, że ta chwila będzie przypominać triumf, ale w rzeczywistości wszystko wyglądało całkiem inaczej. Miała martwe serce, jej świat był pogrążony w chaosie, a jedynym celem było ratowanie życia ojcu, którego nie widziała od siedemnastu lat.

2

Sam McPhee wyjrzał przez okno na ośnieżone szczyty za domem. Stał tak przez dłuższą chwilę i przyglądał się, jak ostatnie promienie słońca gasły za górami. Ten znajomy widok zawsze działał na niego kojąco. W młodości zabierał ten obraz ze sobą, bez względu na to, dokąd się udawał. A kiedy nadszedł czas, żeby osiedlić się na stałe, nie musiał szukać za tymi wzgórzami.

Poprawił kapelusz na głowie i nałożył rękawice. Wyprostował się, po czym cofnął jedno biodro wsuwając nogę w but. Ten charakterystyczny gest był tyle razy sfotografowany przez dziennikarzy.

Sam był twardym mężczyzną, typem samotnika, który polegał tylko na sobie, ale niekiedy samotność stawała się dominująca. Czasem żałował, że nie miał nikogo, z kim mógłby dzielić takie chwile jak ta, kogo mógłby wziąć za rękę i powiedzieć: „Spójrz na te góry. Przyjrzyj się tym wszystkim kolorom”. Po tak długich latach spędzonych w samotności to nie powinno mieć dla niego znaczenia. Ale wbrew wszystkiemu raz na jakiś czas, kiedy na dworze zapadał zmrok, odczuwał pustkę.

Pogasił większość świateł w domu. Na tarasie zostawił jedną włączoną lampę.

Jego buty stuknęły na zamrzniętym podjeździe, kiedy kończył ładować przyczepę. Zabrał ze sobą siodło, gwoździe, linę,

koce, płyn do siodła i dodatkową parę rękawic. Te rzeczy były dla niego święte. Układał je z uwagą i namaszczeniem księdza, który przygotowuje się do mszy. Rodeo było jego drugą miłością.

Ostre, lodowate powietrze wypełniało jego płuca, kiedy szedł przez podwórze w kierunku, niewysokiego budynku, w którym obecnie mieszkał partner Sama. Zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, otworzył je.

- Hej, Edward, gotowy do wyjścia?
- Już idę. Trzymaj konie na wodzy.
- Moje konie są gotowe od dawna, ale na pewno nie dzięki tobie, stary.

- No cóż, byłem zajęty - zawołał Edward z łazienki.
- Czy Diego przygotował stajnie? - Sam zamknął za sobą drzwi, żeby nie wpuszczać do środka lodowatego powietrza.
- Diego odszedł. Znalazł pracę w restauracji w Big Mountain.

- Cholera. To już drugi pomocnik, którego straciliśmy w tym miesiącu.

- Tobie przydałby się niewolnik - stwierdził Edward.
- Ostatnim razem, kiedy sprawdzałem w kodeksie, niewolnictwo było zabronione.

- W naszym społeczeństwie niewolników zastępuje się dziećmiakami.

- Jasne. Tak czy inaczej potrzebuję pomocnika. - Sam nie miał zamiaru rozwódzić się nad tym tematem. - Chyba zapytam Earla Meechama, czy jeden z jego chłopaków nie chciałby popracować po szkole.

Edward Bliss wyszedł na wyłożony boazerią korytarz. W rękach trzymał stos koców. Wspólnik Sama mierzył metr sześćdziesiąt, był w połowie Indianinem i stuprocentowym hodowcą koni.

- Po co te koce? - zapytał Sam.
- Utknęła je Ruby Lightning. Poprosiła mnie, żebym wyłożył je dzisiaj na stoisku.

Obaj wsiedli do starej ciężarówki Dodge. Silnik zakaszał

kilka razy na znak protestu, po czym zapalił z odgłosem ulgi. Sam zmienił bieg i ruszył żwirowym podjazdem.

Jechał po ciemnej nitce drogi, od czasu do czasu zerkając w boczne lusterka, żeby sprawdzić przyczepę. Rio i Zeus na pewno teraz drzemią. Duże konie były przyzwyczajone do rutynowego ładowania na przyczepę, podróżowania i czekania w boksie na szaloną jazdę. Dawniej to od nich zależało, czy Sam będzie miał co włożyć do garnka.

- Co słyszeć u Ruby? - odezwał się.

Edward wyjął paczkę gumy Juicy Fruit i podał Samowi jedną.

- Powinieneś do niej zadzwonić i sam ją o to zapytać.

Sam złożył gumę na pół i wsadził ją do ust.

- Może zadzwonię. Wszystko u niej w porządku?

- O to też możesz ją zapytać.

Ruby Lightning, nauczycielka angielskiego w lokalnej szkole, była samotną matką i przedstawicielką plemienia Kutenaj. Nie miała wielkich wymagań od życia, była prosta i obecnie nie spotykała się z żadnym mężczyzną. Mieszkała w drewnianym domu na farmie, niecały kilometr od niego. W przeszłości spędzili wspólnie miłe chwile i byłoby ich pewnie o wiele więcej, gdyby Sam był na to gotowy.

W pewnym momencie po prostu przestał się z nią spotykać. Nie był dumny z tego, że tak często zaczynał i kończył różne związki. Raz spróbował nawet małżeństwa, ale nawet wtedy okazało się, że nie pasował do takiego życia. Czuł się wówczas tak, jak gdyby chodził w za ciasnych butach. Nie miał wątpliwości, że jego nieudane życie prywatne miało ścisły związek z przegranym dzieciństwem.

- Jak sobie radzi jej córka? - zastanawiał się na głos.

- Molly startuje w wyścigu dla dzieciaków do szesnastego roku życia.

- Nie żartuj. - Wydawało mu się, że nie dalej jak wczoraj poznał małą Molly Lightning, półsierotę o ciemnych oczach, bezgranicznie zakochaną w starym walijskim kucyku, którego Ruby kupiła od Sama. A teraz Molly była prawie dorosła, szczupła i giętka niczym bicz ze skóry byka. Prawdopodobnie

złamała serce niejednemu uczniowi liceum w Crystal City. Jezu, gdzie przepadły te wszystkie lata?

Sam wiedział, że ta dziewczyna miała w sobie ogień i szlachetne serce. O ile dobrze pamiętał, miała także wspaniałą matkę.

Może faktycznie zadzwoni do Ruby.

- Ile chce za te koce? - zapytał. Ruby była doskonałą tkaczką. Do swoich wyrobów używała wełny z Montany. Wzorowała się na tradycyjnych wzorach oraz totemach plemiennych.

- Pięćdziesiąt kawałków za sztukę - wyjaśnił Edward - Zostawić ci jeden?

Sam uśmiechnął się i skręcił na parking.

- Jeżeli wygram dziś wieczorem, kupię je wszystkie.

- Więc uważasz, że stary Rio wygra te zawody, kowboju? - W ustach Edwarda załśnił złoty ząb.

- On zawsze wygrywa. - To było kłamstwo i obaj dobrze o tym wiedzieli. Ale były czasy, kiedy Sam naprawdę wiódł prym w zawodach łapania na łąso. Jeden zwycięski przejazd gwarantował mu dwadzieścia dwa tysiące dolarów, czasami więcej. Większość kowbojów wydawała pieniądze na nabijane srebrem siodła i drogie dodatki. Sam przeznaczał wygrane na zupełnie inne cele, które odróżniały go od pozostałych gwiazd rodeo i sprawiały, że uchodził za odmieńca w swoim środowisku.

Kiedy został mistrzem kraju, dziennikarze brukowców nie odstępowali go na krok. Komentowali niespodziewane decyzje, które podejmował. Bardzo dokładnie opisali jego zaskakujący styl życia i naturalną zdolność do uprawiania tego sportu. Podali do wiadomości publicznej jego olśniewające zarobki. Zamieścili jego twarz na okładkach kalendarzy. Przez kilka lat był uważany za złotego chłopca okręgu, kowboja z błyskotliwą karierą.

Reporterzy nie zauważyli tylko jednej rzeczy, jego przerażającej samotności. Przytłaczającej monotonii. Siniaków i ran, które sprawiały, że czuł się starszy od niejednej skały. Woził

swoją przyczepę z jednych zawodów na drugie, żył w opłakanych warunkach, wszystkie swoje potrzeby ograniczał do minimum. Jednak wizja kolejnej szalonej jazdy, kolejnej nagrody pomagała mu przetrwać najgorsze dni.

- Ładna bryka - powiedział Edward, kiedy Sam mijał białego fordka 350 połączanego z białą przyczepą, która miała przynajmniej dziesięć metrów długości.

Z boku przyczepy widniało duże znajome logo: RANCZO BŁĘKITNA SKAŁA.

- Najwyraźniej Gavin Slade kupił sobie nową zabawkę - stwierdził Sam. Dawno temu mocno przeżywał wszystko, co robił Gavin Slade, i to, kim był. Te czasy odeszły jednak w zapomnienie.

Ostatnio całe miasto drżało z obawy o jego zdrowie i nawet szastanie pieniędzmi nie mogło przysłonić wszystkich problemów, z którymi się borykał.

Edward zauważył przy wejściu grupkę kobiet.

- Pośpiesz się z tym parkowaniem. Muszę zobaczyć, kto przyszedł.

Pomimo swojej mizernej postury Edward Bliss był bożyszczem kobiet. Przekręcił lusterko w swoją stronę, zdjął czapkę i poprawił włosy. We flirtowanie wkładał tyle samo wysiłku co w pracę na farmie.

Sam rzucił okiem w tylne lusterko i zauważył, że jakiś samochód zaparkował na jego miejscu na północnej stronie areny.

- Niech to szlag! - zaklął pod nosem. Odkręcił okno i wypluł gumę.

- Co się stało? - zapytał Edward.

Sam spojrział na najnowszy model srebrnego range rovera z waszyngtońskimi tablicami rejestracyjnymi.

- Jakiś idiota zaparkował na moim miejscu.

3

Al e szmira - wycodził Cody przez zaciśnięte zęby, kiedy szli w stronę głównego budynku areny. - Nie mogę uwierzyć, że zmusiłaś mnie, żebym przyszedł na show na Dzikim Zachodzie.

- To nie jest show na Dzikim Zachodzie. To rodeo.

- I tak nie mogę uwierzyć, że zmuszasz mnie, żebym znalazł się w pobliżu takiego gówna! - Cody zatrzymał się i spojrzął pod nogi.

- Dla twojej wiadomości, to jest końskie gówno. Wytrzyj but o śnieg.

Cody'emu udało się wyczyścić większą część buta. Przez cały czas zrzedził pod nosem. Nie potrafił zachować zimnej krwi, kiedy ścierał łajno ze swoich martensów za sto dolarów.

- Czy nie możemy po prostu pojechać do niego i zaczekać, aż wróci? - zapytał. - Powiedziałaś, że on ma dom.

- Domy, w liczbie mnogiej. Mój ojciec wszystko robi w wielkim stylu.

- W takim razie co powiesz na to, żebyśmy udali się do jednego z jego domów? - Cody przyjrzał się uważnie czubkowi buta.

- Nic z tego. Przyszliśmy tutaj i znajdziemy mojego ojca.

- A co on tutaj robi? Wydawało mi się, że jest chory.

- To prawda, że jest chory, ale nie konający. Jego stan...

- O Jezu, ale zimno. - Cody przestępował z nogi na nogę. - Lepiej wejdźmy już do środka. - Zgarbił się, kierując w stronę

głównego wejścia. Nigdy nie chciał rozmawiać o chorobie jej ojca. Nigdy nie chciał poznać szczegółów dotyczących operacji, którą trzeba było wykonać. Ogarniał go typowy dla nastolatków strach przed lekarzami. Nie miał najmniejszego zamiaru przyjąć do wiadomości, że jest zwykłym śmiertelnikiem.

Michelle kupiła bilety od uśmiechniętej dziewczyny o krzywych zębach i potarganych włosach.

- Proszę bardzo. - Dziewczyna wykonała zapraszający gest ręką, eksponujący przy tym wykończony frędzlami rękaw z poliestru.

- Nic nie mów - ostrzegła Cody'ego Michelle, kiedy przechodzili przez bramkę. Ale sarkastyczny wyraz jego twarzy nie wymagał komentarza.

Znaleźli się w tłumie mężczyzn w drelichowych kurtkach podbitych owczą skórą i kobiet w obcisłych dżinsach. Michelle przyjrzała się uważnie swojemu synowi. Najwyraźniej tutaj nie pasował. Był ubrany w czarne postrzępione dżinsy, z których wystawały cienkie łańcuszki. Skórzana kurtka miała ćwieki na szwach. W uszach miał kolczyki, a na czubku głowy kucyk opadający aż na plecy. Końce kosmyków były zielone, od kiedy ufarbował się w zeszłym roku na koncert Phisha.

Jego twarz była posępna, ale bardzo piękna.

Co się z tobą stało, mój drogi synku?

Powstrzymała się, żeby nie powiedzieć mu, aby się wyprostował. Jego przygarbiona postawa była częścią tego niedbałego image'u. Kiedy stał w tej pozycji, przypominał znak zapytania.

Wyprostuj się, tak jak to robił twój ojciec.

Czuła ból w żołądku, kiedy mijali rzędy siedzeń w poszukiwaniu Gavina Slade'a. Wiedziała, że już wkrótce go zobaczy. Co sobie wtedy powiedzą?

Ich ostatnia rozmowa w cztery oczy nie była zbyt przyjemna.

- Jestem w ciąży, tato.

Gavin zamarł, a potem odezwał się lodowatym głosem:

- Wcale mnie to nie dziwi. Twoja matka też była bezmyślna.

- To mój ojciec był bezmyślny - wypaliła.

Tego samego dnia wyjechała z rancza Błękitna Skąta. Obiecała sobie, że już nigdy tam nie wróci. Ale nie dotrzymała przyrzeczenia. Była tutaj i coraz bardziej puszczały jej nerwy.

Przez długie rury podłączone do generatora do środka przedostawało się ciepłe powietrze, które wypełniał zapach koni, skóry i popcornu. Wszystko to przypomniało jej o przeszłości. Michelle nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyglądać się miejscom, na których kiedyś siedziała i podziwiała kowbojów na wspaniałych koniach. Właśnie na tej arenie straciła serce dla konia o imieniu Dooley.

Przypomniała sobie, co czuła, kiedy dosiadała tego wspaniałego rumaka, kiedy jej serce waliło młotem, kiedy rozkoszowała się niebezpieczną jazdą dookoła beczek. Już wtedy Michelle była doświadczonym jeźdźcem i myślała, że wie, jak radzić sobie z koniem. Ale Dooley nie był zwyczajnym koniem. Był zwierzęciem specjalnie tresowanym ze względu na jego siłę, zwinność oraz szybkość. W jego żyłach płynęła krew rasowych koni, dzięki której był jeszcze szybszy i bardziej porywczy. Nadal pamiętała radość startowania w wyścigu, płonące policzki przy pełnej prędkości, przyprowadzający o zawrót głowy zakręt o sto osiemdziesiąt stopni wokół beczki. Mimo tylu lat, które dzieliły ją od tamtych dni, nadal słyszała głosy zagrzewających ją do walki widzów.

Świetnie sobie radzisz jak na miastową dziewczynę. Pozwól mu się prowadzić. Wydaje mi się, że cię polubił...

Odsunęła od siebie wspomnienia i spojrzała na szczupłą dziewczynę w ciemnoturkusowym kostiumie, która wjechała na wybieg na srokatej klaczy. Kiedy pędziła przed siebie, jeździec i koń stanowili jedność. Czarny lśniący warkocz dziewczyny podskakiwał tak samo rytmicznie jak jej harap. Na jej twarzy malowało się skupienie. Tłum wiwatował na jej cześć.

Ach, ten uśmiech, pomyślała Michelle, przyglądając się dziewczynie. Czy ona też była kiedyś taka młoda? Taka szczęśliwa?

Cody również przyglądał się nieznajomej i przez chwilę jego

twarz nie przypominała maski. Nawet jej wielkomięski syn nie potrafił oprzeć się widokowi tej uroczej, pięknie ubranej dziewczyny na potężnym zwierzęciu. Nagle zauważył spojrzenie matki i cały entuzjazm zniknął z jego twarzy.

- Więc? - zapytał. - Chcesz go znaleźć czy nie?

Minęli kilka stoisk. Michelle zauważyła parę znajomych twarzy i zadrżała na ten widok. Earl Meecham, właściciel kawiarni Truxtop, podawał zainteresowanym kupony. Prawie nic się nie zmienił. Był tylko trochę grubszy. Na głowie miał kapelusz z dużym rondem, a na jego twarzy malował się uśmiech od ucha do ucha.

Ich oczy spotkały się w przelotnym spojrzeniu, ale Michelle nie była pewna, czy Earl ją rozpoznał. W końcu bardzo różniła się od tej dziewczyny z długim blond kucykiem i gwiazdami w oczach.

Postawiła kołnierz kurtki i ruszyła przed siebie w kierunku rzędów siedzeń niedaleko kabiny sędziów. Właśnie tam stał jej ojciec. Jedną nogę w wysokim bucie oparł na słupku balustrady, a w ręce trzymał program.

Ogarnęła ją panika. Chciała się przed nim schować. Nie zrobię tego. Nie tutaj, nie w tej chwili. Jednak panika ustąpiła miejsca o wiele silniejszemu uczuciu. Nie wiedziała, czy ogarnęła ją miłość, nienawiść czy dziwna mieszanina obu tych uczuć. Musiała podjąć decyzję. Musiała spełnić obowiązek. Opanowała strach.

Cody chyba wyczuł jej napięcie, ponieważ zatrzymał się i podążył za jej wzrokiem.

- To on? - Miał znudzony głos.

- Tak, to on. - Hałas, tłum, rzenie koni odpłynęły w nicość, kiedy przyglądała się swojemu ojcu.

Gavin Slade. Trzydzieści lat temu był na szczycie listy najlepszych aktorów w Hollywood. Budował swój sukces na trzymających w napięciu westernach i ostrych dramatach policyjnych. Jego surowa przystojna twarz była ozdobą magazynów i brukowców od „Life'a” po „National Enquirer”. Nadal był przystojny. Miał pociągłą twarz o pięknych rysach i wciąż bił od niego nieprzeparty urok oraz siła.

U szczytu sławy porzucił Hollywood i wyjechał do Montany, jeszcze zanim osiedlanie się w takich miejscach stało się modne. Odkrył Crystal City podczas konkursu strzeleckiego i spędził tutaj wiele lat, budując ranczo Błękitna Skała, aż w końcu został hodowcą koni dla potrzeb rodeo na skalę światową. Niektóre jego ogiery cieszyły się większą sławą niż czempioni, którzy je ujeżdżali. Ludzie z miasteczka traktowali go jak ważną osobistość. Uważali go za jednego ze swoich, ponieważ wolał ich miasteczko od ciepłych plaż Kalifornii. Michelle nigdy tak naprawdę nie wiedziała, dlaczego wybrał właśnie Montanę i co chciał tu znaleźć. Czy uciekł przed wyścigiem szczurów w Hollywood, a może przed Michelle i jej matką?

- Nie wygląda na chorego - zauważył Cody. Starał się, żeby jego głos zabrzmiał normalnie, ale mimo to słychać było w nim nutkę ulgi.

Gavin był być może trochę za chudy, a jego skóra trochę zbyt żółta, ale Michelle doszła do wniosku, że ten kolor może być wynikiem oświetlenia na arenie. Zdjęła rękawiczki i wsunęła je do kieszeni. Miała spocone ręce. Wytarła dłonie o dzinsy.

- Chodź. Powiemy mu, że przyjechaliśmy.

Niski kowboj na krzywych nogach, który niósł stertę koców, potrącił ją, kiedy go mijała, ale ona nawet tego nie zauważyła. Kiedy znalazła się kilka metrów od ojca, spojrzał na nią. Nie znała go na tyle dobrze, żeby móc rozszyfrować wyraz jego twarzy. W końcu mimo wszystko spędziła z nim tylko pół roku swojego życia. Zawsze był dla niej nieznanym. Nieznajomym, którego nazywała tatą.

- Michelle, kochanie. - Jego twarz rozjaśnił aktorski uśmiech, który ukazał jego idealne zęby. - Chodź i uściskaj swojego staruszka.

Objął ją. Zamknęła oczy i wdychała jego zapach. Poczowała woń pralni, odświeżacza do ust, drogiego płynu po goleniu. To był silny uścisk, który całkowicie ją obezwładnił. Upominała się w duchu, że nie powinna czuć się tak dobrze. To nie było w porządku. On był dla niej obcym człowiekiem. Ale kiedy

odsunęła się od niego i spojrzała mu w twarz, do oczu napłynęły jej łzy.

- Cześć, tato.

- Nie spodziewałem się ciebie wcześniej niż jutro rano.

- Wczesnie wyruszyliśmy. Droga nie była zła, więc udało nam się dojechać jeszcze dzisiaj. - Cofnęła się i zamrugała, żeby powstrzymać łzy. - To jest Cody.

Uśmiech zamarł na ustach Gavina. Michelle wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że uda mu się dostrzec coś więcej poza skórą, łańcuszkami i buntowniczym wyglądem. Ale Gavin stracił wszystkie te cudowne lata, kiedy Cody był mały, tak samo jak stracił lata dzieciństwa Michelle.

Gavin widział tylko tego chłopaka, który przed nim stał. Na jego ustach pojawił się nieszczerzy uśmiech.

- Co słytać, młodzieńcze? - Wyciągnął dłoń.

Cody chwycił jego rękę i czym prędzej wypuścił ją z uścisku.

- Może być.

Michelle żałowała, że nie przygotowała go do tego spotkania. Oczywiście nie łudziła się, że zostałyby wysłuchana, ale mogła chociaż poprosić, żeby nie był tak wrogo nastawiony.

Napięta atmosfera zawisła nad nimi niczym nieprzyjemny odór. Michelle starała się ukryć rozczarowanie. Czego mogła się po nich spodziewać? Że padną sobie w ramiona tylko dlatego, że jeden z nich jest jej ojcem, a drugi synem? Coś takiego mogło się wydarzyć w jednym ze starych filmów Gavina, ale nie w prawdziwym życiu.

Chrząknęła.

- Wiedziałam, że cię tutaj znajdziemy.

- Nie opuściłbym tego, kochanie. Nie opuściłbym. - To właśnie dzięki niemu miasteczko tych rozmiarów miało własne rodeo. Potrzebował miejsca, gdzie mógłby pracować ze swoimi końmi. Co prawda arena została wybudowana z pieniędzy obywateli, ale z myślą o Gavinie Siadzie. Gavin spojrzał w kierunku stoiska z przekąskami. - Przynieść wam coś do picia?

- Pójdę się rozejrzeć. - Cody wsunął ręce do kieszeni. Jego

i tak obwisłe dzinsy zsunęły się jeszcze niżej. Michelle miała nadzieję, że ojciec nie zauważył bokserek z postaciami z „Miasieczka South Park”.

- W porządku. - Obiecała sobie, że nie będzie starała się zbliżyć na siłę swojego ojca i syna. - Wróc za pół godziny. - W ostatniej chwili powstrzymała się, aby nie dodać, żeby uważał na siebie. Zawsze traktował jej ostrzeżenia jako zaproszenie do przekroczenia kolejnej granicy. Patrząc, jak odchodzi, zwróciła się do ojca: - Na pewno jest zmęczony po długiej podróży.

- A jak ty się czujesz? - zapytał Gavin. - Przynieść ci coś? Kawę? Piwo?

- W porządku, nie trzeba.

Dotknął jej ramienia.

- Michelle, czuję się głupio, dziękując za twój przyjazd. Bo jak, do diabła, mogę ci podziękować?!

Poczuła, że się czerwieni.

- Nawet nie próbuj. Jestem tutaj, by ci pomóc. - Przez chwilę chciała rozkoszować się jego wdzięcznością. Miała nad nim przewagę i mogła ją wykorzystać, by naprawić ich oziębłe stosunki.

Ale natychmiast zmieniła zdanie. Miała inny cel.

- Twoim zdaniem, to tylko zwykła pomoc?

- A jak ty byś to nazwał, tato?

- Do diabła, sam nie wiem. - Zdjął kapelusz i podrapał się po głowie. Jego włosy były tak bujne jak zawsze, ale całkiem zbiały.

Nigdy nie wyobrażała go sobie jako siwego staruszka. Kiedy po raz pierwszy od siedemnastu lat usłyszała jego głos w słuchawce, odniosła wrażenie, że nadal jest młodym, krzepkim mężczyzną, jakim był w chwili jej osiemnastych urodzin.

- Nigdy nie chciałem, żebyś dowiedziała się o stanie mojego zdrowia, Michelle - powiedział. Zakłopotanie w jego głosie trochę ją zaniepokoiło. - I nigdy w życiu nie chciałem, żebyś przyjeżdżała do mnie na ratunek.

- Ten jeden raz nie musisz się przede mną tłumaczyć,

tato. - Pierwszy raz skontaktował się z nią w listopadzie. Była w pracy. Siedziała przy komputerze i pracowała nad grafiką ziarenek kawy, kiedy kurier doręczył jej ciekłą kopertę, na której widniał znak rancza Błękitna Skała. Była tak zaskoczona, że prawie upuściła przesyłkę. Zaciągnęła żaluzje w swoim biurze, usiadła przy biurku i otworzyła kopertę. W środku nie było żadnego listu, tylko dokument opatrzone małą strzałką w miejscu, gdzie należało złożyć podpis.

Michelle była tak zdumiona, że nie od razu zrozumiała, o co chodzi. W końcu dotarło do niej, że po prawie siedemnastu latach milczenia jej ojciec postanowił powierzyć swoją ogromną fortunę jej synowi.

Kiedy wybierała numer podany na dokumencie, złamała paznokiec. Firma prawnicza w Missoula niczego jej nie wyjaśniła, dlatego odmówiła podpisania zgody.

Dopiero wtedy zadzwonił do niej ojciec. Zastał ją w domu, kiedy wkładała naczynia do zmywarki i zastanawiała się, dlaczego Brad nie zadzwonił, żeby poinformować ją, że nie przyjdzie na obiad. Głos ojca sprawił, że natychmiast zapomniała o Bradzie.

- Michelle, jestem chory.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Co się stało?

- Przekłeta rzecz. Nazywają to ostatnim stadium niewydolności nerki.

- Masz nieżyty nerki?

- Tak. Przez jakiś czas miałem paciorkowca, ale go zignorowałem i pozwoliłem, żeby żył we mnie zbyt długo. Wystąpiły bardzo rzadkie powikłania, które fachowo nazywają się glomerulonephritis. Na razie nikt nie pisze o tym w brukowcach, ale zaczynają krążyć plotki.

Znienawidzone brukowce. Zamieniły jej dzieciństwo w koszmar.

- I co teraz?

Zapanowała długa chwila milczenia.

- Zacząłem dializy.

- Czy to cię wyleczy?
- Nie do końca.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Specjaliści w Misspula twierdzą, że muszę poddać się operacji. Potrzebuję przeszczepu.
- Przeszczep nerki. - Nagle wszystko dotarło do Michelle z prędkością błyskawicy. - Od żywego dawcy. Mam rację?
- Nie. Zostałem wpisany na listę osób oczekujących na nerkę od martwych dawców.

Michelle poczuła się tak, jak gdyby stanęła nad przepaścią. Od razu zrozumiała, co powinna zrobić. Ta myśl wybuchła w niej niczym gejzer. Nie mogła tego powstrzymać. Oparła się o ścianę w kuchni i zaczęła osuwać się na podłogę. Doskonale zdawała sobie sprawę, że mogła przeciągać tę rozmowę w nieskończoność. Mogła sprawić, żeby ją prosił, a nawet błagał. Ale zamiast tego zamknęła oczy i wypaliła prosto z mostu.

- Nie musisz czekać, aż ktoś umrze. Zrobię to dla ciebie, tato - wyszeptwała. - Dam ci... - O Jezu! - moją nerkę.

- Michelle? - Głos Gavina Slade'a, gwiazdora filmowego przywołał ją do rzeczywistości. - Jeżeli jesteś zmęczona jazdą, możemy porozmawiać później.

- Nie, zostanę. Nadal jestem zbyt zdenerwowana, żeby się odprężyć. - Przez ostatnie dziewięć tygodni poddała się licznym badaniom w szwedzkim szpitalu w Seattle. Robiono jej testy krwi, prześwietlenie klatki piersiowej, szczegółową analizę moczu, sonogramy oraz rezonans magnetyczny. Wbrew wszelkim wątpliwościom okazało się, że pięć spośród sześciu antygenów pasuje idealnie. Pod względem fizjologicznym była prawie idealnym dawcą dla Gavina. Ojciec przez całe życie cieszył się doskonałym zdrowiem, więc jego dawca też musiał być bez skazy.

Posłał jej spojrzenie, którego nie potrafiła rozszyfrować.

- Czekają nas mnóstwo rozmów.

Przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, że przerwał siedemnastoletnie milczenie tylko dlatego, że potrzebował jej nerki.

Michelle spoglądała w stronę areny, skąd właśnie wynoszono beczki. Chciała, żeby jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nie będzie na niego zła, obiecywała sobie, od kiedy dowiedziała się o stanie jego zdrowia. W tej sytuacji nie było miejsca na złość.

- A więc pamiętałaś, jak dojechać do Błękitnej Skały? - zapytał.

- Trafiałabym tam z zamkniętymi oczami.

Gavin skinął głową w kierunku przechodzącej pary, która szczęśliwie nie zatrzymała się, by zamienić parę słów. Wyścigi wokół beczek dobiegły końca i nadszedł czas na zawody w łapaniu bydła na łące. W Crystal City wszyscy traktowali rodeo bardzo poważnie. Podczas zawodów ludzie nie oddawali się pogawędkom ani innym rozrywkom, śledząc akcję na arenie. Będą bawić się później, kiedy wygrani i przegrani ruszą do baru Grizzly, żeby się napić i potańczyć.

- Twój chłopak postanowił zostać w domu? - zapytał Gavin.

- Jest zavalony pracą. - Wsunęła brodę w kołnierz kurtki. - Nazywa się Brad i jest dla mnie kimś więcej niż tylko chłopakiem. Jesteśmy razem od trzech lat.

- Macie zamiar się pobrać?

Michelle znów spłonęła rumieńcem. Małżeństwo. To by zmusiło ją i Brada do określenia zasad, na jakich miałyby funkcjonować ich związek.

- Na wszystko przyjdzie czas.

- Chciałbym go poznać. Jest farmaceutą?

- Jest współnikiem w dużym koncernie farmaceutycznym. Bardzo mi pomógł. Wytłumaczył mi, na czym polega twoja choroba i jak będzie przebiegała transplantacja. Dawno temu chciał zostać lekarzem, chirurgiem, ale w końcu wybrał farmację.

W głośnikach rozległo się ogłoszenie. Gavin nastawił uszu.

- Michelle, muszę iść do zagrody. Ujeżdżamy kilka nowych koni. Chcesz przyjść popatrzeć?

- Nie, dzięki. I tak miałam iść poszukać Cody'ego.

- W porządku. - Gavin ruszył przed siebie, po czym odwrócił się. - Michelle?
- Tak?
- Dobrze znów cię widzieć.
- Ciebie też, tato. - Zmusiła się, żeby wymówić te słowa. Wszystko wydawało się takie dziwne, nierealne. Miała wrażenie, że śni, a za rogiem czai się koszmar. To tylko nerwy, uspokajała się w duchu. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka tygodni będzie z powrotem w Seattle. - Do zobaczenia w domu.

Michelle nie miała najmniejszego problemu ze znalezieniem Cody'ego. Siedział na ławce w odległym rogu areny. Nigdy wcześniej nie był na rodeo i prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że nie wybrał najlepszego miejsca na widowni.

Już otworzyła usta, żeby go zawołać, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Zrozumiała, dlaczego Cody wybrał właśnie tamto miejsce. Kilka rzędów dalej siedziała dziewczyna w ciemnoturkusowym stroju, która tak świetnie ujeżdżała dzisiaj swoją klacz. Rozmawiała z jakąś drugą z sianem na głowie oraz frędzlami na rękawie i popijała dr. Peppera. Żadna z nich nie zdawała sobie sprawy z obecności Cody'ego, ale on też wyglądał tak, jak gdyby nie wiedział o ich istnieniu. Michelle jednak widziała, że śledził każdy ich ruch.

To dobrze, pomyślała. Może nareszcie skończy się jego obsesja na punkcie Klaudii Teller. Zaczął się z nią spotykać na początku tego roku szkolnego. Klaudia miała piękną bladą twarz i była typem łowcy. Zawsze unikała wzroku Michelle, a na jej podchwytliwe pytania odpowiadała monosylabami. Klaudia zapoznała Cody'ego z papierosami. Prawdopodobnie nauczyła go wielu różnych rzeczy, o których Michelle nie miała pojęcia. Na całym świecie nie istniało bardziej toksyczne stworzenie niż prowokująca nastolatka. Podobnie jak nie istniało stworzenie bardziej podatne na wpływy niż naładowany hormonami nastolatek. Jej twarz przypominała reklamę kosmety-

ków. Miała czerwone włosy i obrysowane czarną kredką oczy. Była najbardziej popularną dziewczyną w szkole, która postanowiła wziąć Cody'ego pod swoje opiekuńcze skrzydła.

Od kiedy Cody związał się z Klaudią, Michelle poczuła, że zaczyna tracić kontakt z synem. Jej własne dziecko stało się dla niej obce. Kiedy ją okłamywał, nie wiedziała, co robić.

Może ten pobyt w Montanie okaże się dla nich doskonałym testem, pomyślała Michelle. Czy uda jej się odzyskać syna? A może już dawno straciła go na dobre?

Ciemnowłosa amazonka nie wyglądała tak wyzywająco jak Klaudia. Może będą spotykać się w szkole. Z racji słabych stopni Cody będzie musiał uczęszczać do liceum w Crystal City w czasie ich pobytu w Montanie; Oczywiście robił wszystko, żeby do tego nie doszło, ale miał do wyboru: chodzić do szkoły w Montanie albo powtarzać semestr.

Michelle poszła dalej. Zatrzymała się dopiero przy stoisku, na którym jej uwagę przyciągnęły wełniane koce. Te ręcznie robione, utrzymane w kolorach ziemi narzuty poruszyły czułą strunę w jej sercu. Pomyślała o Josephie Rainie, mistrzu malarstwa, u którego kiedyś studiowała. Jego prace były odzwierciedleniem tych indiańskich motywów. Kierowana impulsem pobiegła do samochodu po książeczkę czekową. Dobrze wiedziała, że noce w Montanie są wyjątkowo mroźne.

Kiedy wróciła, trwał konkurs łapania bydła na łące. Gdy kowboje wjeżdżali na arenę, ujadające psy i szybkie konie wzbijały w powietrze tumany kurzu. Każdy popis trwał nie dłużej niż kilka sekund, ale ten czas wystarczył, że napawać się widokiem upadającego zwierzęcia w chwili, kiedy lina zaciskała się mu na szyi, podczas gdy kowboj wstawał w siodle i unosił pięść w górę, żeby ogłosić swoje zwycięstwo.

- ...a z czwartego boks startuje Sam McPhee - zapowiedział spiker.

Świat przestał się obracać.

- Panie i panowie, proszę, powitajcie brawami Sama McPhee...

Czas, oddech, jej serce, wszystko zamarło w bezruchu.

Widownia zaczęła wiwatować. Michelle stała przy barierce i ścisnęła metalowy pręt.

Sam McPhee. On tutaj jest.

Michelle modliła się, żeby słuch ją zmylił, ale dobrze wiedziała, że tak się nie stało. Dobry Boże. Sam.

- Sześciokrotny mistrz zawodów krajowych, Sam McPhee, oficjalnie wycofał się z zawodu w 1992. My mamy jednak szczęście mieć go u nas, w Crystal City... - ciągnął spiker. Wymieniał kolejne sukcesy Sama McPhee, które ani trochę nie zaskoczyły Michelle. Jedyną rzeczą, której Sam nie potrafił zrobić, było osiedlenie się na stałe w jednym miejscu.

Spojrzała w kierunku boksu na końcu areny i zobaczyła go. Z tej odległości niczym nie różnił się od pozostałych kowbojów. Na głowie miał znoszony kapelusz, z wygiętym rondem. Jedną część liny trzymał w zaciśniętych zębach, a drugą w dłoni.

Ale ona wiedziała, że to on. Rozpoznała sposób, w jaki przechylał głowę, ułożenie jego ramion, kosmyki jasnych włosów opadające na kołnierz. Nie mogła się opanować. Wychyliła się, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Sam prawie niedostrzegalnie skinął głową na chłopaka, który stał przy boksie. Wypuszczono byka. Sam ruszył za nim na lśniącym potężnym koniu. Zarzucił linę i pochwycił zwierzę z prędkością, która wprawiła widownię w osłupienie. Wszędzie dookoła rozległy się okrzyki uwielbienia dla sześciokrotnego mistrza zawodów krajowych.

Michelle patrzyła na niego jak skamieniała. Nie mogła się poruszyć. Sprawiał wrażenie silniejszego i szybszego niż kiedykolwiek przedtem. Nadal poruszał się z gracją, którą tak dobrze pamiętała. Kiedy jechał konno, było w nim coś więcej niż tylko brutalna siła. Otaczała go aura wieloletniego doświadczenia i aroganckiej pewności siebie. Pomachał do tłumu.

Sam miał urok, siłę i magnetyzm prawdziwego profesjonalisty. Musiała dobrze mu się przyjrzeć, kiedy prowadził swojego konia wzdłuż barierki. Czas nie odcisnął na nim piętna. Nadal prezentował się w lewisach niczym młodzienia-

szek z reklamy džinsów. Na jego twarzy nadal malował się uśmiech, który kiedyś zapierał jej dech w piersiach.

I wciąż uwielbiał atmosferę zawodów rodeo, pomyślała Michelle, kiedy długonoga brunetka podała mu trofeum i pocałowała w policzek.

Czy to właśnie rodeo zabrało go z jej życia? Czy to właśnie z tego powodu zniknął pewnej nocy? Nigdy więcej go nie zobaczyła. Aż do dzisiaj.

- To było niezłe, no nie? - Cody podszedł do niej.

- Co takiego, wiązanie byka? - Dobry Boże, pomyślała Michelle. Ogarnęła ją panika. Miała wrażenie, że za chwilę umrze na atak serca. Cody nic nie wiedział. Nigdy nie przypuszczała, że będzie musiała mu powiedzieć. Dobry Boże!

- Tak, wiązanie byka czy jak tam to nazywacie. To było całkiem niezłe.

Czy zamiłowanie do rodeo można przekazać dziecku genetycznie? - zastanawiała się Michelle.

- Wydawało mi się, że nie interesuje cię nic poza opętającym tańcem i kolczykowaniem ciała.

- Co z samochodem, mamó? Mogę poprowadzić do domu twojego ojca?

Michelle skinęła głową. Przyszła jej do głowy irracjonalna myśl, że jeżeli ulegnie jednemu z nich, nie będzie musiała użerać się z drugim.

- W porządku, możesz prowadzić.

Jeszcze przez chwilę Cody przyglądał się Samowi. W końcu dlaczego miałyby tego nie robić? Wysoki uśmiechnięty kowboj, którego oblegały tłumy kobiet, z pewnością mógł zainteresować nastolatka.

Serce zaczęło wyrywać się jej z piersi. Sam był w Crystal City. Sam i Cody byli razem z tym samym mieście. I nic o sobie nie wiedzieli.

4

Wygrywanie było cholernie przyjemnym uczuciem i zawsze przyprawiało Sama o szybkie bicie serca. Zawsze wywoływało dreszcz emocji. To uczucie nigdy nie trwało zbyt długo, ale dzięki niemu łatwiej było wracać do rzeczywistości.

- Ładny show. - Edward Bliss podszedł do Sama, który właśnie starał się uspokoić Rio. - Dobrze się spisałeś, partnerze. - Za ścianą stajni słysząc było ryk silników.

- Chyba powinienem teraz kupić wszystkie koce Ruby. - Sam prowadził konia w kółko. Para unosiła się nad potężnym ciałem zwierzęcia i buchała z jego nozdrzy.

- Spóźniłeś się. Właśnie sprzedałem ostatni. Kupiła go ładna blondynka, której nie znam. - Edward podał mu butelkę z wodą.

- Mam przez to rozumieć, że się jej przedstawiłeś. - Sam wypił łyk.

- Nie. Bardzo się spieszyła. Ciągnęła za sobą nastolatka z długimi włosami, który przez cały czas powtarzał, że teraz jego kolej, żeby poprowadzić samochód.

- Kiedy jesteś dzieckiem, zawsze jest twoja kolej, żeby poprowadzić samochód. - Sam opróżnił butelkę. Na parkingu zagrzemiał kolejny silnik. - Umówiłeś się na namiętą randkę?

- A czy Ziemia jest okrągła? - Edward wskazał ręką w stronę pulchnej, ciemnowłosej kobiety w drelichowych spodniach

i kurtce w indiańskie wzory, a ona pomachała do niego. - Pearl, pracuje w banku. Wybieramy się do Polson na kilka piw. Chcesz się przyłączyć?

Sam uśmiechnął się na myśl o tym, co Loretta Sweeney szepnęła mu na ucho, kiedy wręczyła mu trofeum oraz wycisnęła buziaka.

- Mam coś lepszego do roboty.

Edward najwyraźniej potrafił czytać w jego myślach.

- Loretta to zdzira.

- I właśnie to mi się w niej podoba.

Edward odszedł, a Sam podszedł do Rio, żeby założyć mu buty. Zawsze zakładał koniom buty, żeby nie poniszczyły sobie podków w czasie jazdy przyczepą. Turkot opon zawsze wprawiał konia w zdenerwowanie.

- Niech to szlag - zaklął Sam, kiedy metalowa podkowa wymknęła mu się z ręki.

Chwilę później usłyszał metaliczny szczęk. Bez wątpienia zderzyły się dwa samochody. Rio poruszył się niespokojnie i zarżał mu do ucha. Sam uwiązał konia i poszedł zobaczyć, co się stało.

- Cholera - zaklął. - Cholera, cholera, cholera.

Łśniący range rover wjechał tyłem na jego przyczepę. Na ziemi leżał zderzak. Czerwone odłamki reflektora połyskiwały w śniegu. Kiedy Sam szedł przez parking, kierowca rovera ponownie włączył silnik. Zderzak oderwał się na dobre. Rover ruszył do przodu.

Sam włożył dwa palce w usta i powietrze przeciął głośny gwizd.

- Stój! - wrzasnął, rzucając się biegiem w stronę samochodu.

Kilka osób zatrzymało się obok i potrząsało głowami. Drzwi rovera otworzyły się na oścież i ze środka wysiadł chudy nastolatek.

Cudownie, pomyślał Sam, taksując wzrokiem wybijaną ćwiekami kurtkę i długi kucyk. Nieletni kierowca. Zauważył zarys postaci na siedzeniu pasażera obok kierowcy. Prawdopodobnie dziewczyna chłopaka.

- Najwyraźniej miałeś mały problem z cofaniem - powiedział, trzymając nerwy na wodzy.

Nastolatek spojrział na niego zuchwale. Srebrne kółko, które miał w nosie, połyskiwało w świetle.

- Na to wygląda. Przykro mi z powodu przyczepy. Ubezpieczenie pokryje straty.

Bezczelne zachowanie chłopaka działało Samowi na nerwy. A co gorsza ten szczeniak wyglądał zbyt młodo, żeby mieć prawo jazdy. W najlepszym razie mógł dostać pozwolenie ucznia.

Kiedy pomyślał o straconym czasie i kosztach naprawy, które go czekały, wściekł się nie na żarty. Kątem oka zauważył, że pasażer chłopaka szuka czegoś w schowku.

- No jasne, ubezpieczenie pokryje straty - odparł Sam - ale dopiero po sześciu miesiącach użerania się z urzędem. Wiesz, co zrobimy? Na moje oko te straty są warte kilkaset dolarów. Możesz przyjść do mnie i odpracować dług.

- Odpracować...

- No wiesz, praca. W rękę masz łopate, a przed sobą tonę końskiego łajna. - Sam wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu wizytówki z adresem swojego rancza. Podał ją chłopakowi. - Przyjdiesz do mnie jutro i zaczniesz od sprzątania stajni.

Chłopak nie przyjął wizytówki.

- Ja nie jestem stąd...

- Nigdy bym się nie domyślił - warknął Sam. - Posłuchaj, zjawisz się u mnie jutro rano albo...

- Zjawi się - odezwał się łagodny głos.

Sam zamarł. Ten głos. Znał ten głos. Pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina.

Odrzucił się powoli, żeby na nią spojrzeć. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, ale przecież jego oczy nie mogły się mylić.

- Michelle?

- Witaj, Sam. - Miała ten sam niski, słodki głos i te same ogromne, łagodne oczy, te same jasne blond włosy, które teraz były krótkie, ale nadal wiły się dookoła twarzy w ten sam sposób, którego nigdy nie zapomniał.

Chłopak zatarł dłonie.

- Znacie się?

- Można tak powiedzieć - odparł Sam, ani na chwilę nie spuszczać oczu z Michelle. Święty Jezu, Michelle Turner. Kiedy spotkał ją pierwszy raz, była najśliczniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Ale kobieta, która przed nim stała, nie była śliczna. Była piękna niczym bogini, piękna niczym księżyc. Doskonale zbudowana, olśniewająca, wyniosła i... taka odległa. To słowo pasowało do niej doskonale. Odległa.

Gdzie się podziewałaś, Michelle Turner?

Ogarnęła go niespodziewana fala uczuć. Nie potrzebował tego, nie chciał rozgrzebywać wspomnień. Odwrócił się od niej i wsunął wizytówkę do kieszeni.

- Posłuchaj, dzieciaku, zapomnij o całej tej sprawie.

Chłopak odetchnął z ulgą.

- Dzięki. To bardzo miło z twojej...

- Będzie u ciebie jutro rano. - Głos Michelle był bezbarwny, pozbawiony emocji. Sam nie potrafił powiedzieć, co dostrzegł w jej oczach. Była obca. Michelle stała się dla niego obca. Osoba, która kiedyś była dla niego nadzieją i każdym snem, stała się zagadką.

- Nie musisz... - zaczął.

- Ale on musi i zrobi to.

- Mamo - jęknął chłopak.

Co za irytujące cholerne uczucie. Sama przebiegł dreszcz na dźwięk słowa „mamo”. Jak ktoś w ogóle mógł tak mówić do Michelle. Poczuli się jeszcze dziwniej, kiedy pomyślał, że gdzieś na świecie istnieje ktoś, na kogo ten chłopak woła tato. Gdzie mógł teraz być?

- A teraz - kontynuowała - powiedz mi, gdzie mieszkasz.

Podał jej wizytówkę z lekkim wahaniem. Ich dłonie spotkały się, kiedy wzięła od niego kawałek papieru. Zimny, bezosobowy dotyk palców. Dotyk nieznanym. Czego się spodziewał? Fajerwerków? Elektrycznych wyładowań? Niebiańskiej muzyki?

Na palcu nosiła gruby, prawdopodobnie wykonany na zamówienie pierścionek, który bardziej przypominał rzeźbę. Czy to była jej obrączka? Nie wiedział i nie miał zamiaru pytać.

POWRÓT

- Przywiozę Cody'ego rano - powiedziała. - Może być o dziewiątej?
- Jasne. Może być dziewiąta.
- Mamo - zaczął chłopak. - Czy ja naprawdę muszę...
- Wsiadaj do samochodu, Cody - przerwała mu ostro. - Tym razem ja prowadzę.

5

Michelle drżała z zimna, kiedy idąc przez dziedziniec, mijała główny budynek rancza Błękitna Skała. Wysoko na niebie księżyc oświetlał szczyty pasma gór Swan. Widziała kratery księżycy niemal tak dokładnie, jak gdyby obserwowała go przez lunetę. Mroźne srebrzyste powietrze zalewało pokryte śniegiem pola.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, którego nie doświadczyła od bardzo dawna. To było nie dające o sobie zapomnieć połączenie bólu i ekstazy, które pojawiało się zawsze na chwilę przed przypływem weny. Artystycznej weny. Joseph Rain nazywał to doznanie dotykiem przeklętym, ponieważ bolało i paliło, a do tego było piękne.

Kiedy ostatni raz czuła takie silne pragnienie, taki ból? Kiedy czuła taką potrzebę, żeby stworzyć obraz, przemawiać kolorami i kształtami, bo żadne słowa nie potrafiły oddać piękna chwili?

Nie potrafiła sobie przypomnieć. Już dawno temu nauczyła się tłumić uczucia w zarodku, zanim zdążyły przeniknąć do jej świadomości, zanim mogły zawładnąć jej ciałem. Nie miała na nie czasu. Była zajęta pracą, Codym i Bradem.

Ale tutaj nie mogła robić nic poza wspomnianiem. Do tego Sam McPhee mieszkał tu. Zgodnie z tym, co napisano na wizytówce, miał ranczo o nazwie Samotna Sosna, które znajdowało się na miejscu dawno wyciętego lasu, między dwoma

jeziorami. A jutro rano będzie musiała zawieźć tam swojego syna.

Objęła się ramionami, obserwując biały, zimowy księżyc. Zastanawiała się, czy Sam już się domyślił. Czy dzisiaj w nocy będzie wspominał przeszłość?

Wychodzący na ogród ganek przypominał lodową rzeźbę. Kiedy pierwszy raz spotkała Sama, siedziała właśnie na tym ganku i rysowała. Pamiętała ciszę tamtego popołudnia, przerywaną jedynie skrobaniem ołówka na kartonach, które trzymała na kolanach.

- Ładny obrazek - odezwał się głos za jej plecami.

Zamarła, zaciskając ołówek w dłoni. Była pewna, że przyjemny dla ucha baryton należał do młodego mężczyzny.

- Tak uważasz? - zapytała, wstając. Tak jak się spodziewała, tak jak sobie wymarzyła, to był on. Chłopak, który ćwiczył na arenie. Zauważyła go już pierwszego dnia po przyjeździe. Wówczas widziała go z dużej odległości.

Pracował wtedy z kłaczą. Trzymał zwierzę na długiej lince, a ona przyglądała mu się z tarasu. Miał na sobie wysokie buty, jasne džinsy, flanelową koszulę i wymiętą czapkę bejsbolową. Już wtedy w głębi swojej osiemnastoletniej duszy dobrze wiedziała, że nikt na świecie nie wyglądał lepiej w lewisach.

Kiedy przyjrzała mu się z bliska, zauważyła, że miał brązowe włosy, pociągłą opaloną twarz i oczy w kolorze jej szczęśliwego kamienia.

- Tak mi się wydaje - odparł. - Nie znam się na sztuce, ale moim zdaniem to bardzo dobry rysunek.

Michelle wsunęła ołówek za ucho i nagle zdała sobie sprawę, że ma na sobie krótkie wystrzępione spodenki i obciętą koszulkę.

- Jestem Michelle.

- Wiem. Widziałem cię parę razy ze szkicownikiem.

Zauważył mnie. Alleluja! Zauważył.

Michelle rysowała, odkąd potrafiła samodzielnie utrzymać kredkę w dłoni. To była jedyna rzecz, jaką chciała w życiu robić, dlatego ciężko pracowała na swój sukces. Do szkoły

wpadała jak burza tylko po to, żeby po chwili pobiec na pozaszkolne zajęcia z malarstwa. Natchnienie i talent bardzo się jej przydały, kiedy przyjechała do Montany, żeby spędzić z ojcem rok przed studiami. Montana wydawała się jej taka ogromna i nieogarniona i właśnie przez to nigdy nie rozstawała się z przyborami do rysowania. Rysowała bez wytchnienia, żeby zapanować nad tą rozległą, dziką ziemią.

- Nigdzie nie ruszam się bez szkicownika - powiedziała.

- Jestem Sam. Sam McPhee. Pracuję dla twojego ojca. - Uśmiechnął się, a jej serce zaczęło topnieć na ten widok.

- Wiem. - Uśmiechnęła się do niego. Miała nadzieję, że na jej szyi nie pojawiły się czerwone plamy jak zwykle, kiedy się czerwieniła.

- Jesteś artystką? - W jego głosie nie było nuty sceptycyzmu, który słyszała u wielu osób, gdy opowiadała o swoich planach. W przeciwieństwie do nich on naprawdę z zainteresowaniem oczekiwał odpowiedzi.

- Marzę, żeby nią zostać. - Wskazała ręką szkic. - To tylko ćwiczenia, a ja chciałabym malować prawdziwe obrazy.

- Chciałabyś mieć sztalugi, paletę z farbami, beret i tym podobne rzeczy?

Roześmiała się.

- Właśnie. No może niekoniecznie beret.

- Więc zrób to.

- Co takiego?

- Maluj prawdziwe obrazy. Nie mów, że kiedyś to zrobisz. Nie możesz zostać artystką, jeżeli nie zaczniesz malować. Mam rację?

- Chyba tak. - Słyszałaś może o Josephie Rainie?

- Jasne - odparł Sam. - Stołuje się w kafeterii, w której pracuje moja mama. Słyszałem, że mieszka samotnie w rezerwacie Flathead.

- Joseph Rain jest najsłynniejszym malarzem na zachodzie - wytłumaczyła mu. - Przyjechałam tutaj, żeby się u niego uczyć. - Ojciec wszystko dla niej zaaranżował. Mimo że artysta niechętnie przyjmował studentów, Gavin wysłał mu

teczkę z pracami córki i okazały czek. Rain zatrzymał szkice, odesłał czek i zgodził się pracować z Michelle za stałe wynagrodzenie, a nie za łapówkę.

- Serio? Słyszałem, że jest malarzem.

- Tak. Mam szczęście, że zgodził się zostać moim nauczycielem.

- Upuściła szkicownik. Niezdara, pomyślała.

Oboje schylili się, żeby go podnieść i ich dłonie się spotkały. Sam roześmiał się, biorąc ją za rękę.

Śmiech Sama McPhee. Dotyk jego dłoni. To były rzeczy, które w nim pokochała. Przez ostatnie lata pojawiały się w jej pamięci o wiele wyraźniej i częściej, niżby tego chciała.

Pożałowała, że tutaj wróciła. Jak uda jej się uporać z pięknym tego miejsca, z jego czystym światłem, przejmującym chłodem i do tego z Samem McPhee? Michelle zacisnęła zęby i ruszyła do głównego budynku. Kiedy weszła do środka, przypomniała sobie swoją pierwszą wizytę w tym domu, kiedy wszystko wydawało jej się takie duże i solidne. Wtedy miała swój własny pokój na piętrze. A teraz mieszkała w oddzielnym budynku razem z Codym. Gavin doszedł do wniosku, że Cody będzie czuł się w ten sposób o wiele lepiej.

- Zaraz przyjdę - zawołał Gavin z góry. - Weź sobie coś do picia.

Podeszła do barku. Na wypolerowanych półkach znalazła wysokie kryształowe szklanki. Wyjęła trochę lodu z zamrażarki pod barem. Spoglądając na butelki pełne egzotycznych, drogich likierów i whiskey, starała się pozbierać myśli.

Chciała uporządkować swoje obawy i zmartwienia. W jednej szufladce umieściła Cody'ego. Tyle razy starała się dojść z nim do porozumienia. Niestety, nigdy nie osiągnęła zamierzonego celu, ponieważ każdego dnia syn rzucał jej nowe wyzwanie: prosił o pozwolenie na przekłucie brwi albo chciał wyjść na całą noc na koncert rockowy.

W innej szufladce umieściła swoją pracę. W agencji wszyscy bardzo ją lubili, ponieważ za każdym razem doskonale wiązywała się ze swoich obowiązków, a klienci zawsze wy-

chodzili od niej zadowoleni. Jeszcze tej wiosny miała zostać współnikiem firmy, a to oznaczało, że zacznie zarabiać o wiele więcej pieniędzy, niż się jej śniło. Pozostali wspólnicy spółki żyli w ciągłym strachu, że pewnego dnia zostawi ich dla większej, bardziej dochodowej firmy i zabierze ze sobą klientów. Ale po co miałyby zmieniać biuro? Żeby rysować większe, bardziej dochodowe reklamy nawozów albo tamponów?

Kolejną szufladkę zajmował Brad. Po trzech latach wspólnego życia znajdowali się dokładnie w tym samym miejscu, w którym zaczęli. Kupili segmenty tuż obok siebie w szykownym kompleksie domów w Seattle. Ich mieszkania dzieliły jedynie ściany z cedrowych desek. Zgadziali się co do życia towarzyskiego. Zgadziali się w sprawach seksu. Zgadziali się, kiedy chodziło o sprawy finansowe. Spierali się tylko, kiedy chodziło o Cody'ego, ponieważ Brad i Cody, delikatnie mówiąc, nie przepadali za sobą.

Teraz przybyło jej kilka dodatkowych szuflad, które musiała dołączyć do misternej konstrukcji. Życie jej ojca zależało od tego, czy poświęci dla niego swoją nerkę. To prawda, że przyjechała do Montatny, ale to nie oznaczało, że zapomniała o siedemnastu latach milczenia. Ojciec dopiero kiedy potrzebował jej nerki, przypomniał sobie, że ma córkę. Psychiatra, który się nimi zajmie, będzie miał ręce pełne roboty, pomyślała ze smutkiem. Poza tym ofiarowanie drugiej osobie swoich organów równało się niemal darowaniu życia i było takie cholernie symboliczne.

A do tego jeszcze Sam. Dobry Boże, Sam McPhee.

- Nie mam ochoty na drinka - mruknęła pod nosem, przyglądając się butelkom. - Bardziej przydałaby mi się sesja terapeutyczna.

- Spróbuj Booker's. Kiedyś to był mój ulubiony alkohol.

Odwróciła się i spojrzała ze zdziwieniem na Gavina.

- Nie słyszałam, jak wchodzisz, tato.

Zmrużył oczy. Wyglądał bardzo elegancko w aksamitnym szlafroku i skórzanych kapciach.

- Jestem lekki jak piórko.

W końcu Michelle nalała sobie trochę Booker's. Po pierwszym łyku łyzy napłynęły jej do oczu.

- Mocny.

- Dobry, co?

Zakaszłała, po czym poczuła, jak intensywny smak likieru wypełnia jej gardło.

- Nalać ci coś?

Uniósł kubek wysoko w górę.

- Piję swój sok z czarnej porzeczki. Od dawna jestem na diecie.

Od dawna. Kiedy pojawiły się pierwsze objawy choroby? Od jak dawna cierpiał i nikomu nic nie powiedział? Michelle nie znała go na tyle dobrze, żeby o to zapytać.

- A więc jestem - odezwała się. Wiedziała, jak idiotycznie musiały zabrzmieć jej słowa, ale nie miała pojęcia, co innego mogłaby powiedzieć.

- A więc jesteś. Mój anioł miłosierdzia.

Michelle zamrugła oczami, zbita z tropu ironią w jego głosie.

- Gniewasz się na mnie?

- Ależ skąd, kochanie. Jestem wściekły na cały świat. Wściekam się, odkąd usłyszałem diagnozę. Wszystko wyszło na jaw, kiedy chciałem odnowić licencję pilota. Tym razem oblałem.

- Tak mi przykro, tato. - Wszyscy doskonale wiedzieli, ile znaczyło dla niego latanie. Nie było tygodnia, żeby nie siadał za sterami swego ukochanego samolotu. Po raz pierwszy przywiózł ją na ranczo małą awionetką P-51 Mustang, która została przerobiona tak, żeby zmieściły się w niej dwa siedzenia. Michelle uwielbiała z nim latać.

- Nadal masz swój samolot?

- Tak. Trzymam mojego Mustanga w hangarze w Meridian County. Podobnie jak dwupłatowca do przewożenia koni. - Wziął do ręki okulary. - Nie mogę nawet wypić drinka z moją córką. Specjaliści od nerek przydzielili mi jakiegoś nazistę od diety, który kontroluje mnie prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Czy to ci pomaga?

- Wydłuża okres między dializami. Moim największym wrogiem są proteiny. Cholernie ciężko jest trzymać się od nich z daleka, ale oszukiwanie nie jest najlepszym sposobem na przetrwanie. Jeżeli nerki pracują ze zdwojoną siłą, to prawdopodobieństwo pogorszenia ich stanu się zwiększa. Chyba właśnie dlatego jestem taki rozdrażniony. I jeszcze dlatego, że nie miałem na tyle odwagi, żeby się zastrzelić, zamiast odbierać ten przeklęty organ mojemu jedynemu dziecku.

- Przestań. - Michelle zaczynała się o niego obawiać, ale nie chciała dać tego okazać. - Oboje zdecydowaliśmy, że tak będzie najlepiej.

Zapadła cisza. Wpatrywali się w ogień za kratą. Sławny profil Gavina podkreślało światło bijące z kominka. Nadal miał charyzmę, która sprawiła, że w swoim czasie był najpopularniejszą gwiazdą filmową i obcym człowiekiem dla swojej rodziny. Po chwili westchnął ciężko.

- Tak czy inaczej... - Stuknął okularami o jej okulary - ...witaj w domu, moja dawno utracona córko.

- Nigdy mnie nie straciłeś, tato.

- Długo cię tutaj nie było.

- Mogłeś mnie zaprosić.

- Myślałem, że nie będziesz chciała przyjechać. - Potarł policzek. Był tak samo przystojny jak dawniej. Nawet choroba i białe włosy nie postarzały go, tylko dodawały mu powagi.

- Powinieneś poprosić mnie, żebym wróciła. Zanim było za późno, żeby zawrócić.

- I co byś mi wtedy powiedziała?

Uśmiechnęła się z rozbawieniem do swojej kryształowej szklanki.

- Powiedziałałabym, żebyś spadał.

- Tak właśnie myślałem.

Dokończyli pić w milczeniu. Zegar wybił jedenastą. Wszystko, czego sobie nie powiedzieli, o Codym, o transplantacji i o nieoczekiwanej obecności Sama McPhee na rodeo, wisiało nad nimi niczym chmura gradowa. Dlaczego Gavin nie powiedział jej, że ojciec jej dziecka był w Crystal City?

Gavin wyglądał na zmęczonego. Kiedy tak na niego patrzyła, zauważyła coś dziwnego pod szlafrokiem.

- To torba z płynem do dializy - powiedziała.

Michelle zaczerwieniła się.

- Nie chciałam się tak gapić.

- Nie przejmuj się. Nie zostało mi zbyt wiele godności, od kiedy zachorowałem.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, pili i patrzyli w ogień, ale nie rozmawiali. Cisza ciągnęła się w nieskończoność.

Nagle zrozumiała, co tak naprawdę oboje starali się osiągnąć. Toczyli ze sobą kolejną walkę. Kto pierwszy przyzna się do zmęczenia? Kto wykona pierwszy ruch?

Nie chciała żadnych gier. Ziewnęła przeciągle, wyciągając ramiona za głowę.

- Booker's zrobił swoje.

- Mnie też zaszumiało w głowie. - Gavin wstał. Był zbyt dobrym aktorem, żeby dać po sobie poznać, jak wielką odczuł ulgę, ale Michelle i tak wiedziała swoje. - Wyśpij się, Michelle. Spodziewałem się ciebie dopiero jutro, więc niczego nie zaplanowałem.

- Niczego nie zaplanowałeś?

Chrząknął.

- No wiesz... zabiegi.

- Och. - Napięcie stawało się coraz bardziej nieznośne. - Porozmawiamy o tym jutro.

- Masz wszystko, czego ci potrzeba?

- Tak. - Wstała. Czuła się wyjątkowo niezręcznie. - Dzięki za pełną lodówkę. - Zastanawiała się, czy powinna pocałować go na dobranoc. W końcu wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek, po czym ruszyła w kierunku frontowych drzwi.

Wiedziała, że nie zmruży oka tej nocy. Z samego rana będzie musiała zawieźć Cody'ego do Sama. Poza tym powinna się zastanowić, jak powiedzieć synowi, kim jest dla niego ten nieznamy kowboj. Musiała to zrobić tak, żeby go nie zniszczyć, żeby nie zniszczyć ich wszystkich.

6

Kwadrans przed dziewiątą Sam usłyszał odgłos silnika i skrzypienie opon na śniegu. Z dworu dobiegło go szczekanie Scout, suki rasy collie, która rządziła całym ranczem.

Wczoraj wieczorem odwiózł Loretę Sweeney do domu wyjątkowo wcześnie. A dzisiaj rano wstał już o szóstej i od początku czuł zdenerwowanie. Nie miał ochoty nawet na poranną kawę. Niech to szlag, w końcu był dojrzałym mężczyzną. Nie powinien denerwować się tylko dlatego, że spotkał swoją dawną dziewczynę.

Skrzywił się na dźwięk zamykanych drzwi. Cholera. Naprawdę się denerwował.

Podszedł do okna. Spodziewał się zobaczyć Michelle i jej range rovera, ale zamiast tego ujrzał Ruby i Molly Lightning, jak wysiadają ze starego pick-upu Apache. Szczekanie Scout, które na początku zdawało się mówić „kim, do diabła, jesteście”, zmieniło się w radosne powitanie pod tytułem „cała jestem wasza”.

Sam zacisnął zęby i starał się uśmiechnąć. Normalnie ucieszyłyby się na widok Ruby i jej córki. Ale to nie był zwyczajny dzień. Czekał na przyjazd Michelle i nie miał w tej chwili ochoty zabawiać jej, dzieciaka i dodatkowo tych dwóch kobiet.

Wyszedł na taras.

- Witam, panie - powiedział. - Wcześnie zaczęłyście dzień.
Ruby podparła się na łokciu o pogniecioną maskę pick-upu.

Miała szeroką, miłą twarz, jeden złoty ząb i łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, która zapewniła jej tytuł najpopularniejszej nauczycielki w liceum w Crystal City.

- Cześć, Sam - odparła.

- Hej, Sam. - Molly podrapała psa za uchem. - Dałeś ładny popis wczoraj wieczorem.

- Ty też - przyznał.

Ruby otworzyła drzwi samochodu i zaczęła szperać w środku.

- Słyszałam, że chciałeś kupić koc.

- Chciałem kupić je wszystkie, proszę pani.

Molly zmrużyła oczy.

- Naprawdę - dodał Sam. - W zimie robi się tutaj naprawdę zimno.

- Przywiozłam ci tylko jeden. - Wyjęła złożony pled.

W tej samej chwili z autostrady zjechał kolejny samochód i zaczął zbliżać się w ich stronę. To był range rover. Scout zaszczekała jak na psa obronnego przystało.

Sam wziął koc od Ruby. Gruba wełna grzała mu dłonie.

- Dzięki. - Sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu portfela.

Ruby stanęła za nim i chwyciła go za biodra.

- Samie McPhee, nawet się nie waż. To prezent ode mnie za to, że nie przyjąłeś zapłaty za pomoc w przyjeździe na świat dzieci Glendy.

Sam roześmiał się.

- Glenda jest tylko seterem. Nie potrzebowała zbyt wielkiej pomocy z mojej strony.

- Tak czy inaczej, chciałam ci podziękować.

Michelle zaparkowała i wysiadła z samochodu. Sam przez cały czas stał obok Ruby, która przytulała się do niego, jedną rękę trzymając na jego biodrze.

Sam cofnął się.

- Dzień dobry, Michelle.

Skinęła uprzejmie głową. Znów była taka odległa.

- Witaj, Sam.

Scout usiadła i przekrzywiła głowę na bok, jak gdyby zastanawiała się, jak bardzo przyjacielska okaże się ta nowa nieznajoma.

- To jest Ruby Lightning, a to jej córka, Molly.

- Miło mi. - Mimo że Michelle uśmiechnęła się do nich, atmosfera wyraźnie się zagęściła. - Posłuchaj, jeżeli przyjechałam nie w porę...

- Ależ skąd. Mają panie ochotę na kawę?

Ruby potrząsnęła głową, puszczając do niego oko.

- Lepiej już pójdę. Musimy iść do kościoła.

Molly przeszła przez padok przylegający do stajni. Kilka koni opatulonych w grube derki stało przy płocie i czekało na śniadanie.

- Mogłabym zostać i pomóc przy koniach - krzyknęła.

Syn Michelle wysiadł z range rovera. Miał trupio bladą twarz i sprawiał wrażenie niedożywnionego niczym chłopak z reklamy Calvina Kleina. Gdy tylko zauważył Molly, w jego oczach pojawiło się zainteresowanie, które prawie natychmiast ukrył za maską obojętności. Sam domyślił się, że chłopak byłby zachwycony, gdyby mógł pobyć razem z dziewczyną.

- Nie dzisiaj, Molly, ale i tak dziękuję - odparł Sam. Nie chciał, żeby spędziła pół dnia z tym młodocianym chuliganem.

- To mój syn, Cody - wyjaśniła Michelle, kiwając ręką, żeby podszedł.

Dopiero teraz Sam zdał sobie sprawę, że nie znał nazwiska chłopaka i zastanawiał się, czy Michelle wyszła za męża. Chłopak odrzucił włosy do tyłu i wsunął kciuk za pasek spodni.

- Hej.

- Cześć - przywitała go Molly, nie ukrywając zainteresowania.

Ruby wsiadła do samochodu.

- Na razie, Sam. Na razie, Michelle i... Cody. - Chłopak z pewnością nie zasługiwał na ten ciepły uśmiech, który mu posłała.

- Cody jest gotowy do pracy - oznajmiła Michelle, kiedy pick-up zniknął im z oczu.

- Na pewno?

Chłopak wzruszył ramionami, po czym zgarbił się tak, jak wymagała tego najnowsza moda nastolatków.

- Chyba tak.

Sam zmierzył go wzrokiem od stóp po czubek głowy. Lśniące farbowane włosy były zbyt długie w niektórych miejscach i za krótkie w innych. Poza tym niejeden w okolicy zadzgałby go nożem dla tej skórzanej kurtki. Do tego nosił czarne dżinsy i firmowe glany.

Gdyby Sam żywił choć trochę ciepłych uczuć dla tego chłopaka, dałby mu jedno z ogrodniczek, które znajdowały się w schowku w stajni, ale prawda była taka, że w jego obecności po prostu przestawał być ludzki.

- Chodźmy do stajni - powiedział, zakładając bejsbolówkę. - Przetawię cię Edwardowi, a on powie ci, gdzie możesz zacząć.

- Gdzie mam zacząć?

Sam pomyślał o górze gnoju, której nie uprzątnął Diego.

- Mam dla ciebie prawdziwe zadanie, Cody.

Odrzucił się do Michelle i uśmiechnął się do niej. Zamrugwała, jak gdyby jego uśmiech ją zaskoczył.

- Wejdz do środka, Michelle. Rozgość się. W kuchni czeka na ciebie świeżo parzona kawa.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili rozmyśliła się i ruszyła w kierunku domu. Sam zatrzymał się na chwilę i przyglądał się jej, jak stoi na ganku. Ich spojrzenia spotkały się.

Zamarł w bezruchu. Bał się odetchnąć. Michelle była teraz w jego domu. Wyglądała tak nieskazitelnie i krucho jak iskrzące w słońcu sople lodu nad jej głową. Otaczała ją łuna światła i chłodu. Sam poczuł się tak, jak gdyby śnił. To nie mogło dziać się naprawdę. Ona nie była prawdziwa.

Całkiem niespodziewanie słońce wygrało bitwę z lodem i kilka sopli zadrzało, po czym oderwało się od dachu i spadło na zaspę śniegu przed gankiem. Zaskoczona Michelle ocknęła się z zamyślenia. Posłała mu wymuszony uśmiech, po czym zniknęła za drzwiami.

Sam ruszył w kierunku stajni. Nie obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy chłopak idzie za nim.

W stajni znajdowało się małe biuro. Na ścianach wisiały

najróżniejsze certyfikaty oraz pozwolenia. W kącie stała kuchenka gazowa i ekspres do kawy oraz lodówka. Duży piec ogrzewał pomieszczenie.

Przy zdezelowanym metalowym biurku zawalonym papierami siedział Edward Bliss. Nogi oparł na blacie i gadał jak najęty przez telefon. Słuchawkę przytrzymał brodą, a na jego twarzy widniał szeroki uśmiech.

- Witaj, Romeo - powiedział Sam.

- Zadzwoń później, kochanie - wyśpiewał do słuchawki Edward. Zawahał się, słuchał jeszcze przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Zgarnąłeś wczoraj nagrodę, szefie, ale to ja świętowałem.

- Co nowego?

- Wgniecenie z tyłu twojej przyczepy. Widziałeś to? Wygląda na to, że jakiś idiota nabił się na ciebie zeszłej nocy.

- Jeżeli o tym mowa... - Sam cofnął się z przejścia i ruchem ręki zaprosił chłopaka do środka. - To jest Cody. Będzie nam pomagał w stajni. Cody, to mój partner, Edward Bliss.

Edward spojrział od niechcienia na chłopaka. Po chwili otworzył szeroko oczy i z niedowierzaniem zaczął spoglądać to na Sama, to na Cody'ego.

- Dobry Boże...

- Coś się stało? - Sam dobrze wiedział, że Edward nie był uprzedzony do punków i nigdy nie podejrzewał, że jego wspólnik zachowa się w ten sposób. Chłopak uderzył w przyczepę. To prawda, że popełnił błąd, ale to nie był jeszcze koniec świata.

Edward wstał i zaczął układać papiery na biurku.

- Nic. Cody zajmie miejsce Diega?

- Właśnie tak to sobie wymyśliłem. Zostanie z nami przez jakiś czas. - Sam nie miał nawet czasu zapytać Michelle, jak długo będą w Crystal City.

Scout straciła zainteresowanie całą sytuacją i wybiegła na dwór. Edward nadal patrzył na chłopaka, jak gdyby chciał przewiercić go na wylot. Z kolei Cody przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

- W porządku. - Edward strzelił swoimi szelkami i sięgnął po zniszczony płaszcz poproszony sianem i owsem. - Zabierajmy się do pracy.

Większość boksów była pusta. Konie były na wybiegu, ponieważ zapowiadał się słoneczny dzień.

- Co mam robić?- zapytał Cody, rozglądając się podejrzliwie dookoła. W jego głosie brzmiała nuta niepewności.

Edward otworzył drzwi jednego z wybiegów.

- To bardzo proste. Gnój przerzucasz na zewnątrz, a cedrowe trociny wrzucasz do środka.

Chłopak przełknął głośno, wbijając wzrok w podłogę boksu.

- Tylko tutaj?

- Nie. - Sam wskazał ręką w stronę ciągnących się na całej długości stajni boksów. - Mamy tutaj jakieś dwadzieścia boksów. - Skarcił się w duchu, że nie powinno go to bawić, ale nie mógł się opanować.

- Cudownie - jęknął Cody.

- Nie wchodź do niej beze mnie albo Edwarda. - Wskazał w stronę żrebnej klaczy. - To jest Sylwia. Spodziewa się dziecka i czasem wpada w szal.

- Naprawdę? - Na twarzy Cody'ego po raz pierwszy pojawiło się szczere zainteresowanie. Wcześniej tylko Molly wywarła na nim podobne wrażenie.

- Żreback może urodzić się nawet dzisiaj w nocy - wyjaśnił mu Sam. - Sylwia chce nam to zasygnalizować. Dzisiaj ją wykapiemy i przygotujemy boks do oźrebiania.

Klacz zerkała z ukosa na nieznajomego. Chłopak spojrzał na nią.

- Rozluźnij się, zachowuj się w stosunku do niej przyjaźnie, a ona się do ciebie przyzwyczai - dodał Sam. Cmoknął, a klacz wystawiła łeb z boksu. Cody wahał się przez chwilę, po czym wystawił rękę. Klacz obwąchała jego ramię, a chłopak potarł jej chrapy. Na początku zachowywał się niepewnie, ale już po chwili nabrał odwagi.

- Nie wrzucaj trocin cedrowych do zagrody Sylwii - upomniął go Sam. - Trociny i drzazgi mogłyby zaszkodzić źre-

bakowi. Daj jej tylko słomę. Edward wszystko ci pokaże. Możesz mu pomóc ją wyszorować. Ale pamiętaj, że czasem wariuje.

- Poczekaj, aż zrobimy jej lewatywę z fosfatu - odezwał się Edward.

Cody skrzywił się.

- Mogę zaczekać.

Edward podał mu parę skórzanych rękawic i gumowe kalosze.

- Załóż to i zabieramy się do pracy.

- Zostawiam was samych. - Sam zaczął iść w stronę drzwi.

Nagle zatrzymał się i odwrócił.

- Cieszę się, że przyszedłeś - krzyknął.

- Tak, jasne. - Cody odgarnął włosy z twarzy, po czym wsunął stopę w jeden z kaloszy.

Kiedy Sam stanął przy drzwiach, ponownie spojrzął za siebie. Chciał powiedzieć Cody'emu, żeby wziął sobie coś do picia z lodówki, jeżeli poczuje pragnienie. Ale słowa uwięzły mu w gardle.

Światło wpadało do środka przez szyby na górze i oświetlało ostry profil Cody'ego. Chłopak wyprostował się, po czym cofnął biodro, kiedy wsuwał nogę w but. Sam poczuł się tak, jak gdyby patrzył w lustro. Ten ruch wydawał mu się taki znajomy.

Oparł się o drzwi stajni. Zrobiło mu się słabo, jak gdyby przed chwilą dostał od kogoś w żołądek. Nie mógł złapać oddechu.

Uspokój się, McPhee, powiedział do siebie w duchu. Uspokój się i pomyśl przez chwilę. Myśl, myśl, myśl. Pomyśl o chłopaku i o chłodzie oraz nerwowym zachowaniu Michelle. Pomyśl o zdziwieniu na twarzy Edwarda, kiedy zobaczył was razem stojących obok siebie.

Pomyśl o kalendarzu, o latach, które minęły. Przeprowadź kilka obliczeń.

Policz lata.

Powoli poskładał wszystkie kawałki układanki. Chłopak nie

POWRÓT

wyglądał na szesnaście lat, ale najwyraźniej Sam musiał się pomylić. Cody miał szesnaście lat.

- Cholera! - zaklął pod nosem. - Jasna cholera! - Mroźny wiatr owiewał mu plecy, ale nawet tego nie poczuł. Stał bez ruchu w drzwiach stajni i przyglądał się Cody'emu, który machał łopata. Obserwował jego szczupłą sylwetkę. Światło z poddasza rozświetlało jego brązowe włosy, poważną twarz i oczy, które nie były całkiem niebieskie.

- Jasna cholera - powtórzył Sam. Odwrócił się gwałtownie i wybiegł ze stajni.

7

W kuchni Sama McPhee widać było pewne oznaki domowego życia. Najwyraźniej nie było to miejsce, w którym panowałyby wrzawa, krzątanina i gwar. Michelle zauważyła dodatki z nierdzewnej stali, ceramiczne blaty, na parapecie kilka przywiedłych ziół zasadzonych w doniczkach. Ekspres do kawy syczał, a tuż nad nim na haczykach wisiały niedopasowane do siebie kubki, na których widniały nazwy różnych firm, produkujących paszę dla zwierząt, oraz leków.

Czuła się jak intruz, kiedy nalewała sobie kawę. Ogarnęła ją niepokohamowana chęć, żeby rozejrzeć się po całym domu, ale opanowała się i usiadła przy stole. Bury kot leżał na krześle tuż obok niej i spoglądał na nią poważnymi kryształowymi oczami.

- Witaj. - Wysunęła palec w stronę zwierzaka, żeby mógł ją obwąchać, a potem pogłaskała jego futro. Kot naprężył się i wyciągnął głowę w stronę jej dłoni. - Pewnie zastanawiasz się, co ja tutaj robię - powiedziała, popijając kawę. - Sama zadaję sobie to pytanie.

Na zewnątrz wiatr wzbijał płatki śniegu w powietrze. Scout rzucała się na nie i najwyraźniej ta zabawa sprawiała jej wiele przyjemności. Michelle nigdy nawet nie śniła, że pewnego dnia usiadzie w kuchni Sama McPhee, będzie piła jego kawę i głaskała jego kota. Zawsze myślała o nim jak o kimś, kto nawet nie ma zamiaru mieć własnej kuchni, a już na pewno nie kota.

Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby siedzieć spokojnie, nie wybiec na dwór, zawołać Cody'ego i nie oglądając się za siebie, wyjechać do Seattle. Przerazała ją myśl, że będzie musiała powiedzieć Cody'emu prawdę. Nie była głupia, dobrze знаła swoje dziecko. Sam mógł stać się dla niego wymarzonym ojcem, ojcem z Disneylandu, o którym Cody marzył w skrytości przez całe życie. Tylko że Cody był za młody, by zrozumieć, że jeżeli raz odda swoje życie w ręce kogoś takiego jak Sam, będzie stracony. Sam złamie jego serce, tak samo jak dawno temu złamał jej serce.

Jednak nie zważając na to, co podpowiadał jej instynkt, musiała zostać w Crystal City. Musiała się opanować. Wiedziała, że to potrafi. Michelle Turner była mistrzem trzymania uczuć na wodzy.

W pewnym stopniu mogła nawet rozkoszować się tą wizytą. Mogła przyglądać się kotu, zwiniętemu w kłębek na pleconym siedzeniu krzesła, widokowi za oknem, gdzie wszystko było takie czyste i zastygłe w miejscu jak nie namalowany obraz. Połacie białych łąk i góry wznoszące się wysoko na tle modrego nieba działały na nią kojąco. Zawsze tak było. Tutaj czuła bogactwo i sztukę, za którymi tęskniła, odkąd skończyło się jej dzieciństwo i zaczął brutalny chaos dorosłego życia.

Fakt, że matka wychowała ją w eleganckich murach Bel Air, nie oznaczał, że było ją stać na wystawne życie. Nieoczekiwana śmierć Sharon Turner pozostawiła Michelle z niezapłaconymi rachunkami i licznymi długami. Kiedy wszystkie należności zostały uregulowane, został tylko żal.

Michelle dostawała pieniądze od ojca, nawet po tym jak opuściła Crystal City. Wypisywanie czeków to było to, co Gavin Slade robił najlepiej. Ona jednak nigdy go o nic nie prosiła. Całe pieniądze świata nie mogły zapewnić jej tego, czego potrzebowała - miłości, wsparcia i stabilizacji. Pieniądze stanowiły najmniejszy z jej problemów i pierwszy, który udało jej się rozwiązać.

Sama zapewniła sobie życie, z którego mogła być dumna,

syna, który jeszcze do niedawna był cudowny; dom w mieście z widokiem na morze; domek zimowy w Whistler.

Jej życie ani na chwilę nie zwolniło, odkąd wiele lat temu opuściła Montanę. A teraz, kiedy wróciła, nie miała pojęcia, jak się zachowywać, o czym myśleć, co czuć. Spotkanie z Samem mogło źle się dla niej skończyć. Raz złamał jej serce. Chciała wierzyć, że nie miał już nad nią żadnej mocy, że nie potrafiłby skrzywdzić jej drugi raz. Ale kiedy wczoraj wieczorem zobaczyła go na arenie, zrozumiała, że jakaś jej część nadal należy tylko do niego.

Dzisiaj rano instykt ostrzegął ją, żeby nie zawozić Cody'ego na ranczo Sama, ale honor był dla niej najważniejszy. Cody uszkodził przyczepę Sama i musiał odpracować szkody, jakie spowodował.

Poza tym Michelle kierowała ciekawość. Zawsze myślała, że Sam nie osiągnie nic poza zwycięstwem na rodeo. Przypuszczała, że przez całe życie będzie jeździł z jednych zawodów na inne, aż do chwili kiedy poważnie kontuzjowany, zostanie zmuszony do wycofania się. Często wyobrażała go sobie jako schorowanego, wypalonego trzydziestolatka, prowadzącego jakiś podrzędny bar w jednym z miasteczek na zachodzie. Przez cały czas nosiłby pas zwycięzcy, a na ścianie wisiłyby pokryte kurzem jego trofea i fotografie z czasów, kiedy wyglądał jak młody Paul Newman.

Dopiła kawę, wypłukała kubek i napiła się lodowatej wody. Okno nad zlewem tworzyło ramę dla odległych górskich szczytów, które sięgały nieba. Ogarnęła ją nostalgia. Spędziła tak mało czasu w Montanie, a mimo to miała wrażenie, że właśnie tutaj zostawiła duszę. Jaki piękny widok witał Sama każdego dnia rano po przebudzeniu! Jak bardzo różnił się ten krajobraz od bezdusznego biura w agencji, dla której pracowała w Seattle!

Tymczasem Sam najwyraźniej nie odniósł żadnych poważnych kontuzji na rodeo. Miał ranczo, na którym hodował konie, i wygodny dom, kompleks budynków gospodarczych, kryte i otwarte areny oraz zagrody. Ale w pewnym sensie to miejsce wydawało się tak samo puste jak jej dom w mieście.

Czy zrezygnował ze swoich marzeń? Czy sprawiło mu to wiele bólu? Czy obudził się pewnego ranka z myślą, że życie, które dla siebie wyśnił, nie odpowiadało rzeczywistości, która go otaczała? Czy odważy się go o to zapytać?

- Oczywiście, że nie. - Michelle pogłaskała kota. - To nie jest moja sprawa.

Kiedy wyjrzała za okno, zobaczyła krępego, ciemnowłosego mężczyznę wyjeżdżającego na traktorze ze stajni. Wywoził na przyczepie górę gnoju. Owczarek szkocki brykał w śnieżnych zaspach. Tuż za nimi szedł Cody w za dużych butach. Niósł łopatę na ramieniu. Zdumiewające. On naprawdę pracował. Minęło dużo czasu, odkąd Michelle po raz ostatni udało się sprawić, żeby coś dla niej zrobił.

Ponownie wypija łyk górskiej wody, rozkoszując się jej słodkim smakiem. Z tyłu na tarasie zadudniły kroki. Michelle odwróciła się i zobaczyła Sama, który stanął w kuchennych drzwiach. Miał na sobie wytarte džinsy, drelichową kurtkę, wyswiechtaną czapkę bejsbolową, a z kieszeni na biodrze wystawały rękawiczki. Przypominał kowboja z reklamy Marlboro, z tą różnicą, że nie trzymał w dłoni papierosa.

- Poczęstowałam się kawą - odezwała się niepewnie. - Nalać ci?

Zignorował jej pytanie. Biło od niego niezwykle napięcie i niepokój. Michelle nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale wyczuwała niebezpieczeństwo, które unosiło się w powietrzu. Wspomnienia stworzyły wybuchową mieszaninę z nowymi podejrzeniami.

Sam zrobił krok w jej stronę.

- Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć, że mam syna?

Jego słowa uderzyły Michelle niczym młot, ale nie zaskoczyły. Już wczoraj wieczorem zaczęła podejrzewać, że prędzej czy później domyśli się prawdy na podstawie wieku Cody'ego. Skrzyżowała ramiona i przybrała obronną pozę.

- Jeżeli powiedziałeś coś Cody'emu...

- Za kogo ty mnie, do diabła, uważasz? Oczywiście, że nic mu nie powiedziałem. Dzięki tobie nawet nie wiedziałem, że

mam dziecko. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Domyślam się, że jemu też nic o mnie nie mówiłaś?

Spojrzała na niego.

- Nie było sensu. Nie przypuszczałam, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali.

Był wściekły.

- Jezu Chryste! Miałaś mojego syna i nigdy byś mi o tym nie powiedziała!

- To cię dziwi? - Minęło zbyt wiele lat, żeby nadal czuć gorycz, ale Michelle nie potrafiła się opanować. Cały żal, pretensje i frustracja wypłynęły na powierzchnię. - Miałam osiemnaście lat i byłam w ciąży, a ty wyjechałeś. Wydaje ci się, że miałam pojęcie, jak ściągnąć cię z powrotem? I dlaczego uważasz, że nie próbowałam?

- A próbowałaś?

- Oczywiście, Sam. Byłam zako... - Przerwała. Nie chciała wracać do tego tematu. - Chcesz mi powiedzieć, że łatwo było cię znaleźć? Czy ty albo twoja matka zostawiliście adres korespondencyjny? Czy zatrzymaliście się chociaż w jednym miejscu na tyle długo, żeby go mieć?

- Adresy korespondencyjne nigdy nie były mocną stroną mojej matki. - Jego głos stał się niski i zachrypnięty. - Nie mieliśmy tyle szczęścia, żeby mieszkać wśród bogaczy w Bel Air.

Michelle wzdrygnęła się. Doskonale wiedziała, że pochodzili z dwóch różnych światów, ale kiedy mieli osiemnaście lat, to nie miało dla nich znaczenia.

- Nie miałam czasu, żeby starać się odnaleźć twój trop. Musiałam wychowywać dziecko. Cody absorbował mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie stać mnie było na luksus wolnego czasu, w którym mogłabym poszukiwać zaginionej osoby.

- Zasługiwałam na to, żeby poznać prawdę.

- Nie twierdzą, że nie. I co byś wtedy zrobił? Ożenił się ze mną?

- Mógłbym mieć swój udział w wychowaniu tego dziecka, ale ty nigdy nie dałaś mi szansy.

- Osiemnastoletni kowboj tylko marzy o tym, żeby dostać szansę wychowywania dziecka!

Była niebezpiecznie blisko upokarzającego wybuchu łez. Nie chciała tego. Wypłakała ocean łez za Samem McPhee, a on nigdy nawet nie starał się jej odnaleźć. Gdyby się teraz rozplakała, tylko potwierdziłaby to, czemu starała się zaprzeczyć, odkąd ujrzała go wczoraj na arenie. Siedemnaście lat temu miał nad nią władzę, której nie potrafiła zrozumieć. Była zbyt młoda. Nigdy później nie oddała się tak całkowicie drugiej osobie. Odkąd Sam ją zostawił, marzyła o spotkaniu kogoś nowego, ale nigdy nie odnalazła głębi i spełnienia przy żadnym innym mężczyźnie. Dlatego nauczyła się żyć bez tego marzenia.

Zmusiła się, żeby zapanować nad emocjami. Wstała od stołu, by nie czuć jego przewagi.

- To jest głupie. Nie powinniśmy kłócić się o przeszłość. Nie możemy zmienić *tego*, co się wydarzyło.

- Być może. - Podeszedł bez pośpiechu i zatrzymał się kilka centymetrów od niej. Zapach śniegu i wiatru, którym przesiąkło jego ubranie, tylko podkreślał wyjątkowy zapach jego ciała. Myślała, że już dawno go zapomniała.

- Sam...

- Musimy porozmawiać o wielu sprawach. - Jego niski głos poruszała ją i rozbudzał jej pragnienia. - Jednak problem polega na tym, że kiedy tutaj jesteś, chcę robić o wiele więcej niż tylko rozmawiać.

- Jesteś szalony. - To prawda, że nie znała tego mężczyzny, ale czuła jego złość i pożądanie. Odszukała wzrokiem jego twarz i zastanawiała się, co może wyrażać.

- Szalony? Słyszałem w życiu gorsze obelgi. - Zrobił kolejny krok w jej stronę, - Dzisiaj w nocy nie mogłem spać z twojego powodu.

Odsunęła się.

- Przyszedłeś tutaj, żeby porozmawiać o Codym.

Wsunął kciuk do kieszeni dżinsów i oparł się biodrem o blat stołu.

- Więc mów. Słucham.

To się nie może dziać naprawdę, pomyślała Michelle.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Masz moje dziecko i nigdy mi o tym nie powiedziałaś. - Głos miał zimny i ostry. - Może zaczniesz właśnie od tego?

- Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, chciałam się z tobą spotkać. Ale ty zniknąłeś bez śladu. Nie wydaje mi się, żebym była ci coś dłużna.

Żar jego spojrzenia był niemal namacalny.

- Nie będę z tobą rozmawiać, skoro jesteś wrogo usposobiony - dodała.

- Przepraszam, jeżeli jestem trochę zdezorientowany w całej tej sytuacji. Nie codziennie kobieta, z którą sypiałem, wraca do mojego życia z szesnastoletnim dzieckiem.

- Nie wiedziałam, że cię spotkam.

- Ale tak się składa, że ja tutaj jestem, kochanie. - Rozpostarł przed nią ramiona. - Dziwię się, że tatuś nie ostrzegł cię przede mną.

Ją też zaskoczyło milczenie Gavina, ale nie chciała się do tego przyznać przed Samem. Zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę, że prawie nie znała swojego ojca i że pojawiła się w Crystal City tylko z powodu jego choroby.

- Powinniśmy zacząć rozmawiać, zamiast się kłócić. - Usiadła z powrotem przy stole i wzięła głęboki wdech. - Może źle postąpiłam. Może powinnam była szukać cię jak kraj długi i szeroki. Ale wszyscy wciąż powtarzali, że muszę o tobie zapomnieć, że bez ciebie będzie mi łatwiej, że powinnam iść na studia i poznać kogoś, kto... - Przerwała i wzruszyła ramionami.

- ...nie byłby urodzonym włóczęgą i nie miałyby beznadziejnej matki pijaczki.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś.

- Poza tym musiałam myśleć o Codym. Przez całe dzieciństwo prześladowali mnie paparazzi. Chciałam go przed tym uchronić.

Zmrużył oczy.

- No tak, brukowce miałyby dzięki nam niezły temat na pierwszą stronę. Jedyna córka Gavina Slade'a puszcza się z pracownikiem rancza.

Wzdrygnęła się. Sam trafił w jej czuły punkt.

Afera w stylu Romea i Julii z pewnością zaostrzyłaby apetyt reporterów. Właśnie dlatego tak bardzo starała się zachować anonimowość, ale i tak kręcili się wokół niej spragnieni sensacji dziennikarze. Jeden nawet zrobił jej zdjęcie, kiedy była w ciąży. Całe to zajście tak bardzo ją przerażyło, że przeprowadziła się do Seattle, gdzie nikt jej nie znał.

Sam usiadł naprzeciwko niej. Jego duże dłonie nie były tak spracowane, jak się spodziewała.

- Sprawy z przeszłości są teraz bez znaczenia, Michelle. Najważniejsze jest to, że mamy syna. - Zaciśnął dłonie w pięści. - Syn. Nie mogę w to uwierzyć.

Była zbyt przerażona, żeby zadać kolejne pytanie, ale nie miała wyjścia.

- Sam, co zamierzasz teraz zrobić?

- Zrobić?

- Z... tą świadomością, że Cody jest twoim synem. - Z trudem wypowiadała każde słowo. - Twoim biologicznym synem. - To ostatnie określenie brzmiało o wiele lepiej. Wprowadzało większy dystans między Samem a Codym.

- Wychowywałaś go całkiem sama czy miałaś kogoś, kto ci pomagał?

- W zasadzie sama.

- Co masz na myśli?

- Od trzech lat jestem z kimś innym. Ale on nie jest... on nie... - Cholera, jak mu wytłumaczyć, kim jest Brad? - On nie wychowuje Cody'ego.

- Rozumiem. - Sam wstał od stołu i nalał sobie kawy do kubka. Kiedy wrócił, wyglądał, jak gdyby się wahał. - Czy Cody pytał o ojca?

- Oczywiście.

- I co mu powiedziałaś? Najwyraźniej moje imię nic mu nie mówi.

- Obawiałam się brukowców, więc rubrykę z nazwiskiem ojca w jego świadectwie urodzin zostawiłam pustą.

- Jezu...

- Sam, byłam młoda. Przeżazona. Dorastałam otoczona przez kamery, które robiły mi zbliżenie za każdym razem, kiedy kichnęłam. Nie chciałam, żeby Cody przechodził przez to piekło i nie chciałam ryzykować, że ktoś zacznie grzebać w moich brudach...

- ...i znajdzie nazwisko kowboja przybłądy.

- Przestań mówić za mnie. Nie wiedziałam, co robić.

- Czy on nie chciał wiedzieć, jak się nazywam, chociażby z czystej ciekawości? Przecież ta wiadomość nie zepchnęłaby go na złą drogę.

- Nazwisko... to tylko nazwisko. A może po prostu się bałam... - Zamilkła, żałując, że nie może cofnąć słów.

- Czego? Czego się bałaś?

- Że pewnego dnia porzuci wszystko i pójdzie cię szukać - powiedziała w końcu z trudem. - Od kiedy zaczął ten rok szkolny, stał się... taki zbuntowany.

Sam zawahał się. Z jego twarzy mogła wyczytać zrozumienie i współczucie.

- Ten dzieciak jest zły na cały świat, Michelle.

Tak szybko to zauważył.

- Już wcześniej bywało ciężko, wspólnie rozwiązaliśmy wiele problemów, ale ten rok... jest o wiele trudniejszy niż poprzednie. - Cholera. Wiedziała, że powinna zatrzymać swoje myśli tylko dla siebie, ale przy Samie wszystko zaczynało się komplikować. Dawno temu miał na nią wielki wpływ i najwyraźniej to się nie zmieniło. Przy nim mówiła o rzeczach, które na co dzień skrywała głęboko na dnie duszy i o których lepiej było nie wspominać.

- Więc o co dokładnie chodzi? - zapytał. - Ma problemy w szkole?

W porządku, pomyślała Michelle. Sam o to prosiłeś, bez

względu na to czy to, co usłyszysz, będzie dobre, złe czy wręcz obrzydliwe.

- Jego ostatnie świadectwo jest straszne. Aż do tego roku był wzorowym uczniem. Miał same piątki i czwórki, a teraz dostaje tylko tróje i dwóje. Na początku myślałam, że to normalne, że każdy nastolatek czasem się buntuje, ale na razie nie widać końca tego buntu.

- Czy spotyka się z przyjaciółmi?

- Nie tak często jak kiedyś. Ma dziewczynę i oboje trzymają się na uboczu.

- Jak masz zamiar rozwiązać jego problemy?

- Pracuję nad tym, Sam! Wydaje ci się, że to łatwe? Myślisz, że mógłbyś to zrobić lepiej?

- Więc teraz moja kolej, żeby się nim zająć? Miałas go tylko dla siebie przez szesnaście lat, więc teraz chcesz mi go oddać na kolejne szesnaście?

- Nie przywiozłam go tutaj, ponieważ sprawia mi kłopoty. Przywiozłam go... żeby spotkał się z moim tatą. - Nie miała ochoty rozmawiać z Samem o stanie zdrowia Gavina. - Mój ojciec nigdy nie poznał Cody'ego. - Wstała od stołu i podeszła do drzwi. Była przerażona. Była wściekła. I czuła, jak na nowo odzywa się w niej stara rana. - O której mam po niego przyjechać?

Na zewnątrz Cody i ciemnowłosa mężczyzna ładowali bale słomy na ciężarówkę. Nadal czuła się zaskoczona widokiem syna zajętego pracą fizyczną. Od wieków nie wykonał bardziej męczącego zajęcia niż podnoszenie słuchawki telefonicznej.

- Powinien skończyć około piątej - odparł Sam. - Edward podrzuci go na ranczo twojego ojca.

- W porządku. - Michelle zdjęła kurtkę z haczyka na korytarzu i włożyła ją. - Sam?

- Tak?

- Nic... mu nie powiesz, dobrze?

- Cholera, jasne, że mu nie powiem. Nawet go nie znam. - Otworzył przed nią drzwi.

- Na razie, Sam.

- Na razie. - Odprowadził ją do samochodu i zczekał, aż wsiądzie. - Michelle?

Otworzyła okno.

- Tak?

- Ale to nie oznacza, że ty mu nic nie powiesz.

Oparła głowę na fotelu i zamknęła oczy.

- Cholera. Miałam nadzieję, że się wywinę.

- Nic z tego, słoneczko. Powiedz mu. Chcę, żeby wiedział, kim jestem.

- Ale... - Otworzyła oczy. - W porządku. Powiem mu.

- Kiedy?

- Ja... wybiorę odpowiednią porę. Sam, mam teraz strasznie dużo na głowie. Mój ojciec nie czuje się najlepiej i kilka kolejnych dni może okazać się dla mnie naprawdę ciężkich.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Nie wiedziała, o czym myślał. Już go nie znała. Ale jego wzrok był tak samo kuszący jak wtedy, kiedy spotkała go po raz pierwszy.

- W porządku. Ale chcę, żeby się dowiedział, Michelle. I to wkrótce.

8

Cody czuł się w domu swojego dziadka jak ktoś, kto przez przypadek znalazł się nie na swoim miejscu i kogo obecność jest niemiłe widziana. Po całym dniu przerzucania końskiego łąjna na farmie Samotna Sosna chciał spędzić dziewięć godzin pod prysznicem, a potem paść na twarz na swoim łóżku.

Zamiast tego musiał zjeść obiad z legendarnym aktorem, Gavinem Slade'em. Zawsze pisano o nim wielkimi literami. Nawet teraz ten facet jawił się mu niczym wielki chodzący nagłówek. Ostatnio gazety zmieniły trochę jego wizerunek i zamiast pokazywać go w objęciach laleczki z dużymi cyckami zamieszczały jego zdjęcia, jak samotnie siedzi na koniu z nasuniętym na czoło kapeluszem.

Cody'emu bardziej podobały się zdjęcia ze ślicznotkami. Chociaż czuł się dziwnie, kiedy myślał, że jego dziadek prowadzi się z kobietami młodszymi niż jego własna mama. Ale jeszcze gorsza była myśl o niedoczynności nerki. Przez większość czasu Cody starał się w ogóle nie myśleć o Gavinie. Prawdopodobnie Gavin też nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi.

Cody starał się, jak mógł, żeby wymigać się od obiadu. Niestety nie udało mu się wzbudzić współczucia u matki. Po tym jak wczoraj wieczorem wjechał na przyczepę tego głupiego kowboja, wykazał wiele dobrej woli, żeby wszystko załagodzić co oczywiście nie oznaczało, że miał jej wystarczająco dużo. Od ostatniego lata matka doprowadzała go do szału, wszędzie

za nim chodziła i tylko czekała, aż popełni jakiś błąd, żeby potem mogła mu go wytknąć.

Wypróbował wszystkie znane sobie sztuczki. Narzekał, że jest zmęczony i że przez cały dzień pracował, ale nie zyskał nic poza tym spojrzeniem. To chłodne przesywające spojrzenie nadal wywierało na nim wrażenie, mimo że ostatnio coraz częściej udawało mu się je ignorować.

Kiedy był mały, bardzo poruszał go wyraz jej oczu. Chciał zrobić wszystko, żeby sprawić jej przyjemność. Z biegiem lat zaczynał jednak rozumieć, że nie istnieje żaden sposób, żeby zadowolić jego matkę perfekcjonistkę. Nie potrafił wywołać na jej twarzy uśmiechu, który nie byłby chociaż trochę smutny.

Dlatego przestał się starać i nie był pewien, czy ona to w ogóle zauważyła. Była prawdziwą ofiarą losu, podobnie jak ten nieudacznik, Brad. Jedyne co Brad potrafił robić w życiu, to puszyć się i pokazywać całemu światu, że mama Cody'ego jest damą jego serca, jak gdyby była jakimś trofeum w mistrzostwach w kręgle.

To była jedyna dobra rzecz, która go tutaj spotkała. Nie musiał dłużej znosić widoku tego nieudacznika Brada.

- Hej, Cody. - Gavin Slade wszedł do salonu. W przeciwieństwie do Cody'ego sprawiał wrażenie osoby, która czuje się w tym otoczeniu jak ryba w wodzie. Był ubrany w dżinsy, sztruksową koszulę i kowbojskie buty. Gęste białe włosy sprawiały, że jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie niż podgrzewany basen na patiu.

- Cześć. - Cody nie był pewien, jak zwracać się do dziadka i nie miał zamiaru go o to pytać. To byłoby zbyt niezręczne. Wsunął ręce do kieszeni i udawał, że jego uwagę przyciągnęły przedmioty stojące na szklanej półce przy barze. Po kilku sekundach nie musiał nawet udawać.

Jasna cholera. Patrzył na statuetkę Oscara.

- Całkiem fajna - powiedział, wskazując na złoty obiekt.

- Tak uważasz? Też mi się podoba. Lubiłem ten film. „Oblicze wojny”. Widziałeś go?

Jakieś milion razy.

- Chyba widziałem fragment w telewizji - skłamał.
- Opowiada o totalnym frajerze, któremu nic w życiu nie wyszło. Gdyby umarł, nikt by nawet tego nie zauważył. Nikomu nie zależy na jego życiu. W końcu jemu też przestaje zależeć. Pod koniec tylko on może ocalić swój batalion. Przestaje szukać u ludzi potwierdzenia swojej wartości i poświęca się dla sprawy.
- Dlaczego przestałeś grać? - zapytał Cody.
- Jeżeli mam być szczery, powiem ci, że zawsze traktowałem aktorstwo jak zwykłą pracę. Pracę, którą lubiłem przez większość czasu i którą kochałem i nienawidziłem na zmianę przez pozostałe chwile. - Potrafił tak modulować głos, że człowiek mimo woli słuchał. - Ten biznes jest wyjątkowo brutalny, Cody. Żyjesz i umierasz przy okienku w kasie. Liczą się tylko twój wygląd i wizerunek. Czasem nie masz nawet minuty dla siebie, a innym razem nikt nie chce nawet na ciebie spojrzeć. Miałem dość tej nieustannej jazdy kolejką górską. Gdy tylko było mnie na to stać, wycofałem się z branży. Nadal jestem współproducentem wielu filmów, chociaż nie zajmuję się tym zbyt często. Od wieków nie oglądałem filmu na dużym ekranie.
- Mama powiedziała, że zamknęli jedynie kino w mieście.
- To prawda. Ostatnio chcieli przeznaczyć Lynwood do rozbiórki, więc go kupiłem.
- W oczach Cody'ego pojawił się błysk zainteresowania.
- Naprawdę?
- Lubię otwierać stare lokale ku czci dawnych czasów. Co prawda jest tam tylko jeden ekran, ale to nie przeszkadza w wyświetlaniu filmów niezależnego kina.
- To byłoby super. - Cody przyjrzał się pozostałym przedmiotom, które stały na półce. Zauważył kij bejsbolowy z autografem Joego DiMaggio, plik biletów na koncerty Beatlesów, kolekcję nagród rodeo w postaci klamer do pasa oraz zdjęcie, na którym Gavin przeży się dumnie obok swojego zabytkowego samolotu. Cody pomyślał, że pewnie są to bardzo ważne pamiątki z życia dziadka.

Jego wzrok powędrował w kierunku zdjęcia w ramce przedstawiające jego mamę na koniu.

- Kiedy zostało zrobione? - zapytał, żeby przerwać ciszę.

- Pierwszego lata po maturze - odparł Gavin. - Zaprosiłem ją, żeby spędziła u mnie rok przed pójściem na studia. Uczyła się malarstwa u lokalnego artysty.

- Nigdy nie skończyła studiów - powiedział Cody z pogardą w głosie. Nic go to nie obchodziło. Wszyscy rodzice jego przyjaciół mieli stopnie naukowe i dyplomy, a jego mama miała tylko swoją pracę. I jego. I beznadziejnego Brada.

- Nadal mam tego konia - odezwał się Gavin.

- Tego ze zdjęcia?

- Tak. Nazywa się Dooley. Twoja mama uczyła się na nim slalomu między beczkami.

- Musi być strasznie stary.

- Ma dwadzieścia kilka lat. A ty jeździsz, Cody?

- Nie na koniach.

Gavin zachichotał, odsłaniając przy tym swoje idealnie białe zęby. A jego oczy... był w nich ten błysk, który Cody znał ze starych plakatów filmowych. Nie ufał temu facetowi. Jak można było mieć pewność, że ktoś, kto jest świetnym aktorem, jest szczerzy?

- Podejrzewam, że to się wkrótce zmieni - stwierdził Gavin. - Może nawet zabiorę cię na przejażdżkę samolotem, kiedy wyzdrowieję i odnowię licencję pilota. Miałbyś ochotę?

- Zostaniemy tutaj z mamą tylko do czasu, aż wyzdrowiejesz. - Nawet tak krótki okres był dla Cody'ego wiecznością. Co gorsza musiał chodzić do liceum w Crystal City. Od tygodni buntował się przeciwko tej decyzji, ale jego mama była nieugięta. Jeszcze ten tydzień miał wolny z powodu ferii, które spędzał w zapomnianym przez Boga mieście. Niestety wkrótce będzie musiał zostać „nowym” w szkole. To będzie nawet gorsze niż śmierć. - Mama mówi, że zostaniemy tutaj kilka tygodni, a potem spadamy.

Uśmiech Gavina nawet nie drgnął, ale jego oczy nieco

przygasty, jak gdyby słowa Cody'ego wyłączyły ich wewnętrzne światło.

- Zobaczmy, czy kolacja jest już gotowa.

Cody czuł się wyjątkowo nieprzyjemnie, kiedy podążał za dziadkiem do dużej jadalni udekorowanej kosztownymi kryształami i chińską porcelaną. Czego ten staruszek się po nim spodziewał? Że rzucają się sobie w objęcia jak na reklamie firmy telefonicznej? Oboje z Gavinem byli sobie obcy. Po operacji prawdopodobnie nie spotkają się już nigdy więcej.

Dziadkowie zawierali przyjaźnie ze swoimi wnukami, gdy ci byli mali i słodcy, a nie kiedy mieli szesnaście lat, nosili kucyk i glany. Oczywiście nie chodziło o to, że Cody nie chciał być miły dla dziadka. A mimo to czuł obrzydzenie, kiedy myślał o jego chorobie. Zauważył, że Gavin nosił przy pasie torbę z jakimś płynem. Cienka przymocowana do torby tuba wchodziła przez otwór w skórze w jego ciało. Na samą myśl o tym urządzeniu Cody miał ochotę zwymiotować.

Mama dołączyła do nich w jadalni. Na ich widok uśmiechnęła się nerwowo. Jej wzrok wędrował badawczo to w stronę ojca, to w stronę Cody'ego.

- Cześć, chłopaki - powiedziała.

Gavin odsunął dla niej krzesło. Ten staromodny gest dawno wyszedł z użycia, ale mimo to miło było obserwować zabiegi staruszka. Cody chciał kiedyś odsunąć krzesło dla Klaudii, ale ona zapytała tylko: „Chcesz je dla mnie przytrzymać? Myślisz, że uciekniesz?” i wybuchnęła śmiechem, a Cody jej zawtórował.

Kolacja była najlepszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła od wczorajszego świtu, kiedy mama wepchnęła go do samochodu. Posiłek, który przygotował dla nich Azjata o imieniu Tadao, składał się z pasty ze smacznym sosem, świeżego chleba, grillowanych warzyw i dużej sałatki z egzotycznych owoców.

Dopiero kiedy Cody pochłonał tonę jedzenia, zorientował się, że mama i dziadek przyglądają się mu z uwagą. Żadne z nich nie zjadło wiele.

- Musiałeś dzisiaj ciężko pracować w Samotnej Sośnie - skomentował Gavin.

- To jest świetne - odparł Cody, po czym wychylił całą szklanekę mleka.

- Nie zapomnij powiedzieć Tadao, że ci smakowało - upomniała go matka.

Cholera, czy ona zawsze musi tak się zachowywać. Bez względu na to, co robił, czy jadł, czy też rozmawiał przez telefon, ona zawsze musiała dodać swoje pięć groszy. Nigdy nie udało mu się umknąć przed jej komentarzami. Dzisiaj rano obawiał się, że całkiem go skompromituje w obecności tej dziewczyny, Molly, ale chociaż raz w życiu się nad nim zlitowała.

Nalał sobie jeszcze trochę mleka ze szklanego dzbanka, mimo że piekły go odciski na rękach. Odciski, na litość boską! Był pewien, że nigdy wcześniej nie miał odcisków, oczywiście nigdy wcześniej nie przerzucał końskiego łajna.

Z tego, co powiedział mu dzisiaj ten facet Bliss, Samotna Sosna była czymś w rodzaju hodowli koni pełnej krwi i zarazem ranczem treningowym. Praca w stajni, w której w każdej chwili żrebna klacz mogła zacząć rodzić, była całkiem fajna. Kiedy skończył i mógł iść do domu, czuł się trochę zawiedziony. Nie pogniwałby się, gdyby mógł zobaczyć narodziny żrebaka. Miałby o czym opowiadać Klaudii.

Może opowieść o wywaleniu gnoju będzie wystarczająco śmieszna. Ale szczerze mówiąc, dzisiaj nie było mu do śmiechu. Były takie chwile, kiedy zostawał w stajni całkiem sam. Zewsząd otaczał go zapach zwierząt i blade światło sączące się przez małe okna pod dachem. Wówczas ogarniało go dziwne uczucie. Może działo się tak z powodu ciszy albo faktu, że był całkiem sam... Nie wiedział. Ale było mu bardzo przyjemnie.

- Dobrze jest mieć was przy sobie - powiedział nagle Gavin, zaciskając palce na blacie stołu.

- Straciliśmy zbyt wiele czasu - odparła cicho mama.

- Wiem, Michelle - przyznał Gavin. - Przykro mi. Nawet nie wiesz, ile razy sięgałem po słuchawkę, ale nigdy nie wiedziałem, co powiedzieć...

- Nie róbmy tego, tato. Nie rozdrapujmy starych ran. Nie możemy zmienić przeszłości. Możemy jedynie zacząć od tego miejsca.

Cody starał się, jak mógł, żeby nie zamykać oczu. Od samego początku miał nadzieję, że uda mu się uniknąć tego, co się właśnie zaczynało dziać. Nie miał zamiaru być świadkiem kliwej sceny, kiedy wszyscy zaczną się przeproszać i wciągną go w środek całej tej farsy pod tytułem „Wnuczek, którego nigdy nie znałeś”.

- Czy mogę wstać od stołu? - zapytał głośno.

Oboje spojrzeli na niego jak na osobnika z innej planety.

- Obiecałem Klaudii, że do niej zadzwonię.

- Masz dziewczynę? - zainteresował się Gavin.

- Tak. - Cody poczuł się o parę centymetrów wyższy, kiedy o niej opowiadał. Uwielbiał przechodzić korytarzem i słyszeć ze wszystkich stron, „To on spotyka się z Klaudią Teller...”

- Mogę iść? - zapytał.

Matka skinęła głową.

- Proszę bardzo, kochanie.

- Dzięki... za kolację - odparł, po czym wybiegł na dwór. Kiedy wszedł do swojego pokoju, rzucił się na łóżko, włączył telewizor i zdał sobie sprawę, że wielogodzinna praca przy minusowych temperaturach zmęczyła go o wiele bardziej niż cokolwiek innego, co do tej pory zrobił w życiu. Zasnął, zanim przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Klaudii.

9

Chyba żartujesz? - powiedział Cody przy stole w czasie śniadania.

- Nie mów z pełnymi ustami. - Michelle ścisnęła w dłoniach kubek z kawą i przyglądała się synowi w jasnym świetle górskiego poranka. Policzki miał umazane jagodową babeczką. Przeżuwał bardzo powoli, po czym wychylił duży łyk czarnej kawy.

Kiedy jej syn zaczął pić czarną kawę?

Opróżnił kubek do końca.

- Powiedziałem, że ty chyba żartujesz.

Usłyszała go już za pierwszym razem, ale nie potrafiła się opanować, żeby nie zwrócić mu uwagi na brak dobrych manier. To zabawne, że nigdy nie wyniósł żadnej nauki z jej lekcji. Zawsze spodziewała się po nim, że zmieni ton głosu i zada jej uprzejme pytanie. Za każdym razem jednak spotykało ją rozczarowanie.

Może mu się wydawało, że jeśli będzie go co chwilę poprawiać, to w końcu się zmęczy i da mu spokój. Tyle razy udało mu się złamać jej opór. Zawsze kiedy chciał coś dostać, niewiarygodnie drogie buty czy snowboard, albo przebić sobie uszy, przypominał wodę, która draży skałę. Był niezmiernie uparty, nieugięty i męczył ją tak długo, aż dawała za wygraną.

- Nie - odparła. - Nie żartuję. Wracasz dzisiaj na farmę pana McPhee.

- Nigdzie nie jadę. - Cody zadarł brodę i wyciągnął przed siebie ręce, tak żeby mogła obejrzeć jego palce. - Mam odciski, bo przez osiem godzin przerzucałem wczoraj końskie gówno. Końskie gówno, mamó.

Michelle zacisnęła usta. Gdyby się roześmiała, tylko zachęciłaby go do dalszego prób stawiania oporu. Musiała się opanować.

- Kiedy pan Bliss podrzucił cię wczoraj wieczorem, powiedział, że zostało jeszcze sporo pracy i że bym przywiozła cię na dziewiątą.

- Co za bezsens. - Odsunął się od stołu tak energicznie, że jego dwukolorowy długi kucyk podskoczył.

- Bezsensowne było wjechanie w przyczepę tego faceta - przypomniała mu. Ale najgorszym bezsensiem jest to, że ten facet jest twoim ojcem, a ja nie mam pojęcia, jak ci o tym powiedzieć.

- Przygotuj się. - Wstawiła kubki do zlewu. - Muszę zadzwonić do Brada, a potem jedziemy.

- Ale ja miałem zadzwonić do Klaudii...

- Zadzwonisz później. Kiedy wrócisz dzisiaj wieczorem do domu...

Cody wykrzywił usta.

- Zadzwonię do niej, kiedy będę miał na to ochotę.

Poczuła, jak jej płonie twarz, a złość zalewa całe ciało. Kiedy odzywał się do niej w ten sposób, nie wiedziała, co zrobić, żeby nad nim zapanować. Czasem gdy zdawała sobie sprawę, że nie miała nad nim kontroli, zaczynała się bać.

- Nie kłóćmy się, Cody. Jesteśmy umówieni z Gavinem na spotkanie w Missoula i musimy zaraz jechać. Na wypadek gdybyś zapomniał, przypominam ci, że jesteśmy tutaj dla niego.

Cody zarzucił kurtkę, wyciągnął z kieszeni paczkę cameli i wściekle otworzył drzwi.

- Tak, prawie zapomniałem, że przyjechałaś tutaj, żeby zaoferować zapasowe organy swojemu dawno niewidzianemu ojcu.

Ten dzieciak miał doskonałe wyczucie czasu. Dobrze wie-

dział, kiedy rozpętać wojnę. W tej chwili nie miała czasu, żeby uporać się z gniewem i bólem, które męczyły zarówno ją, jak i jej syna, od kiedy on skończył szesnaście lat.

Ten dzieciak jest zły na cały świat. Sam natychmiast to zauważył.

Chwyciła za telefon i wybrała numer Brada. Kiedy odezwał się, miał zaspany głos.

- O rany - powiedziała. - Zapomniałam, że u ciebie jest o godzinę wcześniej.

- Cześć, kochanie. - Zaspany uśmiech złagodził jego głos. Michelle starała się odprężyć, ale była zbyt poruszona.

- Chciałam cię usłyszeć. Tęsknię za tobą.

- Ja też za tobą tęsknię. Wszystko w porządku? Potrzebujesz mnie? Chcesz, żebym przyjechał?

Michelle nagle zdała sobie sprawę, że tak naprawdę chciała, żeby przyjechał do niej, nie pytając o to, żeby rozumiał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak bardzo był jej teraz potrzebny. Powinien wiedzieć, że już wkrótce stawi czoło nie lada wyzwaniu. Powinien przy niej być i ją wspierać.

Nie mogła mu o tym powiedzieć, to nie miałyby sensu. Gdyby wyjawiała mu, co czuje, byłby niepokieszony, że musi na kilka dni zrezygnować z pracy, a ona czułaby się wszystkim winna, co tylko pogorszyłoby jej samopoczucie przed operacją. Potrząsnęła głową, starając się zmienić kierunek swoich myśli. Musiała zadowolić się jego obietnicą, że przyłeci do niej w dzień operacji.

- Nie, wszystko w porządku - skłamała. - Czy ktoś do mnie dzwonił?

- Natalie. - W jego głosie usłyszała niechęć. Nigdy nie lubił jej najlepszej przyjaciółki. Bezrobotna przez większość czasu wiolonczelistka, Natalie Plum, była wolnym duchem. Zapamiętałych, doskonale zorganizowanych pracusiów takich jak Brad doprowadzała do szału. - Przywiezie dzisiaj swoje rzeczy do twojego domu.

- To dobrze. Miałam nadzieję, że popilnuje mieszkania podczas naszej nieobecności. Jak ci minął weekend?

- Cudownie. Obiad w Canlis z Albrightami. Rundka golfa w Port Ludlow. Dziecinko, naprawdę powinniśmy zainteresować się tamtymi stronami. Mike powiedział mi, że wartość segmentów z widokiem na morze bardzo skoczyła w górę...

Michelle wyłączyła się z monologu o inwestycjach w nieruchomości. Będzie miała na to jeszcze wiele czasu. Brad uwielbiał gromadzić różne rzeczy, takie jak lokale, sprzęt sportowy czy luksusowe samochody. Kolekcjonował je niczym trofea myśliwskie. Michelle podziwiała jego ambicję, która pomogła mu zrobić karierę. Poza firmą farmaceutyczną odniósł sukces na rynku nieruchomości. Pieniądze były jego obsesją. Czasami Michelle marzyła, żeby trochę zwolnić.

- ...który jest chirurgiem naczyniowym w Szwecji, zaangażował się w nieruchomości...

Michelle pilnowała się, żeby raz na jakiś czas wydobywać z siebie odpowiednie dźwięki, podczas gdy jej myśli wędrowały daleko stąd. Przypomniła sobie dzień, kiedy podsumowała cały dorobek Brada. To było wówczas, kiedy odłożył pieniądze na jacht, który mierzył ponad dziesięć metrów. Powiedziała mu, że zwariował. Miał już tak wiele, domek letniskowy, domek w górach, członkostwo w klubie golfowym w Lakeside, chatkę w Whistler.

- Brad - zwróciła się do niego zeszłej wiosny, kiedy stali w doku obok nowiutkiej lśniącej łodzi. - Czy nie byłoby łatwiej zostać lekarzem?

Jego ostra reakcja bardzo ją zaskoczyła.

- Nie, do cholery! Nie byłoby łatwiej. Co to w ogóle za pytanie?

Tak rzadko unosił się gniewem w jej obecności, że uznała za stosowne zakończyć tę rozmowę. Ale mimo to dobrze wiedziała, że poruszyła jego czuły punkt. Dawno temu chciał zostać lekarzem, tak samo jak ona pragnęła zostać artystką. Obecnie był właścicielem firmy farmaceutycznej, a ona została komercyjnym grafikiem.

Cierpliwie wysłuchiwała do końca jego wywodu. Czekwała na

pytanie o Cody'ego, ale zamiast tego usłyszała ziewnięcie, po którym Brad stwierdził, że najwyższa pora wziąć prysznic.

- Szkoda, że cię tu nie ma. - Michelle doskonale rozumiała aluzję.

- Też żałuję. - Za oknem Cody gasił papierosa. Dobry Boże. Jej dziecko paliło, a ona nie miała pojęcia, jak je przed tym powstrzymać. Chciała wyznać Bradowi tyle rzeczy. Chciała powiedzieć mu, że jej ojciec nadal potrafił doprowadzać ją do łez, a Cody do szaleństwa. I że znów spotkała Sama McPhee.

Co gorsza nie potrafiła myśleć o niczym innym poza Samem. Cholera! Musiała powiedzieć o tym Bradowi, ale jak?

- Zadzwoń później.

- Jasne. Trzymaj się, kochanie.

Chwyliła płaszcz i torebkę. Zatrzymała się na chwilę przed lustrem w holu. W co należało się ubrać, kiedy szło się na spotkanie z zespołem lekarzy odpowiedzialnych za transplantację? Ich tytuły brzmiały tak poważnie, tak onieśmialająco. Czy na widok jej czerwonego blezerka pomyślą, że jest zbyt jaskrawy? Czy powinna była włożyć raczej sweter z czarnej angory?

Odsunęła na bok te niedorzeczne pytania. Denerwowała się przed tym spotkaniem. Denerwowała się, że znów znajdzie się twarzą w twarz z ojcem, jak również tym, że znów spotka się z Samem. Ubranie powinno być teraz jej najmniejszym zmartwieniem.

Wsunęła buty i poszła po Cody'ego. Kiedy go znalazła, wdeptywał niedopałek w śnieg.

Spojrzała na niego ostro, po czym zaczęła szukać kluczyków w torebce.

- Powinieneś zacząć nałogowo skakać na bungee. To o wiele mniej ryzykowne niż palenie.

- Bardzo śmieszne. - Wsiadł do samochodu.

Nie miała ochoty wygaszać kolejnego kazania na temat papierosów. Musiała skoncentrować się na ojcu.

Na dzisiejszym spotkaniu lekarze chcieli poruszyć kilka dodatkowych kwestii, omówić przygotowania do angiogramu,

który miał polegać na prześwietleniu tętnic wieńcowych oraz upewnić się, że była psychicznie przygotowana do zabiegu.

Dlatego nie paliła się do tego spotkania.

- A więc - odezwała się do syna, zaciskając ręce na kierownicy - co myślisz o panu McPhee?

- Powiedział, żeby zwracać się do niego po imieniu. A ten drugi mówi, żeby nazywać go Edward.

- W takim razie co myślisz o Samie? - Starła się, żeby jej głos brzmiał naturalnie.

- Jest w porządku.

- Tylko w porządku?

- Chcesz, żebym ci powiedział, że jest świetny, bo zmusza mnie do pracy na mrozie? Zrobił ze mnie pomocnika farmiera.

- Pomocnika ranczera.

- Nieważne.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, miałeś szczęście, że skończyło się to dla ciebie odpracowaniem szkody przez kilka dni. Lubisz go?

- Czy ja powiedziałem coś takiego? I niby dlaczego miałbym lubić tutaj kogokolwiek? Wyjeżdżamy stąd, jak tylko dokończysz sprawy związane z twoim... z Gavinem.

- Nie zostawię go, dopóki się nie upewnię, że nic mu nie będzie. - Zadrżała nagle na myśl, że operacja mogłaby się nie udać, że jej nerka zostanie odrzucona przez organizm ojca.

Michelle starała się zapomnieć o smutkach, więc skupiła się na widokach za oknem. Widok pokrytych śniegiem pól i górskich łąk wypełnił ją dziwnym ale znajomym pragnieniem. Potrzebowała gór, powietrza i przejrzystego światła, które można było podziwiać tylko w Montanie. A może potrzebowała także stać się tą osobą, którą była przed laty. Osobą, która odważyła się kochać, która odważyła się marzyć.

Dobrze jednak wiedziała, że nie istniał sposób, żeby odzyskać tę młodzieńczą naiwność. Czasami wierzyła, że jej talent drzemał w niej głęboko i że któregoś dnia ponownie zbudzi się do życia. Kiedy była w ciąży, uczyła się w małym liberalnym college'u sztuki i przez jeden cudowny semestr malowała.

Miała rzadki dar i wiedziała o tym. Jej wykładowcy też o tym wiedzieli. Wiedzieli o tym także właściciele galerii, którzy starali się zyskać sobie jej sympatię. Ale kariera artystki zajęłaby jej wiele lat nauki i pracy.

Kiedy na świat przyszedł Cody, dopadła ją brutalna rzeczywistość. Więc gdy zaproponowano jej posadę w agencji reklamy, myślała, że spotkało ją szczęście. Późno w nocy, kiedy Cody już spał, marzyła o świecie, do którego nikt poza nią nie miał wstępu.

Mijał czas, który kawałek po kawałku zabijał jej duszę. Powoli jej wyobrażenia i energia wypalały się, aż całkiem przestała malować. Rzuciła zajęcia z rysunku i przestała o tym śnić. Było o wiele łatwiej siadać na wygodnej sofie, brać na ręce swoje ukochane dziecko i czytać mu bajki. Obrazy na dobre zamknęła w schowku. Kiedy Cody rozpoczął naukę, miała czas, żeby zająć się sztuką, ale nigdy tego nie zrobiła.

W firmie pracodawcy byli z niej zadowoleni. Wykonywała dobrą robotę. Szybko awansowała, zdobyła rozeznanie na rynku i na dobre zapomniała o malarstwie.

- Znałam kiedyś Sama. - Ostrożnie dobierała słowa.
- Domyśliłem się, kiedy zwrócił się do ciebie po imieniu tamtej nocy, gdy wjechałem w jego przyczepe.
- Pracował u mojego ojca. Poznałam go, kiedy przyjechałam tutaj po śmierci matki.

Przed śmiercią Sharon Turner poradziła Michelle, żeby zaczęła studia zaraz po maturze. Zawsze skupiona tylko na sobie, odległa i chłodna, matka Michelle sugerowała jej wybór praktycznego kierunku studiów, takiego jak projektowanie czy architektura. Po jej śmierci Michelle poczuła się zagubiona. I przerażona. Właśnie wtedy w jej życiu pojawił się Gavin. Był niczym kawaleria spiesząca z odsieczą.

- Nie śpiesz się tak bardzo na studia, kochanie - zasugerował jej wówczas. Jego urok i współczucie działały na nią jak magnes. - Nigdy więcej nie dostaniesz od życia całego roku, który będziesz mogła poświęcić na cokolwiek zechcesz. Przyjeżdż do Montany.

I pojechała, nie pytając, czego się po niej spodziewał ani jak miały wyglądać ich relacje. Może chciała wierzyć, że zachował się tak, bo najzwyczajniej w świecie jej współczuł. Otworzył drzwi swojego domu przed zrozpaczoną córką, którą ledwie znał. Gdyby istniał model idealnego ojca znikającego na długie lata w Hollywood, Gavin zostałby uznany za wzór. Przysyłał jej czeki, dzwonił do niej i odwiedzał w ważnych chwilach jej życia. Przyjechał, żeby obejrzeć jej pierwszy występ w balecie i jej udział w mistrzostwach jazdy konnej. Była taka podekscytowana, kiedy ją odwiedzał. Zawsze pozwalała mu pozostawać w centrum uwagi. Pamiętała swoją pierwszą komunię w kościele Wszystkich Świętych w Beverly Hills. Wszystkie dziewczynki były ubrane w białe sukienki i rękawiczki. Tamtego dnia czuła się jak panna młoda, a kiedy pojawił się jej ojciec niczym przystojny Duch Święty, wyrwała się z uścisku matki i pobiegła, żeby go przywitać. Wpadła w jego ramiona, a on chwycił ją w objęcia. Kręcił się dookoła, a ona śmiała się radośnie. Słyszała odgłosy kamer i ludzi, którzy bez przerwy szeptali: „Gavin Slade. To Gavin Slade. W rzeczywistości wygląda jeszcze lepiej...” Spojrzała na Cody'ego z nadzieją, że się odezwie, że powie coś o Samie.

Ale chłopak milczał i Michelle nie zadała mu ani jednego pytania więcej. To nie była odpowiednia pora, żeby zaczynać rozmowę o wydarzeniach, które rozegrały się bardzo dawno temu. Potrzebowali na to co najmniej kilku godzin. Zawsze potrzeba wielu godzin, kiedy w samym środku twojego życia wybucha bomba, pomyślała Michelle. Wyobraziła sobie, jak przysypują ich ciężkie gruzy jej wyznania. Każdy najmniejszy kamień trzeba było usunąć z największą ostrożnością, żeby nie skrzywdzić wrażliwego, wściekłego, poszkodowanego. Potrzebowała wielu godzin. Może nawet dni. A może miesięcy.

Kiedy dojechali na miejsce, przywitał ich Edward. Polecił Cody'emu, żeby załadował siatki ochraniające przed lawinami na przyczepę, po czym wyjaśnił Michelle, że Sam opuścił

SUSAN WIGGS

ranczo wcześniej rano. Wskazał ręką ślady po śnieżnym skuterze, które prowadziły w stronę odległych wzgórz. Na koniec dodał, że ostatnio w pobliżu grasuje kuguar i Sam pojechał to sprawdzić.

Powędrowała wzrokiem wzdłuż pofałdowanego szlaku. Co za ulga, pomyślała. Przynajmniej na razie mogę odetchnąć ze spokojem.

10

Gavin nalegał, żeby prowadzić samochód w drodze do Missoula. Michelle nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Sprawiał wrażenie wyciszzonego i skupionego. Na jego szyi pojawiła się czerwona smuga. Chciała go o to zapytać, ale zaniechała zamiaru. Wydało jej się to zbyt osobiste.

Dobrze wiedziała, że zanim stan jego zdrowia ulegnie poprawie, znacznie się pogorszy. Dzisiaj rano wyznał jej z zakłopotaniem, że jego ostatnia kochanka zostawiła go, kiedy dowiedziała się, że jest chory. Od razu sprzedała tę historię do jakiegoś brukowca. Kiedy prawda wyszła na jaw, nie musiał długo czekać, aby pod jego domem zaczęli czatować paparazzi.

Kiedy Michelle myślała o jego kochance, ogarniała ją złość. Kobieta miała na imię Carolyn i była w wieku Michelle. Nie mogła jej obwiniać za to, że odeszła od Gavina, ale żeby sprzedawać jego historię do gazety! To było obrzydliwe.

- Jazda do miasta jest wyjątkowo nudna. Czasem z trudem powstrzymuję się, żeby nie uciąć sobie drzemki - stwierdził Gavin.

Michelle poczuła ukłucie rozczarowania. Z jednej strony chciała z nim porozmawiać, by go lepiej poznać, ale z drugiej strony nie potrafiła się przełamać. Jakaś część niej wolała zachować dystans i trzymać się na uboczu. Oczywiście mogłaby sobie wmawiać, że poświęca się dla niego z czystej miłości.

To byłyby takie szlachetne. Ale dobrze wiedziała, że w grę wchodziło także poczucie obowiązku.

Czy to miało jakieś znaczenie?

Dawno temu potrafiła kochać. Dobrze знаła to uczucie. Zamknęła oczy, kiedy oślepiła ją biel śniegu, i cofnęła się myślami w przeszłość. I znów był rok 1983 i zbliżało się Święto Dziękczynienia. Całe ranczo pokrył świeży śnieg. Kiedy biegła do budynku, który ojciec przeznaczył na jej studio, była taka podekscytowana. Właśnie tam, tego słonecznego poranka, dokończyła najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek wyszedł spod jej pędzla.

Malowała przez wiele godzin. Przestała, kiedy Sam wrócił z pracy. Miał zaczerwienione policzki i zimne usta, które rozgrzały się dopiero wtedy, kiedy ją całował. Była cała umazana farbą i pogrążona w dziele tworzenia, które poruszało każdą strunę jej serca. Sam obrał dla niej pomarańczę i przygotował gorącą herbatę, podczas gdy ona pracowała nad swoim obrazem. Kiedy zrobiła sobie przerwę, kochali się.

- To jest niesamowite, Michelle - powiedział tamtego mroźnego listopadowego dnia, kiedy chwycił ją i pociągnął za sobą na niską sofę, która stała naprzeciwko wielkiego pieca.

Michelle nadal pamiętała, jak całował jej szyję, piersi i brzuch. Zaufała mu, odprężyła i pozwoliła mu zawładnąć swoim ciałem. Od pierwszego razu, kiedy się kochali, zawsze zalewała ją niewyobrażalnie wielka fala uczuć. Przy nim kolory stawały się jaśniejsze. Krawędzie stawały się bardziej ostre. Kiedy wyzwolili się z ubrań i stali jednością, ujrzała milion gwiazd.

Później, kiedy leżeli spleceni w uścisku, słuchała bicia jego serca i marzyła.

- Chciałabym zostać artystką.

- Już nią jesteś.

- Nie o to mi chodzi. Chciałabym wystawiać swoje obrazy, żeby każdy, kto chce, mógł je oglądać, a nawet kupić. A ty? Jakie masz marzenia? - zapytała.

Roześmiał się ponuro.

- Chciałbym, żeby moja matka przestała pić.

Michelle nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Tammi Lee Gilmer była kelnerką w miejscowym barze, ale Michelle doskonale wiedziała, co Sam miał na myśli. Jeżeli Lee Gilmer znów zacznie pić, nie pojawi się pewnego dnia w pracy, straci ją, a potem będzie żyła z zapomogi tak długo, aż skończą jej się pieniądze i wyjedzie do innego miasta, zabierając ze sobą Sama.

Sam nie znał innego życia. Na samą myśl o tym Michelle ogarniał niepokój.

- Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o ciebie. Co chciałbyś robić w życiu?

- Ja? - Zawahał się.

- Daj spokój, powiedz mi. Myślisz, że będę się z ciebie śmiała? W końcu to ja chcę zarabiać na utrzymanie malowaniem obrazów.

- Przynajmniej wiesz, czego chcesz.

- Tak samo jak ty. Musisz mi o tym opowiedzieć. - Już wcześniej zorientowała się, że chciał wygrać rodeo. Od dawna dawał popisy w miasteczku, dosiadając koni jej ojca. Brał też udział w zawodach łapania bydła na łąso. - No, już! Powiedz albo zamilcz na wieki.

Uniósł brwi.

- W takim razie już nigdy nie powiem ani słowa.

- Ale ja chcę poznać prawdę.

Sam znów się zawahał.

- Uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że chciałbym studiować medycynę? - zapytał, nie spoglądając na nią.

Michelle odsunęła się od niego i przyjrzała się uważnie jego twarzy. Widok gęstych jasnych włosów, poważnych oczu i ust Sama przyprawiał ją o szybsze bicie serca. Był taki znajomy. Po raz pierwszy w życiu wspomniął o medycynie.

- Od kiedy?

- Chyba od zawsze. - Zaczął się ubierać. Podobnie jak pozostali pracownicy rancza powinien ćwiczyć teraz skoki przez przeszkody. Zamiast tego baraszkował z nią i miał

godzinę spóźnienia. - Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłem.

- Cieszę się, że w końcu to z siebie wyrzuciłeś. Powinieneś zrealizować swoje marzenia, Sam.

Potrząsnął głową, posyłając jej pełen niedowierzania uśmiech.

- Jestem szkolnym wyrzutkiem.

- Mógłbyś zrobić dyplom.

- Nie stać mnie na studia.

- Mój tata mógłby ci pomóc...

- Ale ja nie chcę go o nic prosić.

- W takim razie ja go poproszę.

- Na wypadek gdybyś się nie zorientowała, jestem najlepszym pracownikiem twojego ojca. Nikt nie posługuje się linką tak dobrze jak ja. Dlaczego miałby pozwolić mi odejść? I dlaczego miałbym prosić jakiegoś bogacza o pomoc? Uwierz mi, nie dostałbym od niego nawet wiadra zepsutego zboża, gdyby się dowiedział, co robiłem w porze lunchu.

- Jesteśmy dorośli.

- Jasne. Myślisz, że dla twojego staruszka to ma jakieś znaczenie?

- Przez wiele lat słyszał ze swoich podrywów. W tej kwestii nie ma prawa głosu. Nie wiem, dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby nasz związek utrzymać w tajemnicy. Kocham cię, Sam.

Zatrzymał się na chwilę i dotknął jej policzka.

- Kochanie, właśnie dlatego nie możemy pozwolić, żeby się o tym dowiedział. Zrobiłby wszystko, żeby nas rozdzielić.

- Ale on nie może nas rozdzielić. Żyjemy w wolnym kraju. Sam roześmiał się głośno.

- Tego uczyli cię w szkole dla bogatych pańienek w Kalifornii? - Jego smutny, pobłażliwy uśmiech sprawiał, że wyglądał na starszego i mądrzejszego od Michelle. - Tak naprawdę światem rządzą całkiem inne zasady. W prawdziwym świecie córki bogatych gwiazd filmowych nie spotykają się z synami kelnerek. Uwierz mi, twojemu ojcu zależy na tym, żebyś

związała się z chłopakiem, który potrafi grać w golfa, a nie z takim, który żyje z zasiłku.

- Co za bzdury! Poza tym ja się w tobie zakochałam na dobre i nic tego nie zmieni. Nigdy. - Kiedy skończyli się ubierać, chciała mu powiedzieć, że wyjątkowo długo spóźnia jej się okres, ale zachowała tę informację dla siebie. Jeżeli to tylko fałszywy alarm, nie powinna go martwić.

Ujął jej dłoń.

- Kochanie, ja też nie chcę, żeby to się zmieniło. Właśnie dlatego powinniśmy trzymać język za zębami.

Jego słowa sprawiły, że poczuła się taka naiwna. To prawda, że dzieliło ich wiele rzeczy, a w szczególności pochodzenie, ale ona nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę od samego początku i wcale nie miał zamiaru się oszukiwać.

Wyszła z nim na zewnątrz. Na twarzy poczuła mróz i słońce. W rękę trzymała swój obraz.

- Cholera. - Spojrzał w kierunku placu treningowego.

- Co się stało?

- Jake Dollarhide. Wydaje mi się, że nas widział.

Syn zarządcy. Spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła młodego mężczyznę, który stał w pewnej odległości od nich.

- I co z tego? - rzuciła beztrosko. - Niech Jake Dollarhide gapi się na nas, jeżeli ma na to ochotę. - Wsunęła obraz za siedzenie kierowcy ciężarówki.

- Nie mogę tego przyjąć, Michelle...

- Ależ możesz. Namaluję dla ciebie setki obrazów.

- Uwierz mi, kochanie, że ten jeden wystarczy.

Jeszcze wtedy nie miała pojęcia, że nie usłyszy od niego już nic więcej. Że jego ostatni pocałunek będzie tylko pośpiesznym muśnięciem ust.

Pani Turner, czekamy na panią w gabinecie doktor Kehr.

Na rękach Michelle pojawiła się gęsia skórka, kiedy weszła do przytulnego pomieszczenia, w którym na ścianie, za biurkiem

wisiała niezła kopia Robyna Blossa. Michelle przyglądała się jej przez moment, wspominając czasy, kiedy malowała, spontanicznie dobierając żywe kolory, które odzwierciedlały jej nastrój, a nie takie, które pasowałyby do burgundowego obicia krzesel w gabinecie doktora, gdzie ludzie czekali na złe wiadomości.

Usiadła na skórzanej kanapie obok ojca. Duże okno za biurkiem ukazywało panoramę miasta, wyjątkowo szarego i pęsnego w zimie. Rzeka za szybą przypominała pozbawioną koloru nitkę przecinającą miasto. Doktor Kehr, nefrolog, usiadła naprzeciwko nich. Jej ręce przerzucały plik akt i dokumentów. Na twarzy widniał łagodny, sympatyczny uśmiech. Miała silną osobowość i to właśnie jej obecność sprawiła, że cała sytuacja wydała się Michelle po raz pierwszy realna.

Dotarło do niej, że już wkrótce wytną jej jedną z nerek i wszyją ją ojcu.

Michelle złapała głęboki oddech, usadowiła się wygodnie na krześle i starała się zachować zimną krew do chwili, kiedy pojawią się pozostali lekarze. W końcu do pokoju weszła Donna Roberts, koordynator transplantacji, która była dyplomowaną pielęgniarką wyspecjalizowaną w przeszczepach organów. Donna próbowała podnieść Michelle na duchu. I chociaż w tej chwili Michelle nie potrzebowała wyrazów sympatii z jej strony, zdawała sobie sprawę, że później kojący uśmiech siostry Donny może przynieść ulgę. Następnie Michelle poznała Willarda T. Tempie'a, psychologa. Do jego obowiązków należało czuwanie nad stanem psychicznym pacjentów. Mógł nawet nie dopuścić do zabiegu, gdyby doszedł do wniosku, że Michelle albo jej ojciec nie są na to gotowi.

Na koniec pojawili się dwaj chirurdzy, którzy przypominali postaci z kreskówek. Przywitali się z pacjentami chłodnym uściskiem ręki. Żaden z nich nie mógł zostać dłużej, ponieważ z racji tego, że byli chirurgami, całe dni spędzali na krojeniu ludzi i nie mogli trwonić czasu na rozmowę z zapomnianą gwiazdą filmową i jej neurotyczną córką.

Ku zaskoczeniu Michelle jeden z chirurgów otworzył drzwi dla jej ojca.

- Zapraszam, panie Slade.

Gavin wstał. Położył dłonie na jej ramionach.

- Niedługo wrócę, dobrze?

- Nie zostaniesz ze mną? - Ogarnęła ją panika.

- Muszą narysować na mnie kilka linii albo coś w tym rodzaju.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Michelle poskarżyła się doktor Kehr.

- Powinien tutaj ze mną być.

Tempie, który przez cały czas trzymał żółtą podkładkę z klipsem na dokumenty, odezwał się do niej:

- Pani ojciec od miesiąca przygotowuje się do tej operacji.

A my chcieliśmy spotkać się tylko z panią.

- Po co? - Dobry Boże, czy oni chcą mi powiedzieć, że on tego nie przeżyje?

- Ponieważ, jeżeli ma pani jakiegokolwiek wątpliwości związane z zabiegiem, musimy się teraz tego od pani dowiedzieć. Oddanie nerki do przeszczepu jest bardzo emocjonującym przeżyciem. To całkiem naturalne, że w takiej chwili ludzie czują niepokój i że potrzebują naszej pomocy. Może pani być z nami szczerą. Jeżeli nie chce pani poddać się tej operacji, powiemy pani ojcu, że nie jest pani odpowiednim dawcą. Naszym zadaniem jest chronić dobre relacje pomiędzy pacjentem i dawcą, bez względu na to, jaka będzie decyzja potencjalnego dawcy.

- Ja już podjęłam decyzję - odparła Michelle. Była zirytowana, ponieważ dobrze wiedziała, że żadne stosunki nie łączyły jej i Gavina. - Już dawno poddałam się testom.

- Musimy wykonać angiogram nerek - przypomniała jej doktor Kehr. - Istnieje duża szansa, że jest pani prawie idealnym dawcą. Ale istnieje także prawdopodobieństwo, że wystąpią komplikacje, które sprawią, że nie będzie pani najlepszym kandydatem.

- Przecież tutaj jestem - oburzyła się.

- Czasem pojawiają się przeszkody w sferze emocjonalnej - wyjaśnił Tempie zniżonym głosem. - Pani ojciec wspomniał,

że przez wiele lat znajdowała się pani poza domem. Ta decyzja...

- Czy pan nic nie rozumie? - Nie potrafiła opanować gniewu. - Nigdy nie miałam cienia wątpliwości. Może pan pastwić się nad moimi uczuciami, jeżeli taka jest pańska wola, ale nie zmusi mnie pan do zmiany decyzji. - Spojrzałam mu prosto w oczy. - Mój ojciec umiera. Moja nerka może go ocalić. Na tym polega cały problem, panie Tempie.

Lekarz skinął ze zrozumieniem głową, ale mimo to zanotował coś na kartce.

- Powinna zdawać sobie pani sprawę z tego, że ta operacja nie zabiłaby ran, które powstały między panią a pani ojcem. Nie da się tego osiągnąć jedynie przy użyciu ciała i krwi.

- Ja tylko chcę, żeby on wyzdrowiał - odparła Michelle. Była bliska łez, piekły ją oczy. - Z całą resztą... poradzę sobie sama.

W końcu głos zabrała doktor Kehr. Była niezwykle dokładna i sumienna, a jej słowa działały na Michelle uspokajająco. Wytłumaczyła, na czym będzie polegała rola każdej osoby w zespole. Mówiła o kuracji po zabiegu, która będzie wymagała troskliwej opieki nad pacjentem. Wytłumaczyła, jakie mogą być skutki uboczne po lekach i jakie są rokowania. Wyjęła fatalnie namalowane plansze, żeby pokazać, jak będzie przebiegała procedura.

Właśnie tak to nazwała. Procedura.

- Jeżeli angiogram nie wykaże inaczej, chirurg wytnie pani lewą nerkę. - Kobieta wskazała na planszę.

- Nie mam pojęcia, jaka jest różnica pomiędzy wycięciem lewej a prawej nerki. - Atmosfera zaczęła się zagęszczać. Mimo że Gavin opuścił gabinet, jego potrzeby przytłaczały Michelle. W dłoniach trzymała chusteczkę, którą mięła i darła na strzępy. Z poczuciem winy ukryła strzępki w dłoni. Zrobiła to zbyt późno. Tempie zauważył jej zachowanie i zapisał coś w notesie.

- Prawie zawsze wycina się lewą nerkę - kontynuowała

doktor Kehr. - Lewa nerka ma dłuższe naczynia i dzięki temu mamy więcej materiału, z którym możemy pracować.

Całkiem bezwiednie Michelle wyciągnęła rękę do tyłu i podparła się z lewej strony.

- Możemy nacinać na kilka różnych sposobów. - Lekarka ponownie wskazała na wykres. - Później przedyskutujemy, czy dostaniemy się do środka od tyłu czy od przodu. - Doktor kreśliła palcem niewidzialne linie na planszy. - Generalnie odradzamy cięcie z tyłu, bo mimo że jest to bardziej bezpośrednia droga, kuracja jest dosyć bolesna, ponieważ narusza się wówczas konstrukcję żeber.

Michelle żałowała, że usłyszała cokolwiek na temat konstrukcji żeber. Trudno było opanować strach i nie wyglądać na przerażoną, kiedy lekarz przemawiał w ten sposób.

- Poza tym blizna na plecach może sprawiać o wiele więcej kłopotów - dodała Donna.

- Jakiego rodzaju?

- W wyglądzie. Jeżeli lubi pani nosić sukienki wycięte na plecach, blizna może być widoczna.

- To nie ma wielkiego znaczenia.

- Na razie może nie. Ale powinna wziąć to pani pod uwagę. Zespół w Seattle jest pionierem w technice, która wymaga tylko dziesięciocentymetrowego nacięcia.

- Dobrze wiedzieć - odparła niepewnie Michelle.

- Trzeba przyznać, że skutki uboczne posiadania tylko jednej nerki występują niezwykle rzadko, ale jednak się zdarzają. - Donna uśmiechnęła się przyjaźnie. Miała szczere oczy i Michelle ją polubiła.

- Chodzi pani o to, że powinnam unikać nurkowania i jazdy na rolkach?

- W zupełności się z panią zgodzę.

- A gdybym chciała zająć w ciążę? - Nie miała pojęcia, dlaczego akurat to pytanie przyszło jej do głowy.

- Znajdzie się pani w stanie podwyższonego ryzyka, ale ciąża nie jest zabroniona.

- Chciałam tylko wiedzieć. - Żeby ukryć zmieszanie Mi-

chelle dodała pośpiesznie: - Mam jeszcze jedno pytanie. Czy po operacji będę mogła grać na skrzypcach?

- Oczywiście - zapewniła ją pielęgniarka, chociaż po wyrazie jej oczu Michelle domyśliła się, że jej dowcip został dobrze zrozumiany.

- Cudownie - odparła Michelle. - Przedtem nigdy nie mogłam tego robić.

- Po prostu musi pani oszczędzać zdrową nerkę.

Spotkanie dobiegło wreszcie końca. Michelle czuła się wyczerpana i przerażona. Kiedy gabinet zaczął się opróżniać, dołączył do niej Gavin. Doktor Kehr uściśnięła jej dłoń i przytrzymała ją trochę dłużej niż powinna. To w jej rękach spoczywało teraz życie Michelle i jej ojca.

- Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Gavin stał wyprostowany, a na jego twarzy malował się stoicki spokój.

- Na razie nie - odparła Michelle. - Bardzo jasno mi pani wszystko wytłumaczyła. Tato?

- Ja również nie mam pytań. Od miesiący odrabiam swoją pracę domową, więc wydaje mi się, że jestem przygotowany najlepiej, jak to tylko możliwe. - Posłał lekarce czarujący uśmiech. Michelle zauważyła, że nawet ona uległa jego urokowi. - Czy możemy do pani zadzwonić, gdyby pojawiły się jakieś wątpliwości?

- Oczywiście. - Podała Gavinowi bladoniebieską wizytówkę. - Znajdzie pan tutaj telefon do domu, gabinetu, na komórkę oraz pager. Proszę dzwonić o każdej porze. - Odprowadziła ich do drzwi. - W takim razie do zobaczenia w przyszłą sobotę? Jeżeli wyniki testów Michelle okażą się pozytywne, w poniedziałek przeprowadzimy operację.

Kiedy przemierzali szpitalny korytarz, Michelle trzymała przed sobą plik broszur i dokumentów niczym tarczę ochronną.

- Chcesz, żebym poprowadziła?

- Nie, czuję się świetnie.

Po kilku minutach jechali autostradą.

- Psycholog ani na chwilę nie przestał robić notatek na mój temat - odezwała się Michelle.

- Tempie. Na mój też zebrał sporo wiadomości.

- Co on twoim zdaniem zapisuje?

Gavin wpatrywał się w drogę.

- Podejrzewam, że zastanawia się, czy jesteśmy na to gotowi.

- Ależ to głupie! Potrzebujesz nerki, a ja odpowiadam wymaganiom i to cała historia.

Gavin chrząknął. Przez chwilę szukał odpowiednich słów.

- Masz pełne prawo, żeby się na mnie gniewać, Michelle.

- Nie gniewam się na ciebie.

- Ależ oczywiście, że się gniewasz. Chryste, nie winię cię za to. Żałuję, że nie byłem dobrym ojcem, kiedy dorastałaś.

Bezwiednie wróciła wspomnieniami do dzieciństwa, kiedy jeszcze mieszkała w Bel Air. Mimo że w zachodniej Kalifornii mieszkało mnóstwo rozbitych rodzin, Michelle zawsze lgnęła do tych szczęśliwych. Nie potrafiła opanować zazdrości, kiedy przyglądała się swoim przyjaciółkom w towarzystwie obojga rodziców. Nie umiała stłumić bólu, kiedy widziała dziewczynkę grającą w parku we frisbee razem ze swoim tatą...

- Czy teraz jest za późno na bycie ojcem? - zapytała, zaskoczona brzmieniem własnych słów.

Zapadło niezręczne milczenie. Ręka Gavina powędrowała w jej stronę i dotknęła jej ramienia.

- Bardzo chciałbym spróbować, Michelle. Ale nie zapominaj, że jestem nowy w tej branży. Ostatnio nie osiągałem najlepszych rezultatów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Cofnął rękę. Kątem oka dostrzegła poczucie winy, które pojawiło się na jego twarzy.

- Dobrze wiesz, jak to się skończyło ostatnim razem. Wyjechałaś, a ja nie wiedziałem, co, do diabła, robić. Więc nic nie zrobiłem.

Michelle zamknęła oczy. Ożyły wspomnienia.

- Domyślałem się, że McPhee to niezły gagatek - stwierdził jej ojciec tamtej mroźnej listopadowej nocy.

Nie zapytała, skąd wiedział, że ojcem dziecka był Sam. Prawdopodobnie doniósł mu o tym Jake Dollarhide, tak jak przewidział Sam.

- Nie powinnam była ci o tym mówić - odparła. Jego reakcja przeraziła ją i jednocześnie dotknęła do żywego. - Sam pomoże mi przez to przejść.

- Obiecał ci?

- Zrobi to, gdy tylko mu powiem.

Gavin parsknął z niedowierzaniem.

- Ten chłopak jest kowbojskim pomiotem, a jego matka śmieciem. Nawet jeżeli zaproponuje ci pomoc, Tammi Lee pociągnie was za sobą na dno. Będziesz mieszkała w jakiejś obskurnej przyczepie i robiła wszystko, co w twojej mocy, żeby uwolnić się od tej kobiety. Nie oczekuj od niego żadnych obietnic.

W końcu okazało się, że Gavin, niech go szlag, miał rację. Tamtego wieczoru, kiedy *Michelle pobiegła powiedzieć* Samowi o dziecku, nie zastała go. Wyjechał bez śladu, pozostawiając puste mieszkanie, które wynajmował razem z matką.

- Michelle? - Głos Gavina przywrócił ją do rzeczywistości. - Zamilkłaś.

- Chyba dlatego, że jest tak wiele do powiedzenia.

11

Sylwia miała się lada chwila ożrebić. Przez całą noc klacz nie zmrużyła oczu i nie zjadła ani kęsa. Była bardzo gruba, przez cały czas przyglądała się swojemu brzuchowi, jak gdyby nie należał do niej. Ciało klaczy było pokryte potem. W każdej chwili mogły odejść wody płodowe.

Sam przeszedł przez pole w kierunku Edwarda Blissa i Cody'ego, którzy ustawiali płot chroniący przed śniegiem, przygotowując w ten sposób stok do nadejścia wiosny, kiedy z gór posypią się lawiny. Zmusił się, żeby podejść do nich bez pośpiechu, zachować obojętny wyraz twarzy, podczas gdy tak naprawdę miał ochotę podbiec i chwycić w objęcia swojego syna. To był jego syn. Jego ciało i krew.

Jak to możliwe, że Cody przyszedł na świat, a on nie miał o tym pojęcia?

Na całym świecie każdego dnia rodziły się dzieci, które nie znały swoich ojców. Może Sam nie różnił się niczym od Calyxa, czempiona czystej krwi, który zapłodnił Sylwię?

W tamtym czasie, kiedy Cody przyszedł na świat, on uciekał. Po tym jak razem z matką wymknęli się prawu, nigdzie nie zagrzali miejsca. Czeki bez pokrycia, niezapłacone rachunki i kolekcja wezwań do sądu unosiły się za nimi niczym tumany kurzu.

Tamtej dawno minionej nocy, kiedy jego życie rozpadło się na kawałki, nie miał nawet czasu, żeby zapiąć koszulę. Kolejne

miesiące spędzał w motelach albo przyczepach, a jedną albo dwie noce wręcz w przydrożnych parkach. Nic nie trwało wiecznie, ani praca, ani pieniądze, ani nawet szczęście.

Aż do rodeo w Lander. To był zwykły zbieg okoliczności, że valiant zepsuł się właśnie w Wyoming, tuż pod billboardem, który ogłaszał coroczne wiosenne zawody. Tammi Lee zaoszczędziła tylko tyle pieniędzy, żeby móc zatankować ćwierć baku. Sam poszedł do miasta w nadziei, że zarobi parę dolców jako pomocnik przy boksach.

Zamiast tego natknął się na mężczyznę, który leżał na noszach. Miał bladą twarz, a poraniony kciuk trzymał w kubku z kawałkami lodu. Sam przyglądał się temu raczej z zainteresowaniem niż przerażeniem.

To była jedna z klasycznych kontuzji, które czyhały na zawodników turniejów z lassem. Za każdym razem, kiedy kowboj rzucał linę w złą stronę, szarpnięcie mogło wyrwać mu kciuk. Partner zranionego kowboja spojrzął z niepokojem w stronę kasy. Nie chciał, żeby go zdyskwalifikowano, a sam nie mógł startować w zawodach. Sam nie miał nic do stracenia, dlatego bez wahania zaproponował mu pomoc. Wszyscy byli tak zajęci poszkodowanym, że nawet nie mieli głowy, żeby zakwestionować udział Sama w zawodach. Natychmiast przypięto mu numer i wypuszczono na arenę.

Pod koniec wieczoru on i jego partner wygrali tytuł mistrza regionu i dziewięć tysięcy dolarów. Zachęcony przez dobry los rozpoczął karierę. Na początek kupił starą poobijaną przyczepę oraz pick-upa. Następnie zaczął się rozglądać za koniem. Poszukiwania zajęły mu wiele miesięcy, ale opłaciły się, kiedy znalazł Sherlocka, który wcale nie był tani. Koń został jedynym współnikiem i najlepszym przyjacielem Sama.

Sam zawsze pracował w pojedynkę. Jego specjalnością były zawody w łapaniu bydła na lasso. Nie chciał trwonić pieniędzy na współników. Zostawił matkę w motelu na przedmieściach Cheyenne i wyjechał w świat swoim pick-upem. Brał udział we wszystkich zawodach rodeo od San Angelo aż po Calgary. Sypiał w przyczepie Sherlocka. Żywił się wyłącznie w fast-

-foodach. Zdarzało się, że zostawał na noc u różnych kobiet, które kochały zwycięzców rodeo. Bardzo często łapał się na tym, że rozmyśla o pewnej dziewczynie o łagodnym, szczerym spojrzeniu. Czasem nie mógł zasnąć w nocy. Słuchał wtedy świerszczy i zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do tej dziewczyny. Raz nawet zebrał się na odwagę.

- Masz tupet, chłopcze, żeby tutaj dzwonić" - wrzasnął na niego Gavin Slade.

Sam zacisnął pięści na szybie budki telefonicznej w Oklahoma City.

- Chciałbym porozmawiać z Michelle, panie Slade.

- Po moim trupie. Okradłeś mnie, McPhee...

- To cholerne kłamstwo. - Dopiero po wielu miesiącach Samowi udało się ułożyć w całość strzępy informacji, którymi dysponował. Okazało się, że tego dnia, kiedy Jake Dollarhide widział go, jak w towarzystwie Michelle opuszczał jej studio, z kasy zarządcy rancza zginęło kilkaset dolarów. Komuś zależało na tym, żeby go zrobić, to było dla niego jasne jak słońce. Sam nie miał pewności, czy Jake maczał w tym palce, ale przypuszczał, że tak właśnie było.

- Nie dzwoni tutaj nigdy więcej - ostrzegł go Gavin, po czym rzucił słuchawkę.

Sam posłuchał. Nie próbował więcej do niej dzwonić. Wiedział, że to nie miałyby sensu. Jego matka miała poważne kłopoty. On sam nie powinien był opuszczać okręgu, a Michelle musiała iść na studia. Romans bogatej dziewczyny i biednego chłopaka musiał się tak skończyć, to stało się dla niego oczywiste. Wstyd i zraniona duma pogrzebały resztki jego niewinności. Czy Michelle uwierzyła, że był złodziejem? A może domyśliła się, że ktoś go zrobił? Wszystko jedno, to i tak nie miało teraz znaczenia.

Pod koniec sezonu Sam wygrał wystarczająco dużo turniejów, by kupić matce niewielki dom niedaleko Seguin, w Teksasie. Rok później zrobił dyplom i zaoszczędził pieniądze na edukację w college'u. Między występami na rodeo, studiami i opieką nad matką nie miał zbyt wiele czasu, żeby odetchnąć,

a tym bardziej żeby dowiedzieć się, że jedyna dziewczyna, jaką kiedykolwiek kochał, urodziła mu syna.

Kiedy podszedł do Cody'ego, skarcił się w duchu za to, że wciąż stara się wyobrazić go sobie jako niemowlaka albo małego szkraba. Musiał z tym skończyć. Tego dziecka już nie było, a jego miejsce zajął wściekły nastolatek. Co gorsza, Sam zupełnie nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Czy naprawdę chciał poznać tego chłopca? Czy chciał zagłębić się w jego problemy i pogrążyć się w jego złości?

- Cześć, chłopaki - powiedział, przyglądając się ogrodzeniu. - Jak wam idzie?

- W porządku. - Cody wstał i wskazał ręką długą linię kołków, wbitych na skraju wzgórza, gdzie zagrożenie lawinowe było największe. - Tak mi się wydaje.

Sam wstrzymał oddech. Powiedziała ci o mnie, Cody? Czy powiedziała ci, że jestem twoim ojcem?

Najwyraźniej nie zrobiła tego, sądząc po zachowaniu chłopaka. Sam zauważył, że garbi plecy, a jego nos był czerwony z zimna.

- Zauważyłeś trop kota? - zapytał.

- Masz na myśli kuguara?

- Tak. W zeszłym tygodniu Edward znalazł resztki jego łupu.

- Poharatanego zająca - uściślił Edward. - Jak sobie radzi Sylwia?

- Właśnie w tej sprawie do was przyszedłem - wyjaśnił Sam. - Już czas.

- Co? - zainteresował się Cody, całkiem zapominając o wystudiowanej obojętności.

- Sylwia, klacz - wyjaśnił Sam. - Zaraz odejdą jej wody. Potem źrebak pojawi się w okamgnieniu.

- Naprawdę? - Twarz chłopaka pojaśniała. Nawet z tym kolczykiem i dziwną fryzurą był cholernie przystojny. - Możemy ją zobaczyć?

Sam odwrócił się w stronę śnieżnych skuterów, z trudem skrywając uśmiech.

- Ma nadzieję, że nie jesteś wrażliwy, Cody.

- Ja? W życiu, człowieku. Mam żołądek z żelaza.

Mroźny wiatr owiewał ich twarze, kiedy wracali. Biegli, żeby nie spóźnić się na rozwiązanie.

Z oświetlonej stajni dobiegło ich niskie rżenie. Na skrzynce leżał zestaw dla źrebaka, rękawiczki i narzędzia chirurgiczne, taśma, karta nienarodzonego konia, stoper i lekarstwa. Sam podbiegł do boksu. Klacz kiwała głową w górę i w dół, grzebała kopytem w sianie i była wyjątkowo niespokojna.

- Wszystko w porządku? - zapytał Edward.

- Zobaczmy. - Sam chwycił stetoskop i zaczął osłuchiwać brzuch klaczy. Przerwany oddech i nierówny puls potwierdziły jego podejrzenia. Mógł wyczuć bicie serca płodu.

Niestety bicie było zbyt szybkie i nerwowe.

- Płód jest zagrożony. Czeka nas trudny poród.

- Mam wezwać weterynarza? - zapytał Edward.

- Zadzwoń po niego, ale mam przeczucie, że źrebak przyjdzie na świat, zanim lekarz zdąży przyjechać. Zobaczmy, jaki kształt będzie miała torba owodniowa, kiedy się nam ukaże. - Zaklął pod nosem. Kochał tę klacz i nie chciał jej stracić.

- Co to znaczy? - Cody zerknął na klacz znad barierki. - To, co powiedziałaś, nie brzmi najlepiej.

- To znaczy, że płód ułożył się w złej pozycji. To nie jest dobra nowina. Edward! - krzyknął - zobacz, czy da się podkręcić piec. Nie chciałbym, żeby mały się przeziębził. - Wskazał ruchem ręki na wiadro stojące obok spoconej klaczy. - Cody, wyświadcz mi przysługę i zwiąż jej ogon tą białą taśmą. Potem możesz umyć jej krocze i sutki, dobrze? Jeżeli nie utrzymamy jej w czystości, może wdać się infekcja.

- Umyć jej... - Cody wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Sutki. I krocze.

- To jest...

- Dokładnie to, o czym myślisz.

- O rany.

- Powiedziałaś, że masz żołądek z żelaza.

Cody burknął coś pod nosem, ale wziął do ręki taśmę. Niepewnie unióś ogon konia i skrzywił się, podczas gdy Sam dotykał brzucha zwierzęcia.

- Obrzydlistwo - jęknął Gody.
- Klacz w ciąży bardzo często wydała - wyjaśnił mu Sam.
- Cudownie.

Mimo narzekania chłopak wykonał całkiem niezłą robotę, owijając ogon klaczy. Potem przyniósł wiadro wody i środek dezynfekujący. Z gorliwością, jakiej oczekiwał od niego Sam, zaczął czyścić okolice sutków.

- Hej! - krzyknął - coś z niej wycieka.

Sam przyjrzał się uważnie zwierzęciu.

- To jest smółka.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że musisz się pośpieszyć i czym prędzej odkazić jej krocze, ponieważ za chwilę wszystko potoczy się bardzo szybko. - Sam starał się ukryć niepokój. Obaj z Edwardem odbierali porody wiele razy. Prawie wszystkie zakończyły się sukcesem. Ale tym razem źrebiła się Sylwia. Najlepsza klacz, jaką miał kiedykolwiek.

Chłopak wziął głęboki wdech i zamoczył kawałek materiału. Uniósł zawinięty w taśmę ogon i zaczął myć. Na początku zachowywał się bardzo niepewnie. Westchnął przeciągle z niezadowolaniem i zrezygnowany dokończył pracę.

- Możesz trochę się cofnąć - poradził Sam Cody'emu. - Bo jeżeli będziesz stał tuż za nią, kiedy odejdą wody...

Za późno. Zanim zdążył dokończyć zdanie, klacz zaczęła się źrebić.

Wody płodowe wylądowały na Codym. Kilka litrów ciepłego płynu przemoczyło chłopaka.

- Cholera! - wrzasnął, odskakując na bok.

- Przykro mi. - Sam przygryzł policzek, żeby się nie roześmiać. - Staralem się ostrzec.

- Wielki dzięki.

- Chcesz się przebrać?

Cody ruszył do drzwi, ale po chwili zatrzymał się.

- Czy coś przegapię?

- Żrebak może pojawić się w każdej chwili.

- W takim razie zostanę. - Zdjął czarną skórzaną kurtkę, której Sam nie znosił, po czym rzucił ją na ziemię w róg boksu. Sam odniósł dziwne wrażenie, że razem ze skórą chłopak pozbył się cynizmu. Dopiero teraz, kiedy na niego patrzył, widział młodego chłopca, na którego twarzy malowało się zainteresowanie.

- Cholera - powtórzył. Otworzył szeroko oczy.

Błyszczący balon wypełniony owodnią zaczął wychodzić na zewnątrz.

- Połóż się - zwrócił się Sam do Sylwii. - Połóż się, grzeczna dziewczynka.

Po kilku minutach klacz pochyliła się, po czym opadła na ziemię z wysiłkiem.

- Nie ruszaj się, kochanie. - Sam uklęknął przy niej. Trzymał ją i mrucał jej do ucha. - Leż...

Sylwia zarżała i zerwała się na równe nogi.

- Jest bardzo źle? - zapytał Cody. Z każdą chwilą jego twarz stawała się coraz bledsza. - Nie powinna teraz stać, prawda?

- Byłoby lepiej, gdyby się położyła - przyznał Sam. - Ale nie ma sensu kłócić się z koniem, który tyle waży. Ona...

Zamilkł, kiedy boki klaczy zaczęły poruszać się niespokojnie.

- Jest w drodze - oznajmił Edward, trzymając w ręku słuchawkę telefonu.

Sam poklepał Sylwii po szyi.

- Weterynarz?

- Jest w Big Arm. Nie będzie u nas wcześniej niż za godzinę.

- Więc jesteśmy zdani tylko na siebie - odparł Sam. - Połóż się, kochanie, bardzo dobrze... - szeptał do niej i głaskał ją delikatnie. - Połóż się, grzeczna dziewczynka. - W końcu koń poddał się i pochylił. Sam miał nadzieję, że zostanie w tej pozycji wystarczająco długo, żeby mógł ją przebadać i zorientować się w sytuacji. - Cody, pomóż mi.

Chłopak zawahał się tylko przez moment.

- Jasne.

Żrebak był ułożony nogami do przodu, co nie wróżyło najlepiej. Sylwia kręciła się i wiła po ziemi pod wpływem instynktu, który nakazywał jej ułożyć płód w odpowiedniej pozycji. Kiedy to nie pomogło, Sam skinął głową do Edwarda.

- Potrzebuje naszej pomocy. - Przytrzymał głowę klaczy. Przez cały czas przemawiał do niej łagodnie, starając się ją uspokoić. Edward i Cody podarli koszulki na równe pasy, którymi później związali wierzgające nogi zwierzęcia. Edward przez cały czas kłął, a Cody przyglądał się wszystkiemu z fascynacją i niepokojem.

- Zaczynam tracić płód. Cholera, ale tam wąsko - denerwował się Edward, trzymając rękę wewnątrz klaczy. - Cody, ty masz mniejsze ręce niż ja?

- Tak mi się wydaje. Chcesz, żeby spróbował?

Edward zawahał się, ale już po chwili wycofał się, kiedy ustąpił skurcz. Podał Cody'emu pojemnik z wazeliną.

- Zależy nam na tym, żebyś ułożył przednie nogi żrebaka... Powinien być ułożony w ten sposób. Rozumiesz?

- Tak. - Cody posmarował rękę wazeliną i wziął głęboki oddech. Kilka sekund później wsunął rękę do środka zwierzęcia. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Sam roześmiałyby się na widok wyrazu twarzy chłopaka. Przez cały czas Edward wydawał mu polecenia i tłumaczył, jak postępować, żeby ułożyć nogi na dole, a potem je odwrócić.

Sylwia rżała boleśnie i zaczęła przeć. Najpierw wypchnęła rękę Cody'ego, a potem kawałek po kawałku zaczęły ukazywać się kopyta żrebaka. Cody nie zdążył odsunąć się na czas i żrebak upadł mu na kolana.

- Spokojnie. - Sam pochylił się, żeby przebadać noworodka. Oczyścił mu gardło i nos. Małeństwo poruszyło się niespokojnie, a potem zakaszało i na koniec zaczęło samodzielnie oddychać. Jego bładny łeb w końcu nabrał kolorów. Pępowina, która nadal łączyła go z matką, pulsowała zgodnie z biciem serca klaczy. Sylwia podniosła się z wysiłkiem i odwróciła, żeby polizać swoje dziecko.

POWRÓT

- O rany - powiedział Cody. Oczy miał duże niczym spodki, cały był mokry, a na jego twarzy malował się wielki uśmiech. - O rany.

Sam polał pępowinę jodyną. Powinien był zostać weterynarzem albo nauczycielem.

Zamiast tego był ojcem, który nie znał własnego syna.

Ale to już wkrótce się zmieni. Był o tym przekonany, kiedy patrzył na twarz chłopca.

Owodnia nadal zwisała między nogami klaczy i uderzała o nie. Sam zorientował się, że nadchodzi skurcz, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Sylwia wierzgnęła kopytami i trafiła Cody'ego prosto w skroń.

12

Kiedy zbliżali się do Crystal City, Gavin nadal miał wzrok utkwiony w drodze. Jego kwadratowa szczęka była rozluźniona, a ręce spoczywały miękko na kierownicy. A jednak Michelle była pewna, że od kiedy opuścili szpital, w jego zachowaniu zaszły pewne zmiany. Nie miała cienia wątpliwości, że ta wizyta wytrąciła go z równowagi. Powiedzieli im, że operacja rozpocznie się w poniedziałek o 6.45. Może świadomość wyznaczonego terminu podziałała na niego w ten sposób.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Znajduję się w ostatecznym stadium niewydolności nerek - odparł. - Jak mogę czuć się dobrze?

- Przykro mi. Żałuję, że nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz mnie za cokolwiek przepraszać. - Zaciśnął ręce na kierownicy. - Zawsze byłem ojcem nieudacznikiem. Ta choroba tylko podkreśla moją nieudolność.

- Sama nie wiem. - Starła się zachować naturalny ton głosu. - Ktoś wierzący powiedziałby, że połączyły nas losy świata.

- Wierzysz, Michelle?

Wyjrzała przez okno. Zobaczyła jedynie długie szarobiałe smugi autostrady i śniegu.

- Kiedyś wierzyłam.

Ani na chwilę nie spuścił wzroku z drogi.

- Kiedy twoja matka powiedziała mi, że jest w ciąży,

spanikowałem. Właśnie rozpoczynałem karierę. Znalazłem się w oku cyklonu najbardziej bezlitosnego biznesu na świecie i nie sądziłem, że sobie poradzę, a tym bardziej wydawało mi się to niemożliwe z rodziną na karku. Aż do tamtej chwili przez całe życie uważałem się za nieudacznika, nalewałem paliwo na stacjach i starałem się wiązać koniec z końcem, biegając w przerwach na zdjęcia próbne. Nie miałem nawet własnego garnka, Michelle. Wynajmowałem kawalerkę w Studio City i zmagalem się z rolą, która nie wróżyła mi kariery.

Jego słowa przypominały tekst ze scenariusza.

- To musiała być rola w „Schronieniu przed burzą”. - Ten film sprawił, że jego imię stało się sławne na całym świecie.

- Wiem, że to nie jest dobra wymówka, ale wtedy kariera była dla mnie wszystkim. Wydawało mi się, że do obowiązków ojca należy wysyłanie czeków i odwiedziny na specjalne okazje. Prawda jest taka, że nigdy nie wiedziałem, jak być ojcem, i byłem zbyt przerażony, żeby spróbować. Michelle, oddałbym wszystko, żeby to zmienić, ale nie mogę. To jedna z lekcji, której ludzkość nigdy nie pojmie. Przeszłości nie można zmienić. - Spojrzył na nią kątem oka. - Mam tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, żeby naprawić błędy.

- Dlaczego nawet nie spróbowałeś, tato? Nie wiedziałeś, że byłeś mi potrzebny? - Pełne złości i jadu pytania posypały się z jej ust.

- Michelle...

Zadzwoiła komórka. Sygnał zaskoczył ich i przerwał napięcie, które zapanowało w samochodzie. Michelle ogarnęło rozdrażnienie. Raz w życiu miała okazję szczerze porozmawiać z własnym ojcem i akurat teraz musiał zadzwonić telefon. Gavin włączył zestaw głośno mówiący.

- Słucham.

- Mówi Edward Bliss, z rancza Samotna Sosna.

- W czym mogę ci pomóc, Edwardzie? Mówisz przez zestaw głośno mówiący.

- Czy jest z tobą Michelle?

- Jestem tutaj. - Przeszedł ją zimny dreszcz. - Czy coś się stało?

- Michelle, jestem w szpitalu Meridian County. Twój chłopak, on...

- Jezu Chryste! - Gavin przycisnął pedał gazu i samochód wystrzelił do przodu.

- Co się stało? - Omal nie stanęło jej serce.

- Nic mu nie będzie - wyjaśnił pośpiesznie Edward. - Koń kopnął go w głowę.

- Mój Boże...

- To się czasem zdarza... - Zakłócenie na linii zniekształciło głos Edwarda. Kiedy górskie szczyty rzuciły cień na drogę, połączenie zostało zerwane.

- Będziemy tam za pięć minut - poinformował ją Gavin. - Zapięłaś pasy?

Michelle skinęła głową. Nie mogła się odezwać. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów do modlitwy.

Samochód zahamował z piskiem przed głównym wejściem miejskiego szpitala. Michelle wyskoczyła z auta, łapiąc w biegu torebkę. Automatyczne drzwi otworzyły się przed nią z sykiem. Kiedy podbiegła do rejestracji, z trudem łąpała oddech.

- Cody Turner. - Poczowała bolesne klucie w piersi. - Jest moim synem. Został uderzony w głowę...

- ...przez klacz Sama McPhee - dokończyła kobieta z obsługi. - Gabinet badań za kotarą, proszę pani. - Podniosła notes. - A teraz, gdyby zechciała pani udzielić nam kilku informacji...

- Później. - Pobiegła korytarzem. Linoleum w kolorze ziemi, zielone kafelki na ścianach, szerokie drzwi o szybach z białego szkła... Czy wszystkie szpitale wyglądały w ten sposób? W gabinecie badań Michelle wpadła na pielęgniarkę, która trzymała tacę z przyrządami medycznymi.

- Czy pani jest matką?

Matka. To słowo w ustach tej kobiety brzmiało tak ciężko, tak okropnie. Michelle wyprostowała ramiona i zmusiła się do odpowiedzi.

- Tak.

Pielęgniarka z tabliczką, na której czerwonymi literami widniały dwa słowa: Alice O'Brien, skinęła głową i wskazała ręką zieloną zasłonę, która odgradzała stanowisko badań od reszty gabinetu. Spod spodu wystawały błękitne dżinsy i buty. Zza kotary dochodził niski męski głos, który szeptał niezrozumiałe słowa.

- Jest z nim lekarz - dodała siostra O'Brien.

Michelle rozsunęła zasłonę.

- Cody?

- Cześć, mamó. - Miał taki słaby głos. Na jego czole widniała pokaźnych rozmiarów rana. Stróżki krwi zlepily kilka kosmyków włosów. Skóra na czole przybrała niebieskawy odcień. Całe jego ubranie było przemoczone, pokryte krwią i białym śluzem. Michelle chciała go dotknąć, przytulić, krzyczeć ze szczęścia, że był przytomny.

Tuż obok niego stał Sam McPhee.

- Sam? Gdzie jest lekarz?

Dopiero wtedy zauważyła, że miał na sobie zielony fartuch, gumowe rękawiczki i okulary z małą latarką.

Michelle zamrugowała.

- Mamó, Sam jest lekarzem - wymamrotał Cody.

- Kim? - Wpatrzyła się w Sama z niedowierzaniem. - Kim ty jesteś?

- Lekarzem. - Uniósł kącik ust. - Dlaczego mam wrażenie, że powinienem cię za to przeprosić?

- Mój Boże. - Osunęła się bezwładnie na metalowy stołek tuż obok kozetki. Ta informacja dotarła do niej zbyt szybko. - W porządku, po prostu powiedz mi, jak się czuje Cody. Wygląda strasznie. Czy on...

- Doznał obrażenia głowy, Michelle. I miał dużo szczęścia, bo najwyraźniej nic mu nie jest. - Głos Sama był niezwykle łagodny. - To, czym pokryte jest jego ubranie, należy do kłaczy.

Pielęgniarka przyniosła kolejną tacę i postawiła ją na stoliku obok Sama. Pojawiła się także dziewczyna z rejestracji.

- Musi pani to podpisać.

- Co to takiego?

- Pozwolenie.

Michelle wzięła od niej dokumenty i spojrzała na Sama.

- Na co mam się zgodzić?

- Na leczenie. W tym wypadku powinnaś wyrazić zgodę, żebym mógł pozszywać mu głowę.

- Nie chcę żadnych szwów, człowieku. - Usta Cody'ego były całkiem sine, a na jego twarzy malował się niepokój.

- Zastosujemy znieczulenie miejscowe. To potrwa o wiele krócej niż wizyta u dentysty - uspokoił go Sam.

Michelle złożyła podpis w dolnym rogu kartki. Na następnej stronie odpowiedziała na kilka pytań dotyczących przebytych chorób Cody'ego, ewentualnych alergii, reakcji na leki. Wszystkie odpowiedzi były negatywne. Poniżej znajdował się tekst małym drukiem.

- Co to takiego?

- Zgoda - odparła kobieta z rejestracji.

- Chciałbym zatrzymać go na noc - wytłumaczył Sam. - Jego wyniki są doskonałe, a to oznacza, że wszystkie odruchy neurologiczne są w najlepszym porządku. Tomografia wykazała nieznaczne uszkodzenia i dlatego jedynym leczeniem, jakiego wymaga, jest krótka obserwacja. W ciągu kilku kolejnych dni przeprowadzimy rutynowe badania, ale nie spodziewam się żadnych komplikacji.

Kiedy podpisywała dokumenty, trzęsły się jej ręce. Słyszała, jak wszedł jej ojciec.

- Cześć, Sam - powiedział.

- Cześć. - Sam ani na moment nie oderwał wzroku od Cody'ego.

Gavin usiadł na plastikowym krześle obok drzwi. Niespodziewanie ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości tej sytuacji. Stała w jednej ze szpitalnych sal otoczona przez mężczyzn swojego życia. Całe zajście wydawało się sennym koszmarem.

Zmusiła się, żeby się skupić.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Cody pomagał mi w czasie porodu klaczy - wyjaśnił

Sam. - Wykonał kawał dobrej roboty. Odwrócił żrebaka. Pomógł Sylwii urodzić śliczne małe źrebiątko. To jest właśnie dobra wiadomość. Możesz potrzymać te kleszcze, Alice? - zwrócił się do pielęgniarki, po czym zaczął opatrywać ranę.

- Niestety zła wiadomość jest taka - kontynuował - że po ożrebieciu się Sylwia była trochę niespokojna i zaczęła kopać. - Podniósł do góry opatrunek, odsłaniając przy tym niepokojąco głęboką szramę. Cała gaza była przesiąknięta krwią. - Oddychaj przez nos, Michelle. To nie jest przyjemny widok.

Przysunęła taboret bliżej łóżka. Dłoń Cody'ego leżała bezwładnie na niebieskim papierowym prześcieradle. Michelle chwyciła mocno jego skostniałe palce.

- Wszystko będzie dobrze, dziecinko- wyszeptwała. Była spokojna i opanowana, mimo że doskonale wiedziała, iż później rozpadnie się na drobne kawałeczki. - Nie ruszaj się.

Cody przełknął ciężko. Jego policzki i szyja całkiem zbladły. Chociaż ten jeden raz nie skrzywił się, kiedy nazwała go pieszczotliwie, tak jak to robiła, kiedy był mały.

Sam i pielęgniarka oczyścili ranę. Jakoś udało się Michelle zachować spokój, kiedy przeraził ją oderwany płat skóry oraz strumyk krwi. Rana kształtem przypominała odwrócony do góry nogami rożek, Michelle przyglądała się z uwagą dłoniom Sama. Była pod wrażeniem siły, delikatności i czułości, z jaką pracowały.

Jego oddanie równocześnie dodawało jej otuchy i przerażało. Powoli zaczęły do niej docierać fakty. Sam został lekarzem. Lekarzem!

Obrzydliwe uczucie zaczęło dręczyć Michelle. Nie chciała tego czuć, nie chciała o tym myśleć, ale musiała przyznać się, że udało jej się przekonać samą siebie, że Sam nigdy w życiu nie osiągnie nic poza zdobyciem tytułu mistrza rodeo. Właśnie w ten sposób myślała o nim przez ostatnie siedemnaście lat. To była wymówka, którą się posługiwała, żeby nie poruszyć ziemi i nieba, aby go odszukać. Przekonała siebie, że tylko by jej zawadzał i nie byłby dobrym przykładem dla syna.

Ale teraz zroszowała, że Sam spełnił swoje marzenia, podczas gdy ona zrezygnowała ze swoich.

Nie pozwól mi być taka mała, taka żałosna, myślała. Nie pozwól mi tak się czuć.

Całe szczęście Gody wyzwolił ją z tych myśli. Pielęgniarka odwróciła się w jego stronę, trzymając w ręku maszynkę do golenia. Cody ścisnął jej rękę z przerażeniem i zaskoczeniem na twarzy. W tym momencie zalała ją ogromna fala miłości. Sam urzeczywistnił swoje marzenia, ale ona została matką Cody'ego i nic nie mogło się temu równać.

- Mamo... -jęknął Cody.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Od miesiący suszę ci głowę z powodu długich włosów. Chyba teraz nadszedł odpowiedni moment, żebyś je ściała.

Nie była pewna, ale kiedy siostra O'Brien strzygła Cody'ego, na ustach Sama pojawił się lekki uśmiech.

Ktoś z personelu przyniósł Gavinowi kubek wody. Michelle zupełnie zapomniała o jego obecności. Ostre światło świetlówek podkreślało ciemne kręgi pod oczami.

- Tato, powinienes wracać do domu. To był długi dzień.

- Zostanę.

- Nie musisz. Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz trzeba, to opieka nad wami dwoma naraz. Czuję się o wiele lepiej, gdybyś poczekał na mnie w domu. Zadzwoń do ciebie.

- Zostaję - upierał się głębokim wystudiowanym głosem.

On dobrze wiedział. Wiedział, że ojciec jej dziecka został lekarzem i osiedlił się tutaj, w Crystal City, i nawet nie pofatygował się, by ją o tym powiadomić.

- Niech to szlag. - Nie potrafiła dłużej tłumić napięcia. - Denerwujesz mnie, kiedy tak tutaj siedzisz i czekasz. Proszę, tato...

- Podwożę Michelle do domu, jak tylko skończę - przerwał jej Sam ze zniecierpliwieniem w głosie. Miał prawo być zdenerwowany. W tej chwili powinien skupić się na zabiegu, a zamiast tego uczestniczył w rodzinnej sprzeczce.

Gavin zawahał się. W końcu skinął głową i wstał. Podeszedł do stołu i ścisnął Cody'ego za ramię.

- Trzymaj się, słyszysz?

To był drugi raz, kiedy Gavin dotknął Cody'ego i tym razem zrobił to całkiem inaczej.

- Jasne - odparł Cody. - Co zobaczenia.

- Znieczulimy teraz tę część głowy - powiedział Sam. Siostra O'Brien dokończyła strzyżenie, a potem zdezynfekowała ranę i zarzuciła kawałek materiału na twarz chłopca.

- Trochę zapieczę - ostrzegł Sam. Potrafił przekazywać niemiłe informacje w sposób, który nie przerażał pacjenta. - Poczujesz ukłucie i prawdopodobnie do oczu napłyną ci łzy.

Doskonałe posunięcie, pomyślała Michelle. Dać dziecku wymówkę do płaczu, na wypadek gdyby nie potrafił opanować łez.

Cody ścisnął jej rękę, Michelle odwzajemniła uścisk. Sam bardzo powoli zaaplikował ksylokainę, po czym odłożył strzykawkę.

- W porządku, mamy teraz kilka minut, żeby porozmawiać - powiedział. - To musi trochę potrwać, zanim znieczulenie zadziała.

Michelle przełknęła ślinę, a mimo to nadal czuła ucisk w gardle.

- Więc porozmawiajmy.

- Niewątpliwie jest to duża rana. - Nie dotykając Cody'ego, obrysował linię skaleczenia. - Cody stał bardzo blisko klaczy. To się mogło skończyć o wiele gorzej, ale na szczęście wczoraj wieczorem Edward zdjął Sylwii podkowy. Wiedział, że poród może się rozpocząć lada moment. Dzięki temu obrażenia są o wiele mniejsze, niż mogłyby być.

Poczuła dziwny, ale jakże znajomy zapach na mokrym ubraniu Cody'ego. Ta mieszanka piżma, delikatnej słodyczy i zapachu oceanu przywiodła jej na myśl zapach narodzin. Jej syn miał w nim swój udział.

Sam ponownie wskazał na czoło Cody'ego.

- Widzisz, jak schodzi w dół do skroni?

Skinęła głową, przyglądając się delikatnym śladom cienkich żyłek. Pomyślała, jak bezbrinnie wyglądało teraz jej dziecko.

- To oznacza, że będę zszywał dokładnie w tym miejscu.
- Go prawda nie jestem chirurgiem plastycznym- kontynuował. - Zazwyczaj oddaję takie przypadki w ręce specjalistów.

- Tym razem będzie inaczej?

- Tym razem jestem skłonny wykonać ten zabieg osobiście. Założę mnóstwo cieniutkich szwów, tak jak to robiłem w czasie praktyk medycznych. Prawdopodobnie blizna będzie widoczna - dokończył.

- Czy istnieje inne wyjście? - zapytała.

- Mogę opatrzyć ranę, a ty zabierzesz go do Missoula. Mają tam świetnego specjalistę.

- Chirurg plastyczny nie przyjedzie tutaj?

Sam zawahał się.

- Nie ten.

- Więc mam zdecydować?

Sam przyglądał się jej przez chwilę, a ona zastanawiała się, co też chodzi mu po głowie. Była ciekawa, co czuje, kiedy tuż obok leży jego syn z dziurą w głowie, a on nie ma prawa decydować o jego leczeniu. Przypomniała sobie wszystkie sytuacje, kiedy musiała podejmować decyzje dotyczące Cody'ego i żałowała, że nie było przy niej nikogo, kto zdjąłby z niej ten ciężar odpowiedzialności. Czuła się wtedy taka samotna.

- Nie ma innej możliwości, Michelle.

- Chcę, żebyś powiedział mi, co robić.

- Istnieje duża szansa, że podróż do Missoula nie wyrządzi mu wielkiej krzywdy...

- Przestań zachowywać się jak... lekarz. Chcę, żebyś mi powiedział, jak najlepiej powinnam postąpić...

- Po prostu zaszyjcie tę cholerną dziurę. - Dobiegł ich cichy rozdrażniony głos spod płatu materiału.

Sam i Michelle spojrzeli na Cody'ego.

- Naprawdę? - zapytała.

- Tak. Chcę to mieć za sobą. Nie podoba mi się pomysł jazdy do Missoula.

- Jak duża będzie ta blizna? - zwróciła się do Sama.
- Już Ci pokazałem to miejsce. To będzie bardzo cienka linia. Na początku czerwona, ale potem zblednie i stanie się całkiem biała.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Ten nieszczęśliwy wypadek pozostawi ślad do końca życia. Cody już nigdy nie będzie taki sam.

- Zrób to - odezwał się zrozpaczony Cody.

- W porządku. - Jej głos był łagodny. - Dokończ ten zabieg, Sam.

Przez kilka minut stał nieruchomo. Nie poruszył się, a mimo to Michelle czuła promieniujący od niego spokój. W końcu wziął do ręki nici i zabrał się do pracy. Posługiwał się narzędziami tak sprawnie, że Michelle musiała wyteńczyć wzrok, żeby obserwować jego ruchy. Przez cały czas trzymała syna za rękę, podczas gdy on leżał spokojnie i nieruchomo.

Mimo zapewnień Sama, że nie jest specjalistą, Michelle jednego była pewna. Sam McPhee był dobrym lekarzem. Razem z pielęgniarką tworzyli zgrany zespół. Oboje zachowywali się tak, jak gdyby znali się od lat i świetnie czuli się w swoim towarzystwie. Od czasu do czasu pojawiała się dziewczyna z rejestracji, a wtedy Sam odpowiadał na jej pytania, ale ani na chwilę nie odrywał wzroku od pacjenta. Jego ręce poruszały się z precyzją i hipnotycznym wręcz rytmem.

Przez cały ten czas Cody nawet się nie poruszył i ani na moment nie puścił ręki Michelle.

Kiedy Sam skończył, Michelle postanowiła zadać mu kilka pytań, które nie dawały jej spokoju.

- Podejrzewam, że wiedziałeś o moim ojcu?

- Jestem lekarzem rodzinnym.

- Ale wiesz o jego chorobie?

- Mój partner, Karl Schenk, jest jego lekarzem. Gavin ci o tym nie wspomniał?

- Jedyne, co mogę zrobić, to być w stałym kontakcie z nefrologami i chirurgami.

Sam zawiązał szew.

- W Missoula zapewnią mu dobrą opiekę.
- Dostanie moją nerkę.

Sam zawahał się przez moment.

- To poważna sprawa, Michelle. Domyślam się, że przebadali go dokładnie przed transplantacją.

- Jak na to wpadłeś?

Mimo że na nią nie patrzył, najwyraźniej wyczuwał jej narastającą agresję.

- Nie wyzywaj się na mnie, Michelle. Generalnie Gavin jest zdrowy jak ryba. Nie pali, nie jest diabetykiem. Pod względem fizjologicznym nie mógłby być lepszym kandydatem. Tylko to miałem na myśli. Żaden lekarz nie wykorzysta popularności Gavina, żeby zrobić z niego bohatera reklamy na temat przeszczepów.

Zdjął serwetę z twarzy Cody'ego. Chłopak był blady, ale spokojny. Miał ciężkie powieki.

- W porządku, kowboju? - zapytał Sam.

- Chyba tak. - Wysunął dłoń z ręki Michelle. Wyglądał na zażenowanego, że przez cały czas trzymał się jej kurtki.

Sam wyjął małą latarkę i poświecił w jedno oko chłopca, a potem w drugie.

- Chyba mnie nie kopniesz w głowę, tak jak twoja ostatnia pacjentka?

- Podejmę decyzję, jak tylko obejrzę szwy.

Michelle bardzo podobał się sposób, w jaki Sam rozmawiał z synem. Znał go tylko dwa dni, a mimo to zachowywał się przy nim całkiem naturalnie i otwarcie. Czasem żałowała, że Brad nie jest taki...

Siostra Alice podała lusterko.

Sam uśmiechnął się.

- Przyjrzyj się swojej szramie, Frankensteinie.

Cody skrzywił się.

- Ładna fryzura.

- Możesz poprosić Hazlett, żeby to naprawił. Hazlett jest

tutejszym fryzjerem i odwiedza swoich klientów w domu, a nawet w szpitalu. Oczywiście możesz poczekać, aż wyzdrowiejesz - poradził mu Sam.

- Hej! Czy ja naprawdę muszę tutaj zostać?

Sam spojrzał mu prosto w oczy.

- Tak, ale tylko na jedną noc. Może być?

Michelle dostrzegła wątpliwość na twarzy Cody'ego, a potem spojrzała na Sama. Dobry Boże, pomyślała, oni wyglądają identycznie. Podobieństwo było o wiele bardziej uderzające teraz, kiedy Cody obciął włosy. Wyglądał prawie tak samo jak Sam w młodości, kiedy stał się początkiem i końcem jej świata.

Podniosła się szybko z taboretu.

- Zostanę z nim.

- Nie, nie zostaniesz, mamó - sprzeciwił się Cody. - Mogę spędzić jedną noc w szpitalu bez niczyjej pomocy.

Poklepała go po nodze. Znowu poczuła ten ciężar straty, jak gdyby jej mały chłopczyk zniknął z jej życia.

- Dzisiejsza noc będzie o wiele cięższa dla mnie niż dla ciebie.

- Nie martw się o mnie, mamó.

- Zawsze się o ciebie martwię. - Poczowała drapanie w gardle. - Dzięki, że trzymałeś mnie za rękę.

Uniosł kącki ust, wykrzywiając je w uśmiechu. Ten uśmiech też był taki jak Sama.

- Nie ma za co, mamó.

13

Kiedy Sam wyszedł ze szpitala, zastał Michelle na dworze. Siedziała w mroku. W dłoni trzymała styropianowy kubek z herbatą. Płakała. Wydała mu się taka bezbronna i samotna. Zatrzymał się.

- Hej - powiedział, siadając obok niej. - Masz chusteczkę.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyszła Alice O'Brien ze sportową torbą przewieszoną przez ramię. Była ładna w typowy dla pielęgniarek sposób. Kiedy spoglądała na Sama, jej twarz miała łagodny wyraz.

- Dobranoc, Sam - powiedziała.

- Do jutra, Alice.

Michelle śledziła ją wzrokiem, aż ciemności pochłonęły jej sylwetkę.

- Nie mówi do ciebie per panie doktorze.

Powinien wytłumaczyć jej, co zaszło między nim a Alice, ale w tej chwili nie miał na to ochoty. Istniały ważniejsze rzeczy, na których powinni się skupić.

- Dla tych ludzi jestem po prostu Samem McPhee. Jednym z nich. Jednym z trybików tutejszego mechanizmu. - Odwrócił się do niej i dostrzegł srebrną łzę spływającą po policzku. Chciał jej dotknąć. Posmakować. Sprawić, żeby zniknęła. Chryste. Wsunął ręce do kieszeni kurtki. - Wszystko w porządku?

Otarła twarz chusteczką.

- Jestem trochę przybita, to wszystko. Mam za sobą długi dzień.

- Byłaś dzisiaj wyjątkowo dzielna - stwierdził i nie zrobił tego tylko po to, żeby ją pocieszyć. Naprawdę tak uważał. Większość matek, które przywoziły do szpitala swoje dzieci, zachowywała się histerycznie i nie potrafiła znieść widoku ran ani krwi. Tymczasem ona zachowywała się jak kobieta o stalowych nerwach.

- Zawsze jestem dzielna, kiedy muszę wspierać Cody'ego - odparła.

- Nigdy nie widział cię zagubionej?

- Nigdy. Od samego początku obiecałam sobie, że będę dla niego opoką niczym skała Gibraltaru.

Jego serce słyszało wszystkie te słowa, których nie wymówiła. Wiedziało, że była całkiem sama. Kiedy rodzinę tworzą oboje rodzice, każde z nich może pozwolić sobie na luksus chwili słabości i zrzucić odpowiedzialność na drugiego. Kiedy ona miała kryzys, nie było przy niej nikogo, kto podałyby jej chusteczkę.

Nie mógł przestać się zastanawiać, jak wyglądałoby życie przy jej boku. Nie mógł przestać się zastanawiać, jaka dziwna była ta dorosła Michelle. Czy nudała płakała, kiedy słuchała smutnej piosenki? Czy dostawała czkawki, kiedy zbyt mocno się śmiała? Czy wciąż wydawała ten śmieszny dźwięk dochodzący z głębi gardła, kiedy przeżywała rozkosz?

Wstał. Przepełniała go złość, frustracja, zagubienie i nieodparta fascynacja tą kobietą, która pomimo tylu lat spędzonych daleko stąd tak naprawdę nigdy go nie opuściła.

- Pozwól zaprosić się na kolację.

- Nie. - Odmowa przyszła całkiem naturalnie, wręcz automatycznie.

- Zła odpowiedź, proszę pani. Pamiętaj, że to ja odwożę cię do domu.

- Ale...

- Żadnych ale. Poczekaj tutaj na mnie. Muszę się przebrać,

a potem zabieram cię do Trudy's na stek. - Ruszył w kierunku automatycznych drzwi. - Ludzie w Seattle chyba jedzą steki?

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Światło latarni rzucało łagodne cienie na jej policzki. W końcu uśmiechnęła się do niego.

- Podejrzewam, że ludzie z Montany poczuliby się urażeni, gdybym odmówiła?

Sam starał się nie obiecywać sobie zbyt wiele po tym wieczorze, ale mimo to rozkoszował się ciepłem, które go wypełniało. To było najprzyjemniejsze uczucie, jakie go w tym dniu ogarnęło. Kiedy był już w środku, podszedł do swojej szafki. Pomyślał o Codym. Leczenie własnego syna było czymś niesamowitym.

Cofnął się pamięcią do dnia, kiedy postanowił zostać lekarzem. Miał osiem może dziewięć lat. Jechał w poobijanym starym samochodzie wzdłuż prostej, płaskiej drogi. Na siedzeniu obok niego leżała torba cheetosów i butelka z jakimś czerwonym płynem. Jego mama paliła papierosa i śpiewała w rytm melodii nadawanych w radiu.

Jego mama znała słowa wszystkich piosenek, które kiedykolwiek znalazły się na topie, ponieważ przez jeden wspaniały rok była wokalistką zespołu Road Rage z Denver. Sam był zbyt mały, by to pamiętać, ale ona zawsze twierdziła, że to był najlepszy rok jej życia. Podróżowali po całym kraju, a ich hit „Dearly Departed” znalazł się na pierwszych miejscach list przebojów „Country Billboard”.

Niestety zespół bardzo szybko się rozpadł i każdy z jego członków poszedł w swoją stronę. Ale jego mama nie przestała śpiewać. Miała zachrypnięty od nikotyny i przepity głos.

Sam siedział w milczeniu i przyglądał się owadom, które rozmazywały się na szybie. Po pewnym czasie powiedział mamie, że musi siusiu, więc zatrzymali się na parkingu. Kiedy wrócił z toalety, Tammi Lee spała w samochodzie. Sam wspiął się na maskę i czekał.

Mały blondynek siedział sam na masce poobijanego starego samochodu i przyglądał się ludziom, którzy zjeżdżali z auto-

strady, żeby odpocząć. Za każdym razem, kiedy widział rodzinę, robiło mu się jakoś dziwnie. Mama, tata, dwójka albo trójka dzieci i pies. Wykonywali proste czynności, takie jak gra w piłkę, siedzenie przy plastikowym stole piknikowym, jedzenie kanapek. Właśnie za takim życiem tęsknił Sam.

Tego dnia odwrócił się na masce samochodu, spojrzął na mamę i wymówił życzenie, żeby obudziła się, uśmiechnęła do niego, pogłaskała go po głowie i zapytała, czy chciałby napić się mleka.

Tammi Lee uniosła powieki i przez sekundę Sam myślał, że jego marzenie się spełni. Ale zamiast tego zakryła usta dłonią, wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła kilka monet. Wysunęła rękę za okno i powiedziała:

- Przynieś mi piwo, dobrze, kochanie? - Wtedy wydawało mu się, że była bardzo zmęczona. Dopiero później nauczył się, że kiedy tak trząśł się jej głos, była wstawiona.

Mimo że w niczym nie przypominała innych matek, kochał ją. Kiedy już został lekarzem, przekonał się, że małe dzieci kochają swoich potwornych rodziców bez względu na wszystko.

W drodze powrotnej do samochodu z zimną puszką piwa „Tab” w ręku minął chłopca, który grał ze swoim tatą w piłkę. Chłopiec prawie na niego wpadł, ale w ostatniej chwili odsunął się na bok. Nawet nie spojrzął na Sama, po prostu go ominął. Mieli ładny samochód.

Kiedy wrócił, jego mama dziwnie się zachowywała. Miała bladą, mokrą od potu twarz. Gałki oczu wywróciły się jej do tyłu głowy. Wygięta się na siedzeniu samochodu i z jej gardła wydobył się okropny dźwięk. Sam rzucił zimną puszkę na ziemię i pobiegł do mężczyzny, który grał z synem w piłkę.

- Proszę pana - zawołał. - Czy pan jest lekarzem? - Kiedy mężczyzna skinął głową, dodał pośpiesznie: - Moja mama jest chora.

Lekarz ruszył w kierunku samochodu. Położył rękę na czole Tammi Lee, a kciukiem unióśł jej powieki.

- Proszę pani? - zapytał. - Proszę pani, czy pani mnie słyszy? - Jego żona podała mu torbę. Lekarz zadał Samowi

kilka pytań, co piła, od jak dawna jest w tym stanie, a Sam wyjąkał odpowiedzi. Lekarz poszperał w torbie i zabrał się do pracy. Po pewnym czasie Tammi Lee leżała na ziemi otumaniona, ale spokojna. Kiedy rozmawiała z lekarzem, wyglądała na zmieszaną. Zapewniła go, że uda się do szpitala, jak tylko dojadą do miasta.

Właśnie wtedy Sam postanowił, że zostanie lekarzem. Chciał być takim facetem, który ma ładny samochód i który gra w piłkę ze swoim synem, a kiedy ktoś zachoruje, potrafi mu pomóc.

Teraz ten mały chłopiec wydawał się Samowi niezwykle odległy. Upłynęło wiele lat, zanim Tammi Lee dotrzymała obietnicy i zgodziła się na odwyk.

Sam śpieszył się, jak mógł. Przebrał się błyskawicznie, obawiając się, że Michelle może się rozmyślić i zniknąć z jego życia niczym bańka mydlana.

Tak jak on zniknął z jej życia.

Wsunął buty, przeczesał włosy i zatrzasnął szafkę. Kiedy wyszedł na zewnątrz, nie zastał jej tam. Stał w ciemności i już chciał przeklinać los.

Całkiem niespodziewanie wyszła tuż za nim ze szpitala.

- Poszłam sprawdzić, jak się czuje Cody.

Sam odetchnął z ulgą.

- I?

- Zasnął.

- To dobrze. To teraz dla niego najlepsze lekarstwo.

Michelle przygryzła wargę. Próbował ująć ją za rękę, ale ona cofnęła się, więc zrezygnował.

- Nic mu nie będzie. Będę na dyżurze przez całą noc. Poza tym Raymond nad wszystkim czuwa.

- Raymond?

- Raymond Bear, przełożony pielęgniarek. Nazywamy go szamanem, ponieważ wyczuwa zły stan zdrowia pacjenta, jeszcze zanim na monitorach wyświetlą się niepokojące dane. Przysięgam, że to prawda. To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Czy to ten facet, który siedział w pokoju pielęgniarek i czytał magazyn „Soldier of Fortune”?

- We własnej osobie. Jeżeli czyta gazetę, to znaczy, że jest spokojny. - Sam zacisnął pięść, przypominając sobie kształt jej dłoni. - Chodź. Moja ciężarówka stoi tam.

W restauracji Trudy's tylko cztery stoliki były zajęte. Biorąc pod uwagę mroźny poniedziałkowy wieczór, nie było w tym nic dziwnego. Na czerwonych winylowych obrusach stały plastikowe złote figurki oraz pojemniki na sól i pieprz. Wystrój lokalu przywodził na myśl wyprzedaż w garażu z lat siedemdziesiątych. Jednak braki w elegancji uzupełniało smaczne, proste jedzenie.

- Bądź miła dla obsługi, a na pewno dostaniesz coś pysznego. - Sam otworzył menu.

- Widzę, że karta win też nie jest wyszukana. - Posłała mu uśmiech, który wywołał w nim dziwne uczucie. — Czerwone, białe... Domyślam się, że rosę oznacza różowawe?

- Witaj w Crystal City.

Uśmiech nie zniknął z jej ust.

- Nadal jest tutaj bardzo prowincjonalnie.

Wydawała mu się taka obca i odległa.

- W Kalispell i Bozeman możesz znaleźć szyk i elegancję, której szukasz. Twój staruszek był jedną z pierwszych osób, które przeprowadziły się w te okolice prosto z Hollywood, ale z pewnością nie był ostatnią.

- Zarobiłbyś o wiele więcej pieniędzy, gdybyś zdecydował się na praktykę w jednym z tych miast. - Przynęła sobie menu.

- Dlaczego ludzie myślą, że lekarzom zależy tylko na pieniądzach?

- Wszyscy lekarze, których znam, nie myślą o niczym innym.

Sam pomyślał o Karlu i o doktorze Brower z Jukataniu.

- W takim razie znasz nie tych lekarzy co trzeba - odparł. - Kiedyś pracowaliśmy w klinice we trzech, ale jeden z nas przeniósł się do Kalispell. - Nie dodał, że zbił tam fortunę na wypisywaniu recept na valium.

- A dlaczego ty nie ruszyłeś w pogoń za pieniędzmi?
- Tutaj jest moje miejsce. Razem z Karlem czuwamy nad zdrowiem plemienia, które żyje w rezerwacie. Nie zależy mi na pieniądzach, Michelle. Gdyby tak było, zbiłbym fortunę, występując na rodeo w Vegas.

- Dlaczego wybrałeś właśnie to miasto?

- Zacząłem myśleć o praktyce w małym miasteczku, kiedy pracowałem na Jukatanie z meksykańskimi Indianami. Właśnie tam zdobyłem najwięcej doświadczenia. Spotykasz dziecko, które rodzi się z rozszczepionym podniebieniem. Leczysz jego wadę i dajesz malcowi szansę na lepsze życie. Pomagasz mężczyźnie, który cierpi na zapalenie wątroby. Dzięki tobie człowiek nie umiera i może dalej utrzymywać swoją rodzinę.

- Dlaczego tam nie zostałeś?

- Ponieważ u nas ludzie też potrzebują pomocy. Mamy małe miasteczka, rezerwy Indian, biedne okęgi, gdzie ludzie nie mogą pozwolić sobie na kosztowną opiekę lekarską. - Przyglądał się uważnie Michelle. Zauważył jej dyskretną elegancję. Nie uszły jego uwagi piękne kolczyki ani złoty zegarek. - Wiem, jak to jest, kiedy się ma pieniądze. Byłem kiedyś mistrzem rodeo. Wiem, co pieniądze mogą zrobić dla człowieka i czego nie mogą.

Przypomniał sobie dni, kiedy spał w przyczepie swojego konia i jak spędzał bezsenne noce, zmagając się ze swoim pragnieniem posiadania tego wszystkiego, co mieli tacy bogaci ludzie jak Gavin Slade. To uczucie paliło go i doprowadzało do szaleństwa. W końcu stało się jego chorobą, w wyniku której pracował zbyt ciężko. Dopiero kiedy zaczął leczyć ludzi, wyzwolił się ze swojej obsesji.

Zamówili steki i butelkę wina. Kelnerka, która ich obsługiwała, zwracała się do Sama po imieniu. Kiedy odeszła, Michelle śledziła ją kątem oka.

- Czy staliśmy się tematem plotek na dzisiejszy wieczór?

- W mieście tych rozmiarów? - odparł. - Chyba żartujesz. Prawdopodobnie przeczytasz jutro o naszej kolacji na pierwszych stronach lokalnej gazety „Towne Tattler”.

- Nie wiedziałam, że paparazzi są tutaj tacy natrętni. - Uśmiechnęła się z tą figlarną słodyczą, którą tak dobrze znał. Zbyt dobrze. Zaczynał czuć się nieswojo, kiedy tak na nią patrzył. Nie powinno go dziwić, że córka Gavina Slade'a będzie o wiele bardziej olśniewająca w wieku trzydziestu pięciu lat niż jako osiemnastoletnia dziewczyna.

Patrzyła na niego w taki sposób, że ścisnął się mu żołądek. Błyszczące oczy i wilgotne usta. Z uwagą słuchała każdego jego słowa.

- Ale wybrałaś Crystal City - powiedziała.

- Tak. Już wcześniej poznałem Edwarda Blissa. W tamtych czasach potrzebował pomocnika na ranchu Samotna Sosna, a miasto potrzebowało lekarza, więc przyjechałem. - Niech to szlag, pomyślał Sam. Przecież dobrze wiedział, że jej nie oszuka. Przyjechał do miasta, gdzie był z Michelle, gdzie narodziły się jego marzenia i nadzieje na *lepsze jutro*. - *Poza tym miałem nadzieję, że znów cię zobaczę.*

Skwitowała jego wyznanie milczeniem. Zatopiła się w myślach, a Sam nie miał pojęcia, jak rozumieć tę ciszę.

Kiedy jedli, zaczął wspominać tamtą noc, kiedy wyjechał. Stary valiant przemierzał ciche ulice Crystal City. Dobrze pamiętał żółte światło reflektorów, przesiąknięty zapachem papierosów koc, który leżał na siedzeniu, cichą melodię country płynącą z radia i przyspieszony oddech jego matki.

Była zdenerwowana, ale Sam chciał zostać. Był wściekły. Chciał bić się z oszczercami, którzy oskarżyli go o kradzież.

- Niczego nie ukradłem - upierał się. - Ani jednej przeklętej rzeczy.

- Wiem o tym - odparła Tammi Lee z rezygnacją i smutkiem w głosie. - Myślisz, że to ma znaczenie? Gavin Slade nie życzy sobie, żebyś kręcił się przy jego córce. Bardzo wyraźnie dał ci to do zrozumienia.

- Nie uciekajmy, mammo. Żyjemy w wolnym kraju...

- Gavin Slade rządzi tym miastem. Jeżeli chce, żebyśmy wyjechali, musimy wyjechać. - Spojrzała na niego, starając się

dojrzyć jego twarz w ciemności. - Nie tylko ty wpakowałeś się w tarapaty.

Wyprostował się.

- O czym ty mówisz?

- Dzisiaj wieczorem szeryf O'Shea złożył mi wizytę. Najwyraźniej dowiedział się o kilku czekach bez pokrycia, o paru sytuacjach, kiedy naruszyłam prawo, i przynajmniej o dwóch niezapłaconych rachunkach w samym Kolorado. A ja nie mam usprawiedliwienia. Musiałabym za to odpowiadać. Czy tego właśnie chcesz?

- Chcę przestać uciekać.

- No cóż, nie stać nas na cholernego prawnika, a ja zapewniam cię, że nie mam najmniejszej ochoty wiązać swojej przyszłości z więzieniem stanowym. Dlatego spadamy stąd. - Tammi Lee sięgnęła po zapalniczkę. - Moje przeprosiny chyba w niczym nie pomogą - dodała. - Schrzaniłam to. Znow wszystko schrzaniłam. I to w momencie, kiedy zaczynałeś lubić życie w tym mieście.

Walczył z przemożną chęcią, żeby wyskoczyć z samochodu. Od lat jeździł wszędzie z matką, ale tym razem miał coś, o co warto było walczyć. Michelle. Swoją niewinność. Dobrze jednak wiedział, że musiał być przy matce. Bez niego Tammi Lee Gilmer nie przetrwałaby jednego dnia.

W przeciwieństwie do niej Michelle potrafiła obejść się bez niego.

- Przynajmniej zatrzymaj się na moment i pozwól mi się z nią pożegnać - poprosił.

Matka chwyciła go za rękę.

- To jest poważna sprawa, synu. Taki jest prawdziwy świat. Ludzie tacy jak my nie mogą ryzykować. Postawimy nogę na cudzej własności i jesteśmy spaleni.

Sam doskonale wiedział, co miała na myśli. W porządku, mamó. Znajdziemy jakieś inne miejsce. Coś nam się kiedyś uda... Zawsze jej to powtarzał, za każdym razem, kiedy uciekali z kolejnego miejsca. Ale teraz nie miał zamiaru jej pocieszać. Tym razem nie chciał jej mówić, że wszystko się ułoży.

Wysoko na listopadowym niebie wisiał okrągły księżyc. Kiedy wyjeżdżali z miasta, Sam dostrzegł w oddali światła na ranczu Błękitna Skąła, Nad kominem jednego z budynków unosił się dym.

Żegnaj, Michelle.

Tamtej nocy przyrzekł sobie, że wróci do niej, gdy tylko Tammi Lee osiadzie gdzieś na stałe.

- Wyjechałam z Crystal City tego samego dnia, kiedy zniknąłeś - powiedziała łagodnie po bardzo długiej ciszy. - Mój ojciec nie okazał się zbyt wyrozumiały dla mojej ciąży.

Wcale go to nie zaskoczyło. Gavin Slade miał własną wizję świata i nie lubił jej zmieniać. Zrobił błyskotliwą karierę, wyhodował doskonałe konie, miał idealną córkę... Aż pewnego dnia okazało się, że Michelle jest tylko człowiekiem i jak każdy popełnia błędy. Od tej chwili przestała spełniać jego wymagania i nie mogła dłużej stanowić części jego doskonałego świata. W bardzo taktowny sposób usunął ją ze swojego życia.

- Żałuję, że nic o tym nie wiedziałem - wyszeptał.

Wypiła łyk wody. Kropla załśniła na jej dolnej wardze. Sam starał się nie wpatrywać się w jej usta.

- To też był jeden z powodów, dla których wróciłem do miasta - przyznał. - Miałem ochotę powiedzieć „pieprzcie się” wszystkim ludziom takim jak...

- ...mój ojciec.

- Zgadza Się.

- Powinien był mi powiedzieć, że tutaj mieszkasz. Chociaż teraz i tak nie mam głowy, żeby rozdrapywać przeszłość. Wszystkie inne problemy zbladły przy chorobie Gavina. - Michelle odstawiała szklankę z wodą, a kostki lodu zadzwoniły o szkło. - Powiedz mi, jak ci się to udało - dodała po chwili. - Opowiedz mi, jak zostałeś lekarzem.

- Dzięki rodeo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wykorzystałem pieniądze wygrane na rodeo, żeby opłacić akademię medyczną.

- Żartujesz.

- Nie. - Wziął do ust kawałek mięsa. - Zapisalem się na zajęcia, dzięki którym udało mi się zdać maturę, i w ciągu sześciu lat zdobyłem tytuł doktora. Życie w drodze i spanie w przyczepie było niczym wrzód na dupie. Przez wiele lat żyłem według ściśle określonego porządku. Nie oglądałem się za siebie, nie pobłażałem sobie i nie pozwalałem na chwilę wytchnienia. Skupiłem się na jednym celu. Chciałem skończyć studia i praktykę. Nie popuściłem sobie aż do końca. - Wziął do ręki kawałek bagietki i przełamał ją na pół. - Czasem zastanawiam się, co straciłem przez te wszystkie lata. - Po jego twarzy przemknął cień. - Narodziny mojego syna. - Rzucił jej krótkie spojrzenie. - Cholera. Nie chciałem...

- Chciałabym poznać ciąg dalszy. Co się stało z twoją mamą?

- Czuje się świetnie. Przestała pić, mieszka tutaj. - To wszystko brzmiało o wiele prościej, niż wyglądało w rzeczywistości. Dawniej, kiedy Sam zmuszał ją do zdecydowania się na odwyk, zapierała się rękami i nogami. Ale za każdym razem, kiedy upadała, podnosił ją, był przy niej w czasie leczenia i wysyłał na kolejne spotkanie AA. Czasem był dla niej surowy, bo tylko w ten sposób mógł coś od niej wyegzekwować. Doświadczenie nauczyło go szorstkości, której tak naprawdę nie lubił.

W końcu po wielu latach walki z nałogiem Tammi Lee odniosła sukces. Od pięciu lat była czysta jak łąka.

- Naprawdę? To cudownie, Sam.

- Pracuje w pasmanterii LaNelle. - Chryste, pomyślał. Miał powiedzieć matce o Codym. Nie miał pojęcia, jak przyjmie tę wiadomość. - A jak wygląda twoje życie? Założę się, że twoje obrazy zdobią wszystkie ściany największych metropolii.

Michelle wbiła wzrok w talerz z sałatką.

- Niekoniecznie. Pracuję dla agencji reklamowej.

- Sztuka użytkowa. - Pożałował, że w ogóle wymówił te słowa.

Roześmiała się, ale ten śmiech był wymuszony.

- Jasne. Rysunki musujących bąbelków i przemysłowych odpadów.

- To znaczy, że malowanie traktujesz teraz jak hobby albo...

- Nie maluję, Sam. - Zanurzyła widelec w sałatkę. - Nie miałam na to czasu. Byłam zajęta wychowywaniem Cody'ego.

Cholera.

- Powinnaś była mnie odnaleźć - powiedział ponurym głosem. - Powinnaś była pozwolić sobie pomóc.

- No jasne. Miałam cię znaleźć w przerwie między jednymi zawodami rodeo a drugimi? Miałam cię szukać w klinikach medycznych? A może w Meksyku?

- Chcę odzyskać te lata - odezwał się nagle. - Wszystkie te lata, kiedy nie wiedziałem, że mam syna.

- Nie było cię. Nie mogłam cię znaleźć.

- Naprawdę tak bardzo mnie szukałaś, Michelle? Przecież się nie ukrywałem.

- To zupełnie tak jak ja - warknęła.

- Ale ja niczego przed tobą nie zataiłem, do cholery.

- Gdybym cię odnalazła, czy to miałoby jakieś znaczenie? Czy zrezygnowałbyś z rodeo i studiów medycznych dla nas?

- Dlaczego miałbym z czegokolwiek zrezygnować? Moglibyśmy wszystko ze sobą pogodzić, Michelle.

- Jesteś marzycielem. Starłam się robić wszystko naraz, ale mi nie wyszło. To było ponad moje siły.

- W porządku, straciłem dzieciństwo swojego syna. Nie uda nam się odzyskać tych lat, ale zawsze możemy zacząć od tej chwili.

Nawet kiedy wymawiał te słowa, zastanawiał się, dlaczego wydawało mu się, że mógłby ułożyć sobie życie z Michelle, która była o wiele bardziej skomplikowana i o wiele bardziej wymagająca niż jakakolwiek inna kobieta, którą znał.

- Nie rozumiem.

- Niech to szlag, Michelle. Nie mam zamiaru przeproszać za swoje przekłete życie. Ty masz syna, a ja mam karierę. Które z nas straciło więcej?

Skrzywiła się.

- Sam, proszę.

Nagle przypomniał sobie, że jej syn został ranny w głowę, kiedy to on miał nad nim pieczę, ponieważ ona przez cały dzień była w Missoula na rozmowach w sprawie transplantacji nerki.

- Może zmienimy temat?

Odprężyła się i oparła o czerwony winylowy podglówek.

- Naprawdę myślisz, że po tylu latach mamy ze sobą coś wspólnego?

Syna. Chłopca, którego nie znam. Powstrzymał się z trudem, żeby nie wypowiedzieć swoich myśli na głos.

- Mów dalej. Przekonajmy się.

Napięcie między nimi trochę opadło. Sam nigdy nawet nie przypuszczał, że pewnego dnia znajdzie się w podobnej sytuacji. Zastanawiał się, jakie są jej marzenia. Po swym powrocie do Crystal City łudził się, że będzie ją spotykał za każdym razem, kiedy odwiedzi Gavina. Ale ludzie w mieście rozwiali jego nadzieje. Okazało się, że Gavin Slade zerwał kontakt z córką. Nikt nie znał przyczyny jej wyjazdu.

- Więc kiedy zaczniemy? - zapytał.

Odłożyła widelec.

- Chcesz wiedzieć, kiedy powiem o nas Cody'emu?

Sam nie był pewien, co miał na myśli, ale mimo to skinął głową, ponieważ tego też chciał się dowiedzieć.

- Tak. Powiesz mu o tym sama czy zrobimy to razem?

- Wolałabym przekazać mu tę wiadomość osobiście. Nie przywykłam do wspólnego podejmowania decyzji w sprawach związanych z Codym.

- A czyja to wina?

- Proszę! Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, po prostu staram się patrzeć na wszystko trzeźwym okiem. Sama wychowałam Cody'ego. Udało mi się dokonać kilku słusznych wyborów, ale czasem jak każda matka popełniałam błędy. Nigdy nie przypuszczałam, że znajdę się w podobnej sytuacji i będę musiała zmagać się z tym problemem.

- W twoich ustach zabrzmiało to tak, jak gdyby cała sprawa dotyczyła kupna wideo albo czegoś w tym stylu.

- Nic podobnego. Niech to szlag, Sam. Wszystko chciałbyś mieć od razu. Podobnie jak... - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Podobnie jak Cody.

- Jak twoim zdaniem zareaguje na tę wiadomość?

- Po dzisiejszym dniu? - I znów ten łagodny uśmiech, który doprowadzał go do szału, przypomniał mu, jak dobrze kiedyś ją znał. - Będzie zaskoczony. To bardzo skomplikowane dziecko. Czasem mam wrażenie, że wcale go nie znam. Ale wydaje mi się, że... ucieszysz się, kiedy mu powiem, że jesteś jego ojcem.

- Ucieszysz się? Co przez to rozumiesz?

- Po prostu... się ucieszysz. A ty byś się nie cieszył, gdybyś w końcu poznał swojego ojca?

- Biorąc pod uwagę, że moja matka w końcu zgadłaby, kto jest moim ojcem... Myślę, że tak, ucieszylbym się. - Chrząknął. - Kiedy już mu o tym powiemy, czy mógłbym go poprosić, żeby spędził ze mną trochę czasu?

Michelle zamarła w bezruchu.

- Co takiego?

- To, co słyszałaś, Michelle.

Zacisnęła ręce w pięści. Przypominała lwicę, która broni swoich młodych.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

- Nie wróciliśmy tutaj na stałe. Mieszkamy w Seattle.

- Powiedziałaś, że miałas z nim sporo kłopotów...

- Ale to nie oznacza, że chcę się go pozbyć. To nie jest szczeniak, którego oddaje się komuś, bo zaczął sprawiać problem. Jezu, Sam, co ty sobie myślałeś?

- Że mam syna, o którym mi nigdy nie powiedziałaś. Chciałbym się dowiedzieć, jaki on jest, jakie ma plany na przyszłość, gdzie chce studiować. - Zawahał się. - Zamierzam płacić za jego edukację i łożyć na jego utrzymanie.

Zacisnęła palce na stole. Miała nieskazitelnie czyste ręce

oraz paznokcie. Kiedyś całe były umazane farbą. Dobrze to pamiętał.

- Chcesz płacić alimenty? Nie wymagam tego od ciebie, Sam. I nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- To nie ma znaczenia i tak zamierzam płacić na jego utrzymanie.

Spojrzała przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

- Ja też miałam ojca z książeczką czekową.

Te słowa odbiły się echem w jego sercu. Jeżeli naprawdę chciał zostać ojcem Cody'ego musiał sobie na to zapracować. I z pewnością nie uda mu się tego osiągnąć w ciągu kilku tygodni.

14

Zadzwoił telefon, wrywając Michelle z półsnu. Tej nocy nie było jej dane odpocząć. Sięgając po słuchawkę, czuła, jak na nowo ogarnia ją strach i przerażenie. Oba te uczucia nie odstępowały jej na krok, odkąd wczoraj wieczorem opuściła szpital.

Chwyciła słuchawkę obiema rękami.

- Tak?

- Mamo?

- Cody! - Serce podskoczyło jej prawie do gardła. - Co się stało? Nic ci nie jest? Czy coś...

- Zwolnij, mamo. Nic mi nie jest. Sam powiedział, że powinienem do ciebie zadzwonić i powiadomić cię, że jestem zdrowy.

Poczuła się lekka jak piórko.

- To super, Cody. Dobrze znów słyszeć twój głos.

- Sam twierdzi, że niedługo mnie wypiszą. Nie wystąpiły żadne oznaki wstrząsu mózgu.

Michelle spojrzała na zegarek. Była za kwadrans siódma. Pomyślała, że Cody z pewnością też spędził bezsenłą noc, chociaż teraz zachowywał się jak bohater.

- Zaraz u ciebie będę. - Usiadła, opierając się o zagłówek.

- Dobrze. Sam chce z tobą porozmawiać. Do zobaczenia, mamo.

Kiedy czekała, aż Sam podejdzie do telefonu, na jej ustach

pojawił się uśmiech. Była pewna, że absolutnie nic w całym wszechświecie nie mogło się równać ze strachem matki, która martwi się o swoje dziecko. Teraz kiedy opuścił ją lęk, jej serce wypełniła niemal euforyczna radość.

- Cześć, Michelle. - Na dźwięk głosu Sama euforia zmieniała się w burzę, która targała jej sercem.

Uspokój się, upomniała się w duchu. To tylko lekarz Cody'ego. Tylko lekarz.

- Dzięki, że pozwoliłeś mi zadzwonić. Obawiam się, że dzisiaj w nocy przybyło mi jakieś czterysta siwych włosów.

- W takim razie włóż kapelusz.

- Powiem o wszystkim tacie i zaraz przyjeżdżam do szpitala.

Kilkanaście minut później Michelle wciągnęła wełniane legginsy i włożyła duży irlandzki sweter. Z uwagą przyjrzała się kolekcji czapek, które wisiały na wieszaku w korytarzu. Wiedziała, że powinna zadzwonić do Brada i opowiedzieć mu o wypadku, a także o spotkaniu w Missoula. Było jednak zbyt wcześnie, a poza tym Cody czekał na nią w szpitalu.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego nie chciała zadzwonić do Brada, ale nie przyznawała się do tego przed sobą. Poczucie winy, które tak dobrze znała.

Powietrze było mroźne. Kiedy Michelle szła w kierunku głównego budynku, śnieg skrzypiał jej pod nogami. W kuchni paliło się tylko jedno światło, które rzucało złote refleksy na zaspy za oknem. Zanim skierowała się w stronę frontowych drzwi, przystanęła na moment, żeby przyjrzeć się ojcu z ukrycia.

Stał przy bufecie. Miał rozchyłony do połowy szlafrok i przekręcał coś przy aparaturze do dializy. To była bardzo intymna chwila i Michelle dobrze wiedziała, że nie wolno jej na to patrzeć. Kiedy się cofnęła, Gavin odwrócił głowę tak, że mogła dostrzec jego profil.

Przez chwilę stał nieruchomo, po czym gwałtownie złapał się jedną ręką za czoło, a drugą zacisnął na ladzie.

Kiedy zmusiła się, by odwrócić wzrok, poczuła ucisk w gardle. Pierwszy raz od kiedy dowiedziała się o jego chorobie, poczuła, jak dopada ją rzeczywistość. Pierwszy raz stanęła

twarzą w twarz z chorobą własnego ojca. Czuła się dziwnie, kiedy tak stała na mrozie, przyglądając się tej intymnej chwili, która omal nie doprowadziła jej do łez.

Jej ojciec był chory, umierający. Niezwłocznie potrzebował operacji. Zapragnęła, żeby transplantacja odbyła się już teraz, a nie w przyszłym tygodniu.

Czym prędzej wróciła do domu, napisała na kartce kilka słów wyjaśnienia dla Gavina, po czym powiesiła notatkę na frontowych drzwiach. Kiedy stała na ganku, zawahała się. Może powinna do niego zajrzeć, powiedzieć dzień dobry i zapytać, czy niczego nie potrzebuje. A jeśli potrzebował w tej chwili jej towarzystwa?

Ale nie mogła tego zrobić. Nie mogła tam wejść i naruszyć jego prywatności. Nie potrafiła być córką, której potrzebował. Byli sobie tacy obcy.

Kiedy jechała do miasta, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer szpitala w Missoula. Lekarz, który odebrał telefon, zapytał ją, czy to nagła sprawa. Kiedy przyznała, że nie, poradził jej, żeby zadzwoniła w czasie godzin przyjęć.

- Wobec tego, czy mogę rozmawiać z pielęgniarką, Donna Roberts?

- Zaczyna pracę o dziewiątej.

- W takim razie chciałabym rozmawiać z doktorem Tempie. Cholera, czy chociaż on odbiera o tej porze telefon?

- Już panią łączę.

- Doktor Tempie przy telefonie. - W jego głosie brzmiał niepokój.

- Mówi Michelle Turner, pamięta mnie pan?

- Oczywiście. W czym mogę pani pomóc?

Słowa same ułożyły się w zdania.

- Niech pan uważnie słucha. Chcę, żeby przeprowadzono przeszczep wcześniej, niż planowaliście. Nie mam zamiaru działać zgodnie z procedurą. Dzisiaj rano mój ojciec... widziałam... - Nie mogę znieść jego cierpienia. Może moglibyśmy wykonać pozostałe testy dzisiaj, a jutro wykonalibyście zabieg?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała złowieszcza cisza.

- Szczerze mówiąc, panno Turner, chciałem przełożyć operację. Moim zdaniem pani i pani ojciec musicie odbyć jeszcze kilka spotkań.

Michelle ścisnęła tak mocno słuchawkę, że aż zbieła jej nadgarstki.

- Proszę chwilę poczekać. Czy mógłby pan powtórzyć?

- Niepokoją mnie pewne sprawy, które powinny zostać omówione i rozwiązane jeszcze przed przeszczepem.

Zrozumiała, że gniew też miał swój smak. Smakował kwaśno i nieświeżo niczym zaschnięta krew.

- Jedną cholerną minutę. - Starła się nie krzyżeć, ale nie potrafiła się opanować. - Po tylu tygodniach testów, po spełnieniu tych wszystkich kryteriów, pan mi mówi, że istnieją pewne sprawy?

- Panno Turner, pani związek z ojcem jest raczej niezwykły. Spędziliście razem niewiele czasu...

- Czego, do diabła, pan ode mnie chce? - wrzasnęła. - Chce pan, żebym oskarżyła go o to, że nigdy nie był moim tatusiem? Na litość boską! Mam oskarżyć go, że widzi we mnie dawcę zamiast córki? Że nie chce ode mnie niczego więcej poza możliwością przeżycia kilku kolejnych lat? Czy to są te pieprzone sprawy, o których pan wspominał?

Tym razem jego milczenie trwało tak długo, że zaczęła się niecierpliwić.

- To bardzo imponujące, panno Turner.

- Nie staram się wyrzucić na pana wrażenia - zmusiła się, żeby wycedzić przez zęby kilka słów. - Staram się uświadomić panu, że już i tak zbyt długo czekaliśmy. Chcę, żeby ta operacja odbyła się jak najszybciej...

- Proszę pani, to nie jest zwykły zabieg, tylko bardzo poważna operacja.

- Ma pan cholerną rację. Ponieważ... - Zamilkła na chwilę. - Niech pan posłucha. Jestem teraz spokojna, doktorze, ale nie życzę sobie żadnych dalszych testów.

Kiedy odłożyła słuchawkę, i starała się uspokoić. Przychodziło jej to z trudem. Czuła się tak, jak gdyby z jednego

dołka wpadała w drugi. W końcu, kiedy wjechała na parking przed szpitalem, prawie wróciła do równowagi.

Zatrzymała się przy rejestracji.

- Jestem matką Cody'ego Turnera. Dzisiaj zostanie wypisany.

Dziewczyna złożyła kilka kartek i podała je przez ladę na metalowej tacy.

- Wszystko się zgadza. Cody właśnie się ubiera. Powinna pani wypełnić kilka formularzy.

- Chciałabym opłacić rachunki.

Dziewczyna otworzyła odpowiedni plik na ekranie komputera, wydrukowała rachunek. Michelle przyjrzała się mu uważnie i wskazała jedną z rubryk.

- Czy to oznacza, że doktor zrezygnował z zapłaty?

Dziewczyna skinęła głową.

- Najwyraźniej.

Ta informacja rozżłościła ją, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Spojrzała niżej i zauważyła kilka wypełnionych kolumn. Tuż przed oczami miała następny dowód akcji dobroczynnej.

- To oznacza, że wszystkie koszty zostały pokryte.

- Zgadza się.

- Przez Gavina Slade'a.

- Rozumiem przez to, że Gavin jest dziadkiem chłopca. - Dziewczyna uśmiechnęła się z podziwem, który Michelle tak dobrze знаła. Tysiące razy widywała podobne emocje na twarzach fanów Gavina. - To musi być niesamowite mieć takiego ojca.

Michelle złożyła podpis we wszystkich wskazanych miejscach.

- Niesamowite, jasne. - Później porozmawia z Gavinem o tym rachunku. W dodatku Sam zrezygnował ze swojego wynagrodzenia. Niech ich szlag! Przecież miała dobrą pracę. Zarabiała pieniądze. Nie potrzebowała, żeby ktokolwiek wtrącał się w jej życie.

- Dzień dobry, panno Turner. - Siostra O'Brien wyglądała

bardzo ładnie w różowych spodniach i tunice. Na ramiona miała zarzucony sweter. - Pani syn jest w świetnej formie.

Michelle przywołała uśmiech na twarz.

- Nie miałam wczoraj okazji, żeby pani podziękować. Doceniam to, co pani i Sam zrobiliście dla Cody'ego.

- Naprawdę nie musi mi pani dziękować. Cała przyjemność po mojej stronie.

- Długo pracuje pani z Samem?

Kobieta zawahała się i posłała jej zagadkowe spojrzenie. Michelle dostrzegła kątem oka, że dziewczyna przy biurku pochyliła się w ich stronę.

- Prawie pięć lat, od kiedy do nas przyjechał - odparła Alice O'Brien.

Michelle wyczuła, że przez te pięć lat wydarzyło się o wiele więcej, niż pielęgniarka chciała jej powiedzieć, ale nie miała zamiaru teraz się tym zajmować. Przycisnęła torebkę do biodra i pośpieszyła korytarzem. Drzwi do pokoju Cody'ego były lekko uchylone. Michelle zapukała.

- Cody? To ja, mama.

Nie była przygotowana na ten widok. Z czubka jego głowy zniknął niesforny kucyk, a biały bandaż zakrywał ranę na czole. Miał równo przycięte włosy. Nowa fryzura przywozowała jej na myśl miłe wspomnienia. Przypominała czasy, kiedy małemu chłopcu włosy kręciły się układały w fale i były wilgotne, jak gdyby przez cały czas lizał je przyjazny psiak.

Gdy na nią spojrzął, zaróżowiły mu się policzki. Dzięki Bogu, pomyślała, ale nie wypowiedziała tych słów na głos.

Przez chwilę sądziła, że się rozpłacze, ale zamiast tego wygięła usta w uśmiechu.

- Masz śliczną fryzurę, synu.

- Jakiś facet przyszedł do mnie bladym świtem i powiedział, że tylko wyrówna mi włosy. Zobacz, co on mi zrobił.

- Bardzo dobrze wyglądasz, Cody. Naprawdę.

- Ta fryzura jest do kitu.

Nie potrzebowała więcej czasu, żeby się przekonać, że

wrócił dawny Cody. Znow był szorstki i opryskliwy. Wyjął białą plastikową torbę z napisem SZPITAL MERIDAN.

- Spakowałem wszystkie rzeczy. Możemy już iść?
- Najpierw muszę porozmawiać z Samem - odparła. - Mam do niego kilka pytań.

Cody podał jej różową kartkę.

- Wszystko mi już powiedział.
- Przez dwie godziny bez przerwy oglądaj dzisiaj MTV, a jutro do mnie zadzwoń - odezwał się głos.

Michelle odwróciła się i zobaczyła go, jak stał oparty o framugę drzwi. Sam McPhee we własnej osobie. Wczoraj wieczorem była zbyt przejęta Codym, żeby rozkoszować się jego widokiem. Był taki niepodobny do chłopaka, którego pamiętała z dawnych czasów, i całkiem inny niż mężczyzna, którego sobie wyobrażała.

Nagle przypomniała sobie, że ten sam człowiek chciał po części kierować życiem Cody'ego.

- Zażywaj środki przeciwbólowe. - Sam wszedł do pokoju. Z jego kieszeni wystawał identyfikator ze zdjęciem oraz stetoskop i maseczka reklamująca firmę produkującą leki.

- Przestrzegaj moich wskazówek, a już wkrótce wrócisz do zdrowia. - Wyświetlił kilka zdjęć na monitorze, który wisiał na ścianie. - Dzisiaj rano zrobiliśmy mu prześwietlenie i okazało się, że wszystko jest w porządku. Wstrząs był minimalny.

Omam się nie rozpłakała.

Sam uśmiechnął się do Cody'ego.

- Masz twardą czaszkę.
- A ty beznadziejnego fryzjera - wymamrotał Cody.
- Masz na myśli Hazletta? To szczęście, że zgodził się na wizytę w szpitalu.

Cody ruszył w stronę drzwi. Nogawki džinsów szurały po ziemi.

- Zaczekam na ciebie w samochodzie, mamo.
- W porządku. - Stała, przygryzając wargi. On dobrze wiedział, co powinien teraz zrobić, a ona nie miała zamiaru go o to prosić, bo to już nie byłoby to samo. Odwróć się, ty mały gnojku! Odwróć się i podziękuj doktorowi McPhee.

Nie odwrócił się, a jej to wcale nie zaskoczyło. Prawdopodobnie Sam też nie był zdziwiony zachowaniem syna. Po tych dniach spędzonych w jego towarzystwie zdażył się zorientować, że Cody był zbuntowanym nastolatkiem.

- Czy powinnam wiedzieć coś jeszcze? - zapytała.

- Nic szczególnego. Bądź dla niego wyrozumiała przez kilka kolejnych dni. W piątek albo w sobotę zdejmujemy mu szwy.

- Zrezygnowałaś z wynagrodzenia - wyjąkała.

- Chłopak był pod moją opieką, kiedy zdarzył się ten wypadek.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Strzelaj.

- Chodzi o Gavina i o transplantację. - Czuła, jak wszystko wywraca się jej w żołądku. - Może wystąpić pewien zgrzyt.

- Zgrzyt?

- Odroczenie terminu.

Jego twarz nie zmieniła wyrazu, ale jakieś dziwne światło zabłysnęło w oczach.

- Czy Gavin ma kłopoty?

Nabrała powietrza. Miała wrażenie, że w pokoju jest zdecydowanie za gorąco.

- No cóż, nie do końca. Chodzi o to, że... wstałam dzisiaj rano i zobaczyłam... zdałam sobie sprawę, że to i tak ciągnie się zbyt długo, ta cała dializa i te wszystkie lekarstwa... Zadzwoiłam do doktora Tempie, tego psychologa z zespołu lekarzy, którzy przeprowadzą transplantację. Powiedziałam mu, że każdy dzień zwłoki jest okrucieństwem. - Odetchnęła głęboko. Czuła, jak łyzy frustracji i wyczerpania napływają jej do oczu. Opanowała się. - A ten sukinsyn powiedział, że nie jest pewien, czy jesteście gotowi.

- Gotowi? Chcesz przez to powiedzieć, że musicie wykonać więcej testów albo...

- Nie. Jediną rzeczą, jaka mi została, jest angiogram nerek. Ale ten drań pogrywa ze mną w jakieś gierki, Sam. Jego

zdaniem Gavin i ja nie jesteśmy psychicznie gotowi do tej operacji.

- A twoim zdaniem jesteście?

- Wiem, że jestem. Cholera. Moje życie stanęło w martwym punkcie i nie mogę wykonać najmniejszego ruchu, dopóki nie doprowadzę tej sprawy do końca. A on chce, żebym opisała, co czuję, żebym zachowywała się jak osoba, która nie ma poczucia winy, albo Bóg jeden wie jaka. Jakie to ma znaczenie, Sam?

Milczał tak długo, że Michelle już zaczynała podejrzewać, że wszyscy lekarze milczą w ważnych momentach.

- Porozmawiam z nimi - odezwał się wreszcie.

Poczuła niezmierną ulgę.

- Och, Sam. Naprawdę to zrobisz?

- Zrobię, co będę mógł. Znam Maggie Kehr. Mogę do niej zadzwonić. Ona jest najlepsza - dodał.

- Miło mi to słyszeć.

Co zaszło między tobą i Maggie? - zadała sobie w duchu pytanie.

- Tak czy inaczej jestem pewien, że wytłumaczyła ci, jak bardzo skomplikowana jest ta procedura. Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Wszystko musi się dziać w odpowiednim momencie. Każde obsunięcie może zamienić się w koszmar.

- Staram się być cierpliwa, ale to takie trudne.

- W przypadku Gavina kilka dni nie robi różnicy. Tak jak mówiłem, twój ojciec jest w świetnej kondycji. I to jeszcze długo się nie zmieni.

Michelle przyłapała się na tym, że dotyka rękoma bioder. Nie, to nie były biodra, ale miejsce, w którym znajdowały się nerki. Już wcześniej mimowolnie wykonywała podobne gesty.

- W porządku - odezwała się w końcu. - Zgadzam się na wszystko. Tylko powiedz im, że nie jestem żadną wariatką, która chce zbić fortunę na podarowaniu nerki swojemu tacie.

Jego oczy zamigotały.

- To mogę zrobić.

- Dzięki.

- Michelle, wczoraj wieczorem mówiłem poważnie. W sprawie Cody'ego.

Nie mogliśmy lepiej zaplanować tego ataku. Zrezygnował z wynagrodzenia, zaoferował swoją pomoc przy transplantacji, a teraz tak ją zaskoczył.

- Czy ty mnie szantażujesz? Pomoc w sprawie Gavina w zamian za zgodę na odebranie mi syna?

- Niczego nie chcę ci odebrać, Michelle. Czy tobie naprawdę się wydaje, że chcę go zniszczyć? Czy myślisz, że nie wiem, że prawda może go zranić?

Oparła się o framugę.

- Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Nie wypitałam nawet porannej kawy.

W tym szpitalnym otoczeniu wydawał się obcy i boleśnie znajomy jednocześnie. Białe światło uwydatniało jego rysy, prosty nos, wysokie kości policzkowe i usta, których smaku nigdy nie zapomniała. A mimo to upływający czas odcisnął na nim swoje brzemienie. Nie wiedziała dlaczego, ale w pewien sposób ten człowiek wydał jej się bardzo samotny.

- Sam, powiem mu.

- Kiedy? - Jego odpowiedź była natychmiastowa, jak gdyby przez cały czas na to czekał.

Udało jej się ukryć strach.

- Dzisiaj.

Boże, tak bardzo chciała go teraz dotknąć. Chciała wziąć go za rękę i uścisnąć ją. Działo się tak, ponieważ po raz pierwszy dotarło do niej, że on też był przerażony.

- Sama nie wiem. Naprawdę. Cody stał się ostatnio... nieprzewidywalny. Nigdy nie mam pojęcia, czy coś sprawi mu przyjemność, czy bardzo go rozwścieczy.

- Czy on nadal o mnie pyta?

Michelle poczuła się tak, jak gdyby stała na ostrzu noża. Czy to, co powie temu mężczyźnie, miało w ogóle znaczenie? Sam nie należał ani do jej życia, ani do życia Cody'ego. Ale... czy tylko dlatego powinna go okłamywać? Czemu miałyby to służyć?

- Zanim poszedł do szkoły, robił to bez przerwy. - Zanim zorientował się, że nie każde dziecko żyje na co dzień z obojgiem rodziców.

- A potem...? - Sam był bardzo spięty. Widziała, jak drża mu mięśnie, i jakaś jej cząstka rozkoszowała się jego cierpieniem, ponieważ ona też niejedno wycierpiała, kiedy sama wychowywała syna.

- Powiedziałam mu, że jesteś kimś, kogo poznałam, kiedy byłam za młoda, żeby podejmować słuszne decyzje. Powiedziałam mu, że jesteś kowbojem, który podążał za trofeum. Wy tłumaczyłam mu, że nigdy więcej się do mnie nie odezwałeś po tej krótkiej... przygodzie.

Dostrzegła, jak napinają się mięśnie jego twarzy.

- Nie było sensu mówić mu nic więcej. To byłoby zbyt niebezpieczne ze względu na wścibskich dziennikarzy plotkarskich gazet. Dla paparazi na zawsze pozostałam córką Gavina. Nie chciałam, żeby wypisywali różne rzeczy... o nas, o Codym.

Chciała, żeby Sam odezwał się do niej, ale on tylko na nią patrzył. Przypomniała sobie wszystkie chwile, kiedy milczał, a ona starała się wymyślić na poczekaniu jakąś wymówkę. Przypomniała sobie, jak udawał, że się na nią gniewa, kiedy nosiła jego rozciągnięte robocze koszulki, chociaż dobrze wiedziała, że to mu sprawia przyjemność. Przypomniała sobie, że te koszulki pachniały dokładnie tak samo jak on.

Tamtego dnia, kiedy zrozpaczona i wściekła opuściła rancho ojca, zabrała ze sobą jedną z nich. Kiedy była w ciąży, często wyciągała ją z szafy i tuliła się do niej, rozkoszując się zapachem jego ciała. Nigdy nie uprała tej koszulki, ponieważ bała się, że straci jego zapach. Kiedy tak się w końcu stało, powiedziała sobie, że Sam odszedł z jej życia na zawsze i bezpowrotnie.

- Wszystko, co Cody wie, to to, że byłam samotną matką, która musiała zbyt szybko dorosnąć. - Cień przesłonił jego twarz, dlatego dodała czym prędzej: - Nie powiedziałam mu tego w ten sposób. Nigdy nie chciałam, żeby czuł się winien, że przyszedł na świat. Wręcz przeciwnie, na każdym kroku

dawałam mu do zrozumienia, że jest moim największym szczęściem. - Głos jej się trochę załamał. - Oddałabym za niego życie i on dobrze o tym wie. Kocham go bardziej, niż mi się to wydawało możliwe. Dałam mu wszystko co najlepsze. Trzymałam go z dala od wścibskich kamer i pilnowałam, żeby się uczył. I... to chyba wszystko. - Uśmiechnęła się smutno na myśl, że już nie ma więcej siły.

Dźwięk pagera Sama wyrwał ją z zamyślenia. Sam sprawdził numer na wyświetlaczu.

- Porozmawiamy później. Spotkam się z Codym w ciągu tygodnia, żeby obejrzeć jego szwy.

- W porządku.

Ruszył korytarzem, a biały fartuch powiewał za nim niczym płachtą. Michelle pomyślała o zadaniu, które ją dzisiaj czekało, i zadrżała ze strachu. Odżył w niej głęboko skrywany lęk, że jej wściekły, piękny, sprawiający mnóstwo kłopotów synek opuści ją, jeżeli tylko będzie miał dokąd odejść.

15

Sam i jego wspólnik, Karl, spędzili cały dzień w rezerwacie oddalonym od Crystal City o trzydzieści kilometrów. Pracowali jako konsultanci medyczni dla plemion indiańskich. W rezerwacie w przyczepie sąsiadującej ze szkołą podstawową dla dzieci z tutejszych szczepów Sam praktykował ten rodzaj medycyny, w którym był najlepszy. Podawał pomocną dłoń najbardziej potrzebującym. Praca lekarza w takich warunkach była frustrująca, często bardzo smutna, a czasem doprowadzająca do szału, ale zawsze dawała mu satysfakcję.

Otrzymał też niewielką pensję od biura do spraw Indian. W sprzyjających okoliczności był wynagradzany seksem bez zobowiązań, który zapewniała mu kobieta o imieniu Candy.

Dzisiaj w klinice Sam przebadał czteromiesięczne zdrowe jak ryba dziecko, a do tego pomógł przyjść na świat zdrowemu chłopczykowi. Trochę później przyjął siedemdziesięcioletniego diabetyka, który nie potrafił przestać pić. Jak zwykle powiedział mu, czym może grozić jego pijaństwo i wcisnął mu plik broszur. Wypisał kilka recept i podziękował starszuskowi, który z kolei podniósł się z krzesła z zaskakującą godnością. Sam dobrze wiedział, że jeżeli ten człowiek przetrwa zimę, to będzie cud.

Uwolnił zawstydzoną nastolatkę od bakterii chlamydiae i wyciągnął ziarenko fasoli z nozdrzy niesfornego trzylatka. Nie pierwszy i nie ostatni raz spotkał się z Lindą Wolf, która

jak zwykle stwierdziła, że jest niezdarna i ma z tego powodu same problemy. Sam dobrze wiedział, że była zbyt przerażona i za bardzo obolała, żeby wymyślić lepsze kłamstwo. Powiedziała, że spadła ze schodów i cichym, skamlącym głosem poprosiła o środek przeciwbólowy. Tym razem kobieta miała stłuczony łokieć. Jednak przez te wszystkie lata Sam miał do czynienia z wieloma dziwnymi przypadkami jej niezdarności, takimi jak połamane żebra, złamania, siniaki i rozległe obrażenia.

Kiedy pytał o prawdziwy powód tych obrażeń, zawsze odpowiadała:

- Jestem dużą dziewczynką, doktorze McPhee. Wiem, co robie.

I na tym zazwyczaj się kończyło. Mąż będzie znęcał się nad nią tak długo, aż przekroczy granicę i dopuści się morderstwa albo dopóki kobieta nie zmądrzeje i nie ucieknie od swojego tyrana.

Pod koniec dnia Sam zaparkował samochód na tyłach chaty położonej na północnym krańcu wioski. Candy otworzyła mu drzwi, wypuszczając przy tym stado kotów. Sam wszedł do środka. Przywitała go uśmiechem i podała ręcznie malowane jedwabne kimono.

- Cześć, doktoru - powiedziała. - Dawno cię nie widziałam.

Uśmiechnął się do niej, a potem skinął głową w geście podziękowania, kiedy podała mu zimne piwo.

- Ja ciebie też - odparł. Pociągnął łyk z butelki, po czym ją odstawił. Pocałował ją mocno i zaczął kierować w stronę sypialni, ani na chwilę nie odrywając od niej ust. Po kilku minutach byli całkiem nadzy. Sam lubił delikatność jej ciała i jej smak zmieszany ze smakiem piwa, a także sposób, w jaki używała swoich rąk i ust.

Ale potem nigdy nie zostawał u niej dłużej, niż to było konieczne. Nie chciał. Szybko ubierał się, podawał Candy kimono i wracał do ciężarówki. Odziana w wełniany płaszcz przyglądała mu się uważnie.

- Bardzo się dzisiaj śpieszysz, doktoru.
- Jestem bardzo zajęty.
- Zostaniesz na kolację? Ugotowałam fasolę.
- Nie dzisiaj, skarbie. Najlepiej będzie, jeżeli już pójdę.
- Trzymaj się - odparła, trzęsąc się z zimna, podczas gdy on wsiadał do ciężarówki. Jej koty wynurzyły się z lasu, podbiegły do niej i zaczęły biegać dookoła jej nóg. A ona nadal stała i patrzyła.

Sam pomachał, a potem odjechał. Był zdegustowany swoim zachowaniem. Gardził sobą, że tak szybko i z taką łatwością się jej wymknął i trochę się na nią wściekał, że w ogóle go do siebie wpuściła.

Zatrzymał samochód przed żółtym domem na skraju miasta. Promienie popołudniowego słońca ześlizgiwały się po zaspach śniegu na małym podwórku przed domem. Sam wiedział, że na niego czeka. Zawsze czekała na niego we wtorkowe popołudnia. Od kiedy przeprowadzili się do Crystal City, wtorki były przeznaczone tylko dla niej.

Jeszcze przez chwilę siedział za kierownicą, uwalniał się od niewidzialnego brzemienia, pozbywał się bagażu, którym został obarczony w ciągu całego dnia i starał się pozostawić wszystkie swoje problemy w ciężarówce. W końcu wyszedł z samochodu i ruszył w stronę frontowych drzwi.

Zapukał delikatnie, po czym wszedł do środka. Przywitał go znajomy zapach waniliowych cukierków i dymu papierosów.

- Cześć, mamó - powiedział, otrząsając śnieg z butów na wycieracze.

- Hej, synu. - Tammi Lee Gilmer wsunęła zakładkę między kartki książki, którą trzymała na kolanach. Bardzo późno odkryła, że na całym świecie istnieje coś, co sprawia jej większą przyjemność niż picie i imprezowanie. Pokochała książki. Pochłaniała je w zaskakującym tempie. Czasem odnosił wrażenie, że poza czytaniem nie robiła nic innego.

Podniosła się z tapczanu i przeszła przez pokój. Przytuliła go i pocałowała w policzek. Jej sweter był przesiąknięty zapachem nikotyny i perfum Charlie. Tammi Lee była szczupła

i pociągająca jak na swój wiek. Jakimś cudem jej ciało przetrwało bez szwanku długie lata nieustającej libacji, ale na jej twarzy znać było mapę wszystkich dróg, którymi chadzała w przeszłości.

- Wszystko w porządku, mamó? - zapytał Sam.

- Jasne. - Poszła do kuchni. Nalała kawę do dwóch kubków, a potem podała mu jeden z nich. - Właśnie zaparzyłam świeżą.

- Dzięki. - Usiadł przy stole, a ona zaczęła szperać w lodówce w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby go nakarmić. Co prawda Sam nie był głodny, ale dobrze wiedział, że nic nie mogło jej teraz powstrzymać.

Patrzył na kobietę, która wychowała go w poobijanym valiancie, która zostawiała go w kojcu, kiedy razem z zespołem jechała w trasę, aby przepitym głosem odśpiewać swój jedyny hit, która nauczyła go kupować papierosy z automatu, zanim nauczył się liczyć, która wykorzystywała go do zmiany wyroków surowych sędziów i zmusiła go, żeby porzucił jedyną dziewczynę, jaką kiedykolwiek kochał. Ta kobieta odebrała mu szansę na normalne życie.

A mimo to, kiedy Sam patrzył na swoją matkę, jego serce wypełniało tylko jedno uczucie - miłość.

Kochał ją, ponieważ zawsze, w każdej podróży, w czasie ucieczek, kiedy oszukiwała, ukrywała się, była aresztowana i oskarżana, kiedy krzyczała i kiedy zadawała mu ból i nawet wtedy, kiedy zmusił ją, żeby poszła na odwyk, ona kochała go tak mocno, jak tylko potrafiła.

Czasem to nie wystarczało. Czasem szukanie dla niej miejsca w sercu przypominało poszukiwanie kartonu mleka w sklepie z częściami do samochodu. Ale kiedy miała dobre dni, potrafiła dać mu wystarczająco dużo ciepła. Dotykała wówczas jego policzków, przepraszała go, że nie pojawiła się na zebraniu albo zapomniiała kupić warzywa. Przepraszała, kiedy wyrastał z ubrań, a ona nie miała pieniędzy, żeby kupić mu nowe. Nauczyła go marzyć, nie zdając sobie z tego sprawy.

Postawiła na stole przed Samem talerz z twarogiem oraz krakersy.

- Jak ci leci? Jak radzi sobie mój syn lekarz?
- Miałem bardzo interesujący tydzień. Wszystko zaczęło się w sobotę wieczorem, kiedy wygrałem rodeo.

Tammi Lee zmarszczyła nos.

- Nie rozumiem, dlaczego nadal się tego trzymasz, kochanie. Jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

- Zrobię sobie krzywdę? Mamo, zraniłem się już w tylu różnych miejscach, że na moim ciele nie ma już kawałeczka na kolejną ranę. - Rozłożył ramiona. - Poza tym rodeo to mój sport.

- Lekarze powinni grać w golfa albo jeździć na nartach.

Roześmiał się.

- Gdzie to wyczytałaś?

- W jakimś czasopiśmie, które znalazłam u ciebie w gabinecie.

- W takim razie nie jestem typowym lekarzem.

Tammi Lee zastukała palcami o blat. Dobrze wiedział, że chciała zapalić, ale starała się opanować, kiedy on był w pobliżu. Będąc dzieckiem, prawdopodobnie nawdychał się tyle dymu, ile mogłoby udusić dorodnego łosia. Zjadł jednego krakersa i wypił łyk kawy.

- Po zawodach spotkałem kogoś - zaczął ostrożnie. Już dawno nauczył się obchodzić delikatnie ze swoją wrażliwą matką. Między innymi dlatego nie zawsze wszystko jej mówił. Jednak w tej kwestii nie mógł ukrywać przed nią prawdy.

Tammi Lee przestała bębnić palcami i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Tak? Kogo?

- Michelle Turner, córkę Gavina Slade'a.

Matka odchyliła się na obitym winylem krzesła i zagwizdała przeciągle.

- Theda Duckworth była dzisiaj rano w sklepie i wspomniała mi coś na ten temat. Przyjechała z powodu choroby Gavina?

Sam skinął głową. Nie chciał wdawać się w szczegóły. W miasteczku o rozmiarach Crystal City ciężko było ukryć wiadomość o stanie zdrowia Gavina Slade'a, ale Sam nie czuł się właściwą osobą, żeby komentować postępy choroby.

- A więc... jak wygląda twoja dawna dziewczyna? - zapytała Tammi Lee. Nigdy tak naprawdę nie poznała Michelle. Zawsze uważała ją za rozpieszczoną córkę aktora, z którą spotykał się jej syn. Sam domyślał się, że wiedziała także, jak daleko zabrnął ten związek, chociaż Tammi Lee nigdy nie mówiła zbyt wiele na ten temat. Tylko raz starała się ostrzec syna przed tym związkiem.

- Ta dziewczyna złamie ci serce, synu - powiedziała mu wtedy.

Doskonale pamiętał tamten dzień. Wróciła do domu po całym dniu pracy w kawiarni Truxtop. Usiadła na krześle i rozwiązała białe skórzane reeboki, a potem rozmasowała stopy. W tym czasie rozpromieniony Sam przygotowywał się na spotkanie z Michelle.

- Słyszysz mnie, synu? - powtórzyła Tammi Lee. - Ona złamie ci serce.

- Daj mi spokój, mamó - odparł, wycierając się ręcznikiem. - Świetnie się razem bawimy.

- Na razie. Ale nie możesz zapominać, kim ona jest.

Sam miał tego dość.

- Do zobaczenia. - Zostawił ją w wynajętym domu ze starymi drewnianymi okiennicami, które otwierały się w niewłaściwą stronę, i podziemnym garażem, który był połączony z domem wyjątkowo wąskim tunelem. Tylko na tyle było ich stać po doliczeniu napiwków Tammi Lee i wynagrodzenia Sama za pracę na ranczu.

- Więc? - nalegała matka. - Bardzo się zmieniła?

- Pracuje w agencji reklamowej w Seattle.

- Przypominam sobie, że miała artystyczne zacięcie.

- A do tego... jest samotną matką.

Tammi Lee uniosła brwi.

- W takim razie mamy coś wspólnego.

Sam zastanowił się nad jej słowami. Podobnie jak Cody on także rzadko pytał o faceta, który go spłodził.

- Jakiś stary facet - odpowiadała mu za każdym razem Tammi Lee, wydmuchując jego nazwisko razem z cienką smużką dymu. - Jakiś stary facet, nazywał się... McPhee.

W końcu przestał pytać. Kiedy był wystarczająco duży, żeby wiedzieć, jak odnaleźć zaginioną osobę, był również na tyle dorosły, żeby zrozumieć, jak niewielką rolę w jego życiu odegrał ojciec. Poza tym żaden mężczyzna nie potrafiłby dorównać idealnemu tacie ze snów Sama.

Wymyślony ojciec pełnił ważną rolę w życiu Sama. Teraz próbował wyobrazić sobie, jakby się czuł, gdyby miał szansę poznać prawdziwego.

Prawdopodobnie byłby rozczarowany.

- Syn Michelle ma szesnaście lat, mamó. Była z nim w ciąży, kiedy tamtej zimy opuściła Crystal City.

Tanimi nie poruszyła się, ale jej jasnoszare oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- W takim razie on jest twoim synem- odezwała się w końcu.

- Tak.

- I nic o tym nie wiedziałeś?

- Nie. Wyjechaliśmy z miasta, zanim Michelle zdążyła mi powiedzieć.

- Nigdy nie starała się z tobą skontaktować?

- Nie. - Sam nie chciał dyskutować o tym z Tammi Lee. Nie chciał, żeby czuła się winna, że zmusiła go wtedy do kolejnej tułaczki. Tak trudno było jej odzyskać pogodę ducha. Tak łatwo poddawała się smutkowi. Kryzys emocjonalny popychał ją w stronę kolejnego drinka.

- I co masz zamiar z tym zrobić? - zapytała.

- Przyzwyczaję się do tej roli. Chłopak ma na imię Cody, ma szesnaście lat i jest wkurzony na cały świat.

- To bardzo typowa cecha szesnastolatków.

- Kiedy ja miałem szesnaście lat, nie pamiętam, żebym był wkurzony na cały świat.

Tammi Lee wbiła wzrok w kolana.

- Byłeś zbyt zajęty pracą i nauką, synu. Poza tym za każdym razem, kiedy się przeprowadzaliśmy, musiałeś zmieniać szkołę. Bardzo mi przykro...

- Nie przepraszaaj mnie, mamó - przerwał jej. - Udało ci

się uchronić mnie przed byciem małym zbuntowanym gnojkiem i powinienem być ci za to wdzięczny.

- A on jest małym zbuntowanym gnojkiem?

- Właśnie.

- Co o tobie myśli?

- Michelle nigdy mu nie powiedziała, kto jest jego ojcem, ale już wkrótce to zrobi, może nawet dzisiaj. A wtedy... zobaczymy.

- Chłopak będzie dumny, mogąc nazywać cię tatą - zapewniła go matka. Zawsze go przeceniała. Przypisywała mu o wiele więcej zalet, niż miał w rzeczywistości. Twierdziła, że to jemu zawdzięcza życie, kiedy raz po raz ciągnął ją wrzeszczącą i kopiącą na kolejny odwyk. Wiele razy powtarzał jej, że wszystko zawdzięcza własnej sile, ale ona nie dawała mu wiary.

- Może będzie chciał cię poznać - zasugerował Sam. Nie mógł się opanować, żeby nie dodać: - Babciu.

Tammi Lee zamarła. Potem wstała.

- Muszę zapalić. - Szybkim nerwowym ruchem chwyciła z kredensu paczkę Virginia Slims i czym prędzej zapaliła papierosa. Zaciągnęła się, opierając o blat kuchenny.

- Znienawidzi mnie. - Wypuściła strużkę dymu.

- Jeżeli tak się stanie, to nie będzie twoja wina. Już ci mówiłem, że ten chłopak to straszne utrapienie. Michelle robi, co może.

Tammi Lee zmierzyła go uważnie wzrokiem przez cienką zasłonę szarego dymu.

- Czy istnieje taka możliwość, że wy dwoje znów zaczniecie się ze sobą spotykać?

Sam zadawał sobie to pytanie, od kiedy ujrzał Michelle po raz pierwszy na parkingu po zawodach rodeo.

- Nie ma mowy - odparł szybko. - Ona mieszka w Seattle i wydaje mi się, że jest... zaangażowana w jakiś związek. Zdążyłem ułożyć sobie życie, mam. Nie chcę, żeby wszystko się rozsypało. Już raz zasmakowałem w małżeństwie i dobrze wiesz, jak to się skończyło. Nie mam zamiaru schrzanić sobie życia z powodu dawnej namiętności.

POWRÓT

Tammi Lee skinęła głową.

- Nie należy budować życia na dziecięcych marzeniach, kochanie, bo można skończyć jak Romeo i Julia.

Sam roześmiał się.

- Chyba masz rację, mammo.

- Co zamierzasz?

- Podejrzewam, że kiedy następnym razem spotkam się z Codym, on już będzie wiedział, że jestem jego ojcem.

Zgasiła papierosa w aluminiowej popielniczce.

- Boisz się, synu?

- Boję się jak diabli, mammo.

16

To nienormalne, pomyślała Michelle, żeby zachowywać się w obecności Sama McPhee niczym zakochany podłotek. Jednak mimo to nie potrafiła przestać o nim myśleć, wyobrażać sobie jego dużych rąk, które tak delikatnie zakładały szwy na głowie Cody'ego. Nie mogła przestać wspominać koloru jego oczu czy wyrazu twarzy, kiedy przyglądał się jej w szpitalu. Miała prawie dorosłego syna, chorego ojca i zobowiązania w Seattle. Nawet w skrytości ducha nie powinna zastanawiać się, jak by to było znów poznać Sama.

- Nie powiadziłaś mi o źrebaku - zwróciła się do Cody'ego, kiedy jechali do domu. Chciała oderwać się od tych myśli i jednocześnie nakłonić go, żeby choć przez chwilę z nią porozmawiał.

- To było całkiem fajne. Okazało się, że... źrebak był źle ułożony, a weterynarz nie zdążyłby na czas, dlatego my odebraliśmy poród. Sam, ja i Edward. Klacz cały czas wstawała i nie chciała leżeć, więc nic nie układało się, jak należy. Musiałem wsunąć w nią rękę, żeby obrócić źrebaka.

Kiedy zajechali pod dom, Michelle wyłączyła silnik, po czym odwróciła się do Cody'ego. Ta fryzura! Starła się nie śmiać, kiedy na niego patrzyła, ale była taka szczęśliwa, że nareszcie pozbył się barwnego pędzla, do niedawna zwisającego mu z tyłu głowy.

- Jak się czujesz? - zapytała. - Przygotować ci coś do jedzenia?

- Jestem skonany, mamó. Chyba odleczę na jakiś czas.

Opanowała się, żeby nie pomóc mu wysiąść z samochodu. Kiedy zrzucił kurtkę, zajął miejsce na sofie i włączył telewizor, powstrzymała się, żeby nie przykryć go kocem-

W porządku, powiedz mu, zagrzewała się w duchu. Powiedz mu o Samie.

Ale gdy tylko otworzyła usta, by z nim porozmawiać, Cody podniósł słuchawkę telefonu i wybrał długi numer.

- Zastałem Klaudię? - zapytał. - Hej, Klaudia. To ja. Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło...

Czując się jak intruz, wyszła z domu. Ruszyła w stronę ogromnej stajni, która znajdowała się na końcu głównej drogi. Wszystko dookoła przywodziło jej na myśl kadr ze starego filmu.

W stajni wpadła, na Jaka'a Dollarhide'a. Jego widok bardzo ją zaskoczył. Nie spodziewała się spotkać go w tym miejscu.

- Jake? To ja, Michelle Turner. Cóрка Gavina.

- Witaj w domu, Michelle. Dobrze cię znowu widzieć. - Był tylko o kilka lat starszy od Michelle. Dawniej jego ojciec pełnił w Błękitnej Skale rolę nadzorcy. Na ranchu tych rozmiarów było to bardzo lukratywne i ważne stanowisko. Jake wyglądał prawie tak samo jak siedemnaście lat temu. Był może trochę szczuplejszy. Miał duże, spracowane ręce doświadczonego ranczera i mnóstwo blizn po czasach, kiedy szukał szczęścia w roli kowboja. Do tego zachowywał się z rezerwą właściwą ludziom, którzy więcej czasu spędzali ze zwierzętami niż z ludźmi.

- Czy znajduję tutaj Dooleya? - Wiedziała, że to raczej niemożliwe, ale musiała zapytać.

- Jasne. Staruszek nadal jest jednym z ulubionych koni szefa.

Nie chciała, żeby Dooley był staruszkciem. Chciała, żeby znów był młody i szybki jak dawniej.

Jake zaprowadził ją do środkowej części stajni. Michelle zastanawiała się, czy pamiętał, co wydarzyło się wiele lat

temu i czy miał pojęcie, jaką rolę odegrał w całej tej historii. Oczywiście nie miała zamiaru go o to pytać. Zatrzymali się przy jednym z boksów. Ze środka wyjrzał do nich kasztanowy łeb.

Dooley. Jej najlepszy przyjaciel. Nigdy nie zapomniała tego głębokiego uczucia, tej miłości, którą darzyła ukochanego konia. A teraz stał przed nią, przezuwając obojętnie pęk lucerny. Z jego wilgotnych nozdrzy wydobywały się obłoczki pary.

Dooley.

Podobno konie i słonie nigdy nie zapominają. Michelle głęboko w to wierzyła. Wierzyła w to całym sercem, ponieważ kiedy wypowiedziała na głos jego imię i przytuliła się do jego długiego, twardego pyska, zarżał cicho, a potem odetchnął łagodnie.

W tej samej chwili Michelle wybuchnęła płaczem. Stało się tak być może dlatego, że wszystkie uczucia, które się w niej gromadziły, osiągnęły punkt kulminacyjny. Podczas gdy cały świat wokół niej zwariował, Dooley żył swoim życiem, przezuwał swoją lucernę i stał spokojnie w stajni.

Jake odsunął się, zakłopotany jej nagłym wybuchem. Po chwili Michelle podniosła głowę i otarła twarz rękawem.

- Przepraszam cię, Jake, ale wiesz, że to jest mój ulubiony koń i spotkanie z nim strasznie mnie rozczerowało.

Przyglądał się jej w napięciu. Dawniej, kiedy byli młodzi, też tak na nią patrzył. Zawsze przechodziły ją wtedy ciarki, ponieważ w jego oczach skrywał się głód.

- Powinnaś zabrać staruszkę na przejażdżkę - zasugerował. Zrobiło jej się głupio za swoje podejrzenia.

Michelle wiedziała, że powinna zaprotestować, sprzeciwić się i pomyśleć o tysiącu powodów, dla których nie powinna przez najbliższą godzinę dosiadać Dooleya. Jednak kiedy otworzyła usta, była w stanie wymówić tylko jedno słowo:

- Tak.

Z magazynu zabrali lejce, wędzidło oraz siodło, które tak dobrze pamiętała. Być może jej ojciec był jednym z hollywoodz-

kich parweniuszy, których Montana kochała nienawidzić, ale trzeba mu było przyznać, że był odpowiedzialnym parweniuszem. Pracownicy rancza Błękitna Skała zawsze troszczyli się o zwierzęta. Sukces zwierząt trenowanych dla potrzeb rodeo zależał od jakości hodowli. Na ranczu Gavina każdy gwóźdź tapicerski przy każdym siodle był czyszczony z największą starannością, a przedmioty skórzane natłuszczane. Kiedy patrzyła na derki, przyszło jej na myśl, że ktoś musiał je odkurzyć, ponieważ wszystkie były nienagannie czyste.

Dooley stał cierpliwie, kiedy go siodłali.

- Jest strasznie gruby - zauważyła z uśmiechem, kiedy zaciskała troczek.

- Nie miał ostatnio zbyt wielu ćwiczeń. Ta przejażdżka dobrze mu zrobi.

- Czy nic mu nie jest? Na nic nie cierpi?

- Jest po prostu powolny. I bardzo leniwy. Ale zrobi wszystko, o co go poprosisz.

Michelle wyprowadziła konia ze stajni. Śnieg na podwórzu był głęboki i sypki. Dooley wygiął kark w ten sam sposób, który tak dobrze pamiętała. Znał drogę na krytą ujeżdżalnię. Michelle zaczęła od bardzo wolnego stępu, a kiedy koń się rozluźnił, przeszła w delikatny kłus.

Z szacunku dla jego wieku nie wymagała od niego, żeby pobiegł galopem. Wsłuchiwała się w dźwięk podków uderzających o miękką ziemię, rytmiczny oddech konia i ciche skrzypienie skóry siodła.

Strzępy wspomnień przelatowały przez jej głowę niczym gnane przez wiatr suche liście.

Tamtego lata, kiedy Dooley i Sam wypełniali jej dni i noce, odkryła, czym jest prawdziwe szczęście.

Wtedy myślała, że tak będzie już zawsze.

Dooley wyczuł, że jego pani myślami jest gdzieś daleko i zwolnił tempo. Bardzo się pocił, mokre strużki spływały mu po skórze. W końcu Michelle zwolniła jeszcze bardziej, żeby pozwolić mu odetchnąć.

- Świetnie razem wyglądacie - stwierdził Gavin. Ani trochę

nie przypominał tego zrozpaczonego człowieka, którego widziała dzisiaj rano w kuchni. Sprawiał wrażenie silnego, pełnego wigoru mężczyzny. Był ubrany w kurtkę z owczej skóry oraz kowbojski kapelusz, a koniuszki jego uszu i nosa poczerwieniały od mrozu.

Jak długo tam stał? Była tak zaabsorbowana jazdą, że nawet nie zauważyła, kiedy przyszedł.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. - Michelle zsiadła z konia i oprowadziła go kilka razy dookoła ujeżdżalni.

- Oczywiście, że mi nie przeszkadza. Cieszę się, że nareszcie ma trochę ruchu.

- Wydaje mi się, że mnie pamięta.

- Wcale mnie to nie dziwi. To najmądrzejszy koń, jakiego kiedykolwiek miałem.

Dała Dooleyowi czas, żeby porządnie się najadł, po czym wycesała go zgrzebłem, posmarowała czerwonym płynem dezynfekującym małe nacięcie na skórze, a potem wyczyściła podkowy. Przez cały ten czas ojciec przyglądał się jej z aprobata.

Po wyjściu ze stajni zajrzeli do Cody'ego. Kiedy okazało się, że zasnął, udali się na małe, lokalne lotnisko. Gavin witał się ze Wszystkimi po imieniu. Zaprowadził ją do hangaru, gdzie trzymał swoje dwa samoloty, wiekowy dwupłatowiec oraz Mustanga P-51, który był jego chlubą. Mustang nadal miał oryginalne paski z czasów wojny. Był to jeden z nielicznych samolotów z czasów drugiej wojny światowej, które przetrwały aż do dziś. Większość z nich znajdowała się w muzeach.

- Jak tylko odnowisz swoją licencję pilota - powiedziała Michelle - chcę przeżyć lot swojego życia.

- Masz to jak w banku - obiecał Gavin.

Już prawie zmierzchało, kiedy wrócili na ranczo i skierowali się w stronę domu gościnnego, żeby zobaczyć, jak się czuje Cody. Nadal spał na sofie zwinięty w kłębek. Telewizor grał, ale dźwięk był wyłączony. Michelle wykorzystała tę chwilę, kiedy nie mógł zaprotestować, i przykryła go kocem, a potem odgarnęła mu włosy z czoła.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał Gavin, kiedy wyszli. Ruszyli w kierunku głównego budynku.

- W jak najlepszym.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi było przykro z powodu włosów, które mu zgolili.

Weszli do środka, otrzepali buty ze śniegu, po czym udali się do salonu i usiedli przy kominku. Tadao podał im napoje.

- Rozmawiałam dzisiaj rano z doktorem Tempie. Powiedział mi, że być może zasugeruje przesunięcie operacji.

- Tak?

- Odparłam mu na to, że pieprzy bzdury i że chcę jak najszybciej poddać się zabiegowi.

Gavin potrząsnął głową.

- Żyję z tym od dłuższego czasu. Kolejny tydzień mnie nie zabije. - Kiedy spojrzała na jego twarz, chciała myśleć, że dostrzega w niej to, co widzą wszystkie córki, patrzące na swoich ojców. Ale nie powróciły do niej żadne wspomnienia. Może właśnie to było jej teraz potrzebne. Jeżeli nie mogła mieć rodzinnej historii, chciała przynajmniej mieć coś drogiego jej sercu. Niestety między nimi nie było żadnej więzi. Może mieli jeszcze czas. Może transplantacja coś zmieni?

Ten pomysł wydał jej się dziwaczny. W końcu nerka to tylko organ. Zapasowa część, jak ją nazywał Cody. Żadna siła mistyczna nie skrywała się w nerce. Ale mimo to wiedziała, że kiedy mu ją odda, uleczy go.

- Co Sam myśli o chłopcu? - niespodziewanie zapytał Gavin.

- O Codym? - zapytała głupio.

- Właśnie o nim - potwierdził z przesadną cierpliwością i humorem.

- Uważa, że Cody jest wściekły i zbuntowany na cały świat.

- Czy to tylko jeden z etapów dorastania czy może jakiś poważniejszy problem?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ty naprawdę tego nie wiesz?

- Czy wiem cokolwiek o wychowywaniu nastolatków? Nie mam o tym zielonego pojęcia, Michelle.

Znów ogarnęła ją złość i żal.

- Ten bunt jest etapem w jego życiu, ale stanowi poważny problem.

- Może to nie byłby taki zły pomysł, żeby spędził z Samem trochę czasu - zasugerował Gavin.

- Nie mówiłam Cody'emu, że Sam jest jego ojcem. - Michelle wrzuciła sobie kilka kostek lodu do szklanki. - Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że Sam wrócił do Crystal Gity?

- Myślałem, że nie zainteresuje cię nic, co mógłbym mieć ci do powiedzenia.

W jego słowach wyczuła jakieś oskarżenie, ale nie była tego pewna.

- Należało mi się słowo wyjaśnienia - nalegała.

Przejechała palcami białe włosy.

- Chyba się bałem, że nie przyjedziesz, kiedy się dowiesz o Samie.

- I tak bym przyjechała - upierała się. - Dzisiaj wieczorem powiem Cody'emu całą prawdę o jego ojcu. - Spojrzała bezradnie w płomienie za kratą. - Nie mam pojęcia, co sobie pomyśli, kiedy już się dowie.

- A co na ten temat sądzi Sam? - zapytał.

- Powiedział, że chciałby poznać Cody'ego, ale ten pomysł wydaje mi się szalony. Nie można poznać dziecka w ciągu kilku tygodni. Żeby naprawdę poznać swoje dziecko, trzeba je wychowywać od chwili narodzin.

- Tak uważasz?

- Tak.

- W takim razie ja ciebie nie znam? I nie mogę cię poznać? Dokończyła drinka.

- Rozmawiamy o Codym.

- W porządku, więc mów.

- Ja po prostu... nie rozumiem, czego Sam od nas oczekuje. A jeżeli chce czegoś, czego nie mogę mu dać? Na przykład spędzać więcej czasu z Codym?

- Pozwolisz na to?

- Oczywiście, że nie. - Zaskoczyła ją spontaniczność i naturalność tej odpowiedzi. Czy naprawdę była taka zaplanowana i przewidywalna? Pewna, że już nigdy nic się jej nie przydarzy?

- Brad i ja mamy plany. - Starła się przekonać o tym zarówno ojca, jak i siebie. - Omówiliśmy wiele rzeczy. Budujemy wspólne życie i nie mam zamiaru go zmieniać tylko dlatego, że jakiś Sam McPhee musi przywyknąć do myśli, że ma syna.

- Kochanie, uwierz mi, że to nie jest zwyczajna nowina.

Coś w tonie jego głosu ją zastanowiło. Odstawiła szklanke. Lampy nad ich głowami rzucały światło na zacieniony pokój. Michelle nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przypominały reflektory sceniczne oświetlające jego szerokie ramiona, wspaniałe gęste włosy, przystojną zatroskaną twarz. Czy w tej chwili spoglądała na aktora, czy na zwykłego człowieka?

- Co masz na myśli, tato?

- Świadomość, że gdzieś na świecie żyje twoje dziecko, przypomina życie na beczce z prochem. Przez cały czas człowiek jest przerażony, boi się, by nie wywołać eksplozji, dlatego siedzi bez ruchu i pilnuje, żeby nikt przez przypadek nie podpałił prochu.

- Nie jestem pewna, jaki to ma związek z Samem.

- Może powinnaś pozwolić mu na więcej. Niech spędzi z Codym trochę czasu w ciągu waszego pobytu, a potem zobaczymy, co się wydarzy.

- Miałam nadzieję, że to ty spędzisz trochę czasu z Codym. Gavin nie patrzył na nią.

- On nie ma na to ochoty. Co może mnie łączyć z szesnastolatkiem?

- Nigdy nic nie wiadomo. Możesz pokazać mu samoloty? - Przypomniała sobie o problemach Gavina z odnowieniem licencji i czym prędzej zmieniła temat. - Cody lubi filmy. Może powinienś oprowadzić go kiedyś po Lynwood.

- W porządku, może wyświetlę dla niego jeden albo dwa filmy.

Najwyraźniej nie zrozumiał, że chodziło jedynie o to, żeby we dwójkę spędzili trochę czasu, ale Michelle nie miała mu zamiaru dłużej tego tłumaczyć.

Przez całą kolację nie zamienili słowa. Trochę później Tadao wręczył jej pojemnik z zupą oraz kanapki z indykiem dla Cody'ego. Pomyślała, że wspaniale udało jej się odegrać przed ojcem rolę opanowanej kobiety. Jednak kiedy się żegnali, jego słowa sprawiły, że omal nie wypuściła z rąk zupy.

- Nie przeciągaj tego. Powiedz mu jeszcze dzisiaj. Dobrze?

17

Kiedy Cody wreszcie się obudził, miał niesmak w ustach. W telewizji właśnie nadawali wiadomości. Wlepił oczy w ekran i zastanawiał się, czy boli go głowa. Kiedy nią poruszał, dawała o sobie znać, ale kiedy trzymał ją prosto i starał się jedynie oddychać, nie czuł najmniejszego bólu.

Sam McPhee przepisał mu jakieś tabletki. Na blacie w kuchni stała brązowa butelka z lekarstwami. Może później zażyje lek przed snem.

Raczej nie, skarcił się w duchu. Przecież obiecał je Klaudii. Kiedy powiedziała, że miał wypadek i zszywali mu głowę, jej pierwsze pytanie dotyczyło środków przeciwbólowych, jakie przepisał mu lekarz. Klaudia lubiła być na haju po tabletkach. Raz albo dwa Cody przyłączył się do niej. Ukradł wtedy trochę darvonu z apteczki Brada. Brad był taki beznadziejny. Zawsze nosił drogie ciuchy i miał wielkie plany, ale nie zauważył zniknięcia kilku tabletek. Podbieranie mu proszków było dziecinnie łatwe.

W ostatni piątek, zaraz po szkolnej zabawie oboje z Klaudią połknęli kilka pigułek i popili je piwem. Świat stał się nagle taki wyrazisty i kolorowy. Wszystko, co mówił, rozśmieszało Klaudię. Miała bardzo seksowny śmiech. Po tańcach odprowadził ją do domu. Nie miał samochodu, ponieważ matka jak zwykle narobiła wiele hałasu o nic i nie pozwoliła mu prowadzić w nocy bez osoby towarzyszącej.

Na zacienionym ganku Klaudia pozwoliła mu posunąć się prawie do końca. Cody'emu robiło się słabo na samą myśl o jej kragłościach i delikatnych ustach. Klaudia potrafiła ssać jego język w taki sposób, że doprowadzała go tym do szału.

W końcu ktoś z domowników zapalił światło i przerwał tę magiczną chwilę. Ale Cody i tak wiedział, że następnym razem Klaudia pozwoli mu na więcej. Potrzebowali tylko trochę prywatności.

Niestety, po tamtym dniu nie miał okazji, żeby przekonać się o słuszności swoich oczekiwań. Następnego dnia po dyskotecie mama wywiozła go do jakiejś wiochy zabitej dechami, żeby mógł popracować na ranchu jakiegoś faceta i zostać kopnięty w głowę przez konia.

Kiedy wróciła matka, Cody zdążył wpędzić się w fatalny nastrój. A ona jak zwykle miała na ustach ten swój pogodny uśmiech.

- Tadao przysyła ci zupę i kanapki. Jesteś głodny?
- Trochę.

W rzeczywistości umierał z głodu.

- Nie ruszaj się. Zaraz podam ci kolację na tacy.
- W porządku.
- Jak głowa?
- Boli, kiedy nią ruszam.

Przez kilka minut krzątała się w kuchni. Podała mu tacę z miską zupy, kanapkami oraz szklanką mleka.

- Dzięki. - Zdenerwowało go, że posypała zupę pietruszką i przecięła kanapki na pół. Jego mama zawsze robiła takie rzeczy, starając się umilić to, co i tak było już miłe.

Kiedy jadł, włączyła wiadomości, ale nie sprawiała wrażenia osoby, która z uwagą śledzi fakty. Wręcz przeciwnie, zachowywała się wyjątkowo nerwowo. Cody podejrzewał, że bała się operacji. Nie rozumiał, dlaczego od pierwszej chwili, kiedy dowiedziała się o chorobie ojca, tak bardzo nalegała, żeby mu pomóc.

- Muszę to zrobić. Chcę tego - tłumaczyła jemu i Bradowi. - Transplantacje zawsze udają się najlepiej, kiedy organ pochodzi od spokrewnionego z chorym dawcy.

Cody'emu nie dawało spokoju, że on także był krewnym Gavina Slade'a, ale za każdym razem kiedy myślał o chirurgach, którzy mogliby go pokroić i wyjąć jego żywy organ, ogarniało go przerażenie. Nie chciał zgłosić się na ochotnika, dlatego pozwolił, żeby zrobiła to jego matka.

- Chcesz dodatkę? - zapytała.

- Nie, jestem pełny.

- Może deser? W lodówce są lody i paczka ciasteczek...

- Nie, dzięki. - Niegrzeczny ton jego głosu sprawił, że zadrżała, ale jego to nic nie obchodziło. Nadal dzwoniła mu w uszach cisza po ostatniej rozmowie telefonicznej z Klaudią. Po tym jak zapytała o tabletki i poprosiła, żeby kilka dla niej zostawił, nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Matka wzięła od niego tacę i już po chwili wróciła do pokoju. Cody chciał zmienić kanał na MTV, ale ona chwyciła pilot od telewizora i wyłączyła go.

Spojrzał na nią zaskoczony i gotowy do ataku.

- Co jest, mamó?

- Musimy o czymś porozmawiać.

- Tak? - Już czuł się znudzony tą rozmową. Może denerwowała się z powodu operacji i chciała powiedzieć mu, jak bardzo go kocha i tym podobne bzdury, na wypadek gdyby operacja nie zakończyła się pomyślnie. To była ostatnia rzecz, o jakiej chciał teraz rozmawiać.

- Tak. - Usiadła na krześle, jedną nogę wsunęła pod siebie, po czym wzięła do ręki poduszkę. - To bardzo ważne, Cody. Chciałabym, żebyś się skupił.

Wzruszył ostentacyjnie ramionami, mimo że ten ruch przyprowadził go o ból głowy.

- A czy ja wyglądam, jakbym się gdzieś wybierał?

- Chciałabym porozmawiać z tobą o mężczyźnie, który jest twoim ojcem.

Niesamowite. W jednej sekundzie Cody znalazł się w stanie gotowości. Zmusił się, żeby nie poderwać się z sofy. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, kiedy odezwał się bezbarwnym głosem:

- Poważnie? Zawsze mi mówiłaś, że to był jakiś kowboj, którego nigdy później nie spotkałaś.

- To prawda. Ale on tutaj mieszka, Cody. Mieszka w Crystal City. Nie miałam o tym pojęcia, dopóki nie spotkałam go w sobotę wieczorem.

O rany. Nie wiedział, jak się zachować, co zrobić z rękoma, oczami i myślami, które bombardowały jego umysł.

- Nie żartuj - odparł wolno.

Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Starał się przypomnieć sobie tłum gapiów na zawodach rodeo, ale jedyną osobą, którą zapamiętał z tamtego wieczoru, była Molly Lightning.

- Nie żartowałabym w takiej sprawie, Cody.

- Więc kim jest ten facet?

Zaczęła nawijać na palec frędzle poduszki.

- To... Sam McPhee.

- O rany! - wykrzyknął, zanim zdążył się opanować. Jego serce przyspieszyło. Ojciec. Miał ojca. Sam McPhee był jego przeklętym ojcem.

To takie dziwne, dowiedzieć się po tylu latach, kim był jego ojciec. A jeszcze dziwniejsze jest to, że Sam i jego matka spotykali się, kiedy byli młodzi.

- Dzięki, że nigdy wcześniej mi o tym nie wspomniałaś, mamo.

- Nie wiedziałam, jak to zrobić. Byłam zaszokowana, kiedy zobaczyłam go tak niespodziewanie. - Przytuliła poduszkę do piersi. - Poza tym na początku byliśmy tacy zajęci. Dopiero teraz nadarzyła się okazja do rozmowy.

Nagle w pustym fragmencie jego życia zaczęła pojawiać się twarz. Twarz kowboja przystojna i pociągła, a potem facet ubrany we flanelową koszulę i levisy. Facet o dużych dłoniach i swobodnym sposobie bycia, który wszystko ma gdzieś. Facet, który był bardzo poważny, kiedy zszywał mu głowę tymi samymi dużymi rękami, którymi wcześniej przerzucał nawóz.

Chryste. Sam McPhee. Jego ojciec. Wewnątrz Cody'ego

rozpętało się istne trzęsienie ziemi. Świat zaczął się zmieniać, a Cody nie miał pojęcia, jak będzie wyglądał, kiedy w końcu się zatrzyma.

- Cody? - Głos jego matki był cichy i niepewny. Miał nadzieję, że nie każe mu zacząć mówić o swoich uczuciach. - Jeżeli chciałbyś... coś powiedzieć?

Chciał powiedzieć jej wszystko i nic. Chciał na nią wrzeszczeć, że trzymała to przed nim w tajemnicy. Chciał ją zapytać, co było z nim nie w porządku, że nie zasługiwał na to, żeby poznać własnego ojca. Chciał ukryć się i zaczekać, aż świat wróci do normalności.

Ale przede wszystkim chciał poznać odpowiedź na jedno pytanie.

- Czy on wie... kim jestem?

- Tak.

- Cholera, powiedziałaś mu pierwszemu? Wielkie...

- Nie powiedziałam mu. Sam się domyślił na podstawie twojego wieku. Tak mi się przynajmniej wydaje. Oczywiście mógł zauważyć jeszcze coś innego.

- Co takiego?

- Przypominasz go... w pewnych szczegółach. Sposób w jaki się czasem zachowujesz, niektóre gesty. Trudno to określić. - Zaczęła bawić się frędzlami. To doprowadzało go do szału. - Przypuszczam jednak, że zdecydował twój wiek. Zdał sobie sprawę, że urodziłeś się kilka miesięcy po tym jak my... jak ja...

- Po tym, jak cię przeleciał - wrzasnął Cody.

Słyszał, jak jego matka wzięła głęboki wdech, ale nie spojrzał na nią. Chwycił się za poręcz sofy i gwałtownie poderwał do góry. Walcząc z zawrotami głowy, popędził do swojego pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, jak tylko mógł.

Niech to szlag! Co on miał teraz zrobić?

18

Świetnie mi poszło, pomyślała Michelle. Wściekłym ruchem ręki strzepnęła głupi frędzel z głupiej poduszki.

Płonęła jej twarz. Wszystkie wnętrzności paliły jej ciało.

Po tym, jak cię przeleciał.

Słowa Cody'ego odbijały się echem od ścian pokoju. Nie mogła się przed nimi schronić. Nie mogła sprawić, żeby okazały się fałszem.

Chciała pójść do niego, usiąść obok niego na łóżku i powiedzieć mu, że wie, jaki to musiał być dla niego szok, zapewnić go, że to i tak niczego między nimi nie zmieni...

Ale to byłoby kłamstwo. Ta wiadomość zmieniła całe ich życie. Nie mogła cofnąć czasu.

Podciągnęła kolana pod brodę i wbiła wzrok w czarny ekran telewizora.

Gniewna reakcja Cody'ego wyrzuciła cały jej świat do góry nogami.

Starała się ogarnąć sytuację. Chciała zredukować problem do minimum. Wiedziała, że teraz Cody był w szoku, ale w końcu ten szok minie i jej syn znów będzie taki jak dawniej. Już nigdy więcej nie poruszy przy nim tego tematu.

Zatrzymałam się na chwilę, żeby podrzucić nerkę i ocalić życie mojemu ojcu, a potem spadam stąd.

Sam twierdził, że chce poznać syna, że chce się zaangażować w ten związek, ale w rzeczywistości jego zaangażowanie

skończyło się siedemnaście lat temu, kiedy uciekł z miasta. Co prawda wyjawiała Cody'emu wszystko, ale zrobiła to tylko dlatego, żeby skończyć z obłudą i fałszem. Nie była Samowi nic winna, ani on nie był jej dłużnikiem.

Nie powinna zwracać sobie nim głowy.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer Brada. On też powinien dowiedzieć się prawdy. Czy się przejmie? Czy poczuje się zagrożony?

Na samym początku ich związku zapytał ją o ojca Cody'ego, a ona odparła mu dokładnie to samo, co zwykła odpowiadać Cody'emu, że to była pomyłka młodości, że nie ma z nim kontaktu i że nie ma pojęcia, gdzie jest.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

Sam McPhee był człowiekiem z krwi i kości. Miał ranczo i robił karierę jako lekarz. Zyskał sobie szacunek tego samego miasta, które kiedyś dało mu w zęby.

Odłożyła słuchawkę, kiedy usłyszała głos mechanicznej sekretarki.

Po chwili zadzwonił telefon. Chwyciła za słuchawkę, modląc się, żeby to był Brad. Niestety, nigdy nie było go w pobliżu, kiedy był jej potrzebny.

- Halo?
- Michelle, mówi Sam.

Boże. O Boże.

- Nie chcę teraz z tobą rozmawiać.
- Wybrałem zły moment?
- Najgorszy z możliwych. - Jej serce waliło jak szalone. Z gardła wrywały się jej słowa, które chciała mu powiedzieć.

- Z Codym wszystko w porządku?
- Oczywiście, że nie w porządku... - Przerwała. Przecież Sam miał na myśli ranę. - Z jego głową jest już dobrze. Zdrzemnął się, a potem zjadł kolację i poszedł do swojego pokoju.

- W takim razie dlaczego powiedziałaś, że nie jest w porządku?

Przełknęła i poczuła ból, jak gdyby coś wielkiego i kancias- tego utknęło jej w przełyku.

- Powiedziałam mu o nas. Powiedziałam mu, że jesteś jego biologicznym ojcem.

Zapanowała cisza. W tle po jego stronie słuchawki zaszczekał pies. Dzisiaj rano, kiedy u niego była, zauważyła, że Sam przez cały czas klepał sukę po głowie. Zachowywał się przy tym tak, jak gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Jak to przyjął? - zapytał w końcu niskim głosem.

- Nie był najszczęśliwszą osobą na świecie. Powiedział do swojej matki brzydkie słowo i wybiegł z pokoju, a potem zamknął się u siebie.

- Zaraz u ciebie będę.

- Nie, Sam, nie możesz...

Ale on już nie słuchał. Połączenie zostało przerwane. Nie mogła go powstrzymać. Czuła się całkiem bezsilna. Czy powinna powiedzieć Cody'emu, że zaraz pojawi się u nich Sam? Nie, wtedy na pewno zabarykaduje drzwi albo co gorsza ucieknie z domu.

Zaczęła sprzątać, wykonując najprostsze czynności. Zmieniła ręczniki, zapaliła światło przed domem. Mijały kolejne minuty, aż w końcu zabrakło jej pomysłów, jak wykorzystać czas przed burzą. Wzięła do ręki szkicownik i swój ulubiony ołówek Primacabr numer jeden. Każdego dnia zabierała z biura kilka projektów, żeby dokończyć je w domu, dlatego nigdzie nie ruszała się bez szkicownika. Nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy przyjdzie jej do głowy jakiś rewelacyjny pomysł na reklamę.

Kiedy tak siedziała, ołówek zaczął tańczyć w jej palcach, a całe jej wnętrze zalało dawno zapomniane uczucie. To tylko nerwy, usprawiedliwiała się w myślach. Bez wątplenia to tylko nerwy. Kiedy spojrzała na kartkę i zobaczyła, co narysowała, upewniła się w tym przekonaniu. Rysunek, na który patrzyła, był lodowaty, pozbawiony uczuć i przedstawiał winorośl, jaką widuje się na etykietach najróżniejszych win. Ten szkic powstał dzięki jej zdolnościom, ale nie był dziełem serca. Doskonale nadawałby się na znak dużej wytwórni win.

Zamknęła blok i odłożyła ołówek na stół. Kilka minut później usłyszała pukanie do drzwi. Poszła do pokoju Cody'ego i oznajmiła:

- Przyjechał Sam.

Cisza. Prawdopodobnie miał na uszach słuchawki i nie mógł jej słyszeć.

Sam postawił buty przy drzwiach. Nie uśmiechnął się, kiedy się z nią witał. Patrzył na nią w dziwny sposób, z zaskoczeniem i niedowierzaniem, tak jak nikt inny nigdy na nią nie patrzył.

- Wyglądasz strasznie - odezwał się w końcu.

- Dzięki. Miałam fatalny wieczór. Chcesz coś do picia?

- Nie teraz, dzięki. Gdzie jest Cody?

- W swoim pokoju. - Wskazała drzwi.

Sam nawet się nie zawahał. To była pierwsza rzecz, która ją zaskoczyła. Ona zawsze się wahała, kiedy miała rozprawić się z Codym. Zatrzymywała się w pół drogi, rozważała wszelkie możliwości, powtarzała sobie scenariusz, który chciała zrealizować, a potem bardzo ostrożnie podejmowała działanie. A Sam po prostu ruszył przed siebie. Oczywiście nie miał do stracenia tak wiele jak ona. Nie mógł stracić czegoś, czego nigdy nie miał.

Zapukał do drzwi, po czym zawołał:

- Cody, to ja, Sam. Twoja mama i ja chcemy z tobą porozmawiać.

Twoja mama i ja.

Michelle nigdy nie przyszło do głowy, że kiedykolwiek usłyszy podobne słowa. Nigdy wcześniej w jej życiu nie pojawił się nikt, kto wyrażałby się w ten sposób. To proste zdanie wywołało obrazy i pragnienia, których Michelle nie chciała do siebie dopuścić.

Odpowiedź Cody'ego rozwiązała sentymentalny nastrój.

- Nie mam wam nic do powiedzenia.

W takich sytuacjach zazwyczaj dawała mu spokój i pozwalała mu odreagować. Ale Sam nie znał wybuchowego charakteru Cody'ego. Położył rękę na klamce.

- Nie przypominam sobie, żebym dał ci taką możliwość

wyboru. Ale teraz dam ci dwie możliwości: możesz do nas wyjść albo my wejdziemy do ciebie. Tak czy inaczej nasze spotkanie nastąpi w przeciągu kilku sekund.

- A jak nie to co? Dasz mi klapsa?

Sam przekreślił gałkę, czym całkiem zaskoczył Michelle. Przez cały czas przypuszczała, że Cody zamknął się na klucz. Kiedy wszedł do pokoju, był opanowany i spokojny. Cody leżał na łóżku. Miał zaciśnięte pięści, a z oczu wзираła nienawiść, kiedy patrzył na Sama.

Michelle stanęła w drzwiach i wstrzymała oddech.

- Nigdy nikogo nie uderzyłem. - Głos Sama był łagodny i niski, ale Michelle nie oszukał. Wiedziała, że był wściekły. - Ale to nie oznacza, że tego nie zrobię. Więc może jednak ruszysz tyłek i ulokujesz go w salonie?

- Może nie mam na to ochoty.

Mały chochlik w głowie Michelle cieszył się tą wymianą zdań. Przez wiele lat sama musiała stawiać czoło uporowi Cody'ego. Nie było przy niej nikogo, kto podałby pomocną dłoń. Nareszcie ktoś inny mógł stać się tarczą przed jego jadowymi uwagami. W tej chwili Sam przypominał mur obronny pomiędzy Codym a Michelle, przyjmując na siebie całą złość chłopaka.

- Mam przez to rozumieć, że będziemy rozmawiać tutaj? - Przesunął walizkę Cody'ego i usiadł na ławie. - Dla mnie może być.

Cody nic nie odpowiedział, ale podniósł się z łóżka, wyszedł z pokoju, po czym usiadł w fotelu w salonie. Nie spojrzął ani na Michelle, ani na Sama. Nie mogła uwierzyć, że Samowi udało się go zmusić do opuszczenia pokoju.

- Zacznę, jeżeli pozwolisz. - Sam spoczął na sofie, a Michelle poszła w jego ślady. Nieświadomie skrzyżowała ramiona, jak gdyby chciała się obronić.

- Po pierwsze, powinieneś wiedzieć, że poznanie prawdy o tobie jest najwspanialszą rzeczą, jaka mi się w życiu przydarzyła.

Michelle patrzyła na mężczyznę, który sześć razy z rzędu zdobył tytuł mistrza rodeo. Ten sam mężczyzna ratował życie ludziom, pomagał dzieciom przyjść na świat, oznajmiał rodzinom, że ich bliscy odeszli z tego świata. A mimo to twierdził, że posiadanie syna było największym osiągnięciem jego życia.

Cody patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Miał kamienną twarz i Bóg świadkiem, że wyglądał zaskakująco pięknie.

- Po drugie - kontynuował Sam - jeżeli jeszcze raz odzwiesz się do matki w podobny sposób, pożałujesz, że kiedykolwiek mnie poznałeś.

Cody odwrócił się do niej. Na jego twarzy malowała się pogarda.

- Super, mamo. Już zdążyłaś do niego pobiec i opowiedzieć mu o naszych prywatnych sprawach.

- Nie winię cię za to, że chciałaś zachować tę wiadomość w tajemnicy. Ja też bym się wstydził, gdybym wygadywał podobne rzeczy do kobiety, która mnie wychowała. - Mimo że głos Sama był bezbarwny, brzmiało w nim ostrzeżenie, którego nie należało lekceważyć.

Kiedy Michelle obserwowała Cody'ego, zauważyła, że on też usłyszał tę groźbę. W końcu miał godnego siebie przeciwnika. Dorastając, Sam walczył o przetrwanie na rodeo, w szkole, a także o wiele innych rzeczy, które tylko mogła sobie wyobrazić. Zachowanie Cody'ego mogło ranić jej serce, ale z pewnością nie miało znaczenia dla mężczyzny takiego jak Sam.

- Co tutaj robisz? - zapytał Cody.

- To samo co ty. Staram się znaleźć odpowiedź na pytanie, co dalej? - Sam oparł stopę na kolanie. Nosił szare grube skarpetki. Zbite kawałki śniegu nadal zwisały z nogawek jego dżinsów. - Na razie wiem, czego nie należy robić. Nie wolno traktować matki bez cienia szacunku. Nie będę tego tolerował, Cody. Rozumiesz?

Ich spojrzenia spotkały się. Od samego początku nie było wątpliwości co do tego, kto wygra. Po kilku sekundach Cody wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Wszystko mi jedno.

- Ostatni raz zachowałeś się w ten sposób - powiedział Sam. - Ostatni. Lepiej w to uwierz, ponieważ dobrze wiem, co sobie teraz myślisz. Wydaje ci się, że jestem jakimś starym facetem i nie mam w twoich oczach żadnego autorytetu.

- Bo nie masz - odparował Cody.

- Wiesz co? - Sam oparł się wygodnie. - Masz absolutną rację. Nie mam zamiaru założyć ci knebla. Ale powiem ci jedno. Nie bądź takim małym gnojkiem w stosunku do osoby, która poświęciła ci szesnaście lat i dziewięć miesięcy życia.

Cody starał się ze wszystkich sił, żeby wyglądać na zmęczonego, ale Michelle była pewna, że cała ta rozmowa go zafascynowała.

- Dlaczego nie?

Sam nie zmienił swobodnej pozycji, tylko utkwiał w chłopaku spojrzenie, pod wpływem którego nawet trawa mogłaby zblednąć. Odezwał się spokojnym głosem:

- Nie zadawaj mi więcej pytania.

Michelle rozplotła ręce i zaczęła przyglądać się im z uwagą. Byli do siebie tacy podobni, że aż dziwne, iż całe miasto nie domyśliło się jeszcze prawdy.

- W porządku - odparł Cody. Pomimo kapitulacji nadal trzymał głowę wysoko. - Wszystko mi jedno.

- No cóż - wtrąciła się Michelle, starając się osłabić napięcie. - Chyba powinniśmy zdecydować, co dalej.

- Poddasz się operacji i wrócimy do domu - zawyrokował Cody.

- Tak też mogłoby się zdarzyć - przyznała. - Czy tego właśnie chcesz?

- Dlaczego miałbym chcieć czegoś innego?

- Może bez powodu - zasugerował Sam. Michelle ucieszyła się, że przyszedł jej z pomocą, ponieważ miała pustkę w głowie. - Ale może jednak istnieje jakiś powód.

Zapanowała cisza i smutek. Słowa Sama zadały Michelle ból, ponieważ w głębi serca dobrze wiedziała, że oboje zbudowali wokół siebie mur, który ochraniał ich przed całym

światem. Udało im się przetrwać w samotności kilkanaście długich lat. Udało im się z nikim nie wiązać. Byli bezpieczni przed miłością i bezpieczni przed cierpieniem.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć? Myślisz, że mam ochotę, żebyś zabrał mnie na mecz bejsbolu, a potem na zakupy? - zapytał Cody. - Jestem na to trochę za duży.

- To dobrze, bo nienawidzę bejsbolu. I nienawidzę zakupów. - Sam znów go pokonał. Jego spojrzenie miało wielką moc. Gdzie on się tego nauczył? - zastanawiała się Michelle.

- Oto moja propozycja - kontynuował Sam. - Jeżeli jutro rano nie będzie cię bolała głowa i twoja mama się zgodzi, przyjedziesz do mnie. Zobaczymy, jak radzi sobie żreback. Może sobie pogadamy, a może nie. Zobaczymy.

Przez chwilę Cody siedział w milczeniu.

- A jeżeli nie mam na to ochoty?

- To nie przyjedziesz. - Ale Michelle tak samo jak Sam dostrzegła błysk w oku chłopaka, kiedy Sam wspomniał o koniu. - Zawsze możesz zostać tutaj i robić... cokolwiek zechcesz.

Znów zapanowało milczenie. Cody przypominał głaz, ale ona dobrze wiedziała, że w środku toczył walkę ze złością.

- Czy mogę iść do swojego pokoju? - zapytał w końcu.

Twarz Sama stężała.

W końcu Cody dał za wygraną i dodał z oporem:

- Proszę?

Cuda się czasem zdarzają, pomyślała Michelle. Po raz pierwszy od dłuższego czasu jej syn poprosił o pozwolenie.

Sam spojrzał na nią.

- Michelle?

- Do zobaczenia jutro rano, Cody - odezwała się. - Jeżeli będziesz miał ochotę, żebyś podwiozła cię do Sama, daj mi znać.

19

Sam patrzył, jak Cody wychodzi z pokoju. Zwrócił uwagę na jego wystudiowane ruchy i wsunięte do kieszeni ręce. Musiał przyznać, że pomimo zmanierowanej postawy był bardzo przystojny. Uważał tak, jeszcze zanim dowiedział się, że jest jego ojcem.

Chciał zapytać Michelle, jaki był Cody jako dziecko, ale za każdym razem, kiedy myślał o tych latach, które stracił, ogarniała go złość i frustracja. Te lata minęły i nie istniał żaden sposób, żeby je odzyskać.

- Co się teraz dzieje w jego głowie? - zapytał łagodnie.

- Za parę minut, gdy tylko założę słuchawki i włączę discmana, z pewnością pojawi się tam Marilyn Manson. Nienawidzę tej muzyki i nienawidzę tego, że jej nienawidzę, ponieważ kocham muzykę.

- Możesz mi nie wierzyć, ale doskonale rozumiem, co masz na myśli.

W odpowiedzi posłała mu smutny uśmiech. Sam dobrze wiedział, że powinien już iść, ale nie chciał. Zamiast tego pochylił się do przodu i wziął do ręki szkicownik, który leżał na stole.

- Mogę?

- Jasne. To tylko projekty do pracy. Wątpię, czy znajdziesz tam coś interesującego.

Kiedy otworzył szkicownik, nie znalazł w środku tych

dzikich, pełnych emocji abstrakcji, które spodziewał się ujrzeć. Rysunki na kartkach w większości przedstawiały przedmioty, takie jak meble, buty, winogrona czy prysznic, a także wy* studiowany obrazek nurogęsi w locie. Każdy z nich był doprowadzony do perfekcji, jak gdyby wyprodukował je komputer.

Michelle poruszyła się na kanapie, po czym podkuliła nogi.

- Powiedziałam ci, że to tylko projekty do pracy. Jestem grafikiem.

- Jesteś cholernie dobra - powiedział szczerze. - Nie mogę uwierzyć, że przestałaś malować. Byłaś zafascynowana malowaniem.

- Sam, miałam wtedy osiemnaście lat i byłam zafascynowana niemal wszystkim: sztuką, końmi... tobą. Problem polega na tym, że życie pozbawia nas pasji. Chyba niektórzy nazywają ten stan dorastaniem.

Jej słowa ugodziły go w samo serce. Na jej twarzy malował się smutek. Nie lubił w niej tej pełnej tęsknoty melancholii, ale nie miał pojęcia, jak ją rozweselić.

- Cholera, Michelle. - Przysunął się do niej na sofie. - Nie chciałem cię zdenerwować. - Instynktownie otoczył ją ramieniem.

Przez chwilę wtulała się w jego ciało, a on nie mógł uwierzyć, że jej bliskość tak bardzo na niego działała. Jednak już po chwili najwyraźniej dotarło do niej, co przed chwilą zrobiła, ponieważ odsunęła się od niego. Sam odetchnął z ulgą. Jego życie znów wróciło na właściwy tor. Każda próba zbliżenia się do Michelle Turner mogłaby rozbić jego uporządkowany świat. A przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty zbierać szczątków własnej egzystencji.

- Nic mi nie jest, naprawdę - zapewniła go drżącym głosem. - Ostatnio wiele rzeczy bardzo się skomplikowało.

- Łagodnie to ujęłaś. Ale ty i twój ojciec jesteście silni. Świetnie radzisz sobie z przygotowaniami do operacji. Poza tym rozmawiałem dzisiaj z Maggie Kehr. Operacja odbędzie się w przewidzianym terminie.

Michelle zamknęła oczy.

- Dzięki, Sam. - W końcu otworzyła oczy i spojrzała na niego. - I dziękuję również za to, że do nas przyjechałeś.

Przyjrzał się jej uważnie. Była taka drobna i szczupła, taka chłodna i piękna, kiedy wpatrywała się w ciemność za oknem. W końcu spojrzał na szkicownik na stole, a potem wstał i wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu.

- Michelle, ubieraj się. Chcę ci coś pokazać.

- Ale Cody...

- Nie odejdziemy daleko.

Oboje włożyli kurtki i buty. Kiedy wyszli na zewnątrz, zachłysłeni się nocnym wiatrem. Wysoko w górze wisiał widoczny w trzech czwartych księżyc, od którego biło mroźne błękitne światło. Lampa przed domem oświetlała podwórze. Sam poprowadził Michelle przez ciemny podjazd. Po drodze minęli kilka magazynów. W końcu zatrzymał się przy ostatnim z nich, skręcił w wąską nie odśnieżoną ścieżkę i ruszył w stronę drzwi.

Przyjrzał się pękowi kluczy, który trzymał w ręku i wybrał jeden z nich, bardzo stary zardzewiały kluczyk.

- Zastanawiam się, czy nadal pasuje.

Michelle stała w milczeniu, kiedy starał się otworzyć zamek. W pewnej chwili klucz utknął w miejscu, ale w końcu przekręcił się i otworzył drzwi. Oboje weszli do pokoju, którego nie widzieli przez ostatnie siedemnaście lat.

Duchy przeszłości krążyły między meblami nakrytymi pokrowcami. Sam zapalił światło.

- Pamiętasz?

- Co byś zrobił, gdybym zaprzeczyła?

- Nazwałbym cię kłamczucha. - Zdjął pokrowiec z krzesła oraz ze stołu, który stał tuż obok.

- Sam, nie rozumiem, dlaczego... Och.

Zastanawiał się, jakie wrażenie wywrze na niej to miejsce. Liczył na to, że Gavin Slade w głębi duszy był sentymentalny i nie pomylił się. Staruszek zostawił tu wszystko nienaruszone. Przez wiele lat tylko to przypominało mu o córce.

- Wszystko wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy malowałam. - Kiedy Michelle mówiła, z jej ust wydobywały się małe obłoczki pary.

Gavin urządził ten bungalow specjalnie dla niej. Znajdowały się tutaj sztalugi, stół kreślarski, tablice, zwoje płótna, słoiki pełne pędzli i tuby z farbami. Wszystko pozostało nietknięte jak gdyby na przekór czasowi. Sam zdjął kolejny pokrowiec, odsłaniając staromodną sofę obitą pluszem.

Ten widok przywiódł mu na myśl wspomnienia tak żywe, że omal nie pociągnął Michelle na zakurzone poduszki. Doskonale pamiętał dotyk jej ciała, kiedy leżała pod nim, sposób, w jaki jej nogi oplatały się dookoła niego, jej oddech. Pamiętał miłość tak czystą i silną, która paliła się żywym płomieniem, jak gdyby miała nigdy nie zgasnąć.

Jezu. W pomieszczeniu panowała temperatura minusowa, a on zaczynał się pocić. Rzucił Michelle przelotne spojrzenie, żeby sprawdzić, czy zorientowała się, jakie wrażenie wywarło na nim to miejsce.

Michelle zacerwieniła się po czubki uszu.

- Zastanawiam się, czy to się stało właśnie tutaj - powiedział zuchwale. - Zastanawiam się, czy właśnie tutaj spłodziliśmy Cody'ego.

Wstrzymała oddech.

- Nie. To było w domku na przystani. To wydarzyło się... na przystani.

To szczególne miejsce nad rzeką było ich sekretnym miejscem spotkań. Tylko tam mogli być naprawdę sami. Nagle Sam poczuł, jak zalewa go fala wspomnień tamtego lata. To był jedyny moment jego życia, kiedy wszystko jawiło mu się w jasnych barwach, kiedy wszystko było takie proste i kiedy był całkiem pewien, że zmierza w dobrym kierunku. Kiedy był pewien, jak potoczy się jego życie.

Los jednak lubi płatać figle. Rzuca cię na nieznane wody, miota w nieznane strony. W takich momentach życie przypomina dziką jazdę na nieujężdżonym koniu. Nie masz pojęcia,

dokąd cię poniesie, aż w końcu lądujesz na ziemi w tumanach kurzu.

- Sam, dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

Ponieważ chciałem sobie przypomnieć, jak to było, kiedy byłaś blisko mnie. Zaciśnął usta, żeby nie powiedzieć tego na głos, po czym odparł:

- Ponieważ przed operacją będziesz miała kilka wolnych dni. W tym czasie mogłabyś malować.

- Nie - odparła natychmiast, jak gdyby starała się przed czymś obronić.

- Dlaczego?

- Rysuję i maluję w pracy. Tak długo, jak tutaj jestem na przymusowym urlopie, nie mam ochoty robić niczego, co kojarzyłoby się mi z agencją reklamową.

Chciał jej powiedzieć, że obrazy, które kiedyś malowała, różniły się od szkiców, które przed chwilą widział, a tym bardziej nie przychodziły na myśl agencji reklamowej, tylko utalentowany umysł, Oczy i ręce osoby, która potrafiła tworzyć niesamowite rzeczy.

Zamiast tego milczał. Nie potrafił czytać w myślach tej dorosłej Michelle, ale jednego był pewien. Czuła się niepewnie i trochę się bała, o on tylko pogarszał sytuację.

- Poza tym - dodała, podnosząc zamarzniętą tubkę - te rzeczy są do niczego.

- Mogłabyś kupić. Przy następnej wizycie w Missoula mogłabyś zaopatrzyć się w pędzle i farby.

- Naprawdę nie jestem zainteresowana.

Pozwolił, żeby jej słowa rozplynęły się w powietrzu.

- Lepiej stąd wyjdźmy, inaczej umrzemy z zimna.

Odprowadził ją do drzwi i stał przez chwilę, obserwując ją w blasku światła lampy. Nagle poczuł się jak intruz.

- Muszę już iść, Michelle.

- Dobranoc, Sam.

- Dobranoc. - Pod wpływem impulsu dotknął ręką jej policzka.

Nie poruszyła się.

POWRÓT

- Masz zimne dłonie.
- A ty masz ciepły policzek. - Pochylił się i pocałował ją delikatnie, wdychając zapach jej perfum oraz śniegu. - Do zobaczenia... albo i nie - dodał, po czym ruszył w kierunku ciężarówki, walcząc z pragnieniem, żeby zawrócić.

20

Kiedy Michelle wbiegła do domu, odsunęła zasłonę w oknie kuchennym, żeby jeszcze raz spojrzeć na Sama. Zimny, srebrzysty księżyc rzucał na niego blade światło. Pomachał do niej ręką, a ona czym prędzej puściła zasłonę i oparła się o blat. Wciąż drżała. Poruszyły ją wspomnienia i ogarnął ją strach. Sam McPhee należał do przeszłości, o której starała się zapomnieć. Dlaczego więc jego obecność wywołała w niej tyle emocji? Nie powinno tak się stać. Ale ten mężczyzna miał związek z tyloma sprawami, które były dla niej bardzo ważne! Był ojcem Cody'ego, zachęcał ją do malowania, mieszkał w Montanie i znał Gavina. Poza tym wzbudzał w niej strach i pożądanie.

Chciała zajrzeć do Cody'ego, ale drzwi do jego pokoju były zamknięte na klucz. Zaparzyła sobie herbatę z dwóch torebek, a kiedy usiadła na sofie, automatycznie sięgnęła po telefon.

Po dwóch dzwonekach zaczęła się niecierpliwic. Dopiero po czwartym dzwonku w słuchawce odezwał się znajomy głos:

- Brad Lovell.
- To ja.
- Cześć, kochanie. - Jego ciepły głos uspokoił jej skołatane nerwy.

Uśmiechnęła się i odprężyła.

- Co robisz? Jesteś zajęty?

- Przeglądam jakieś papiery. Wygląda na to, że jednak będzie nas stać na kupno domku na Kauai...

- Brad?

- Tak, kochanie?

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Wolałabyś Maui?

- Nie, nic podobnego. - Boże. Dlaczego jego zdaniem pierwszą rzeczą, o której chciała z nim porozmawiać, był domek na Hawajach?

- Co się stało, Michelle?

Wypiła łyk herbaty.

- Chodzi o Cody'ego.

- Cholera. Już przysporzył ci kłopotów?

Zdenerwowało ją, że na dźwięk imienia Cody'ego Bradowi natychmiast przychodziły na myśl kłopoty. Zdenerwowało ją to tym bardziej, że miał rację.

- No cóż... mam pewien problem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć, czy będziemy się bawić w dwadzieścia pytań?

Wypiła kolejny łyk, po czym odstawiła kubek.

- Chodzi o... mężczyznę, który jest jego ojcem.

- Tego kowboja.

- Tak. Wiesz, on mieszka w Crystal City. Pewnego wieczoru... wpadłam na niego.

- Poznał cię?

Trochę dotknęło ją to pytanie.

- Tak. Bardzo szybko zorientował się, kim jest Cody.

Zapanowała cisza.

- Brad?

- Czekam, aż mi powiesz, że wybierzesz się z tą historią do programu Oprah.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Jasne. Tak czy inaczej... powiedziałałam dzisiaj o wszystkim Cody'emu. Nie był zachwycony, ale chyba pogodził się z tym faktem.

- A co z tobą, Michelle? Czy ty jesteś zachwycona?

Ogarnęło ją poczucie winy, ponieważ chciała mu powiedzieć, że spotkanie z Samem nic dla niej nie znaczyło i że nic do niego nie czuła.

- Byłam zaszokowana. Zaskoczona. Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek go zobaczę. Ale wszystko wygląda na to, że wspaniale ułożył sobie życie, został lekarzem i ma ranczo w odległości piętnastu kilometrów stąd. Nazywa się Sam McPhee.

- Czy on czegoś od ciebie oczekuje?

Przypomniała sobie ich pożegnanie, kiedy Sam dotknął jej policzka. Przeszył ją dreszcz.

- Co masz na myśli?

- Prawo do odwiedzin i tym podobne.

Ponownie zadrzała na całym ciele.

- Nie mam pojęcia. Wszystko tak szybko się potoczyło. O nic mnie nie prosił. - Na razie. Dzisiaj wieczorem dostrzegła jednak w jego oczach mnóstwo pytań.

- Jeżeli wpadnie na pomysł, że chciałby pobawić się w tatę i syna, przypomnij mu, jak drogie jest w dzisiejszych czasach utrzymanie dziecka w college'u.

- To nie jest kwestia pieniędzy.

- Skarbie, wszystko jest kwestią pieniędzy.

- Ale nie to. Nie mam zamiaru poddać takiego pomysłu Cody'emu i... zobaczymy, co będzie dalej. O Boże, Brad, co będzie, jeżeli on zechce zostać z ojcem i mnie zostawi? - Nie potrafiła dłużej hamować uczuć. Była przerażona.

- Dlaczego miałby od ciebie odejść? - Brad był szczerze zdziwiony. - Posłuchaj, nie przejmuj się. Jesteś bardzo dobra dla Cody'ego. On cię kocha. Po prostu przeżywa teraz trudne chwile, podobnie jak wiele dzieciaków w jego wieku. - Bardzo szybko Brad zręcznie zmienił temat i po raz pierwszy od bardzo dawna była mu wdzięczna, kiedy rozwodził się o wyższości Kauai nad Maui. W końcu po kilku słowach pożegnania odłożył słuchawkę.

Rozmowa z Bradem pozostawiła po sobie niesmak. Dlaczego on nigdy nie przejmuje się nami tak, jak przejmuje się domkiem letniskowym? - zastanawiała się rozgoryczona.

Dopiła herbatę i zaparzyła sobie kolejną porcję. Opadała z sił i tylko dzięki kofeinie mogła jeszcze normalnie funkcjonować. Wiedziała, do kogo zaraz zadzwoni. Wiedziała również, że będzie tego żałować, ale nie miała zamiaru dłużej zwlekać. Wybrała numer i czekała.

Po trzecim dzwonku usłyszała w słuchawce pogodne:

- Halo?

- Natalie, przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Michelle! - wykrzyknęła jej przyjaciółka z niekłamana radością.

- Jesteś zajęta? - zapytała Michelle, chociaż wiedziała, że bez względu na to co robiła Natalie, mogła przerwać, ponieważ zawsze miała czas dla przyjaciół.

- Właśnie ćwiczyłam arpeggio na wiolonczeli. To takie ekscytujące. Uwielbiam pilnować twojego domu. Masz niesamowitą wannę. A teraz twoja kolej, skarbenku! Co się stało? Jak ci leci?

Poza Codym i Bradem tylko Natalie wiedziała o transplantacji. Dla Michelle to nie był prosty temat, o którym mogłaby rozmawiać ze znajomymi w pracy. Poza tym mając Gavina Slade'a za ojca, już dawno nauczyła się trzymać język za zębami, żeby nie wywoływać sensacji w mediach.

- W sobotę mam pojawić się w szpitalu na ostatnie badania. Jeżeli wszystkie wyniki okażą się pozytywne, w poniedziałek poddam się operacji.

- Kiedy przyjedzie Brad? Spotka się z tobą w szpitalu?

Poduszki ugięły się miękko, kiedy zmieniła pozycję na sofie.

- Właśnie przed chwilą o tym z nim rozmawiałam. Sama nie wiem, czego od niego oczekuję. Może nawet nie będzie musiał przyjeżdżać.

- Na litość boską! Ta twoja samodzielność zaczyna przekraczać wszelkie granice. Brad musi do ciebie przyjechać.

- Jeżeli do mnie przyjedzie, będę się martwiła, co robi i myśli, włączając się po korytarzach szpitala w obcym mieście. Zwariuję, analizując bez przerwy, czy on i Cody nie wchodzi sobie w paradę. Może będzie lepiej, jeżeli zostanie w Seattle.

On w każdym razie jest gotów. Obiecał, że jeżeli zdecyduję, że jest mi potrzebny, zrezygnuje ze wszystkich planów i przyjedzie.

- Brad nigdy z niczego nie zrezygnował, no, może poza próbami zasugerowania mi, że powinnam się stąd wynieść.

W jej słowach kryła się prawda. Brad i Natalie wprost się nie znosili.

- Oboje z tatą jesteśmy gotowi. Wszystko będzie dobrze.

- Uratujesz życie swojemu ojcu. Kiedy o tym myślę, przeżywa mnie dreszcz.

- Nie ekscytuj się za bardzo, Natalie. To zwyczajna operacja.

- Zwyczajna? Zwyczajna? Niezupełnie, skarbieńku. Wiem, że sama w to nie wierzysz, Michelle. Pomyśl o psychicznym aspekcie tego wydarzenia. Dajesz życie ojcu, który dał je tobie.

- Oddaję nerkę ojcu, który dawał mi czeki.

- Nie masz racji. Musisz mnie wysłuchać. - Michelle potrafiła wyobrazić sobie Natalie, jak siedzi przy telefonie z zafalowanim wyrazem twarzy. - To wszystko ma o wiele głębszy sens. Tu nie chodzi wyłącznie o przeszczep.

- Ależ właśnie tak! I dzięki Bogu, że tak właśnie jest. Gdyby cała sprawa dotyczyła cudów i magii, miałabym spory problem.

- Jak ci się układa z ojcem?

- Żałuję, że muszę cię rozczarować, ale jesteśmy jak para obcych sobie ludzi. On przez cały czas jest zakłopotany i przeprasza za wszystko, co robi. Zachowuje się tak, jak gdyby popełnił faux pas, że w ogóle śmiał zachorować. Teraz, kiedy znów jesteśmy razem... - Zamilkła, czując, jak ogarnia ją żal.

- Założę się, że obiecuje Cody'emu złote góry.

Michelle omal się nie zachłusnęła.

- Natalie - jęknęła przez telefon - ty chyba chcesz mnie zabić.

- Co takiego? Twój tata nigdy w życiu nie widział Cody'ego. To musi być cudowne patrzeć na nich, jak poznają się po latach.

Cody zachowuje się okropnie, a mój ojciec nie wie, jak do

niego dotrzeć. Obaj są na granicy wytrzymałości, a ja tylko czekam, aż wybuchną.

- Och, Michelle. Tak mi przykro. Daj mi porozmawiać z synkiem. - Natalie znała Cody'ego od dnia narodzin. Była trenerem Michelle w czasie ciąży. To właśnie ona towarzyszyła jej w czasie porodu, sapała dokładnie tak samo głośno jak ona, a na koniec odcięła pępowinę. Pokochała go od pierwszej chwili i jej miłość nie osłabła aż do dzisiaj.

- Zasnął. Miał mały wypadek.

- Wypadek? Ty małpo, dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Bo to nic poważnego. Rana głowy.

- Jak?

- Kopnął go koń.

- Trzymajcie mnie. Chcesz mi powiedzieć, że kopnął go jeden z koni twojego ojca?

- Tak naprawdę kopnął go jeden z koni jego ojca.

- Michelle! - Wyobraziła sobie przyjaciółkę, jak siedzi w jej salonie, przyciska słuchawkę do ucha i stara się uspokoić. - Chcesz mi powiedzieć, że kowboj też tam jest?

Nigdy nie powiedziała Natalie nic ponadto, co o Samie wiedział Cody i Brad.

- Mieszka tutaj.

- Żartujesz. Wiedziałaś, że go spotkasz?

- Nie, całkiem mnie zaskoczył. Do tego został lekarzem.

Zapadło milczenie. Kompletne, pełne zdziwienia milczenie. Natalie prawie nigdy nie zamykała ust. Michelle uśmiechnęła się na tę myśl.

- Wdepnęłaś w przekłete końskie gówno - odezwała się w końcu przyjaciółka. - Opowiedz mi o wszystkim. Nic niewart pastuch wraca do miasta i zostaje szanowanym przykładnym obywatelem, a do tego lekarzem?

- Tak.

- I twój ojciec nigdy ci o tym nie wspomniał?

- Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, Natalie.

- W porządku, przejdźmy do ciekawszych rzeczy. Czy ten kowbojski lekarz jest żonaty?

- Nie.
- Zaangażowany w jakiś związek?
- Nie wiem.
- Gdyby był, na pewno byś o tym wiedziała. Co zrobili on i Cody, kiedy wyznałaś im prawdę?
- To... bardzo skomplikowane.
- W porządku. Przyjeżdżam.
- Co?
- Podróż volkswagenem nie zajmie mi więcej niż półtora dnia.
- Natalie, nie możesz...
- Powiedziałam, że przyjeżdżam. - Rzuciła słuchawkę.

Mimo że Michelle doskonale wiedziała, że niczego nie zmieni, starała się kilka razy wybrać numer telefonu do swojego domu, ale za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka.

Kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła się całkiem zdezorientowana. Cieszyła się z przyjazdu Natalie, ale z drugiej strony była tym faktem zdruzgotana. Natalie była osobą, która zawsze mówiła to, co myślała, a do tego znała Michelle lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Kiedy Sam będzie w pobliżu, Natalie pošle jej jedno spojrzenie i wszystko stanie się dla niej jasne. Zrozumie, że Michelle nie potrafi przestać o nim myśleć i że nie ma pojęcia, co z tym wszystkim począć.

Michelle wciąż powtarzała sobie, że ma własne życie. Ma Cody'ego, Brada i swoją pracę. A do tego czeka ją operacja.

Położyła się na sofie, zamknęła oczy i nagle do głowy zaczęły przychodzić jej najróżniejsze pomysły. Odżyła dzika, nieokiełznana część jej natury, która doskonale wiedziała, co zrobić z Samem McPhee, i której nie obchodziło to, co było dla niej dobre.

21

Cody ucieszył się, że matka nie oczekiwała od niego żadnych wyjaśnień, kiedy oświadczył, że chce pojechać do Sama. Dodał tylko tyle, że przestała go boleć głowa, że założy czapkę i że chce zobaczyć żrebaka, któremu pomógł przyjść na świat.

Na jej twarzy pojawiło się zdenerwowanie, jak zawsze kiedy go o coś podejrzewała. Mimo to wypita kawę w kompletnej ciszy. Zastanawiał się, co chodziło jej po głowie. W końcu zdecydował, że wcale go to nie obchodzi.

Kiedy dzwoniła na ranczo Samotna Sosna, siedział przejęty i czekał. Ale matka nie rozmawiała z Samem, tylko z tym Indianinem, Edwardem Blissem. Edward był w porządku, może trochę głupkowaty, ale Cody i tak go lubił. Powiedział, że nie ma problemu i że może przyjechać. Dlatego już o dziewiątej Cody wyskoczył z range rovera i skierował się do stajni. Zdziwił się, że nigdzie nie było śladu psa.

Usłyszał, jak mama woła za nim, żeby włożył czapkę i zadzwonił do niej, jeżeli źle się poczuje i tym podobne bzdury. Machnął na nią ręką i nawet nie spojrzął w jej stronę. Wiedział, że zachował się niegrzecznie, ale gdyby wrócił, nie pozwoliłaby mu odejść przez kolejną godzinę i musiałby wysłuchać całej tyrady o tym, na co powinien uważać, co robić, a czego nie.

- Halo! - krzyknął, kiedy wszedł do stajni. Scout natychmiast wybiegła mu na powitanie, kręciła się w kółko, obwąchała

go z każdej strony i przez cały czas zachowywała się jak najważniejsza osoba na ranczu. Dzięki ogrzewaniu w stajni było cieplej niż na zewnątrz.

Cody wsunął głowę w uchylone drzwi biura.

- Jest tu kto?

Ani żywego ducha. Domyślił się, że Sam pojechał do szpitala, a Edward pracował gdzieś na ranczu albo nie opuścił jeszcze swojego mieszkania, które znajdowało się w pobliżu. Pies znalazł stertę starych derek przy piecu i zwinął się w kłębek, po czym zapadł w sen.

- Świetnie - powiedział do siebie Cody. Był zadowolony, że został całkiem sam.

Kiedy wyszedł z biura, włożył buty, które miał na sobie w czasie porodu Sylwii. Wybrał parę ogrodniczek i założył je. Cieszył się, że w pobliżu nie było ani jednego lustra, ponieważ podejrzewał, że musiał wyglądać jak kompletny wieśniak. Kiedy naciągnął parę rękawiczek, przestał się zastanawiać nad tym, jak wygląda. Chciał czym prędzej zobaczyć klacz i jej młode.

Boks, w którym przychodziły na świat źrebaki, był dodatkowo ogrzewany przez lampy zawieszane w każdym kącie. Światło, które od nich biło, dawało złudzenie, jak gdyby nad Sylwią i jej małym unosił się anioł stróż. Kiedy Cody patrzył na zwierzęta, poczuł uścisk w gardle. Kobyła stała spokojnie pośrodku boksu, a kiedy zauważyła Cody'ego zaczęła wydawać takie odgłosy, jak gdyby chrząkała. Ten dźwięk wydał się chłopcu przyjazny. W końcu był tego niemal całkiem pewien. Potem Sylwia pochyliła się nad źrebakiem, który spał u jej stóp zwinęty w kłębek niczym mały kociak. Mały wyciągnął przednie nogi, potem podparł się na tylnych i po chwili udało mu się wstać. Cody chciał jej pomóc, ale przypomniał sobie, jak Sam mówił, że najlepiej pozwolić źrebakowi samodzielnie stawiać pierwsze kroki.

Źreback przytulił się do matki i w bardzo zabawny sposób polizał jej brzuch. Sylwia popchnęła go lekko, kierując w stronę sutków. W końcu udało mu się znaleźć upragnione miejsce.

Cody nigdy nawet nie podejrzewał, że karmieniu może towarzyszyć tyle najróżniejszych odgłosów ssania, mlaskania i przełykania. Gdyby ktoś był w pobliżu, na pewno czułby się zakłopotany, ale skoro został całkiem sam, oparł się o drzwi boksu i uśmiechnął do siebie.

Kiedy wczoraj wieczorem Cody rozmawiał z Klaudią, starał się opisać uczucia, które towarzyszyły mu w czasie porodu żrebaka, ale ona skomentowała jego opowieść jednym słowem: „obrzydlistwo” i czym prędzej zmieniła temat na tabletki przeciwbólowe. Czasem żałował, że Klaudia w niczym nie przypominała przyjaciółki, której mógłby się ze wszystkiego zwierzyć. Nigdy nie interesowały jej trudne, osobiste tematy. Zależało jej tylko na dobrej zabawie. Kiedy Cody przebywał w jej towarzystwie, udzielał mu się jej imprezowy nastrój. Jednak czasem zastanawiał się, jak by to było mieć kogoś, komu ufałby, z kim mógłby porozmawiać, zwłaszcza w takie dni jak dzisiaj, kiedy nadmiar informacji palił go niczym trucizna.

Może po prostu nie umiał rozładować emocji związanych z Samem i to nie była wina Klaudii, że nie potrafił się przed nią otworzyć.

Dawniej jego mama malowała konie. W szafie w pracowni trzymała wszystkie stare prace. Duża teczka pękała w szwach od szkiców, akwareli i obrazów namalowanych farbą olejną. Kiedy był mały, rysunki koni wywoływały w nim zachwyt oraz podziw.

- Co to za obrazy, mamó? Ty je namalowałaś? - zapytał kiedyś.

- Dawno temu, dziecinko. - Zawsze nazywała go dziecinką i nawet teraz, kiedy był już duży, zapominała się i zwracała do niego w ten sposób. - Nie mam już na to czasu. Jestem zbyt zajęta projektami do pracy.

- Ale te obrazy podobają mi się o wiele bardziej niż twoje projekty.

Spojrzała na niego dużymi, smutnymi oczami i pogłaskała go po głowie.

- Mnie też, dziecinko. Mnie też.

Nigdy nie powiedziała o tych obrazach nic więcej, ale Cody czasem przyglądał się im w sekrecie. Dopiero teraz, kiedy przyjechali na ranczo dziadka, domyślił się, gdzie powstały tamte prace. Konie i góry, i rwące potoki. Wysoka jodła przy lizawce. Gniazdo nurów, lustrzana tafla wody odbijająca pokryte śniegiem wierzchołki gór. Wszystkie te obrazy namalowała w czasie pobytu na ranczu Błękitna Skała.

Czwartego czerwca, kiedy miał dziesięć lat, obudziły go głośne wystrzały fajerwerków nad Zatoką Eliotta. Poszedł poszukać matki. Znalazł ją w pracowni. Siedziała na podłodze otoczona swoimi obrazami, popijała wino i płakała. Cicho na palcach wrócił do swojego pokoju.

Teraz znał już przyczynę jej wspomnień i smutku. Kiedy mieszkała na ranczu Błękitna Skała, poznała Sama McPhee.

Jego ojca. Jego przeklętego ojca.

Cody odsunął od siebie te myśli. Zabrał się do pracy. Wyczyścił niecki i rury mechanizmu pompującego wodę do boksów. Urządzenie działało w ten sposób, że kiedy któreś ze zwierząt miało ochotę się napić, przyciskało język do drążka znajdującego się pośrodku. Następnie posprzątał puste boksy i wywiózł nieczystości na zewnątrz. W przerwach zaglądał do kłaczy i źrebiątka.

Po pewnym czasie mały przestał jeść, a kłacz dokładnie go wylizała. Cody zaczął się zastanawiać, czy byłby mile widzianym gościem w boksie. Wiedział, że Sylwia kopnęła go przez przypadek, że to był tylko impuls.

Kiedy uchylił metalowe drzwi, drżała mu ręka. Zaskoczony własnym strachem pomyślał, że zachowuje się niedorzecznie. W końcu wszedł do środka. Pod butami czuł miękką słomę. Zaczął cmokać tak, jak to robili Sam i Edward.

Żrebak cofnął się, ale kłacz spojrzała na niego i skinęła głową tak śmiesznie, że uśmiechnął się na ten widok.

- Witaj, Sylwio - powiedział łagodnie. - Co słyszeć, dziewczynko?

Mruknęła w odpowiedzi, po czym wyciągnęła szyję i oparła

łeb na jego ramieniu. W tej chwili Cody całkiem zapomniał o swoim wystudiowanym chłodzie i obojętności do świata. Najpierw pogładził klacz po nosie, potem zaczął głaskać jej duży łeb i szyję, szepcząc przy tym łagodnie. Sylwia westchnęła z zadowolenia, kiedy podrapał ją między uszami.

Żrebię uważnie się im przyglądało, machało ogonem i strzygło uszami. Cody wyciągnął rękę w jego stronę.

- Chodź tutaj, malutkie. Nie zrobię ci krzywdy. No chodź...

Przysunęło się do jego nóg. Cody kucnął bardzo powoli, żeby nie wystraszyć zwierzęcia. Małe obwachało jego rękę, zakreśliło nosem i odrzuciło łeb do tyłu. Ale Cody nie cofnął ręki i przez cały czas przemawiał łagodnie. Wachało go i cofało się jeszcze kilka razy. W końcu pozwoliło mu się pogłaskać między oczami, a na koniec przysunęło się do niego, wyrażając w ten sposób aprobatę, a Cody zaczął głaskać go po nosie i głowie. Kiedy klacz wysunęła język i polizała jego rękę, roześmiał się. Po chwili zaczęła ssać jego palec. Była taka rozkoszna i taka lśniąca niczym nowa moneta. Cody poddał się magii tej chwili, objął zwierzę za szyję i przytulił się do niego.

W tej samej chwili usłyszał hałas za plecami. W pierwszej chwili pomyślał, że to na pewno klacz poruszyła się niespokojnie.

Wstał powoli i odwrócił się. To nie klacz spowodowała ten hałas. Najwyraźniej ktoś przyłapał go na gorącym uczynku. Zrobiło mu się głupio.

- Cześć, Cody - powiedziała dziewczyna. - Przyszłam obejrzeć nowego żrebaka.

- Hm, Molly. - Poczuję, jak jego twarz przybiera czerwony kolor. - Tak się nazywasz? Molly? - Jak gdyby zapomniał. Jak gdyby wierzył, że ją oszuka.

Uśmiechnęła się do niego i przez jedną krótką chwilę świat nabrał nowych żywszych barw. Była niesamowita. Jej długie czarne włosy błyszcząły niczym tafla wody. Jej twarz przyciągała wzrok. Kiedy raz się na nią spojrzało, nie chciało się spuścić z niej wzroku.

- Tak właśnie się nazywam.

Cody'ego paliły uszy. Czuł, jak bije od nich ciepło.

- Właśnie, hm, zaprzyjaźniałem się z nią.

Molly podeszła do dorosłej klaczy i podrapała ją między uszami. Jednak ani na chwilę nie przestała wpatrywać się w młode.

- Jest taka piękna. - Wsunęła rękę do kieszeni, po czym wyjęła z niej przysmak dla Sylwii. - Nie przejmuj się, że widziałam, jak ją tulisz - dodała, kiedy klacz pochyliła się, żeby wziąć od niej marchewkę.

Cody omal nie udławił się ze wstydu.

- Ja tylko...

- Zazwyczaj całuję je w usta - przerwała mu, po czym kucnęła i wyciągnęła rękę w kierunku źrebięcia.

Cody odsunął się na bok, czując pewną przewagę nad dziewczyną. Podejrzewał, że bez względu na to, jak długo będzie się starała, małe do niej nie podejdzie. Tak naprawdę nie obchodziło go, jak długo będzie próbowała przekonać do siebie zwierzę, ważne, że będzie mógł na nią popatrzeć. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł przyglądać się jej przez cały dzień. W jego szkole w Seattle obcisłe legginsy, kowbojki, za duży sweter i zwężana do dołu marynarka wywołałyby komentarze i docinki o burakach. Ale tutaj, w stajni Sama, wyglądała bardzo naturalnie. Była odpowiednią osobą w odpowiednim miejscu. Cody przyłapał się na tym, że zastanawiał się, jak by to było trzymać jej wspaniałe ciało blisko siebie. Zastanawiał się, jak pachną jej włosy, czy jej policzki są takie gładkie, na jakie wyglądają, czy jej usta...

O rany! Myśli zaczynały mu się wymykać spod kontroli. Powinien być lojalny w stosunku do Klaudii, zamiast rozkoszować się widokiem tej chudej cichej dziewczyny. Dzięki Klaudii udało mu się wyrwać z nudnej szkolnej codzienności. Dzięki reputacji Klaudii nareszcie stał się kimś. Ludzie znali jego imię, wymieniali je między sobą, kiedy przemierzał szkolne korytarze.

Problem polegał na tym, że kiedy Molly Lightning patrzyła

na niego swymi lśniącościami oczami, wszystko inne przestawało się dla niego liczyć.

- Chcesz się napić coli?

Molly wstała.

- Jasne. I tak powinniśmy zostawić je same.

Miała rację. Gdy tylko wyszli z boksu, źrebię zwinęło się w kłębek i zasnęło. Podeszli do starej poobijanej lodówki po brzegi wypełnionej napojami alkoholowymi oraz zwykłym pićm. Owczarek uniósł łeb, ale już po chwili znów zapadł w drzemkę. Stali w biurze i popijali colę; Ponownie zaczęło narastać między nimi napięcie.

- Moja mama słyszała, że Sylwia kopnęła cię w głowę. - Molly rzuciła okiem na szarą czapkę z daszkiem, którą Cody nasunął na opatrunek.

Kiedy dotknął ręką bandaża, ogarnęła go nieopisana duma.

- Tak. W złym momencie znalazłem się w zasięgu jej kopyt.

Patrzyła na niego z takim podziwem, że poczuł się, jakby przybyło mu kilka centymetrów.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało.

- Jak twoja mama się o tym dowiedziała? - zapytał.

Molly zmrużyła oczy w komiczny sposób.

- Moja mama wie wszystko. Uczy angielskiego w liceum. Założę się, że Edward Bliss opowiedział jej twoją historię.

- Powiedział jej coś jeszcze? - Cody poczuł dziwną lekkość w płucach, jak gdyby zaciągnął się papierosem i wstrzymał oddech.

- Co takiego?

- O... Samie McPhee.

- Co z Samem?

- Jest moim tatą. - Postarał się, żeby jego głos brzmiał wyjątkowo nonszalancko. - Moim biologicznym tatą. - Nie spojrzął na nią, ale wyczuł jej zaskoczenie.

- O rany - odezwała się w końcu.

- To znaczy, że twoja mama nie wie wszystkiego.

- Chyba nie. Czy Sam wiedział o tobie?

Jakieś dziwne uczucie podobne do wstydu poruszyło Co-

dy'ego. Wkurzało go, że został poczęty w tak beztroski sposób, a potem porzucony niczym pierwszy lepszy żrebak.

- Nie. On i mama stracili kontakt.
- Masz ojczyma?

Cody pomyślał o Bradzie, o jego nienagannie czystych dłoniach, wypchanym portfelu i oczach, którym nigdy nie ufał.

- Nie. - Tracił czubkiem buta zwój liny na podłodze.
- Cieszysz się, że go poznałeś?
- Dla mnie jest tylko facetem, którego kiedyś poznała moja mama. Spotkanie go niczego nie zmienia.

Molly wrzuciła pustą puszkę do kosza na śmieci.

- Jesteś tego pewien?
- Wydaje ci się, że zaczną tam, gdzie skończyli, i padną sobie w ramiona jak gdyby nigdy nic?

- A jeżeli tak się stanie?

- Nic podobnego - odparł szybko ze strachem w głosie. - Mieszkamy z mamą w innym stanie. Przyjechaliśmy tutaj tylko na jakiś czas.

- Bardzo lubię Sama. Wszyscy go lubią.
- A ja go nawet nie znam.

Zamilkła.

- Zeszłego lata spotykał się z moją mamą.

Głowa Cody'ego gwałtownie podskoczyła. Chłopak zmrużył oczy.

- Naprawdę? Nadal są razem?

- Nie. Pozostali dobrymi przyjaciółmi, ale nie są razem. Słyszałam, że Sam spotykał się z wieloma różnymi kobietami. - Zarumieniła się. - Ale to nie musi być prawda.

- A co z twoim tatą?

Molly wzruszyła ramionami.

- Zostawił nas, kiedy byłam mała. Prawie go nie pamiętam.
- Domyślam się, że Sama znasz o wiele lepiej niż jego.
- Chyba tak.

Cody czekał. Chciał, żeby jeszcze coś powiedziała, ponieważ aż płonął z ciekawości, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Samie. Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi. Skąd po-

POWRÓT

chodzi? Jak dorastał? Czy miał braci albo siostry? Co jadał na śniadanie?

Dlaczego nie starał się mnie odnaleźć?

Wrzucił puszkę do kosza, po czym wyszedł z biura.

- Lepiej już pójdę. Mam sporo roboty - powiedział. Tyle myśli zaprzętało mu głowę, że aż stał się przez to nerwowy.

- Pomóc ci? - zapytała Molly.

- Nie.

- Mogłabym...

- Nie. - Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Stała przy drzwiach oświetlona przez promienie słoneczne. Cody chciał, żeby sobie poszła, ale ona nie ruszyła się z miejsca. - Nie mam zbyt wiele pracy - odparł niechętnie.

- W takim razie do zobaczenia. - Wyszła ze stajni. Na dworze czekał na nią koń przykryty ciepłym kocem. Molly go odwiązała, wskoczyła na jego grzbiet, zawróciła i odjechała niespiesznie.

22

Choroba była jego wrogiem. W chwili kiedy usłyszał diagnozę, Gavin Slade wyobraził ją sobie jako żywą istotę, potwora wciągającego go w ciemną otchłań. Upokorzony ułomnością własnego ciała, przeklął cały świat. Został naznaczony pocałunkiem śmierci.

Zaczął tracić grunt pod nogami. Zatrudnił doradcę od spraw żywienia, uczęszczał na specjalne terapie, ale mimo to nie potrafił uciec przed tym, co nieuniknione. Jego nerki były bezużyteczne. Dializy nie spełniały zadania. Bardzo powoli zatruwał swój organizm. Wiedział, że jeżeli transplantacja nie wypadnie pomyślnie, umrze w ciągu kilku miesięcy.

Jadąc autostradą, zacisnął dłonie na kierownicy. Częścią jego strategii było udawanie, że nie działo się nic złego.

Był ważną osobistością w Crystal City. Nawet teraz, tyle lat po nakręceniu ostatniego filmu, nadal traktowano go jak gwiazdę. Ludzie lubili z nim rozmawiać. Lubili opowiadać swoim dzieciom, że to właśnie jego twarz widnieje na plakatach i opakowaniach kaset wideo.

W wypożyczalni jego filmy znajdowały się w dziale z klasyką.

Przez cały czas jechał opustoszałą drogą. Rozmyślał o Michelle i żałował, że musiał wciągać ją w to wszystko. Tak bardzo chciał, żeby istniało inne wyjście. Chryste, przecież ona

nic mu nie była dłużna, a już na pewno nie musiała oddawać mu swojej nerki.

Jednak mimo wszystko gdy tylko dowiedziała się o jego chorobie, postanowiła pomóc. Od tamtej pory ani razu nie chciała się wycofać.

Dlaczego? Miłość do ojca na pewno nie miała z tym nic wspólnego. Może kierowało nią poczucie obowiązku? Problem polegał na tym, że wszystko robili od końca. Najpierw powinni sobie wybaczyć, a dopiero później poddać się operacji. Robiło mu się smutno na myśl, że dopiero kryzys był w stanie ich do siebie zbliżyć.

„Jestem w ciąży, tato”.

„Wcale mnie to nie dziwi. Twoja matka też była bezmyślna”.

Chryste. Co, do diabła, sobie myślał, mówiąc podobne słowa do swojej przerażonej córki? Co gorsza, dopilnował, żeby w jej życiu nie było Sama McPhee. Nic dziwnego, że odeszła i przez lata budowała między nimi ścianę milczenia. Nie winił jej za to.

Starał się zapomnieć o poczuciu winy w bardzo typowy dla siebie sposób; wysyłał czeki na ogromne kwoty, które miały pokryć koszty edukacji jej dziecka. Dobrze wiedział, że tak nie mógł kupić jej przebaczenia, ale przynajmniej miał świadomość, że jego wnuk nigdy nie będzie musiał martwić się o fundusze na naukę.

Z jakiegoś nieznanego, szalonego powodu był wdzięczny losowi za chorobę, która pozwoliła im się do siebie zbliżyć. Jeżeli transplantacja zakończy się niepowodzeniem, przyzna się do porażki.

Widok zepsutego samochodu na poboczu wyrwał Gavina z zamyślenia. Od razu rozpoznał beżowego chevy celebrity z otwartą maską. Zwolnił i zatrzymał się tuż obok.

- Problemy z samochodem? - zapytał kobietę pochyloną nad silnikiem.

Wyprostowała się. Jego widok zmroził jej twarz. Tammi Lee Gilmer przekroczyła pięćdziesiątkę i nic nie mogło temu zaprzeczyć. Miała zwiotczałą skórę i zniszczone włosy upięte na czubku głowy. Była bardzo chuda i miała wyblakłe oczy,

a na jej ustach nieustannie gościł smutny uśmiech. Od kiedy wiele lat temu przeprowadziła się do Crystal City, prowadziła spokojne życie, które w niczym nie przypominało tej beztrudnej zabawy, w której wir dała się kiedyś wciągnąć i o której gadało całe miasto.

Spotykali się bardzo rzadko. Wymieniali wówczas krótkie skinienie głowy i kilka grzecznościowych formułek. Niestety teraz nie było drogi odwrotu.

- Po prostu zgasł - wyjaśniła. - Nie mam pojęcia, co się mogło stać. - Miała zachrypnięty głos. Z tego, co wiedział Gavin, nie piła od lat, ale dawny nałóg odbijał się echem w jej głosie.

Gavin otworzył drzwi od strony pasażera.

- Podwożę cię.

Tammi Lee zatrzasnęła maskę, po czym wzięła torebkę z siedzenia.

- Dzięki, Gavin. Właśnie jechałam do Sama. Będę mogła zadzwonić od niego do warsztatu McEvoya.

Podwozie w samochodzie Gavina było dosyć wysokie. Kiedy Tammi Lee wsiadała do środka, podał jej rękę. Jej dłoń wydała mu się mała i koścista. Kiedy jednak umościła się wygodnie na siedzeniu, sprawiała wrażenie osoby energicznej. Pachniała papierosami i tanimi perfumami.

Obszedł ciężarówkę dookoła, po czym wsiadł do środka i zjechał na autostradę.

- Znasz drogę na ranczo Sama? - zapytała.

- Tak, wiem, gdzie znajduje się Samotna Sosna. Byłem tam raz albo dwa. - Gavin kupił od Sama kilka koni. Poza tymi rzadkimi spotkaniami nie odzywali się do siebie.

- Pewnie wiesz, dlaczego jechałam do Sama - odezwała się.

- Domyślałam się, że chciałaś spotkać się z chłopakiem.

- Podobno ten chłopak nazywa się Cody. - W jej głosie słychać było rezerwę. - Cody Jackson Turner. Miałam szczęście, że na ciebie wpadłam. Opowiedz mi o nim, żebym mogła lepiej przygotować się na spotkanie.

- Nie widywałem się zbyt często ze swoim wnukiem, Tammi Lee.

- No tak. Jest także moim wnukiem, a ja jeszcze nigdy nie widziałam go na oczy.

- Nie spodziewaj się uścisków ani całusów.

- Miałabym spodziewać się uścisków od szesnastolatka? Nie martw się, Gavin. Nie jestem aż taka głupia. - Przez chwilę nie odezwała się słowem. - Kiedy Sam był w jego wieku, zachowywał się o wiele bardziej dorośle niż ja. Skończył szkołę i od razu poszedł do pracy. Nigdy nie pozwoliłam mu cieszyć się dzieciństwem.

Szczerzy żal w jej głosie wywołał grymas na jego twarzy.

- Nie obwiniaj się tak bardzo. Sam jest w porządku. Nie każdej matce udaje się wychować syna lekarza.

Roześmiała się, potrząsając głową.

- Czasem mi się wydaje, że dostałam go przez pomyłkę, że był przeznaczony dla jakiejś pary mieszkającej w przytulnym domku z półkami pełnymi książek, pianinem i gorącą kolacją podawaną do stołu każdego wieczoru.

- Gdyby wychował się w takiej rodzinie, byłby zbyt miękki, żeby osiągnąć to wszystko, co ma. - Gavin żałował, że dał się wciągnąć w rozmowę na temat dzieci. Dobrze wiedział, jak żyła Tammi Lee, kiedy Sam dorastał. Mimo że dzieliła z nim życie, była tak samo niedostępna dla swojego syna jak on dla Michelle. Kiedy człowiek pije, nie ma kontaktu ze światem. Nawet z własnym dzieckiem.

- Dojechaliśmy na miejsce. - Zjechał na drogę prowadzącą do domu Sama. Jego ranczo nie było ani tak rozległe, ani takie bogate jak Błękitna Skała.

Szczupła dziewczyna jechała w przeciwną stronę na koniu. Najwyraźniej opuszczała ranczo. Gavin rozpoznał w niej córkę Ruby Lightning.

- Zastanawiam się, czy dotrzymywała towarzystwa Cody'emu - powiedziała do siebie Tammi Lee. - Jeżeli ten młodzik jest tak przystojny jak jego ojciec, z pewnością nie ma kłopotów z nawiązywaniem znajomości damsko-męskich. A co słyhać u twojej córki? - zapytała całkiem niespodziewanie. - Słyszałam, że jest jakimś nadzwyczajnym projektantem reklam w Seattle.

- Zgadza się, ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

- To miło z jej strony, że wróciła po tylu latach.

Zaparkował samochód pod stajnią i zgasił silnik. Ze środka wybiegł owczarek szkocki. Ujadał i skakał w śniegu.

Gavin odwrócił się do Tammi Lee i zmusił się, żeby na nią spojrzeć.

- Michelle nie wróciła tutaj, bo jest miła.

- Tak...?

- Zachorowałem. - Nienawidził wymawiać tego słowa. - Pewnie o tym słyszałaś.

- Same plotki.

- Zostałem poddany dializie, niestety z marnym skutkiem. W każdej chwili mogę zatruć się toksynami. Potrzebuję dawcy nerki. Michelle zdecydowała się poddać przeszczepowi.

- Mój Boże...

- Nigdy w życiu nie będę w stanie jej podziękować.

- Po prostu wyzdrowiej, Gavin. To jej z pewnością wystarczy. Jestem tego pewna.

Ze stajni wyszedł partner Sama, Edward Bliss. Gavin otworzył drzwi od strony Tammi Lee.

- Hej, ludziska - przywitał ich Bliss. Mimo że zachowywał się całkiem naturalnie, z jego oczu wycierała ciekawość.

- Hej, Eddie. - Tammi Lee naciągnęła na uszy wełnianą czapkę. - Zepsuł mi się samochód. Skorzystam z telefonu w biurze.

- Jasne. Sam dzisiaj pracuje.

- Wiem. Przyjechałam spotkać się z Codym.

Zainteresowanie Bliss'a stało się tak widoczne, że aż komiczne.

- Znajdziesz go w stajni.

Bliss wsiadł na skuter śnieżny i uruchomił silnik. Po chwili odjechał. Gavin stał między stajnią a samochodem i nie miał pojęcia, jak się zachować. Nie istniał żaden powód, dla którego powinien zostać, ale wcale nie miał ochoty stąd odjeżdżać.

Tammi Lee zawahała się przy drzwiach do stajni.

- Gavin?

- Tak?
- Może nas sobie przedstawiśz.

Po raz pierwszy, odkąd spotkał ją na poboczu, uśmiechnął się. Dobrze wiedział, jak bardzo musiała się denerwować przed spotkaniem ze swoim szesnastoletnim wnukiem.

Weszli do stajni. W powietrzu unosił się zapach siana, melasy oraz końskich odchodów. Z oddali dobiegały ich dźwięki koszarnej muzyki, którą stworzono po to, żeby przyprawiać ludzi o ból głowy.

- Nie jestem wyrocznią w kwestii muzyki - powiedziała zniżonym głosem Tanimi Lee. - Ale czy to w ogóle można nazwać muzyką?

Gavin teatralnym gestem zakrył uszy.

- Witaj w świecie Cody'ego.

Zauważyli go, kiedy czyścił boks. Najwyraźniej jemu bardzo podobały się te dzikie rytmy. Poruszał się w ich takt, kiedy machał łopata, odwracał się i wrzucał zawartość na taczkę.

- Szkoda, że Sam pierwszy dopadł chłopaka - stwierdził Gavin, zaskoczony widokiem swojego wnuka przy pracy. - Bardzo by mi się przydał na ranchu.

- Powinieneś poprosić go o pomoc - odparła Tammi Lee, nie spuszczać oczu z Cody'ego. - Założę się, że zgodzi się pracować dla was obu.

- Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek ktoś będzie miał z niego pożytek. Przypominał mi o wszystkich powodach, dla których nie oglądam MTV.

Tammi Lee z trudem opanowała zdenerwowanie.

- Wszystko w porządku? - zapytał zaskoczony wyrazem jej twarzy.

- Nie poradziłam sobie z wychowaniem Sama - odparła. - Nie chciałabym schrzanić poprawnych stosunków z jego synem.

Gavin nagle zrozumiał, że odstawienie butelki było dla niej prawdziwą bitwą, a nawet wojną, którą musiała stoczyć, i że tak naprawdę już nigdy nie będzie wolna od pokus nałogu.

Nie zastanawiając się, chwycił ją za rękę.

- Chodź. Przedstawię cię.

Wyłączył radio.

Cody jeszcze przez sekundę śpiewał drżącym tenorem, po czym zamilkł.

- Hej, co do... - Zamilkł, kiedy zobaczył Gavina i Tammi Lee.

- Przepraszam. - Gavin uśmiechnął się przyjaźnie, ale to mu nie pomogło. Wprawił chłopaka w zakłopotanie i to wystarczyło, żeby popsuć atmosferę.

- Nie powinieneś podkradać się do ludzi. - Cody odstawił łopatę, zdjął jedną rękawicę, po czym podrapał się w głowę, tam gdzie spod czapki wystawał bandaż.

- Nie boli cię głowa? - zapytał Gavin.

- Trochę.

- Przeprowadziłem kogoś do ciebie. To jest matka Sama, Tammi Lee Gilmer.

Poczuł, jak ścisnęła jego dłoń, zanim odważyła się podejść do Cody'ego. Gavin prawie nie znał tej kobiety, ale potrafił czytać z jej twarzy jak z otwartej książki. Wiedział, że paraliżował ją strach, a po jej uśmiechu i błysku w oczach poznał, jak bardzo jest wzruszona.

- Cześć, Cody - powiedziała zachrypniętym głosem. - To dla mnie ogromna niespodzianka. Nie mogłam się doczekać, żeby cię poznać.

Cody przestał drapać bandaż i wyciągnął rękę, a Tammi Lee potrząsnęła nią szybko.

- Cześć - odparł.

- Wydaje mi się, że powinieneś nazywać mnie po imieniu, Tammi albo Tammi Lee - zasugerowała.

- A nie babcia albo babunia? - zażartował Gavin, starając się rozluźnić atmosferę.

- Wcale by mi to nie przeszkadzało - wyznała w przypływie szczerości, po czym natychmiast spłonęła rumieńcem. - Ale na miano babci trzeba sobie zasłużyć, nie uważasz? Cody i ja dopiero się poznaliśmy.

Skrzyżowała ręce na piersiach i przyjrzała się uważnie twarzy wnuka.

- Prawdopodobnie słyszałeś to już setki razy i masz tego powyżej uszu, ale uważam, że wyglądasz dokładnie tak samo jak Sam, kiedy był w twoim wieku. Sam był najprzystojniejszym dzieciakiem w mieście.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Cody - ciągnęła Tammi Lee - nie mam zamiaru wprawiać cię w zakłopotanie i nie chcę się narzucać. Ale jeżeli miałbyś ochotę, moglibyśmy spędzić razem trochę czasu.

- Muszę pracować - odparł bez ogródek.

- Rozumiem. - Zacisnęła dłoń. - Zrobię domową pizzę - dodała.

Cody skinął głową bez entuzjazmu. Założył rękawicę.

- Lepiej zabiorę się do roboty.

- Do zobaczenia - nie poddawała się Tammi Lee.

- Może.

Gavin ruszył za nią. W stajni znów rozbrzmiała muzyka. Zatrzymali się na chwilę, żeby obejrzeć kłacz i jej nowo narodzone dziecko. Przez chwilę podziwiali źrebę. Gavin spojrział ukradkiem na twarz Tammi Lee i nie był zaskoczony, kiedy zauważył łzę spływającą po policzku.

- To tylko nieznośny dzieciak - powiedział, podając jej chustkę, którą wyjął z kieszeni.

- Nie spodziewałam się, że wpadnie mi w ramiona. Ale, Jezu Chryste, tak bardzo chciałam go przytulić. - Kiedy oparła rękę na drzwiach boksu, trzęsły się jej dłonie. - Tak bardzo chciałam go przytulić.

Jej szczerze wyznanie wzruszyło Gavina.

- Wydaje mi się, że oboje przegapiliśmy ważny okres jego życia.

Otarła policzki i oddała mu chustkę.

- Jest mi tak strasznie smutno, chyba dlatego że straciłam tak wiele z życia Sama. Szkoda, że niektórych rzeczy uczymy się zbyt późno.

Dawna drzazga zakłuła Gavina w serce. Siedemnaście lat temu wyrobił sobie zdanie na temat Tammi Lee oraz Sama, ale dopiero teraz zrozumiał, że się pomylił.

- Lepiej zadzwonię w sprawie samochodu — odezwała się. Kiedy znaleźli się przy drzwiach stajni, muzyka umilkła. Tammi Lee i Gavin odwrócili się. Cody wyszedł z boksu.
 - Hej... Tammi Lee. - Niepewnie wymówił jej imię,
 - Tak?
 - Z czym będzie ta pizza?
- Jej twarz rozjaśnił uśmiech.
- Z czym tylko chcesz, skarbie. Z czym tylko chcesz.

Zimowe opony ciężarówki Sama zapiszczały na drodze prowadzącej na ranczo Samotna Sosna. Zaskoczony zobaczył fordą 350, własność Gavina Slade'a. Cholera, co on tutaj robi?

Sam zaparkował przed domem i zauważył światło w kuchni. Zatrzymał się i zajrzał do środka. Ze zdumieniem zobaczył, jak jego matka podaje Gavinowi parujący kubek.

Stanął, żeby zebrać myśli. Jego pierwsze spotkanie z Gavinem Slade'em zaowocowało pasmem wydarzeń, których nikt się wówczas nie spodziewał. Kiedy miał siedemnaście lat, samochód jego matki zepsuł się pod samą kawiarnią Truxtop w Crystal City. Właściciel knajpy odholował wrak do warsztatu McEvoya i zaproponował Tammi Lee pracę. Sam postanowił zatrudnić się na ranczu Błękitna Skała, ponieważ miało dobrą reputację i hodowano na niej zwierzęta przeznaczone do występów na rodeo. To było miejsce, o którym marzył każdy dzieciak, który w przyszłości chciał zostać kowbojem.

Zarządca rancza przyjrzał mu się uważnie, jak siedział w siodle, po czym natychmiast odesłał go do szefa. Wygląd Sama zawsze działał na jego korzyść. Był wysoki, smukły, miał długie ręce i swobodny sposób bycia, który wzbudzał zaufanie zarówno w koniach, jak i w ludziach.

- Wyglądasz jak kowboj. Czy potrafisz jeździć jak kowboj? - zapytał Gavin.

Sam natychmiast zademonstrował swoje umiejętności na pożyczonym koniu.

- Jak się tutaj dostałeś? - chciał wiedzieć Gavin.
- Przyszędłem.
- Z miasta? Przecież to prawie dziesięć kilometrów.

Sam nie skomentował jego słów, a Gavin zatrudnił go bez zadawania dalszych pytań.

Gavin pozwolił Samowi wziąć udział w kilku lokalnych zawodach łapania bydła na łąso. Wygrane nie były wysokie, ale dawały Samowi coś, czego nie miał nigdy wcześniej: możliwości.

W końcu okazało się, że jego przeznaczenie spina blond włosy w kucyk, nosi drogie ciuchy do jazdy konnej i ma łagodne rozmarzone spojrzenie, które sprawiało, że zapominał o bożym świecie.

Jak na złość to musiała być córka szefa.

Czy mógł zachować się bardziej głupio?

Sam zdecydował się w końcu, żeby wejść do środka. Otworzył drzwi. Dobrze wiedział, że Gavin był znanym uwodzicielem i kochał kobiety, ale nie miał pojęcia, czego mógł chcieć od Tammi Lee.

- Cześć, mamó. - Zdjął kapelusz, po czym wyciągnął rękę. - Cześć, Gavin.

- Dobrze cię widzieć. - Gavin posłał mu uśmiech, ale jego oczy pozostały lodowate i wrogie.

- Miałam problem z samochodem - wyjaśniła Tammi Lee. - Gavin podwiózł mnie na ranczo.

Sam odprężył się trochę. To wytłumaczenie wydało mu się całkiem naturalnie. Mimo to nie dał się oszukać Gavinowi Slade'owi. W oczach starego na zawsze pozostał szumowiną, prostym pomocnikiem na farmie, nieodpowiednim dla jego córki.

- Chciałam spotkać się z Codym - ciągnęła Tammi Lee.

- Poczł się na tyle dobrze, żeby przyjść do pracy. - Duma brzmiała w każdym słowie Gavina. - Szczerze mówiąc, cieszę się, że mogłem zobaczyć, jak pracuje. Praca jeszcze żadnemu dziecku nie zaszkodziła.

- Poznałaś go, mamó? - Sam przyglądał się jej bladej twarzy i ujrzał smutek, który niezmiennie gościł w jej oczach.

- Gavin nas sobie przedstawił - odparła. - Nie będę wciskać ci kitu, Sam. Nie przypominamy szczęśliwej rodziny.

- Mam nadzieję, że przynajmniej był grzeczny.

Machnęła ręką.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wiele wspólnego, ale cieszę się, że się poznaliśmy. Jest bardzo przystojny. Przypomina mi ciebie w jego wieku.

Sam zastanawiał się, czy też miał wówczas wypisane na twarzy „chrzań się”. Może miał. Może uwodzenie córki szefa miało tyle samo wspólnego z jego postawą, co z hormonami.

- A propos Cody'ego, powinniśmy już jechać - wtrącił się Gavin, zdejmując kapelusz z wieszaka za drzwiami. - Ściemnia się.

Sam rzucił matce podejrzliwe spojrzenie. Czy to możliwe, żeby spędziła całe popołudnie w towarzystwie Gavina Slade'a? Upomniał się w duchu, że nic mu do tego, po czym wyszedł na zewnątrz i udał się do stajni. Podczas gdy Gavin zapalał silnik, Sam znalazł Cody'ego opartego o drzwi boksu w samym końcu stajni. Był mile zaskoczony, kiedy upewnił się, że cały sprzęt został umyty i odłożony na miejsce. O wiele mniej ucieszył go widok syna z papierosem.

- To świństwo cię zabije. - Starał się, żeby jego głos brzmiał naturalnie.

Cody odwrócił się szybko na dźwięk jego głosu, a na jego twarzy pojawił się bunt.

- Palę sobie czasami. Mogę przestać w każdej chwili.

- W takim razie może zrobisz to teraz?

- Sam wybiorę odpowiedni moment.

- W porządku. - Sam chwycił szlauch, odkręcił wodę i połał nią ręce Cody'ego oraz papierosa.

- Hej! - Cody odskoczył do tyłu, strzepując wodę z rękawiczek. - To jest zimne jak cholera.

- Więc nie pal tutaj.

- Będę robił to...

Sam uniósł wąż.

- Nie prowokuj mnie. Jestem uzbrojony.

Cody ściągnął rękawice, wykrzywiając twarz.

- Mogłeś poprosić, żebym zgasił.

- Masz z tym skończyć.

- A ty masz odczepić się od moich spraw.

Zaczęli mierzyć się wzrokiem niczym para rozjuszonych psów. Sam nie zamierzał dać za wygraną, ale Cody też nie odwracał głowy.

- Jak twoja głowa?

- Może być. Lepiej już pójdę. Na razie. - Opuścił stajnię, mrużąc coś pod nosem.

Witaj w świecie rodziców, Sam. Chryste, jak Michelle sobie z nim radzi?

24

Poranki w Seattle zawsze przysparzały Michelle mnóstwo problemów.

W Montanie budziła się o świcie i niczym dziecko biegła do okna, żeby popatrzeć na rozległe pola i pastwiska należące do jej ojca.

Gdy tylko jej wzrok spoczął na samochodzie zaparkowanym na podjeździe przed domem Gavina, domyśliła się całej reszty. Prawdopodobnie na całym zachodzie był tylko jeden żółto-zielony volkswagen garbus.

Michelle zajrzała do Cody'ego, a kiedy upewniła się, że śpi jak zabity, wyczerpany pracą, wróciła do siebie, założyła stare spodnie, wsunęła buty i czym prędzej ruszyła w kierunku domu Gavina. Weszła przez drzwi kuchenne i już od progu powitał ją Tadao, aromat parzonej kawy oraz nieszkodliwej dla nerek zielonej herbaty. Nie była głodna. W tej chwili chciała tylko ocenić sytuację.

Gavin i Natalie siedzieli w położonym nieco niżej niż reszta parteru salonie. Gavin śmiał się głośno. Na ten widok zrobiło się jej lżej na sercu. Gdy tylko ją zauważył, wstał.

- Hej, Michelle. Dzień dobry.
- Cześć, tato. Widzę, że poznałeś Natalie.
- Oczywiście.
- O piątej rano. - Brzęczące bransoletki Natalie, duże koła w uszach, jedwabny szalik owinięty dookoła głowy, znoszone

legginsy, a przede wszystkim ciepły uśmiech były bliskie Michelle.

Przywitały się serdecznie.

- Zachowywałam się tak, jak gdybym nigdy w życiu nie widziała gwiazdy filmowej...

- Bo nie widziałaś - przypomniała jej Michelle.

- No cóż, to przynajmniej tłumaczy, dlaczego przez cały czas gapię się na twojego ojca jak sroka w gnat. - Wypiła trochę kawy z kubka. - Pomyśleć tylko, że nigdy w życiu żadna z fanek nie obudziła go o piątej nad ranem.

Gavin oparł się wygodnie i położył jedną nogę na drugiej.

- Muszę przyznać, że dawniej takie rzeczy się zdarzały.

Uwielbiał to, rozkoszował się każdą minutą tego spotkania. Jego pragnienie występowania przez publicznością było niemal tak samo silne jak w czasach błyskotliwej kariery. Michelle zdawała sobie sprawę, że niektórzy ludzie nie mogli żyć bez sławy, nawet gdyby miała ona polegać tylko na byciu rozpoznawanym. Jednym z nich był z pewnością jej ojciec.

- Rozmawialiśmy sobie przez kilka godzin. - Natalie posłała mu spojrzenie pełne współczucia. - Powinieneś wrócić do łóżka. Czuję się winna, że obudziłam cię o tak wczesnej porze.

- Jestem rannym ptaszkiem. Poza tym twoja wizyta była tego warta. - Poklepał albumy ze zdjęciami, które piętrzyły się na stoliku do kawy.

- Przywiozłaś je z Seattle. - Głos Michelle brzmiał niemal oskarżycielsko.

- Oczywiście że tak, przyjaciółko. - Natalie posłała jej uśmiech. - Nie mogę uwierzyć, że o nich zapomniałaś.

Michelle ogarnęło poczucie winy. Tak naprawdę nie przyszło jej do głowy, żeby zabrać ze sobą zdjęcia. Nie przypuszczała, że Gavin będzie zainteresowany oglądaniem fotek z życia Cody'ego.

- Uwielbiam oglądać zdjęcia, Michelle - odezwał się cicho ojciec. - O wiele bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Jestem dumny z ciebie, że stworzyłaś dla siebie i Cody'ego takie życie.

Michelle zamrugała, zaskoczona. Od kiedy przyjechała na ranczo, oboje unikali rozmowy na pewne tematy.

Gavin oparł ręce na kolanach i wstał. Gruby sweter idealnie układał się na jego szerokich ramionach. Obszerny ściągacz doskonale maskował torbę z płynem do dializy.

- Robota czeka - wyjaśnił.

- W takim razie do zobaczenia, współniku - powiedziała Natalie, przesadnie przeciągając słowa.

- Jake włączy ogrzewanie w bungalowie obok mieszkania Michelle. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zawołaj.

- Niczego mi nie brakuje, Gavin. Dzięki, że przyjąłeś mnie pod swój dach.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wyszedł przez kuchnię. Michelle zacisnęła palce na kanapie, zastanawiając się, czy ojciec flirtował z jej najlepszą przyjaciółką.

- Jesteś małpa!

- I to jeszcze jaka.

Podejrzliwość wyczuliła radar Michelle.

- Powiedz mi.

Natalie oparła nogi na oprawionych w skórę albumach.

- Domyśliłam się, że twój ojciec będzie chciał obejrzeć stare albumy rodzinne, ale tak naprawdę przywiozłam je dla Sama McPhee.

- Boże, ależ z ciebie świnia.

- Musisz mu je pokazać. Musisz wtajemniczyć go w szczegóły życia Cody'ego.

- Niczego nie muszę.

- Na razie nie, chyba że wniesie do sądu żądanie o widzenia. Michelle przeszedł zimny dreszcz.

- Nie ośmieli się.

- Kto wie? Ale na pewno będzie chciał obejrzeć zdjęcia.

- Wiesz, dlaczego jesteś taką świnia?

- Dlaczego?

- Bo masz rację.

Uśmiechnęła się.

- Wiem. Kiedy mu je pokażesz?

- Może nawet dzisiaj, kiedy podrzucę Cody'ego na jego ranczo. Sam ma dzisiaj wolne.

- Nie masz więcej... spotkań ani nic podobnego w sprawie ojca?

- Wszystko zacznie się dopiero w sobotę.- Westchnęła, błogosławiąc w duchu Sama za to, że wstawił się za nimi u doktora Tempie.

Natalie ujęła w dłonie twarz Michelle.

- Czy ty wiesz, jakie to wyjątkowe?

Michelle przełknęła z trudem.

- Nie dostrzegam w tym nic więcej poza skomplikowaną procedurą medyczną.

- To coś całkiem innego. - Wstała i rzuciła spojrzenie w stronę samochodu.

Michelle podniosła ciężki album.

- Ten jeden, jedyny raz w życiu masz okazję, żeby wrócić do malowania.

Tylko nie to. Michelle odniosła wrażenie, że Natalie zmówiła się z Samem. A może jej sekretne marzenie było dla wszystkich oczywiste jak dwa plus dwa.

- Daj mi spokój - odparła beznamytnym głosem.

- Chciałabyś. - Natalie wyszła na zewnątrz, otworzyła bagażnik i wyjęła ze środka swój bagaż oraz torby z logo sklepu Madrona Bay Art Supply, który znajdował się w Seattle.

Serce Michelle zadrżało. Madrona Bay był mekką dla artystów. Ten sklep był jednym z pierwszych miejsc, które odkryła tuż po przyjeździe do Seattle. Dawniej oszczędzała każdego centa, żeby kupić sobie przybory do malowania. To magiczne miejsce było po brzegi wypełnione rzeczami, które mogły dać życie obrazom, istniejącym w jej wnętrzu.

Mimo to nie była tam od lat.

- Ty mało - wyszeptwała. W jej oczach malowało się pragnienie i frustracja. - Nie potrzebuję tego.

- Ależ, kochanie. - Natalie chwyciła kwiecistą torbę i zarzuciła ją na ramię. - Oczywiście, że potrzebujesz. Co innego miałabyś robić w czasie rekonwalescencji Gavina?

- Ja... - Nic specjalnego, pomyślała Michelle. Natalie miała rację. Studio stało puste i tylko czekało na jej powrót. - Chyba mogłabym trochę pobałaganić w wolnym czasie.

- Dobra dziewczynka. Rusz się!

Udały się do bungalowów. Po drodze Michelle włożyła albumy ze zdjęciami do rovera. Zastanawiała się, czy odważy się pokazać je Samowi. Musiała przyznać Natalie rację, Sam miał prawo zobaczyć, jaki był Cody przez szesnaście lat swojego życia.

Następnie zanosły farby i pędzle do pracowni, a rzeczy Natalie do jej mieszkania. Pokoje zdążyły się już nagrzać. Natalie westchnęła z zadowoleniem.

- Daj mi się odświeżyć, a potem ruszamy.

- Dokąd?

- Na ranczo Sama McPhee. Przecież mówiłaś, że Cody u niego pracuje. Mam rację? Musimy go podwieźć, prawda?

- Tak, ale...

- Wydaje ci się, że możesz trzymać mnie z daleka od tego wszystkiego?

25

Kiedy range rover zatrzymał się przed domem, Sam wyszedł na ganek w towarzystwie Edwarda Blissa. Poczł znajome ukłucie w klatce, kiedy Cody wysiadł z samochodu.

Mój syn. Mam syna.

A mimo to nigdy go nie dotknął, jeśli nie liczyć zakładania szwów.

- Coraz lepiej radzi sobie z modą - zauważył Edward, popijające kawę z kubka. - Zaczyna ubierać się odpowiednio do pogody i warunków pracy.

Cody nadal był zbuntowany, ale przestał zachowywać się z wielkomięską wystudiowaną manierą. Miał na sobie stare dżinsy, drelichową kurtkę i zimowe buty. Na głowie nosił ciepłą czapkę, która zakrywała jego nową fryzurę oraz bandaż.

- Kto siedzi w samochodzie obok Michelle? - zapytał Edward.

Sam wyteżył wzrok, ale oślepiło go światło odbijające się w szybie samochodu.

- Nie jestem pewien. Może Gavin?

Kiedy otworzyły się drzwi od strony pasażera, ze środka wysiadła najdziwniejsza kobieta, jaką Sam kiedykolwiek spotkał. Przypominała motyla. Była ubrana w długi, barwny szal, krzykliwe purpurowe buty i płaski kapelusz górskiego przewodnika Szerpa. Idąc przez zaśnieżoną ścieżkę, przez cały czas mówiła coś do Cody'ego. Michelle otworzyła klapę z tyłu samochodu.

- *Ai caramba* - wyraził swój podziw Edward. - Co to za kociak?

- ...to takie niesamowicie cudowne dla twojej mamy - tłumaczyła Cody'emu, kiedy zbliżali się w kierunku ganku. - W porządku, Cody, może zagramy w „Więzy rodzinne”? Który z nich to twój tata?

Zdjęła kapelusz, odkrywając nastroszone włosy. Niektóre pasemka były purpurowe, inne zielone. Miała lekko skośne oczy i twarz chochlika, figlarną, żywą i psotną.

Cody najwyraźniej świetnie się przy niej bawił, chociaż jego czerwone policzki świadczyły, jak bardzo był zawstydzony.

- Sam, Edward, to jest...

- Zaczekaj! - Chochlik podniósł rękę otuloną niepraktyczną czarną rękawiczką bez palców. - Nic mi nie mów. Sama zgadnę. Uważnie przyjrzała się Cody'emu, a potem Samowi i Edwardowi. - Nie mam żadnych wątpliwości - odezwała się wreszcie. - To ten wysoki. Może byś nas sobie przedstawił, głupolu. - Szturchnęła Cody'ego łokciem.

- To jest przyjaciółka mojej mamy.

- A twoja nie? - Chochlik sprawiał wrażenie przybitego.

- Moja też. - Cody wsunął ręce do kieszeni. - Natalie Plum.

- Tak naprawdę jestem jego matką chrzestną. - Weszła na ganek. - Nic ci o mnie nie opowiadał?

- Lepiej pójde do pracy - odezwał się Cody i czym prędzej oddalił się w kierunku stajni.

- Musicie mi wybaczyć - powiedziała. - Wypiłam hektolitry kawy. Przez najbliższe kilka godzin mogę być zbyt rozmowna. Mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza.

- Ani trochę - zapewnił ją Sam.

Edward włożył wiele wdzięku i wysiłku, żeby wykonać szarmancki ukłon.

- Witamy w Montanie.

Twarz Natalie pojaśniała.

Podeszła do nich Michelle, dźwigając ogromne, grube książki.

- Daj mi to. - Sam zeskoczył z ganku. - Pomogę ci.

-Michelle, ty jędzo- wykrzyknęła Natalie, odwracając się do przyjaciółki. - Nic nie mówiłaś, że to George Clooney!

- Ale ja jestem ó wiele miłszy - wtrącił szybko Edward. - I mam lepsze godziny pracy.

-Cudownie- ucieszyła się, posyłając mu rozbrajający uśmiech. - W takim razie może mnie oprowadzisz? Cody nie mógł przestać opowiadać o nowej klaczy.

Edward wziął ją za rękę i ruszył w stronę stajni.

Michelle wiodła za nimi wzrokiem. Trzymała dwie książki niczym tarczę ochronną.

- Czy Edward wie absolutnie wszystko? - zapytała.

- Nawet jeśli nie, zawsze coś wymyśli.

- Mówię poważnie, Sam.

- W porządku. Domyślił się całej prawdy o Codym jeszcze przede mną, jak tylko go zobaczył, ale nie pisnął słowa, dopóki sam mu o tym nie powiedziałem. Edward nie kłamie i nie rani ludzi. Nigdy. - Wziął od niej książki. - Co to jest? Albumy ze zdjęciami?

- Zgadza się. Masz wolną chwilę?

- Domyślam się, że to zajmie trochę więcej niż chwilę, ale tak się składa, że mam wolny cały poranek. - Rzucił okiem na pager przypięty do paska. - Dopóki nie usłyszysz pikania. Wejść do środka.

Kiedy weszli do salonu, Sam dorzucił kilka szczap modrzewia do paleniska, po czym posprzątał stolik do kawy.

- Podać ci coś do picia?

Nie odpowiedziała. Spojrzał na nią, ale nie zareagowała. Stała wpatrzona w obraz zawieszony nad kominkiem.

- Mój Boże - odezwała się wreszcie. - Nie miałam pojęcia, co się z nim stało.

Obraz, na który patrzyła, zajmował honorowe miejsce w domu Sama od pierwszego dnia jego pobytu w Crystal City. To był jedyny podarunek od Michelle.

- Cieszę się, że go zatrzymałeś - powiedziała łagodnym, zachrypniętym głosem. - To dobry obraz.

- Zawsze tak uważałem. Każdy, kto go widzi, też tak twierdzi.

Zadrzała, mimo że w domu nie było zimno.

- Wydaje mi się, że noszę w sobie o wiele więcej obrazów.
- Nadal nie mogę uwierzyć, że przestałaś malować.
- Malarstwo wymagało ode mnie o wiele więcej, niż mogłam dać. Najważniejsze jest życie, dopiero potem można myśleć o sztuce.

Kiedy usiadła, jej ruchy stały się energiczne, a nawet formalne, jak gdyby zawstydzila się, że pozwoliła sobie na chwilę słabości.

- Nadal powinnaś malować, Michelle.

Podniosła głowę.

- Kiedy? W wolnym czasie?
- Każdy powinien spędzać czas na robieniu tego, co jest dla niego ważne.

Złość, która błysnęła w jej oczach, była dla niego czymś nowym. Michelle, którą znał dawno temu, miała temperament, ale jej złość nigdy nie była taka lodowata ani zwrócona przeciwko sobie.

- Co mi powiesz o tych albumach? - zapytał, zmieniając temat.

- Natalie przywiozła je z domu.

Sam pochylił się obok niej. Jego serce waliło jak oszalałe. Nigdy przedtem nie przypuszczał, że taki moment może być dla niego ważny.

- Czy to zdjęcia Cody'ego?
- Tak. Jesteś zainteresowany?

I znów przeszłość uderzyła go w twarz. W tych grubych albumach skrywała się historia, w której nie było dla niego miejsca. Były tam łata, które stracił.

- Oczywiście, że jestem.
- Nie miałam czasu, żeby je przejrzeć i wybrać najlepsze, dlatego będziesz musiał się zadowolić tym, co znajdziesz.
- Których zdjęć chciałabyś się pozbyć?
- Zobaczysz, kiedy do nich dotrzemy. - Zdjęła buty i podwinęła nogi. Mimo że na tej sofie Sam uwiódł niejedną

kobietę, ten gest wydał mu się wyjątkowo seksowny. Zmusił się, żeby spojrzeć na album.

- To moje pierwsze mieszkanie w Seattle. Razem z Natalie wynajmowaaliśmy je w Capitol Hill. - Sam patrzył na niepozorną fotkę słonecznego pokoju z suwanymi przeszklonymi drzwiami oraz ciężkimi meblami. Mieszkanie było schludne i bardzo przytulne.

- Studiowałam malarstwo, kiedy byłam w ciąży - wyjaśniła. - Kiedy Cody przyszedł na świat, starałam się kontynuować naukę, ale przez to wpadłam w szaleńcze tempo życia.

Sam zatrzymał się na moment przy zdjęciu Michelle. Nie było za dobre, ale poruszyło go do żywego. Stała na nadburciu biało-zielonego promu.

Morska bryza przykleiła jej błękitną sukienkę do okrągłego brzucha. To było zdjęcie zdrowej, młodej kobiety w zaawansowanej ciąży. Sam wpatrywał się w nie zafascynowany myślą, że kilka miesięcy przed zrobieniem tego zdjęcia, trzymał ją w ramionach. To właśnie jego dziecko nosiła w łonie.

Delikatnie potarł kciukiem fotografię dziewczyny.

- Nienawidzę tego, że przegapiłem tyle chwil.

- Jasne. - Sprawiała wrażenie, jak gdyby starała się zapamiętać nad emocjami w głosie. - Byłam tłusta i przez cały czas coś jadłam. To chyba jedyne zdjęcie z okresu, kiedy byłam w ciąży.

Na następnym zdjęciu widać było czarnowłosego elfa z grubo pomalowanymi oczami, które spoglądały znad maski chirurgicznej.

- To Natalie? - zapytał Sam.

- Pomagała mi w czasie porodu.

Sam zacisnął zęby. Odezwał się, dopiero kiedy odzyskał nad sobą kontrolę.

- Powinienem tam być.

Michelle potrząsnęła głową. Ten ruch spowodował, że Sam poczuł jej zapach. Ogarnęła go nagła chęć, żeby jej dotknąć.

- Sam - powiedziała - miałeś tylko osiemnaście lat. Nie byłeś gotów, żeby uczestniczyć w wychowywaniu...

- Ty też miałaś tylko osiemnaście lat. Czy byłaś gotowa?

- Nie miałam wyboru.

- Mnie też nie było wolno mieć wyboru. Zostałbym z tobą, Michelle. Dobrze o tym wiesz.

- Wtedy nic nie wiedziałam. - Wskazała źle wykadrowane zdjęcie. - A oto on, tuż po urodzeniu.

W tym zdjęciu nie było nic szczególnego. Będąc lekarzem, Sam widział wiele podobnych zdjęć. Jednak kiedy zobaczył Michelle w szpitalnej koszuli trzymającą w ramionach jego syna, zaschło mu w ustach. Zabrakło mu słów, nie mógł nawet przełknąć.

Mokra, czerwona twarz Cody'ego spoczywała na jej piersi. Drobną stopką dziecka zwiisała bezwładnie, a na twarzy Michelle malowało się uczucie spełnienia, wyczerpania i ulgi.

Krok po kroku poprowadziła go przez lata, które stracił. Miał wrażenie, jak gdyby otworzyła przed nim drzwi do równoległego świata, o którego istnieniu nawet nie wiedział.

Zobaczył Cody'ego jako małego brzdąca z okrągłą buzią wpatzonego w Natalie. Poznał dziecko w ogrodniczkach i czapce Seattle Mariners, które machało do niego z obrazka.

- Widzisz tę niebieską rzecz, którą trzyma w ręku? - Michelle oparła kciuk na zdjęciu. - Nigdzie się bez niej nie ruszał. To twoja stara koszula.

Sama zalała falą emocji na widok szkraba ściskającego w rączce jego koszulę.

- Naprawdę?

- Kiedy stąd wyjechałam, zabrałam niewiele rzeczy. Między innymi twój... - Przerwała i szybko przygryzła wargę.

- Co takiego? Co chciałaś powiedzieć?

- Twój zapach. Na tej koszulce był twój zapach.

Otoczył ją ramieniem. Właśnie dlatego nigdy nie układała mu się z kobietami. Nie potrafił poradzić sobie z ich delikatnością, wrażliwością i swoim sercem, które zaciskało się, kiedy w grę wchodziły uczucia.

- Och, Michelle, niech to szlag...

Przez chwilę wtulała się w jego ramię, jednak zaraz odzyskała nad sobą kontrolę i z powrotem skupiła uwagę na albumie.

Sama najbardziej poruszył na tych zdjęciach uśmiech dziecka. Przy tym uśmiechu nawet słońce wydawało się bledsze. Ten uśmiech rozświetlał całą twarz i rozjaśniał oczy. Radość promieniowała niemal z każdej fotografii.

Nastoletni Cody nie uśmiechał się zbyt często.

Na wielu zdjęciach była obecna Natalie. Czasem Cody'emu towarzyszył jakiś facet.

- Kto to jest? - Sam wskazał zdjęcie, na którym mężczyzna w hawajskich szortach jeździł na rolkach z sześciolatkiem Codym.

- Ktoś, z kim się kiedyś spotykałam. Nie widziałam go od lat.

Sam miał nadzieję, że nie usłyszała, jak odetchnął z ulgą. W trakcie przeglądania albumu natknął się jeszcze na kilku mężczyzn.

- Spotykałaś się z wieloma facetami?

- A ty spotykałaś się z wieloma kobietami? - odcięła. - Szukasz brudów. Uwierz mi, tutaj ich nie znajdziesz - dodała, wskazując na album.

Sam zwrócił uwagę na fotografię, na której Cody miał zaledwie dwanaście lat. Aparat fotograficzny uchwycił go w ruchu, w chwili kiedy wykonywał doskonały wykop piłki. Jego twarz była spięta, oczy skupione na piłce.

- Zdobył wtedy punkty dla swojej drużyny - opowiadała Michelle.

Sam oddałby wszystko, żeby tylko móc obejrzeć ten wykop.

- Wygląda na to, że był dobrze zapowiadającym się sportowcem.

- Był, ale stracił zainteresowanie sportem.

- Dlaczego?

- Skończył szesnaście lat.

- Mnóstwo szesnastolatków uprawia najróżniejsze sporty.

Wzięła płytki oddech.

- Obiecałam sobie, że nie będę agresywna, i naprawdę bardzo się staram.

- Przepraszam. - Dotknął dużego zdjęcia pokrytego cellofanową stroną albumu. - To naprawdę dobre ujęcie.

Michelle zawahała się.

- To dzieło Brada.

- Ach, Brada.

- Wykonał je w tym samym roku, kiedy się poznaliśmy. Należał do komitetu sponsorującego klub soccera. Tak naprawdę to sponsorowała go jego firma farmaceutyczna. Med-Plan Pharmacies. - Przekartkowała kilka kolejnych stron. - Byliśmy na nartach w naszym domku w Whistler.

Fotografia ukazywała wszystkich troje przed domkiem wypoczynkowym. Na twarzy Cody'ego malował się uśmiech triumfu. Wzrok Michelle powędrował gdzieś w dal. Brad, wysoki i szczupły, miał opaloną twarz i białe zęby. Jego narciarski kombinezon roił się od firmowych znaczków.

Sam nie wątpił, że ten mężczyzna był przyzwoity, opiekuńczy i dobry.

Jednak kiedy patrzył na to zdjęcie, poczuł tyle nienawiści, że musiał odwrócić wzrok.

W miarę jak Cody dorastał, jego zdjęcia stawały się coraz rzadsze, aż w końcu prawie całkiem znikły.

- Na tym zdjęciu widać jego dziewczynę - wyjaśniła Michelle. - Nazywa się Klaudia Teller. Nie chcieli dać się sfotografować, ale w końcu doszli do wniosku, że nigdy się mnie nie pozbędą, jeżeli mi na to nie pozwolą.

- Na jaką okazję tak się wystroili, na Halloween?

Michelle roześmiała się.

- Na szkolną dyskotekę. Oni się tak ubierają na co dzień.

Dziewczyna była ładna, ale miała w sobie coś mrocznego. Pod oczami malowały się cienie anorektyczki. Miała nienaturalnie ostre kości policzkowe. Jej włosy były zbyt czerwone, żeby mogły być naturalne, a jej uśmiech zbyt przebiegły, żeby mógł być autentyczny. Stojący obok niej Cody sprawiał wrażenie wyższego niż w rzeczywistości i bardzo dumnego.

- Przypomina klauna.

Michelle uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że nie tylko ja mam takie zdanie. Ale... - odwróciła wzrok.

- Co takiego, Michelle?

- To okropne.

- Więc bądź okropna. Nikomu o tym nie powiem.

- Mam nadzieję, że nasz pobyt w Montanie zakończy ich znajomość. Czy to nie wstrętne?

- Cody na pewno przyznałby ci rację.

Przycisnęła dłonie do zdjęcia.

- Chcę, żeby miał dziewczynę, ale nie taką.

- Spójrz prawdzie w oczy, Michelle - powiedział - minęły czasy, kiedy rodzice decydowali o życiu swoich dzieci.

- Ale ja wiem, że ona jest dla niego zła. Całkiem go omotała. Cody jest nią zaślepiony. Wydaje mu się, że to miłość, tak jak... - Szybko wstała. - Lepiej sprawdźmy, co robi Natalie. Czasami jest nieprzewidywalna.

- Dokończ to, co chciałaś powiedzieć.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Patrzyła na białe pola i góry. Sam stanął za nią. Chciał otoczyć rękoma jej ramiona i przyciągnąć ją do siebie.

- Czy my też nie mieliśmy wtedy racji? - zapytała łagodnie. - Czy byliśmy tylko zaślepieni?

- Twój ojciec tak właśnie myślał.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Przygryzła dolną wargę.

- Mój ojciec o nas nie wiedział. Poznał prawdę dopiero wtedy, kiedy wyznałam mu, że jestem w ciąży. - Minęła go. - Ale wtedy już cię nie było.

- Wiedział, Michelle. - Sam nie mógł uwierzyć, że mogła myśleć inaczej.

- Nie wiedział aż do ostatniego dnia. Byliśmy bardzo ostrożni - przekonywała.

- Powinnaś go kiedyś o to zapytać.

Coś na kształt paniki pojawiło się w jej oczach.

- Najwyższy czas, żeby coś zjeść - powiedziała pośpiesznie. - Lepiej uwolnię Edwarda od Natalie. - Szybkim krokiem podeszła do drzwi i zdjęła kurtkę z wieszaka. - Zostawię ci te albumy, na wypadek gdybyś miał ochotę jeszcze raz je sobie przejrzeć.

Sekundy zaczęły przeciągać się w nieskończoność. Właśnie teraz, kiedy udało mu się nawiązać z nią nić porozumienia, zaczynała mu się wymykać. Była bardzo zdenerwowana, kiedy wsuwała ręce w rękawy kurtki i starała się zapiąć zamek.

- Cholera - przeklęła przez zaciśnięte zęby.

Sam chwycił zamek i zapiął go.

- Spokojnie, Michelle. - Nie cofnął się. Zamiast tego położył dwa palce pod jej podbródkiem i zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy. Jej skóra była taka delikatna. - Dzięki - powiedział, nie odrywając wzroku od jej ust. - Dzięki, że przyniosłaś mi te zdjęcia. To dużo dla mnie znaczy.

- Podziękuj Natalie. - Odsunęła się i zaczęła zakładać buty. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Bo może nawet po tylu latach nadal mi na tobie zależy.

- Mężczyznom takim jak ty nigdy na nikim nie zależy aż tak długo.

- Nie znasz mnie, Michelle.

- Nie, nie znam. - Wyszła na ganek. - I właśnie na tym polega nasz problem.

- Możemy to naprawić - nie dawał za wygraną.

- Jeżeli cokolwiek w moim życiu wymaga naprawy, sama o tym zadecyduję. - Sprawiała wrażenie sfrustrowanej i zdeorientowanej jego zainteresowaniem.

- Naprawdę? Po obejrzeniu tych zdjęć, które mi przyniosłaś, jestem pewien jak cholera, że nie znalazłaś tego, czego szukałaś w związku z tym... jak on się nazywa? Bradem?

- Jak możesz być tego taki pewien?

- To oczywiste. Przypominacie idealne pary z plakatów, kochanków, którzy tak naprawdę się nie kochają, partnerów, którym zależy tylko na tym, czy dobrze wyglądają, lalkę

Barbie, która powinna świetnie pasować do nowego fraka od Armaniego, który kupił sobie Ken.

- Nic nie wiesz o mnie i Bradzie.
- Powiedz mi, że się mylę.
- Trywializujesz nasz związek, który budujemy w kierunku...
- Czego, Michelle? W kierunku małżeństwa czy transakcji?
- Może mi powiesz, że jesteś ekspertem w sprawach małżeństwa? - Wybiegła na zewnątrz, nie czekając na odpowiedź.

Nagle ogarnęło go poczucie winy. Michelle nie wiedziała, ile prawdy było w jej słowach. Powiedz jej. Powiedz jej o swoim małżeństwie. Ale odpowiedni moment przemknął, dlatego ruszył za nią bez słowa.

Kolorowe spódnice Natalie Plum oraz jej legginsy kontrastowały z bielą śniegu. Oboje z Edwardem stali przy bramie załadunkowej. Natalie wyrzucała z siebie setki słów na minutę, gestykulując przy tym żywo rękoma. Jednak kiedy Cody wyprowadził ze stajni klacz, nawet ona zamilkła. Sam i Michelle czym prędzej ruszyli w ich stronę i stanęli po drugiej stronie padoku.

- Co się dzieje? - zapytała Michelle.
- Razem z Edwardem zdecydowaliśmy, że klacz i źrebię mogą wyjść dzisiaj na dwór - wyjaśnił Cody.

Edward najwyraźniej zdążył już udzielić Cody'emu kilku wskazówek, ponieważ uzda była odpowiednio założona, a chłopak prowadził konia w wymaganej odległości, tak że jego nozdrza znajdowały się nad jego ramieniem. Sylwia szła za nim niczym potulny pies.

Źrebię stało na chudych nogach przy bramie i nerwowo przyglądało się, jak Cody zabiera od niego mamę. Nie chcąc stracić jej z widoku, zrobiło krok w stronę ośnieżonego padoku. Kiedy rozjechały mu się przednie nogi, potknęło się, ale już po chwili odzyskało równowagę. Cały jego pysk pokrył śnieg. Mała klacz kichnęła i potrząsnęła głową. Cody spojrzął do tyłu i roześmiał się. Jego dźwięczny śmiech przywiódł Samowi na myśl zdjęcia przedstawiające młodszego Cody'ego. Szczęśliwszego Cody'ego.

- To prawdziwa piękność, Sam - powiedziała Michelle. - Doskonała mała klacz. Nic dziwnego, że nie mogę odciągnąć od niej Cody'ego.

Cody zdjął uzdę i pozwolił klaczy przechadzać się swobodnie po wybiegu. Żrebię podbiegło bliżej matki, chociaż przez cały czas zerkało w kierunku Natalie zaciekawione jej powiewającym ubraniem.

- Mam nadzieję, że za bardzo się nie przywiąże - dodała łagodnie.

- Czy to byłoby takie złe?

Uniosła głowę w ten szczególny sposób, który zapamiętała sprzed wielu lat. Żadna inna twarz, nie miała tej wyjątkowej łagodności i kruchości.

- Nigdy więcej nie zobaczy tej małej.

- Nigdy?

Zamrugnęła, długie rzęsy zatrzepotały, poruszając Sama do żywego.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy przyjeżdżali tutaj zbyt często. Już wkrótce Cody pójdzie do college'u, a ja... - Przerwała i odwróciła od niego wzrok.

- Co będziesz robiła, Michelle?

Przez dłuższy czas milczała. Słysząc było jedynie rozmowę Edwarda i Natalie oraz parskanie koni.

- Kiedy tutaj przyjechałam - odezwała się wreszcie - miałam dziwne przeczucie, że w końcu uda mi się znaleźć nic porozumienia z Gavinem. Że nareszcie się poznamy, tak jak powinna się znać córka z ojcem. Może dałam się omotać wszystkim tym bzdurom i uwierzyłam, że połączenie krwi i ciała zaowocuje doskonałym związkiem. - Zaśmiała się gorzko. - Zamiast tego udało nam się udowodnić, że bycie dawcą organu nie oznacza nic ponadto, że ma się trochę odpowiednich genów.

- W bardzo krótkim czasie podjęłaś zbyt wiele decyzji - zauważył Sam. - Zwolnij, Michelle. Ty... - Śnieżna kula rozbiła się na samym środku jego klatki. - Hej!

Edward i Natalie zdążyli się uzbroidć i zaczęli obrzucać ich

śnieżkami tak szybko, jak tylko mogli. Cody przeskoczył ogrodzenie i dołączył do napastników.

- Uważaj na głowę - zawołała Michelle.

Cody nie przejął się ostrzeżeniem. Sam wycelował w niego śnieżkę, ale spudłował. Chłopak był szybki i niewątpliwie stanowił trudny cel.

Michelle otrzymała jedno uderzenie w ramię, zanim udało jej się ulepić własną śnieżkę.

Biała wojna sprawiła, że już nikt nie pamiętał o lunchu. Natalie z szybkością błyskawicy ciskała coraz to nową amunicję. Sam cieszył się, że udało się rozluźnić atmosferę. Michelle narzekała, że śnieg wpadł jej za kołnierz, a chwilę później chwyciła się Sama i posłużyła się nim niczym tarczą.

- Zaczekaj chwilę - powiedział, mimo że jej uścisk sprawiał mu przyjemność. - Wyczuwam jakiś podstęp.

W tym samym momencie Cody trafił go prosto w twarz, śmiejąc się przy tym tak głośno, że Sam też wybuchnął śmiechem.

Sam nabrał kolejną garść śniegu, kiedy zadzwonił pager.

- Co się stało? - Michelle uniosła rękę, żeby zasygnalizować przerwę. Jej twarz była mokra od śniegu i pięknie błyszcząca. Sama ogarnęło pożądanie. Gdyby byli sami, wiedziałyby, gdzie ją pocałować, gdzie...

Zamiast tego spojrzął na wyświetlacz pagera. Przeszył go zimny dreszcz.

- Michelle, twój ojciec jest w szpitalu.

26

Nienawidzę tego, że tak dobrze znam drogę do szpitala - powiedziała Michelle, kiedy krajobraz rozmywał się za szybą samochodu. Przejechała palcem dookoła golfu, otrzepując śnieg. - To takie potworne uczucie.

- Nie kiedy tam pracujesz. - Głos Sama był spokojny i opanowany.

Przycisnęła pięści do ust, żeby powstrzymać się przed zadawaniem pytań. Co się stało? Dlaczego? Czy to znaczy, że trzeba odwołać transplantację?

Na razie nie chciała znać odpowiedzi. Nie była gotowa, żeby je poznać. Chciała spotkać się z ojcem. Chciała usłyszeć jego głos i wziąć go za rękę. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo go kocha.

Kocham cię, tato.

Tak trudno było jej się do tego przyznać? Dlaczego nie powiedziała mu tego nigdy przedtem? Nie była pewna znaczenia tych słów czy bała się, że nie otrzyma odpowiedzi?

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił Sam, kiedy minęli pokryty śniegiem posąg Indianina. Gdy tylko dojechali do szpitala, Michelle popchnęła ramieniem drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Rzuciła się biegiem w stronę budynku. Automatyczne drzwi otworzyły się z sykiem.

- Gavin Slade - krzyknęła go dziewczyny, która obsługiwała ją po wypadku Cody'ego. - Jestem jego córką, Michelle.

- Jest w gabinecie.

Michelle znalazła ojca w towarzystwie krępego, siwego lekarza. Gavin wyglądał mizernie, miał żółtą skórę i żółte białka oczu.

- Nazywam się Michelle Turner - wyjaśniła lekarzowi, nie spuszczać wzroku z Gavina.

Kocham cię, tato.

- Cześć, Michelle. To jest mój lekarz, Karl Schenk. - Miał zmęczony, cichy głos.

- Co się stało?

- Toksemia. Zawiódł płyn do dializy.

- Ale to się da naprawić, prawda? Nic mu nie będzie?

Lekarz przez cały czas przyglądał się monitorom.

Dołączył do nich Sam, wnosząc do gabinetu zapach śniegu i wiatru.

Chciała dotknąć ojca, ale nie wiedziała gdzie. W jedną rękę miał wbity wenflon, a kolejna igła tkwiła na zgięciu drugiej ręki. Zewsząd otaczały go najróżniejsze rurki. W końcu oparła jedną rękę na jego nodze przykrytej bładoniebieskim materiałem.

Nadszedł czas na pytania. Wzięła głęboki oddech.

- Czy to będzie miało wpływ na efekt przeszczepu?

Schenk przyjrzał się jej uważnie.

- Muszę zadzwonić do jego nefrologa.

- A potem?

- Jeżeli stan Gavina będzie stabilny, możemy wykonać zabieg.

Spojrzała ojcu prosto w oczy.

- Więc niech go pan ustabilizuje.

Lekarz uśmiechnął się blade. Michelle wyczuła, że wiedział, co robi, i to dodało jej otuchy. .

- Staram się.

Sam przejął kontrolę. Najpierw przejrzał wyniki badań, które zlecił wykonać Schenk, a potem zadzwonił do Edwarda i polecił mu odwieźć Natalie oraz Cody'ego do domu roverem Michelle. Na koniec skontaktował się z kucharzem Gavina,

Tadao. W tym czasie Michelle stała z boku, starając się nie przeszkadzać mu w pracy.

Czuła się tak dobrze, nieprzyzwoicie dobrze, kiedy ktoś inny martwił się za nią. Poznawała luksus posiadania blisko siebie osoby, która wydawała polecenia i przyjmowała na siebie całą odpowiedzialność.

W pewnej chwili ogarnęło ją uczucie braku lojalności. W końcu to Brad powinien kierować jej życiem. Ale rzeczy, którymi on się zajmował, były... całkiem inne. Wakacyjne plany, kolejna inwestycja, obowiązki wobec klubu. Nigdy nie obciążał jej podobnymi problemami, ponieważ wiedział, że nie były dla niej ważne.

W innych kwestiach nigdy nie prosiła go o pomoc.

Sama też o nic nie prosiła, a mimo to jej pomógł.

Kiedy dzień zaczął chylić się ku końcowi, jej obawy zostały rozproszone. Testy Gavina wskazywały na to, że jego stan jest stabilny. Natychmiast przewieziono go do separatki i podłączono do najróżniejszych urządzeń. Michelle ani na krok nie odstępowała jego łóżka.

- Nigdy więcej mi tego nie rób, tato. - Starła się brzmieć surowo.

- Wracaj do domu na kolację. Zadzwońię po Jake'a, kiedy zdecydują się wypuścić mnie do domu.

- Wolałabym zostać...

- Michelle, staram się powiedzieć ci w uprzejmy sposób, że jestem zmęczony jak cholera i jak tylko wyjdiesz, zasnę. W porządku?

- W porządku. - Z trudem pocałowała go w policzek, ponieważ przeszkadzały jej rurki i przewody. W powietrzu unosił się szpitalny zapach. - Do widzenia, tato. Do zobaczenia jutro rano.

- Jak tylko się obudzę, wynoszę się stąd.

- Mam nadzieję.

Kiedy cicho zamknęła za sobą drzwi pokoju, zastała Sama na korytarzu.

- Nigdy nie mam chwili spokoju - zażartowała, starając się rozluźnić atmosferę.

- Witaj w Crystal City.

Wyszli na zewnątrz, kiedy zachodziło słońce. Temperatura powietrza spadła o kilka stopni. Czarny lśniący samochód sportowy, który przejeżdżał obok, zwolnił, mijając szpital.

- Ktoś znajomy? - zapytała Sama.

- Nie. Samochód jest zbyt nowy. Prawdopodobnie wzięty na raty. — Otworzył dla niej drzwi. - Jesteś idealną kandydatką na terapię rozluźniającą.

- Dlaczego tak uważasz?

- Z powodu napięcia. Jesteś tak cholernie spięta, że nawet ja to czuję. To może być zakaźne.

- Przepraszam. Myślisz, że jeżeli upiję się dzisiaj do nieprzytomności, to będzie miało jakiś wpływ na testy neurologiczne?

- Z całą pewnością.

- Tego się właśnie obawiałam.

- Nie jestem zwolennikiem upijania się do nieprzytomności.

Michelle wspięła się do środka, trzęsąc się z zimna na lodowatym siedzeniu.

- Przepraszam, Sam. Wiem, jak trudny musiał być dla ciebie okres problemów twojej mamy.

Ulice rozbłyły jasnym światłem latarni. W tym przytulnym mieście było coś, co chwyciło Michelle za serce. Niektórzy ludzie nie doceniają życia w małym miasteczku, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Jednak po latach życia w wielkim mieście Michelle kusiła rodzinna atmosfera Crystal City.

- Cody wspominał, że poznał twoją mamę - dodała, ponieważ milczenie Sama wprawiało ją w zakłopotanie.

- Tak?

- Jest bardzo ciekawy. To znaczy, chodzi mi o to, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby ją lepiej poznać.

- Jej też by się to spodobało. Chociaż nie mam pojęcia, co mogą mieć wspólnego.

Minęli kino. Kiedy byli nastolatkami, właśnie tutaj oglądali filmy. Michelle dobrze pamiętała, jak siedzieli w ciemności,

otoczeni zapachem popcornu i trzymali się za ręce, kiedy oglądali „Oficera i dżentelmena”.

- Szkoda, że zlikwidowali Lynwood - powiedziała.

Chwiejne litery przypominające zepsute zęby przekazywały niezbyt czytelną wiadomość : „ZAMKNIĘT”.

- Wydaje mi się, że zamknęli je trzy sezony temu.

- Ojciec chce doprowadzić do ponownego otwarcia kina, ale najpierw musi poddać się operacji.

Sam zatrzymał się obok starego budynku.

- Chcesz wejść?

- Możemy? Nie jest zamknięte?

Dostrzegła chytry uśmieszek na jego twarzy, kiedy szukał latarki w oświetlonym schowku.

- Kilka razy udało mi się wśliznąć na film za darmo. Chodź.

Czuła się jak złodziej, kiedy skradali się w kierunku tylnych drzwi. Tak jak Sam przewidział, wyjście ewakuacyjne nie było zamknięte. Kiedy weszli do środka, zapalił światło.

Duży reflektor oświetlił scenę do złudzenia przypominającą scenerię z „Upiora w operze”. Michelle obrzuciła wzrokiem stare żyrandole przykryte białymi płachtami, wyblakłe tapety w lilie i postrzępione aksamitne kurtyny zasłaniające ekran.

- Cierpnie mi skóra- powiedziała, wypuszczając z ust obłoczek pary.

- Chcesz wyjść?

- Nie, rozejrzyjmy się.

Deski trzeszczały, kiedy szli między rzędami siedzeń. Zakurzona budka, gdzie sprzedawano bilety oraz stanowisko biletera zionęły pustką. Na ścianach wisiały plakaty filmowe. Na tych, na których widniała twarz jej ojca, znajdowały się także jego autografy. Sam poświecił latarką na plakat reklamujący film katastroficzny „Czyn Boga”, który pobił rekordy oglądalności i wyniósł jej ojca na wyżyny sławy.

Mimo że plakat wydrukowano ponad trzydzieści lat temu, postać Gavina Slade'a niewiele różniła się od jego obecnego wizerunku. Miał klasyczne rysy twarzy, których nie potrafił zmienić czas.

Przy stanowisku biletera znajdowało się elektryczne ogrzewanie. Sam wcisnął przełącznik i ku radości Michelle żebrałka zaświeciły na pomarańczowo. Najwyraźniej jej ojciec czuwał, żeby niezbędne urządzenia funkcjonowały nawet w takim opuszczonym miejscu jak to. Po kilku minutach w holu zrobiło się ciepło i jasno. Michelle przypomniała sobie stare meble z *dawnych czasów: podniszczone klubowe fotele, marmurowe blaty poźółkłe przez lata*. Usiadła na długim szeszlunku obitym aksamitem. Mebel zatrzeszczał pod jej ciężarem.

- Nie mogę się przyzwyczać, że jesteś lekarzem - odezwała się.

Dotknął kciukiem jej policzka. Wszystko w niej odżyło. Jej ciało pragnęło jego dotyku i czekało.

- A ja nie mogę przywyknąć do myśli, że jesteś matką - odparł.

Poruszył tę część wewnątrz niej, do której nie udało się dotrzeć nikomu innemu poza chłopcem, którego znała dawno temu.

- Niech to szlag, Michelle - zaklął, odsuwając dłoń. - Powinnaś była mi powiedzieć.

Słyszała jego złość, która odzwierciedlała jej własną wściekłość. Problem z tego typu uczuciami polegał na tym, że u ich podłoża znajdował się żal za tym, czego nie zrobili. A problem z żalem polegał na tym, że nie można było o nim zapomnieć. Pozostawał w środku i z czasem stawał się coraz ciemniejszy i bardziej gorzki.

- *Chciałam ci powiedzieć* - odparła łagodnie, wspominając ten dzień, kiedy była taka podekscytowana, przerażona i bardzo młoda. - Nie przyszedłeś do pracy.

Był bardzo spięty, jak gdyby naprężyła się każda komórka jego ciała. Michelle dobrze wiedziała, że rozumiał, jaki dzień miała na myśli. Tamtego dnia pożyczyła dżipa z rancza ojca. Jechała bardzo wolno. Była przerażona wynikami testów ciążowych, które zrobiła sobie w domu, i zdenerwowana, ponieważ nigdy wcześniej nie odwiedzała Sama w domu.

To był zwyczajny dom we wschodniej części miasta, jedno

z mieszkań przeznaczonych dla pracowników, którzy zjeżdżali się do miasta na zbiory każdego lata.

Na miejscu okazało się, że w oknach nie paliły się żadne światła, a na podjeździe nie było śladu samochodu. Już wtedy ogarnął ją niepokój. Już wtedy odczuła pustkę i zrozumiała, co oznaczała złowieszcza cisza. Mimo wszystko zapukała najpierw do frontowych drzwi, a później do tych od tyłu. Przeszła pod sznurkami na pranie, na których wisiała jedna zapomniana skarpetka. Zawołała, a potem popchnęła kuchenne drzwi. Nie była zaskoczona, kiedy otworzyły się przed nią na oścież. Crystal City było małym miasteczkiem. Jego mieszkańcy zostawiali otwarte drzwi, przede wszystkim dlatego że nie mieli niczego, co warto byłoby ukraść.

Trzęsa się z zimna, przechodząc od pokoju do pokoju. Wyobrażała sobie Sama i jego matkę, jak musieli tu mieszkać. Przyglądała się zniszczonym meblom, zastawie stołowej z lat pięćdziesiątych, rozkładanym łóżkom w ciasnej sypialni. Nic dziwnego, że nigdy nie zaprosił jej do siebie.

- Wyjechałeś - odezwała się po długiej chwili milczenia. - Twój dom był opustoszały. Pojechałam do kawiarni, żeby sprawdzić, czy twoja matka nadal tam pracuje, ale Earl Meecham powiedział mi, że wyjechała i nie zostawiła nawet nowego adresu, pod który mógłby wysłać jej ostatnie wynagrodzenie.

- Adresy zawsze stanowią problem dla kogoś, kto nie wie, dokąd jedzie - odparł Sam.

Michelle wpatrywała się w kręcący się wiatrak.

- Czy pożegnanie tak wiele by cię kosztowało?

Nie odezwał się, a kiedy milczenie się przeciągało, spojrzała na niego podejrzliwie i przyjrzała się uważnie jego twarzy. Doszła do wniosku, że stał się dla niej kimś obcym. Nie znała go tak jak dawniej. Nie potrafiła nic wyczytać z jego oczu. Był bardzo spięty, sprawiał wrażenie człowieka, który toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

- Sam?

- Nie wiem, dlaczego się z tobą nie pożegnałem - po-

wiedział w końcu. Mówił bardzo cicho i z rozwagą. - To było tak dawno temu.

- Wszystko wydarzyło się dawno temu.

Sam potarł kciukiem jej policzek.

- Nigdy nie potrafiłem się żegnać.

Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Jego ręka spoczywała w odpowiednim miejscu, pocierając jej policzek, a ich oczy znajdowały się na odpowiednim poziomie. Oboje patrzyli na swoje usta. A przede wszystkim nastrój i chwila były do tego odpowiednie. Michelle nie myślała o niczym, co nie było związane z tym momentem i tym miejscem. Tak bardzo chciała go pocałować i przytulić.

Sam pochylił się w jej stronę, a ona opuściła kolana. Nie śpieszyli się, ponieważ każde uderzenie serca, każdy oddech i każda sekunda były dla nich ważne. Ich wargi dotknęły się, a jego smak zawładnął jej ciałem i sprawił, że eksplodowały w niej wspomnienia. Odżyła w niej pasja i namiętność, dawno zapomniane, a jednak znajome.

Nic nie mówili. Potrafilo porozumiewać się bez słów. Dobrze wiedzieli, że jeżeli się odezwą, zaczną wszystko omawiać i odwoływać się do zdrowego rozsądku, a to z kolei doprowadzi ich do wniosku, że stracili rozum. Dlatego w niemym porozumieniu postanowili rozkoszować się tym szaleństwem. Zdjęli kurtki, a potem buty, swetry i dżinsy. Ich ręce były wszędzie, dotykały każdego centymetra swoich ciał. Emocje szybko rozbudziły ich zmysły. Sam miał napięte mięśnie i delikatną skórę. Poznawała ustami jej ciało, aż w końcu przypomniła sobie każdy szczegół. W końcu zaczęli się śpieszyć, ponaglani potrzebą, która nie mogła czekać. Michelle odsunęła się do tyłu, a on chwycił ją za biodra. Pochylił się nad nią, a ona uniosła się. Kiedy się połączyli, poczuła się tak cudownie, że zobaczyła gwiazdy.

Kiedy na niej leżał, chciała tak trwać wiecznie. Nie chciała, żeby odchodził. Wiedziała, że kiedy się odezwą albo poruszą, powróci prawdziwe życie. Pod palcami czuła jego ciepłe plecy, słuchała jego oddechu, przysuwała usta do jego szyi.

- O czym myślisz? - zapytał. Dobrze pamiętał wrażliwe miejsce w jej uchu, które sprawiało, że cała drżała pod wpływem jego oddechu.

Nikt poza nim nigdy nie poznał tego miejsca.

- Nie powinniśmy się ruszać ani nic mówić - wyszeptała.

- Dobry pomysł.

Ale po chwili nie wytrzymała i zadała mu to samo pytanie:

- O czym myślisz?

- Kochanie, mam same sprośne myśli. - Bardzo precyzyjnie pokazał jej, co przez to rozumiał. Przesunął ją do tyłu, szepcząc do jej ucha w taki sposób, jak tylko on potrafił. Już po chwili znów zaczęli się kochać. Jego pocałunki, dotyk jego ciała, wszystko było idealne. Dokładnie wiedział, czego potrzebowała. Rozpalał ją, podniecał, aż krzyknęła z rozkoszy, a jej głos odbił się echem od ścian opustoszałego budynku.

- A o czym teraz myślisz? - zapytał po dłuższym czasie.

- Cieszę się, że nie jest tu jasno. - Musnęła szybko usta, które przed chwilą wywołały w niej tyle niesamowitych doznań. Usiadła na szezlongu i założyła sweter.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Wstała, szybko wciągnęła majtki, a potem dzinsy. - Nie mam już osiemnastu lat. Jestem trzydziesto-pięcioletnią kobietą i to widać.

Roześmiał się z niedowierzaniem, zapinając spodnie.

- Martwisz się, że mógłbym się rozczarować na twój widok?

- Może się nie martwię, ale...

- Posłuchaj. - Chwycił jej ręce i oparł na swoim nagim torsie, niewiarygodnie muskularnym i bardzo seksownym.

- Słucham.

- Oczywiście pamiętam, jak wyglądałaś wiele lat temu. Jak mógłbym zapomnieć? Twoja ciało doprowadzało mnie do szaleństwa. Doskonale to pamiętam. - Zarysował palcem linię jej szyi, a potem piersi. - Ale kiedy przed chwilą trzymałem cię w ramionach, myślałem tylko o tym, jak bardzo cię kiedyś kochałem.

Poczuła się nieswojo. Ogarnęło ją poczucie winy i zażenowanie.

- Lepiej już chodźmy.

Zawahał się, jak gdyby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego zapiął koszulę, po czym wyłączył ogrzewanie i światło.

Wyszli tymi samymi drzwiami, przez które weszli. Zaczął padać śnieg. Z nieba posypały się ogromne płatki podobne do tych, które widuje się na świątecznych kartkach. W bladym świetle lamp śnieżynki wyglądały niesamowicie, magicznie.

Kiedy byli w połowie drogi do samochodu, na alejkę padł cień.

Sam otoczył Michelle ramionami i przyciągnął ją do siebie.

- Co do...

Oślepiające światło uderzyło ich prosto w twarz. Sam nie miał pojęcia, co się stało, ale Michelle dobrze wiedziała.

Znaleźli ją. Poszukiwacze brudów. Paparazzi. Myśliwi polujący na chorujących na nerki starszych ludzi. Zabójcy księżniczek.

Opony zapiszczały na posypanej piaskiem drodze i czarny, sportowy samochód wystrzelił niczym rakietą, pozostawiając w tyle Michelle i Sama. Poczuła znajomy ból głowy spowodowany błyskiem aparatu. Powinna była ich rozpoznać. Już wcześniej widziała ten samochód, kiedy stali przed szpitalem. Powinna się była domyślić, że sępy krążą w pobliżu.

- O co im, do diabła, chodziło? - zapytał Sam.

- Dowiesz się tego z jutrzejszej gazety - odparła ponuro, czując, jak ogarniają przygnębienie. - Na pewno nie później.

27

Michelle stała na szpitalnym korytarzu. Kiedy wreszcie odetchnęła z ulgą, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Udało się ustabilizować stan Gavina.

Mimo to była niespokojna. Ostatniej nocy kochała się z Samem w zapomnianym przez ludzi i Boga miejscu. Pragnęła go z taką mocą i żarem, że zaczęła podejrzewać, iż staje się całkiem inną osobą. Nie poznawała samej siebie. Zdradziła życie, które zbudowała daleko stąd. Powinna czuć z tego powodu żal, wstyd i winę... ale nic podobnego nie wypełniało jej serca.

Pograżona w myślach znalazła się w małej poczekalni obok recepcji. Chwilę później pojawiła się siostra O'Brien, która uśmiechnęła się na powitanie.

- Michelle, zgadza się? - zapytała.
- Michelle Turner. Zbyt dużo czasu spędzam w tym szpitalu.
- Coś o tym wiem. W mieście wybuchła epidemia grypy, dlatego od tygodnia pracuję po godzinach. Jak sobie radzi twój chłopak?

- Całkiem nieźle, chociaż muszę przyznać, że ta szrama jest całkiem spora. - Czy zauważyłaś może dziennikarzy albo fotografów, którzy ostatniego wieczoru kręcili się w pobliżu?

- Mhm. Obawiam się, że widzieli twojego ojca, jak do nas przyjechał. - Posłała Michelle przepraszające spojrzenie. - Nie pozwoliliśmy nikomu się z nim zobaczyć.

- To dobrze. Ciągłe się tym martwię - przyznała. Wzięła głęboki oddech. - Czy ludzie dużo tutaj rozmawiają? O Samie i Codym?

- Masz na myśli to, co ich łączy? - Najwyraźniej nie czuła się skrepowana. - Oczywiście.

- Tego się obawiałam. - Michelle umierała z pragnienia, żeby zapytać, co takiego mówią, ale nie była pewna, czy chciałyby poznać odpowiedź.

- Nigdy nie mogłam wyobrazić sobie Sama z własnym dzieckiem.

Coś w jej głosie przyciągnęło uwagę Michelle.

- Długo razem pracujecie?

Alice O'Brien uniosła brwi.

- Nic ci nie powiedział? - zdziwiła się.

Michelle poczuła dziwny chłód w powietrzu i instynktownie otuliła się ramionami.

- Co takiego?

Pielęgniarka nie odzywała się przez chwilę. Najwyraźniej rozważała wszystkie za i przeciw.

- Sam i ja byliśmy małżeństwem - wyznała wreszcie.

- O Boże!

- Najwyraźniej macie z Samem jeszcze wiele tematów do omówienia.

- Powinien był mi powiedzieć - przyznała Michelle, uciążona sytuacją, w której ją postawił.

- To dawne dzieje i nikt nie trzyma tego w tajemnicy. - Alice O'Brien nie owijała w bawełnę. - Poznałam go pięć lat temu, kiedy osiedlił się w Crystal City. Od razu poczułam się, jak gdyby spadł na mnie grad cegieł. - Uśmiechnęła się. - Większość personelu była nim oczarowana. Świetnie nam się układało i wkrótce postanowiliśmy się pobrać. Wydaje mi się, że Sam dobrze się przy mnie czuł, ale ja byłam na tyle głupia, żeby sobie wmówić, że mnie kocha. - Otuliła się różowym swetrem. - Z natury jestem łagodna, lubię opiekować się ludźmi, pomagać im, a Sam potrzebował miłości, seksu i twardej kobiety.

- Alice - powiedziała Michelle - nie musisz się przede mną tłumaczyć. - Sam powinien był to zrobić.

- Ale to mi nie przeszkadza. I tak dowiedziałabyś się całej prawdy od tej czy innej osoby. Bardzo się zaangażowałam, ale Sam... no cóż, on traktował nasze małżeństwo jak przejażdżkę na nowym koniu. Kiedy zasugerowałam mu, że chciałabym mieć dzieci, to był nasz koniec. - Odrzuciła do tyłu rękawy swetra i spojrzała na zegarek. - Dopiero wtedy zrozumiałam, że nigdy nie da mi tego, czego chciałam od życia i na co zasługiwałam. Dlatego się rozstaliśmy. - Na jej ustach pojawił się pełen tolerancji uśmiech. - Sam bardzo źle się z tym czuł, ale ja podjęłam decyzję i nie miałam zamiaru jej zmieniać. Tak było o wiele lepiej. Nadal jesteśmy przyjaciółmi i kolegami w pracy.

Michelle odchyliła głowę na oparcie krzesła. Jej myśli wirowały w bezładzie. Mimo że Alice była od niej o wiele młodsza, przemawiała przez nią mądrość doświadczonej, o wiele starszej kobiety. Jej słowa dźwięczały w powietrzu. Nigdy nie da mi tego, na co zasługiwałam.

- Myślę, że na swój sposób kochał mnie przez pewien czas, ale jego uczucia nie trwały zbyt długo - podsumowała Alice, po czym wstała i spojrzała na zegarek. - On jest bardzo skomplikowanym mężczyzną. Miał ciężkie życie. Szybko nauczył się kochać mocno i krótko. Nikt go jednak nie nauczył, jak wytrwać w miłości.

Michelle dosiadła kłaczy o imieniu Daisy i czym prędzej udała się w kierunku rancza Sama. Czuła, jak zimne powietrze wypełnia jej płuca. Mroźny wiatr smagał jej twarz. Popołudniowe niebo przybrało pomarańczową barwę od nikańcego za horyzontem słońca.

Po rozmowie z Alice Michelle odwiozła ojca do domu, a potem bez chwili zwłoki wyruszyła w kierunku Samotnej Sosny. Na miejscu dowiedziała się, że Sam pojechał konno sprawdzić pułapki.

- Prawdopodobnie w drodze powrotnej zatrzymał się przy

gorących źródłach - poinformował ją Edward. - Bardzo lubi spędzać tam czas, kiedy jest w dobrym nastroju.

W dobrym nastroju. Nie zapytała Edwarda, co dokładnie miał na myśli, ponieważ doszła do wniosku, że już wkrótce sama się o tym przekona.

Dzięki dokładnym wskazówkom Edwarda nie miała najmniejszego problemu, żeby odnaleźć drogę. Niebawem zauważyła konia przywiązanego do drzewa, ale nigdzie nie było śladu Sama. Zsiadła z konia, przywiązała lejce do jednej z niższych gałęzi i wspięła się na brzeg rozlewiska. W pobliżu znajdowało się mnóstwo źródeł termalnych. Parująca woda rozmyślała krajobraz, przesycając powietrze słonym zapachem siarki.

- To zabawne, że się tutaj spotykamy - odezwał się rozbawiony głos.

Michelle wyteńczyła wzrok, spoglądając przez mgłę. Zobaczyła go, jak siedział do połowy zanurzony w wodzie. Nie miał na sobie nic prócz uśmiechu.

- Ucięłam sobie pogawędkę z Alice - wypaliła.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- W takim razie będzie lepiej, jeżeli usiądziesz.

- Może powinieneś się ubrać, Sam...

- A może do mnie dołączysz. - Uśmiech ponownie rozjaśnił jego twarz.

Kucnęła na płaskim kamieniu, zakrywając twarz rękoma.

- Nie mogę uwierzyć, że nie wspomniałeś mi słowem o swoim małżeństwie.

Usłyszała szmer wody i zdała sobie sprawę, że płynie w jej kierunku. Chwycił jej ręce i odciągnął je od twarzy. Już wtedy powinna wstać, odwrócić się i odjechać, ale zamiast tego trwała w bezruchu.

- Powiniennem być ci powiedzieć, Michelle, ale nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmowę.

Jego ciepłe, silne, nalegające ręce zdjęły jej rękawiczki i rozpięły suwak kurtki.

Parująca woda, ciepło i jego dotyk wypełniły ją dziwnym

znużeniem. Wszystko, co zamierzała zrobić, uleciało. Bardzo delikatnie rozwiązał jej buty i zdjął skarpetki.

- To moja wina, że małżeństwo z Alice nie wyszło. - Szeptał jej do ucha zachrypniętym głosem, a potem pocałował ją leniwie, sprawiając, że stała się więźniem swoich żądz. Jego smak, smak namiętności, działał na nią niczym narkotyk.

- Ona twierdzi... że nie spełniłeś jej oczekiwań. - Udało jej się wymówić tych kilka słów, mimo że całkowicie poddała się czarowi chwili. Bez namysłu ściągnęła sweter i dzinsy, pozwalając, żeby rozkoszny chłód i ciepła woda muskały jej nagie ciało.

- Miała rację. Nie mogłem spełnić jej pragnień. - Poczwała dotyk jego dłoni, kiedy wciągnął ją do gorącej wody, która wypływała z samego serca ziemi. - Ponieważ wszystko oddałem tobie.

Kiedy zaczęła się ubierać, nadał siedział w wodzie i patrzył na nią. Jego ciało reagowało tak samo szybko jak wtedy, kiedy miał osiemnaście lat, a może nawet szybciej: teraz wiedział, że seks podobny do tego, którego doświadczył przed chwilą, nie zdarza się każdego dnia.

Pomyślał, że powinien się ubrać, skoro chce poruszyć temat Cody'ego. Czym prędzej wyszedł na brzeg i wysuszył się, zanim owiało go mroźne powietrze. Włożył buty, skarpetki i dzinsy. Przez cały czas rzucał Michelle ukradkowe spojrzenia. Nadal była bardzo szczupła, ale jej piersi i brzuch zaokrągliły się w ten cudowny, typowy dla kobiet po urodzeniu dziecka sposób. Nieważne, ile czasu minęło, zawsze rozpoznawał kształty matki.

- Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym?

Stwierdził, że najlepiej będzie powiedzieć wszystko prosto z mostu.

- Chciałbym, żeby Cody zamieszkał ze mną, kiedy ty i Gavin będziecie w szpitalu.

Dobrze wiedział, że się nie zgodzi, jeszcze zanim zdążyła otworzyć usta. Widział bunt w jej oczach. Nie miał zamiaru pozwolić jej dojść do słowa, dlatego kontynuował:

- Myślałem o tym przez te dni i doszedłem do wniosku, że to dobry plan. Będzie mógł...

- Ale ja już zaplanowałam, co w tym czasie będzie robił Cody - przerwała mu. - Zostanie na ranchu mojego ojca. Tadao, Jake i Natalie dotrzymają mu towarzystwa. Oni...

- Nie są jego rodziną. - Sam starał się trzymać uczucia na wodzy. Nie chciał pokazać, jak bardzo jest zdesperowany. - Cody jest ciałem z mojego ciała. Ma mnie i moją matkę. Trzeba mu dać szansę, żeby mógł nas lepiej poznać. Pora jest do tego jak najbardziej odpowiednia, Michelle.

Cofnęła się.

- Nie.

- Czego się obawiasz? - zapytał. - Chciałbym spędzić trochę czasu ze swoim synem. Jak możesz mi tego odmawiać?

- Chyba nie wiesz, o co mnie prosisz. - Rozłożyła ramiona. - Skwitowałeś swoje małżeństwo z Alice prostym wzruszeniem ramion. Zostawiłeś ją. A teraz chcesz się zająć synem?

Dotknęła go do żywego, ale Sam nie miał zamiaru dać po sobie poznać, jak bardzo zabolęła go jej uwaga. Dobrze wiedział, do czego zmierzała.

- Michelle, nie musisz się bać.

Uniosła wysoko głowę.

- Nie boję się.

- Ależ oczywiście, że się boisz. Jesteś przerażona na samą myśl, że Cody i ja możemy zostać przyjaciółmi i wtedy on zapomni, kto biegał do niego w nocy, piekł jego urodzinowe torty i stał na deszczu, kiedy on rozgrywał mecz w piłkę. - Sam podszedł do niej, wziął ją za rękę i przycisnął do niej usta. Czuł słony smak wody. - Nie musisz się niczym przejmować. Dziecko zawsze wybiera matkę. Możesz mi zaufać. Wiem, co mówię.

Odsunął się od niej, po czym włożył kapelusz. Nie miał zamiaru powiedzieć czegoś, co mogłoby ją zranić.

- Nie daj się błagać, Michelle. Miałaś całe szesnaście lat, a ja proszę o jeden tydzień.

Odwiązała klacz od drzewa. Zanurzyła palce w grubym futrze zwierzęcia.

- Gdzie my jesteśmy, Sam? - zapytała. - Muszę to wiedzieć, zanim podejmę decyzję.

Dobrze wiedział, że nie pytała go o drogę do domu. Znaleźli się w punkcie, gdzie nie było miejsca na sekrety i wahanie. Ale ta nowa bliskość osłabiała ich oboje. Sam nie był pewien, czy potrafił w jeden wieczór zmienić się w ojca rodziny. Doświadczenia związane z jego matką uświadomiły mu cenę miłości. Chciał spróbować, mimo całego bólu i cierpienia, które zadała mu miłość. Wiedział, że czeka ich wiele problemów, ale także wiele radości, jeżeli im się uda. Musiał w to wierzyć, a nawet był o tym przekonany.

- I? - niecierpliwiła się. - Jak jest twoja odpowiedź? Gdzie się znajdujemy?

Przytrzymał jej konia za uzdę, a ona wspięła się na siodło.

- Chyba na samym początku.

Restauracja Trudy's była jednym z niewielu pozytywnych miejsc w Crystal City. Przynajmniej tak uważał Cody. Ogromny cheeseburger, talerz frytek i czekoladowe ciasto na deser tak bardzo różniły się od dietetycznych posiłków, które podawał kucharz dziadka.

Żałował tylko, że rodzice zepsuli mu dobry nastrój, kiedy skończył jeść deser.

Przez jakiś czas wpatrywał się w ciemne okno, a potem zapytał, czy może odejść. Gdy otrzymał pozwolenie, natychmiast opuścił restaurację. Kolejne piętnaście minut spędził, wążając się po ulicy Main, która była jedyną ulicą w mieście. Na jednym jej krańcu znajdował się ratusz i biblioteka. Na drugim stał stary opuszczony budynek kina, do którego przylegał sklep widmo. Zakurzone szyby, aż prosiły się, żeby rzucić w nie kamieniem.

Matka powiedziała, że kino należało do Gavina i być może pewnego dnia zrobi z niego użytek, ale na razie stało opustoszałe. Kilkoro dzieciaków wyszło z biblioteki. Widok popychających się chłopaków i dziewczyn, trzymających podręczniki przy piersi, tym bardziej popsuł mu nastrój. Za dwa dni będzie musiał iść do szkoły, a to tylko pogorszy jego sytuację.

Zgarbił ramiona i ruszył dalej, mijając pasmanterię, w której pracowała Tammi Lee Gilmer. Teraz matka i Sam na pewno zaczęli się zastanawiać, gdzie zniknął. Niech się trochę pomartwią. Co prawda obiecał im, że wyjdzie tylko na chwilę, żeby się przewietrzyć, ale nie miał jeszcze ochoty do nich wracać. Niedaleko zauważył autobus Greyhound, który warczał i wypuszczał białe kłęby dymu z rury wydechowej. Oświetlony napis na samej górze przedniej szyby wyznaczał cel jazdy: MISSOULA-SPOKANE-SEATTLE.

O rany, co by dał, żeby móc wskoczyć do tego autobusu. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął spłaszczoną paczkę cameli. Zostały mu tylko dwa papierosy. Kiedy je wypali, nie pozostanie mu nic do roboty. Ciekawe, jak dzieciakom w takim małym mieście, gdzie wszyscy się znają, udaje się palić w tajemnicy przed rodzicami? Zapalił papierosa. Mniej więcej pierwszego dnia szkoły zaczął palić, żeby zbliżyć się do Klaudii. Jego plan zadziałał. Zauważyła go, zaczęła sępić od niego fajki i w przeciągu kilku tygodni zaczęli się ze sobą spotykać. Zastanawiał się, co mogła teraz robić. Nie widzieli się tylko tydzień, ale on już martwił się, czy ona na pewno będzie na niego czekać. Ta myśl tak bardzo go wkurzyła, że omal nie przewrócił kilkoro dzieciaków wychodzących z biblioteki.

- Przepraszam - wymamrotał pośpiesznie.
- Cześć, Cody - powitał go znajomy głos.

Podniósł głowę i zobaczył Molly Lightning obładowaną książkami.

- Cześć.

Jej uwagę przyciągnął zakończony pomarańczowym ustnikiem papieros, który trzymał w ręku. Cody'emu zrobiło się

głupio i poczuł się niepewnie, tak jak wtedy, kiedy uczył się palić pierwszego papierosa w życiu. Wyjął z kieszeni prawie pustą paczkę i wyciągnął w jej stronę z nonszalancją.

- Chcesz zapalić?

- Nie.

Nawet bez pytania wiedział, że nie pali. Co tam. Przynajmniej nie robiła z tego powodu żadnych problemów. Nie jest świętoszkowata.

Sprawiała wrażenie spiętej, kiedy rozglądała się dookoła.

- Czekasz na kogoś? - zapytał, starając się dyskretnie wyrzucić papierosa i wdeptać go w głęboki śnieg. Świetne posunięcie, pomyślał z irytacją. Zmarnował połowę dobrego papierosa.

- Mama miała przyjechać po mnie o ósmej. - Spojrzała na niego z nieskrywanym zainteresowaniem. Może się na mnie napaliła, pomyślał. Ta myśl bardzo przypadła mu do gustu.

Po drugiej stronie budynku trzech chłopaków w szerokich spodniach i za dużych parkach podpaliło petardę. Śmiali się i klepali nawzajem po plecach. Jeden z nich podniósł z ziemi kamień albo odłamek lodu i rzucił nim w stronę kina. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

- Kretyni - powiedziała Molly.

Cody poczuł się o wiele lepiej, kiedy wyraziła jego własne myśli.

- Co to za jedni?

- Chłopaki ze szkoły. - Wszyscy trzej wpakowali się do starej gabloty el camino i z rykiem znikli w ciemnościach. - Wszyscy uważają, że Billy jest bardzo fajny, a on jest zwykłym palantem. W zeszłym roku był karany za kradzież, ale przez to dzieciakom w szkole wydaje się, że jest jeszcze fajniejszy. Nawet nie wyleciał z drużyny futbolowej. - Zamilkła i zrobiła zmartwioną minę, jak gdyby powiedziała więcej, niż powinna.

- Mogę potrzymać ci te książki? - zapytał Cody z nadzieją, że jego słowa nie zabrzmiały zbyt grzecznie.

Molly uśmiechnęła się tak samo jak pierwszego dnia, kiedy się poznali. To był nieśmiały, ale bardzo seksowny uśmiech.

- Dzięki - odparła, podając mu stos podręczników. - Nie chciałam kłaść ich na ziemi. - Pachniała mydłem i świeżym powietrzem. Cody miał nadzieję, że dym papierosów nie wzał się w jego kurtkę. - Co tutaj robisz? - zapytała.

Odwrócił się w stronę Trudy's.

- Moja mama i... Sam McPhee zabrali mnie na kolację. Chciałem się trochę przejść. - Nie skomentowała jego słów, tylko słuchała z zainteresowaniem. - Matka idzie jutro do szpitala, żeby oddać nerkę mojemu dziadkowi - wyrzucił jednym tchem.

Przygotował się, że na jej twarzy pojawi się szok i niesmak, ale ona znów go zaskoczyła.

- Super.

- Chyba tak. - Pierwszy raz Cody pomyślał, że to może naprawdę jest super. - Ale - dodał - kiedy oboje będą w szpitalu, ja mam zostać u Sama. Ostatnie słowo należy do mnie.

- Jaki masz wybór?

Podobało mu się, że była szczerze zainteresowana tym, co mówił. Dzisiaj wieczorem chciał zadzwonić do Klaudii i opowiedzieć jej o wszystkim, ale ona nie lubiła angażować się w takie sprawy. O wiele łatwiej było mu stać tutaj na śniegu i rozmawiać z Molly. - Mogę zostać na ranczu Błękitna Skała pod opieką Jake'a i Tadao, którzy pracują dla Gavina. - Oparł brodę na książkach. - Albo mogę zamieszkać w Samotnej Sośnie.

Molly uśmiechnęła się.

- Żartujesz? Przecież nie ma się nad czym zastanawiać. Sam jest twoim tata, a do tego hoduje konie. Wybór jest oczywisty.

28

Tammi Lee Gilmer zazwyczaj nie korzystała z wolnych sobót, ale dzisiaj umówiła się z mechanikiem z warsztatu McEvoya, że odbierze samochód. Położyła dymiącego papierosa na półce w łazience i natapirowała włosy. W dzisiejszych czasach nikt już nie tapiruje włosów i nikt nie pali papierosów, pomyślała. Nie miała jednak zamiaru z tego powodu zmieniać starych przyzwyczajień.

Wyszła na dwór.

Poczuła znajome palące ssanie w żołądku. Ruszyła w stronę centrum miasta. To ssanie było ostrzeżeniem, jej mrocznym pragnieniem, nienasyconą żądzą, z którą musiała zmagać się od lat. Wystarczyłby jej jeden drink. Jeden drink i ssanie ustałoby na pewien czas, a ona znów poczułaby się normalnie.

Kiedy szła, chłód wywarł na niej kojący efekt. Uczucie pragnienia minęło.

- Cześć, Tom - powiedziała, wchodząc do ciepłego, pachnącego smarem biura. - Gotowe?

- Wszystkiemu była winna pompa - wyjaśnił.

Zaparkowała samochód jeden budynek dalej od warsztatu. Wstąpiła do sklepu Raya, żeby napić się kawy i kupić ostatni numer „Enquirer”.

Kiedy wróciła do samochodu, popijała kawę i przeglądała magazyn w oczekiwaniu, aż rozgrzeje się silnik.

Na okładce „Enquirer” znajdowało się ogromne zdjęcie

stoosmioletniego mężczyzny, który przeżył katastrofę „Titanica”. Jednak jej uwagę przyciągnęła mała fotografia.

- Jasna cholera - wymamrotała. Omal nie wypuściła kawy z rąk. Kiedy odstawiła plastikowy kubek, trzęsły się jej ręce. Otworzyła gazetę na stronie drugiej. Spojrzała na stare zdjęcie Gavina Slade'a i Michelle, którzy wyglądali tak wspaniale i promiennie. Obok widniała niewyraźna fotka jakiejś postaci, którą wwożono na noszach do szpitala County. Ostatnia fotografia przedstawiała Michelle Turner i Sama na środku zaśnieżonej ulicy z wyrazem zażenowania na twarzy. Nagłówek informował czytelników: „Córka umierającego gwiazdora filmowego szuka pocieszenia w ramionach samotnego kowboja”.

Już po chwili chevy odjechał z piskiem z parkingu. Jedną z niewielu przydatnych umiejętności, które Tammi Lee zdobyła w czasie swojego niefrasobliwego życia, było prowadzenie samochodu. Przejechała więcej kilometrów niż niejeden zawodowy kierowca.

W ciągu pięciu minut dojechała do szpitala, gdzie, jak wiedziała, Sam miał dyżur. Od razu zauważyła Cody'ego, który siedział na betonowej ławce przed budynkiem, w którym znajdował się gabinet Sama. Na głowie miał czarną wełnianą czapkę, a w uszach małe słuchawki. Wybijał stopą rytm muzyki, którą słyszał tylko on.

Mój wnuk. To naprawdę mój wnuk, pomyślała.

Wysiadła z samochodu. Jej buty zachrząściły na posypanym piaskiem i solą podjeździe.

- Cześć, Cody. Pamiętasz mnie? Jestem Tammi Lee Gilmer. Chłopak zdjął słuchawki.

- Cześć.

- Co słysząc? - Starła się zachowywać naturalnie.

- Dziadek przywiózł mnie tutaj na zdjęcie szwów. Sam musiał iść na jakąś kontrolę.

- Jak twoja rana?

Zdjął czapkę.

- Chyba dobrze.

Przyjrzała się uważnie zygzakowatej bliźnie.

- Zaczynasz się przyzwyczajać, co? - stwierdziła. - Chyba już dobrze poznałeś ten szpital.

- No.

Tammi Lee wskazała na discmana.

- Jaką muzykę lubisz?

- Alternatywną, trochę heavymetalową. Jeszcze kilka starszych kawałków - odparł mgliście.

- Słyszałeś kiedykolwiek o rockabilly?

- Jasne. - Z powrotem włożył czapkę.

- Wiem sporo na ten temat. Kiedyś to śpiewałam.

- Nie żartuj - odparł, spoglądając na nią ze sceptycznym zainteresowaniem.

- Naprawdę. Byłam wokalistką zespołu Road Rage. Nagraliśmy hit „Dearly Departed”. - Zanuciła fragment melodii.

Cody otworzył szeroko oczy.

- Ale numer. Słyszałem tę piosenkę.

- Posłuchaj, może wpadniesz dzisiaj do mnie na trochę.

Nie odezwał się. Przez cały czas kopał czubkiem buta w kawałek lodu na chodniku.

- Jeżeli się znudzisz, nie będę cię zatrzymywać. Obiecuję.

Spojrzał jej prosto w oczy i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jaką miał cudowną, piękną twarz chłopaka, który już wkrótce stanie się przystojnym mężczyzną. Ale oprócz urody Tammi Lee dostrzegła także zuchwałość i upór. Michelle Turner musiała przeżyć niejedną burzę, wychowując tego dzieciaka.

- Widziałem ten artykuł w gazecie - powiedział.

Zmusiła się, żeby nie uciec od niego spojrzeniem.

- Miałam nadzieję, że nie widziałeś.

- Sam też go widział. Wszystkie pielęgniarki tylko czekały na jego przyjście, żeby mu to pokazać.

- Ta gazeta to stek bzdur. Drukują w niej same kłamstwa. - Wzięła głęboki oddech, żałując, że nie ma papierosów. - Te zdjęcia o niczym nie świadczą. Twoja mama prawdopodobnie poślizgnęła się na lodzie, a Sam złapał ją, żeby nie upadła.

- Być może - odparł.

- Więc jaka jest twoja odpowiedź? Chcesz zobaczyć, gdzie mieszka twoja stara babka?

Zawahał się.

- Raczej tak.

- W takim razie zaczekaj tutaj na mnie. Muszę się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Cody z powrotem włożył słuchawki do uszu, a Tammi Lee weszła do środka budynku z czerwonej cegły. Zawsze kiedy widziała Sama w białym kitlu, rozpierała ją duma, ale dzisiaj bardzo się o niego martwiła.

- Masz dla mnie chwilę, Sam? - zapytała cicho.

Otworzył drzwi prowadzące do pokoju dla personelu. W środku nie zastali nikogo. Na stole stały kubki po kawie, medyczne podręczniki oraz notesy.

- Ile prawdy jest w tym artykule? - zapytała. Wiedziała, że owijanie w bawełnę w niczym nie pomoże. - Spotykasz się z dziewczyną, za którą szalałeś siedemnaście lat temu?

Nie potrafiła wyczytać nic z jego twarzy. Zawsze panował nad emocjami.

- Czy to tylko jednorazowa przygoda, czy...

- To nie jest żadna przygoda - odparł.

Żałowała, że nie była jedną z tych matek, które widuje się w telewizji, taką, która poklepałaby go po ręce, powiedziała kilka mądrych słów i rozwiązała wszystkie problemy jeszcze przed blokiem reklamowym.

- No cóż, nie jestem ekspertem w tego typu sprawach, ale moim zdaniem powinieneś się upewnić, czego oczekujesz. Ponieważ w całą tę sprawę zaangażowane są aż trzy osoby, a jedna z nich jest tylko dzieckiem.

- Wiem o tym. Kiedy Michelle i Gavin pojedą na operację, Cody zamieszka u mnie.

- Naprawdę? - Wzięła jeden z kubków i nalała sobie kawy. Starła się wyobrazić sobie swojego syna w roli ojca. - Musisz być bardzo podekscytowany.

- Jasne. I do tego zdenerwowany. W poniedziałek pójdziesz pierwszy raz do nowej szkoły. Nigdy wcześniej nie miałem do

czynienia z szesnastolatkiem, który rozpoczyna naukę w połowie roku szkolnego, w całkiem nowym dla niego miejscu.

Tammi Lee wypła łyk niezbyt świeżej kawy.

- Takie wyzwania kształtują charakter. - Odstawiła kubek i spojrzała na drzwi, upewniając się, że nikt ich nie usłyszy. - Co masz zamiar zrobić z tym artykułem z gazety?

- Zignorować go.

- Czy Michelle też go zignoruje?

- Nie mieliśmy okazji, żeby o tym porozmawiać. - Na jego twarzy pojawiła się frustracja. - Oboje z Gavinem wyjechali do Missoula, żeby przygotować się do operacji.

- W takim razie może powinieneś pojechać do Missoula i wszystko z nią przedyskutować. - Coś magicznego, może los, przeznaczenie, a może zwykły zbieg okoliczności znów połączyły ścieżki Sama i Michelle. Sam Bóg wie, że jako dzieci nie mieli zbyt wiele szczęścia. - Nie pozwól jej na wątpliwości, Sam. Dzisiaj rano obwinałam się z powodu przeszłości i żałowałam, że nie postąpiłam inaczej, nie dokonałam lepszych wyborów. Nie chcę, żebyś poszedł w moje ślady. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek czegoś żałował.

Przez całą drogę do domu Cody nie odezwał się słowem. Kiedy Tammi Lee otworzyła przed nim drzwi, od razu pożałowała, że nie odświeżyła powietrza aromatem w sprayu. Cały dom pachniał papierosami i wczorajszą kawą. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby chłopak odwrócił się i wyszedł.

Zamiast tego Cody z wahaniem wszedł do środka. Przez cały czas rozglądał się uważnie.

Tammi Lee nie mogła dłużej znieść napięcia. Wyjęła papierosa z paczki, która leżała na stole, i zapaliła go. Dopiero potem zapytała:

- Nie palisz, mam rację?

Wzruszył ramionami.

- Palę.

- Nie poczęstuję cię papierosem. Twój ojciec by mnie zabił. Może masz ochotę na colę? - Podeszła do lodówki. - Rozu-

miem, że w poniedziałek jest wielki dzień. Wypijmy za transplantację.

Cody otworzył puszkę.

- Dobrze. - Kiedy powoli ją opróżniał, cisza stawała się nieznośna. Tammi Lee dokończyła papierosa i zapaliła kolejnego. Cody przez cały czas wodził wzrokiem po pokoju. Przypominał uwieszone zwierzę, które szuka drogi ucieczki. Całkiem niespodziewanie na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

- O rany - powiedział z zachwytem. - Czy to stratocaster?

- Tak. - Wzięła do ręki wiekową elektryczną gitarę, która stała na podwyższeniu w kącie. Stary instrument należał do klasyki. Wiele razy zastawiała gitarę w lombardzie, żeby później ją odkupić. Ostatnio rzadko grała, ale zawsze wiedziała, że trzyma ją w jakimś celu.

Kiedy spojrzała na twarz Cody'ego, zrozumiała, jaki był ten powód.

- Grasz?

- Trochę - odparł. - A ty?

Wzięła gitarę do ręki, nastroiła ją, zagrała kilka akordów i ze zdziwieniem stwierdziła, że jej palce nadal są tak giętkie jak dawniej. Ponownie spojrzała na Cody'ego i roześmiała się na widok jego twarzy.

- Nie wierzysz mi? - Wsunęła kasetę demo do konsoli. - Ta piosenka nazywa się „Hand-Me-Down Dreams”.

- To bardzo dobra piosenka - zawyrokował Cody, kiedy skończyła.

29

Samowi nie przysługiwały żadne przywileje w szpitalu Świętego Brendana w Missoula, ale mimo to wykorzystał swoje znajomości, żeby zasięgnąć wszelkich niezbędnych informacji dotyczących operacji Michelle, a także poznać miejsce jej pobytu. Okazało się, że zatrzymała się w hotelu Arts and Crafts, który wybudowano na początku wieku z myślą o magnatach przemysłu drzewnego. Obecnie ze względu na niedużą odległość, która dzieliła go od szpitala, zajmowały go rodziny pacjentów oraz przyjezdni lekarze. Wcześniej rano Sam stał przed drzwiami pokoju Michelle i starał się pozbierać myśli.

W końcu zapukał.

- Kto tam? - Jej głos był cichy, ale nie zaspany.

- Sam.

- Wejdz - zaprosiła go do środka, otwierając drzwi. Była w szlafroku. Na łóżku leżała książka w miękkiej okładce oraz kilka gazet.

- Cześć. - Nachylił się i pocałował ją. Pachniała pastą do zębów i tonikiem do oczyszczania twarzy.

- Czy z Codym wszystko w porządku? Przyjechał razem z tobą?

- Nic mu nie jest. Kiedy widziałem go po raz ostatni, jadł naleśniki.

- Nadal uważasz, że powinien z tobą zostać?

- Oczywiście, Michelle. Przecież się umówiliśmy.

- Jeżeli wejdzie ci na głowę, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

- Twoja wiara we mnie jest naprawdę krzepiąca.

Posłała mu błady uśmiech.

- Chyba ci się wydaje, że opieka nad dzieckiem jest o wiele łatwiejsza niż w rzeczywistości.

Na razie wszystko było bardzo proste, ale działo się tak pewnie dlatego, że Cody spędził u niego dopiero jedną noc. Do tej pory chłopak zachowywał się spokojnie i prawie się nie odzywał. Prawdopodobnie jego myśli krążyły wokół operacji i nowej szkoły.

- Jak wypadł twój angiogram? - zapytał, zmieniając temat. Dobrze wiedział, że ta procedura była najbardziej inwazyjna spośród wszystkich testów, którym poddała się Michelle.

- Było cudownie. Prawie jak w wesołym miasteczku. Natalie i ja ubawiłyśmy się po pachy.

- Humor ci dopisuje. To dobry znak. Dobrze się czujesz?

Usiadła na łóżku i oparła się na stercie poduszek.

- Czułam się dobrze już pięć minut po zabiegu, ale oni kazali mi leżeć bez ruchu przez sześć godzin. Wybrali cudowną lewą nerkę dla mojego taty, więc chyba wszystko poszło jak należy.

Kiedy o tym mówiła, pobladła nieznacznie. Serce Sama zadrżało na ten widok. Komu mogła opowiedzieć o swoich obawach? Komu mogła powierzyć swoje sny i marzenia? Natalie? Zawodnemu Bradowi? Cody'emu, który nie był na tyle dojrzały, żeby móc ją zrozumieć?

- Chcesz o tym porozmawiać? - Wskazał gazety, ponieważ nie potrafił dłużej ignorować tego drażliwego tematu.

Podniosła jedną z nich, trzymając go między kciukiem a środkowym palcem.

- Widywałam gorsze rzeczy.

Gazeta była otwarta na odpowiedniej stronie. Nagłówek i tekst snuły podłe intrygi i mgliste pomówienia, które były kłamstwem, ale mimo to aparat fotograficzny uchwycił... coś istotnego. To było zdjęcia dwojga samotnych ludzi, zaabsorbowanych sobą nawzajem.

- Kiedy zobaczyłem te śmieci - powiedział - miałem ochotę zrobić komuś krzywdę.

- Witaj w świecie Gavina. — Wzruszyła obojętnie ramionami. - Można się do tego przyzwyczaić, ale żeby to zrobić, trzeba się najpierw nauczyć ignorować podobne rzeczy.

Sam nie miał zamiaru się do tego przyzwyczajać. Nie chciał tego ignorować.

Michelle przygryzła dolną wargę.

- Czy Cody widział ten artykuł?

- Tak.

- Powiedział coś?

- Nie powiedział zbyt wiele na ten temat ani mnie, ani mojej matce.

Michelle otworzyła szeroko oczy.

- Pojechał do Tammi Lee? Z własnej woli?

Sama ogarnęła złość.

- Nie podoba ci się, że spędził trochę czasu z moją nic niewartą matką?

- Och, Sam, daj spokój. Niech to szlag, dobrze wiesz, że nie miałam tego na myśli. Po prostu nie potrafię wyobrazić sobie Cody'ego, który spotyka się z kimkolwiek, kto ma więcej niż szesnaście lat.

- Chyba nie znam twojej matki.

- Bardzo się zmieniła - odparł Sam.

- Tak jak my wszyscy.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. - Wziął głęboki oddech. - Nawet po tylu latach nadal cię pragnę.

Chciałbym znów cię poznać. Chciałbym... robić to samo, co robiliśmy w czwartek wieczorem i w piątek w gorących źródłach.

- Daliśmy się ponieść emocjom. Ja taka nie jestem, nie potrafię... zapominać się tak po prostu. - Zacisnęła ręce na udach. - Mam dobrą pracę. Niedługo zostanę współnikiem firmy. Ułożyłam sobie życie w Seattle. Czy powinnam machnąć na to wszystko ręką tylko dlatego, że masz piękne oczy?

- Nie wiedziałem, że podobają ci się moje oczy.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz. Gdybyś znał je wszystkie, zrozumiałbyś, dlaczego nie mogę zaangażować się w ten romans tylko przez wzgląd na stare czasy.

- Dlaczego uważasz, że to tylko romans? - Przyglądał się, jak pulsowała jej szyja. Nakreślił na niej linię palcem. Była taka delikatna. Niczym jedwab.

- Nie powinniśmy słuchać naszych hormonów. Nie mamy w tym żadnego interesu.

Przejechał dłonią po jej lśniących włosach. Lata, które ich od siebie oddzieliły, znikły i nagle wszystkie uczucia, które przeznaczył tylko dla niej i które tłumił w sobie przez całe życie, eksplodowały.

- Michelle, ja nie kieruję się hormonami. Słucham swojego serca.

Jej dolna warga zadrżała. Zaciśnęła zęby i odwróciła wzrok.

- Dlaczego - zapytała cichym głosem - wierzysz, że może nam się udać?

Przyciągnął ją do siebie, żeby na niego spojrzeć.

- A dlaczego twoim zdaniem ma nam się nie udać?

Przeszkodziło im natrętne pukanie do drzwi.

- Michelle - zawołał czyjś głos. - To ja.

- O Boże - wyszeptała. - Brad.

Nie wstawaj. - Sam podszedł do drzwi. Przez cały czas był opanowany i chłodny, jak gdyby przed chwilą wcale nie przewrócił życia Michelle do góry nogami. Otworzył drzwi i wpuścił Brada.

Michelle musiała przyznać, że jej „chłopak” wyglądał bardzo przystojnie. Wnosił za sobą powiew wielkiego świata. Zawsze był taki dobrze ułożony i wyrafinowany. Między innymi dlatego Michelle zwróciła na niego uwagę. Od samego początku była przekonana, że w życiu takiego mężczyzny nie może być miejsca na chaos.

- Brad. - Starła się zachowywać naturalnie. - Nie spodziewałam się twojego przyjazdu. Wcześniej ustalili, że nie przyleci, dopóki sama go o to nie poprosi, ale mimo to stał przed nią i patrzył na nią. Przeczytał artykuł w gazecie czy doszedł do wniosku, że będzie jej potrzebny?

Głos ugrzązł jej w gardle, kiedy Sam i Brad mierzyli się wzrokiem niczym para jeleni, które lada chwila wezmą się za rogi. W końcu Brad minął Sama, podszedł do jej łóżka i pocałował ją w czoło. Poczowała zapach drogiej wody po goleniu.

- Cześć, kochanie. - Odsunął się i przyjrzał się jej krytycznym wzrokiem.

Poruszyła się nerwowo na łóżku. Zarumieniła się? Czy Brad zauważył te miejsca, których dotykał Sam?

- Jak poszło? Dobrze się czujesz? - zapytał w końcu.

- Wspaniale. Operacja odbędzie się jutro rano. Chciałabym, żebyś poznał Sama McPhee. Sam, to jest Brad Lovell.

- To ty jesteś tym facetem - skomentował Brad opanowanym głosem. - Tym facetem z gazety. - Poklepał torbę lotniczą z nadrukiem Louis Vuitton po brzegi wypchaną gazetami. - Michelle wszystko mi o tobie powiedziała.

- Naprawdę? - Sam spojrzał na nią, unosząc jedną brew. - A mnie nie wspomniała o tobie słowem.

- Michelle opowiadała mi, że byłeś... jakimś pomocnikiem na ranchu jej ojca. - Brad przemawiał z nonszalancją, jak gdyby to, co mówił, naprawdę nie miało dla niego znaczenia. Jeden, jedyny mięsień drgnął na twarzy Sama.

- To było wiele lat temu, Brad - wtrąciła Michelle. - Teraz Sam jest lekarzem. O tym też ci powiedziałam.

- Co tutaj robisz? - Spojrzenie, które Brad posłał Samowi, było butne i wyzywające.

- Zastanawiam się, dlaczego jakiś facet zostawił Michelle, żeby przechodziła przez to wszystko całkiem sama.

Michelle posłała wściekłe spojrzenie Samowi, a potem Bradowi.

- Na wypadek gdybyście zapomnieli, przypominam, że najważniejszy jest mój ojciec.

Sam ruszył do drzwi. Michelle dobrze wiedziała, że wcale się nie wycofywał. Było dla niej oczywiste, że jeszcze z nią nie skończył.

- Muszę wracać. Mam kilka wizyt dzisiaj po południu. W takim razie... odbiorę Cody'ego po *szkole*. - *Patrzył* na nią przez chwilę, a ona poczuła dziwne delikatne echo jego pieszczot. Poprawił daszek czapki. - Twój zespół lekarzy jest najlepszy. Wszystko będzie w porządku.

Michelle poczuła się w obowiązku wytłumaczyć wszystko Bradowi.

- Cody zamieszka na ten tydzień u Sama.

Brad zagwizdał przeciągle.

- Wyraży współczucia. Nie pozwól, żeby wlaź ci na głowę. Ten dzieciak sprawia same kłopoty.

Sam zmrużył oczy.

- Mój syn jest najwspanialszym kłopotem, jaki mnie kiedykolwiek spotkał. Do zobaczenia, Michelle.

Brad odwrócił się do niej, jeszcze zanim Sam opuścił pokój.

- Nie spodziewałem się takiego cyrku - powiedziała. Jego uśmiech pomógł się jej odprężyć. To był Brad, którego znała, ten sam, który oczarowywał jej klientów w czasie przyjęć, który zabierał ją w każdy piątkowy wieczór na kolację.

- Boże, co to był za tydzień. - Odłożyła gazety na podłogę.

- Spędził tutaj noc, czy o co chodzi? - zapytał Brad obojętnie.

Przez chwilę była zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć.

- Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz.

- A ja nie mogę uwierzyć, że pojawia się w twoim pokoju hotelowym o dziesiątej rano i zastaję cię z jakimś facetem.

- On nie jest jakimś facetem. Jest ojcem Cody'ego.

- Więc powinien *spędzać czas z Codym*.

- Przejął się tą niedorzeczną historią, która ukazała się w prasie. Chciał ze mną o tym porozmawiać.

- Wyglądał na bardzo przejętego. - Brad wyjął paczuszkę gumy do żucia i zaproponował jej jedną. Potrząsnęła głową, a on dodał: - Nie odpowiedziałas mi, Michelle.

- Na co?

- Czy się z nim przespałaś?

Przespałaś? Z całą pewnością mogła temu zaprzeczyć. Nigdy nie przespała się z Samem.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś, że przyjedziesz?

- Chciałem cię zaskoczyć. Chciałem zrobić coś spontanicznego.

- Nigdy w życiu nie zrobiłaś nic spontanicznego.

- W porządku, przynajmniej, zainteresował mnie ten artykuł w gazecie.

Kiedy pochylił się nad nią i objął ją w pasie, zrozumiała, że musi mu jeszcze wiele wyjaśnić. Poczowała się zagubiona. Wiedziała, że powinna mu o wszystkim opowiedzieć, ale nie miała pojęcia, od czego zacząć.

- Jadłeś śniadanie? - zapytała, wysuwając się z jego objęć.
- W samolocie podali zimne bajgle i słabą kawę.
- Możemy dołączyć do mojego ojca i Cody'ego albo zamówić coś do pokoju.
- Propozycja numer dwa brzmi zachęcająco. - Podeszedł do biurka i wziął do ręki hotelową kartę dań.

Kiedy zastanawiał się nad wyborem śniadania, otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju. Do środka wpadła Natalie, która przyjechała już wczoraj, żeby towarzyszyć Michelle w czasie zabiegu. Jej jasne włosy ociekały wodą, a szal i spódnica wirowały dookoła niej.

- Nie kłopotz się, staruszk. - Podeszła do Brada i pocałowała go w policzek. - Już zamówiłam śniadanie. Pozwolę ci za nie zapłacić. Co ty na to?

Na śniadanie Natalie zamówiła tacę z serami, kompot owocowy, jajka sadzone, wędzonego łososia oraz czajnik ziołowej herbaty. Michelle usiadła na skraju łóżka, skubiąc croissanta. I wtedy coś ją uderzyło. Brad prawie nie wspomniął o Codym. Dobrze wiedział, że niedawno chłopak odnalazł ojca, a mimo to nawet nie zapytał, jak to zniósł.

Zastanawiała się dlaczego. Może czuł się zdradzony?

31

Michelle wpatrywała się w migające czerwone cyfry na zegarze. Była 4.45 nad ranem. Od dawna powinna spać, żeby odpocząć przed wielkim wydarzeniem, które miało rozpocząć się już za kilka godzin.

W rzeczywistości prawie nie zmrużyła oczu. Bardzo chciała czuć się szczęśliwa z powodu bliskości Brada i tego znajomego uczucia, kiedy jego ręce oplatały ją w ciemnościach hotelowego pokoju. Ale zamiast tego czuła się niezręcznie. W Seattle przyzwyczała się do wspólnego życia, planowania wspólnych wakacji, mieszkania w jego domu i świadomości swojego miejsca w jego życiu. Teraz niczego jednak nie była już pewna.

Poruszyła się na łóżku. Brad uniósł głowę i spojrzał na zegarek.

- Witaj, tajemnicza nieznajoma.
- Nie chciałam cię obudzić - powiedziała.
- Nie miałbym nic przeciwko miłośnym igraszkom - wyszeptał.

Michelle znieruchomiała. Poczuła, jak zaciska się jej gardło. Dobry Boże.

- Ale wiem, że musimy przestrzegać zaleceń lekarza. - Sprostowanie Brada uratowało ją przed odpowiedzią. - Poza tym przypuszczam, że masz teraz o wiele większe zmartwienia.

Odwrócił się od niej.

- Spij, Michelle - dodał.

Miała tak po prostu zasnąć? Radził jej, żeby poszła spać, podczas gdy ona chciała, żeby jej wysłuchał. Chciała opowiedzieć mu o swoim strachu i wątpliwościach związanych z operacją, powiedzieć mu, jak bardzo czuje się winna i zagubiona z powodu Sama, który wrócił do jej życia. Usiadła na łóżku i objęła kolana rękami.

- Brad?

Westchnął z rezygnacją.

- Tak?

- Jeżeli cokolwiek w czasie operacji pójdzie nie tak...

- Zaczekaj - przerwał jej, po czym zapalił nocną lampkę. - Chyba już o tym rozmawialiśmy. Istnieje prawie zerowe ryzyko, że cokolwiek złego może przydarzyć się dawcy organu w czasie przeszczepu.

- Oczywiście - przyznała mu rację. - Ale pomyślałam, że powinieneś o czymś wiedzieć. Jeżeli coś mi się stanie, Sam przejmie opiekę nad Codym. Podpisałam wczoraj odpowiednie dokumenty.

- To ma sens, skoro jest ojcem dziecka. Ale nie rozumiem, po co mi o tym mówisz. Twojemu życiu nic nie zagraża. Wrócisz do domu, zanim się obejrzyysz. Już niedługo zapomnisz o całej sprawie.

- Nie. - Jej głos stał się prawie niedosłyszalny. - Nie wydaje mi się, żeby tak się stało.

- Chcesz, żebym z tobą został? - zapytał.

Wiedziała, że poczekałby do zakończenia operacji, gdyby tylko go o to poprosiła.

- Nie - zdecydowała. - Wszystko będzie w porządku. Nie musisz zostawać.

Milczał przez dłuższy czas. W końcu na jego ustach pojawił się nikły uśmiech. Bardzo powoli podniósł się z łóżka i zaczął ubierać.

Michelle również wstała.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Michelle. - Jego głos był stanowczy, ale bardzo cichy. - Wiem, co mi powiesz.

Spędzili z Bradem trzy lata, które nie zmieniły w ich życiu absolutnie niczego. Co prawda nigdy o tym ze sobą nie rozmawiali, ale teraz wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że doszli do tych samych wniosków. Brad zaśługiwał na o wiele więcej, podobnie jak ona.

- Zaraz się rozpłaczę - powiedziała.

- Nie znoszę, kiedy płaczesz.

- Wiem. - Smutny uśmiech wykrzywił jej usta. - Właśnie dlatego nigdy tego przy tobie nie robiłam. - Kiedy on kończył się pakować, usiadła na łóżku i zadzwoniła na lotnisko, żeby dowiedzieć się, o której odlatuje samolot do Seattle. Potem szybki pocałunek w policzek, życzenia powodzenia i już go nie było.

Kiedy wyszedł, podeszła do szklanych drzwi, które prowadziły na balkon. Ciężkie zasłony były zasunięte, ale mimo to słyszała odgłosy ulicy, szum silników ciężarówek.

Wtedy zauważyła szparę między zasłonami. Niebo zaczynało się rozjaśniać. Coś dziwnego zaczęło dziać się w jej głowie. Nie mogła oderwać wzroku od przestrzeni, na którą patrzyła. Wąski trapez obejmował tylko niebo, ale jej umysł zaczął przetwarzać obraz, na który spoglądała. Wąska szpara już po chwili zaczęła przybierać najrozmaitsze kształty. To mogło być oko albo kropla deszczu, a nawet szpara między złożonymi do modlitwy dłońmi.

Ta przestrzeń musiała zostać wypełniona.

Na stole leżało płaskie foliowe pudełko z przyborami do malowania, które Natalie przywiozła z Seattle. Bez zastanowienia Michelle chwyciła do ręki ołówki i zaczęła rysować w półświatle poranka. Serce dyktowało ruchy jej ręce. Nie potrafiła opanować tego, co się w niej obudziło. To coś chciało znaleźć ujście na papierze, chciało zapełniać sobą kartkę po kartce. Jej ręka z trudem nadażała za emocjami i obrazami, które ją wypełniały.

Kiedy słońce rozświetliło niebo bladą różowym światłem, siedziała przy stole, a po jej twarzy płynęły łzy. Może dano jej tylko tę chwilę, może to, co poczuła, nie będzie trwać

wiecznie, ale przez ostatnią godzinę czuła w sobie płomień, o którym myślała, że dawno się wypalił.

Kiedy patrzyła na swoje dzieło, trzęsły się jej ręce. Nie potrafiła powiedzieć, czy stworzyła arcydzieło, czy zwyczajny śmieć, ale ta praca była jej. Wiedziała, dlaczego powstała i skąd wzięła swój początek. Narodziła się w najbardziej szczerzej części jej duszy, jaką odnalazła w sobie w ciągu ostatnich kilku lat.

Kiedy pozbierała rysunki i wsunęła je do walizki, ogarnął ją spokój i po raz pierwszy na myśl o czekającej ją operacji powiedziała sobie: mogę to zrobić. Naprawdę mogę to zrobić.

Końcowe przygotowania wydawały się Michelle nierzeczywiste. Lekarze kilka razy sprawdzili całe oprzyrządowanie oraz stan pacjentów. Wszystkie formularze zostały wypełnione w trzech kopiach. Michelle odbyła *ostatnie spotkanie* z lekarzami, po czym włożyła szpitalną koszulę i czepkę, a na koniec pozwoliła wbić sobie wenflony. Cody i Natalie wiercili się na swoich krzesłach albo przechadzali nerwowo. Kiedy Michelle odnalazła ojca, okazało się, że był taki opanowany i niewzruszony, że omal nie złamał jej serca. Kiedy przyszedł pielęgniarz, żeby zabrać ją do oddzielnego pokoju, Gavin odwrócił się do niej.

Żadne z nich nie odezwało się słowem. Gavin położył dłoń na sercu, a Michelle odwzajemniła się tym samym gestem. Nie chciała nic mówić w obawie, że się rozpłaczę. Co ja mam zrobić? - zastanawiała się w duchu. Jeżeli się z nim pożegna, może sprawić wrażenie, że się boi, że coś pójdzie nie tak i już nigdy się nie spotkają. Jeżeli nic nie powie, a operacja się nie powiedzie, będzie tego żałować.

Ruszyła za pielęgniarzem w milczeniu, mimo że wewnątrz niej krzyczały niewypowiedziane słowa.

Targały nią sprzeczne uczucia, nie wiedziała, co zrobić. Do pokoju weszli Natalie i Cody. Każde z nich pocałowało ją i wyszeptowało, że ją kocha, a ona odwzajemniła się im tym

samym. Cody był blady jak ściana. Tym razem nie potrafił ukryć lęku za maską obojętności. Nie zdążyła wytłumaczyć mu, co się stało z Bradem. Powiedziała tylko tyle, że odleciał wcześniejszym samolotem. Później przyjdzie pora na wyjaśnienia.

Cieszyła się, że Cody zaczynał szkołę. Nie powinien teraz siedzieć w domu i zamartwiać się. Przynajmniej nie będzie bez końca wałęsał się po szpitalnych korytarzach. Natalie odwiezie go do Crystal City na pierwsze zajęcia.

- Wszystko będzie w porządku, Cody - odezwała się do niego.

- A jeżeli nie?

- Musisz wierzyć, że nic się nam nie stanie. - Michelle przyjrzała się jego twarzy. Kochała go z całego serca. - Od miesiący lekarze powtarzają nam, że nastawienie jest bardzo ważne. To znaczy, że twoje również.

- Nie odpowiedziałś na moje pytanie. Co się stanie, jeżeli coś pójdzie nie tak?

- Nic nie...

- Mamo, przestań!

Chwyciła jego dłonie. Dostrzegła z zaskoczeniem, że miał odciski od pracy na ranczu Sama.

- W porządku. Masz rację, istnieje ryzyko, że coś może się nie udać. Ale to ryzyko jest tak niewielkie, że nawet nie należy brać go pod uwagę, jeżeli zastanowić się nad tym, jak bardzo ten zabieg pomoże mojemu ojcu.

Natalie pospieszyła na ratunek.

- Powinniśmy już iść, dzieciaku. Czeka cię szkoła.

- O rany - jęknął, a po jego twarzy przemknął niepokój. - Dlaczego nie mogę wrócić z cicią Natalie do Seattle...

- Daj spokój - przerwała mu Natalie niespodziewanie ostrym głosem. - Już to przerabialiśmy. Pójdiesz dzisiaj do szkoły, a potem wrócisz do ojca.

- Jasne.

Michelle zadrżała, słysząc rozpacz w jego głosie. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej bezsilna.

Do pokoju weszło dwóch pielęgniarzy.

- Czas przygotować się do zabiegu - powiedziała jeden z nich.

- Jeszcze jeden buziak na szczęście - zwróciła się do Cody'ego.

Pocałował ją w policzek i ścisnął jej rękę, a ona rozkoszowała się słodyczą tej chwili.

- Do zobaczenia wkrótce - wyszeptwała.

- Na razie, mamó. - Jego oczy załśniły, ale już po chwili straciła go z oczu, kiedy pielęgniarze wywieźli ją na korytarz.

- Ma pani bardzo miłego syna - stwierdził jeden z nich.

Ogarnął ją spokój pogłębiony przez środek uspokajający, który jej podano.

Kiedy dojechali na salę przedoperacyjną, czekała ją kolejna niespodzianka.

- Musimy przestać tak na siebie wpadać. - Gavin puścił do niej oko.

Mogli dotknąć się rękoma.

- Nie miałam pojęcia, że cię tutaj spotkam, tato.

- Ja również.

Do sali weszli anesteziolodzy i wytłumaczyli im, co się będzie działo i czego mogą się spodziewać.

A potem całkiem niespodziewanie znikli i pielęgniarze i anesteziolodzy. Gavin i Michelle przyglądali się sobie w milczeniu przez kilka długich minut.

- Tato? - Jej głos stał się bardzo piskliwy, jak gdyby znów miała kilkanaście lat.

- Słucham, kochanie?

- Jestem przerażona.

Była pewna, że się uśmiechnął. Poczuła to w głębi serca. Ścisnął ją za rękę.

- Ja też jestem przerażony, Michelle.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie z tym poradzić. Co ty na to?

- Chyba masz rację. Tempie nie powinien słyszeć tej rozmowy. Inaczej wciśnie hamulec i zatrzyma całą maszynę.

- Prawdziwy z niego wrzód na dupie.

- Zgadzam się. Posłuchaj, wiem, że zwracasz mi życie. Żałuję, że nie potrafię wyrazić słowami, ile to dla mnie znaczy.

Niezwykłe uczucia zalały ją ciepłym strumieniem, zmywając z niej wszelkie wątpliwości związane z operacją. Leżeli obok siebie, dzieląc swoją miłość, nadzieję i strach. Z trudem przełknęła ślinę. Chciała opanować łzy.

- Nie płacz, kochanie. Nigdy nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała.

Nagle otworzyły się drzwi.

- Czas zacząć - powiedział ktoś nieznajomy. - Panie przodem.

Michelle przez cały czas zastanawiała się, co powiedziec ojcu. Wiedziała, że to powinno być coś głębokiego, co da mu nadzieję, ale jedyne słowa, jakie udało jej się wykrztusić, brzmiały banalnie.

- Do zobaczenia, tato.

Potem oboje wwieziono na salę operacyjną, gdzie czekali na nich lekarze i pielęgniarki. Wszyscy zajęli swoje pozycje i wyglądali, jak gdyby przygotowywali się do rytuału.

Michelle była sparaliżowana strachem. Na ucieczkę było już jednak za późno.

Poczuła cytrynowy smak leku, który jej podano. Obrazy zaczęły tańczyć jej przed oczami. Niebieskozielony materiał, monitory i maski zaczęły się rozmazywać. W końcu wszystko znikło, a w jej wyobraźni pojawiły się twarze Cody'ego, Gavina i Sama, na koniec zaś ujrzała wąską szparę między zasłonami i cały świat wewnątrz niej. Musiała wypełnić tę przestrzeń, musiała zapełnić ją wszystkim, co było w niej.

32

Przestań doprowadzać się do szału i jedź do Missoula.

Sam zapamiętałeś machał łopatą. Ostatniej nocy napadało dużo śniegu, dlatego postanowił odśnieżyć podjazd przed domem.

- Nie doprowadzam się do szału.

Tammi Lee usiadła na stopniu prowadzącym na ganek i spojrzała na syna ze współczuciem.

- Ale z pewnością doprowadzasz do szału cały szpital, skoro dzwonisz do nich co piętnaście minut.

- Wcale nie dzwonię co piętnaście minut.

- Właśnie że tak. Posłuchaj, Karl ma dzisiaj dyżur, więc nie potrzebują cię w szpitalu, a Cody jest w szkole. Poza tym jeżeli przetrzucisz jeszcze trochę śniegu, dostaniesz ataku serca przed moim domem. Zabieraj stąd tyłek i wsiadaj do samochodu.

- Powinienem być w domu, kiedy Cody wróci ze szkoły. Powinienem sprawdzić, jak sobie radzi.

- Zdasz pojechać do Missoula i wrócić, zanim Cody skończy lekcje - odparła Tammi Lee.

- Nie jestem potrzebny w Missoula - stwierdził po długiej chwili milczenia. Przez cały czas starał się siebie o tym przekonać. W końcu Maggie Kehr obiecała, że przyśle mu wiadomość na pager, jak tylko operacja dobiegnie końca.

- Skąd wiesz?

Wsunął ostrze łopaty w świeży śnieg i pomyślał o Bradzie Lovellu. O poważnym, pewnym siebie Bradzie Lovellu, który miał plany i który widział, jak Cody gra w piłkę, jeszcze zanim Sam wiedział, że ma syna. Lovell był doskonałym przykładem mężczyzny, którego potrzebowała każda kobieta. Był nieskazitelny i taki nieskomplikowany. Był zrównoważony i schludny, praktyczny i przewidujący.

Odrzucił wściekle śnieg, pod którym ukazał się beton. Starał się zagłuszyć to, co rodziło się wewnątrz niego, ale nie potrafił ukryć się przed prawdą.

Przez wszystkie te lata nigdy nie kochał nikogo tak mocno jak Michelle.

Kiedy zabrał ją do opuszczonego kina, ogarnęło go desperackie pragnienie, żeby ją osiąść, nawet gdyby to miało zranić ich oboje. Potem kiedy spotkali się przy gorących źródłach, jego głód trochę się wyciszył, złagodniał. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że nadal były w nim czułe miejsca, które tylko ona potrafiła poruszyć. W końcu zrozumiał, że zasługują na drugą szansę. Był tego tak pewien, jak niczego innego od lat. Musieli poznać się od nowa, spojrzeć na siebie dorosłymi oczami i odnaleźć pasję, która narodziła się w nich, kiedy byli nastolatkami.

Kiedy zabrzączał pager, wbił łopatę w śnieg i nacisnął czerwony guzik.

Jego matka podniosła się ze stopnia ganku.

- Co się stało?
- Operacja dobiegła końca.

Michelle , Michelle, obudź się. - Kobięcy głos był niczym muśnięcie ducha.

- Mhm. - Czuła się tak, jak gdyby ktoś wypchał jej usta gliną i rdzą, a potem je zaszył. Ból, który władał jej ciałem, był tak potężny i przytłaczający, że nie była pewna, czy to tylko ból.

Powoli poruszyła szczęką.

- To koniec? - Miała kompletnie suche usta.

- Już po wszystkim. Świetnie się spisałaś. - Donna. Tak właśnie nazywała się ta kobieta. Donna Roberts, pielęgniarka.

Michelle nie czuła się świetnie. Wręcz przeciwnie, czuła się tak, jak gdyby znajdowała się o krok od śmierci. Pulsowanie w głowie zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Zmusiła się, żeby skupić wzrok na ustach pielęgniarki i uważnie jej wysłuchać.

Donna spojrzała na zielono-czarny monitor.

- Już wkrótce przeniesiemy cię do twojego poko...

- Mój ojciec. Chcę zobaczyć mojego ojca.

- Nic mu nie jest, Michelle. Tak jak ty leży na sali pooperacyjnej.

Chcę go zobaczyć. Nie miała sił, żeby wydobyć z siebie te kilka słów. Ból otoczył ją ze wszystkich stron, zasnuł jej myśli, uniósł ją na swoich skrzydłach coraz dalej i dalej, aż w końcu nie mogła dojrzeć nic poza niewielką przestrzenią, która powinna zostać wypełniona obrazami, których nigdy nie na-

POWRÓT

malowała. Czyjeś ręce zaciągnęły zasłonę. Ujrzała coś, czego jeszcze nie stworzyła. Wszystko stało się dla niej jasne. Musiała zamalować tę pustą przestrzeń, nawet gdyby miało sprawić jej to ból.

Zatapiała się coraz głębiej i głębiej w przepastnym, bezkształtnym grzęzawisku bólu. Poddała się mu. Była zbyt słaba, żeby walczyć i wydobyć się na powierzchnię.

34

Zegary w tej pieprzonej budzie musiały być inne niż w normalnej szkole. Przynajmniej tak wydawało się Cody'emu.

Od samego początku doszedł do wniosku, że ich wskazówki nie poruszały się tak jak normalne wskazówki. Musiały pochodzić z innej czasoprzestrzeni, gdzie minuty odpowiadały godzinom, a dzień ciągnął się w nieskończoność.

Pierwszy dzień Cody'ego w nowym liceum w Crystal City wydawał się nie mieć końca.

A nie minęła nawet przerwa na lunch.

Dzisiaj rano wszedł do sali, czując się jak kompletny idiota, z broszurką „Nowy Uczeń” pod pachą i pryszczem na czole. Od końca września ani razu nie wyskoczył mu pryszcz, a dzisiaj rano kiedy stanął przed lustrem, doszedł do wniosku, że przypomina jednorożca.

Ciotka Natalie nie miała dla niego współczucia. Przywiozła go do szkoły prosto z Missoula.

- Nikt niczego nie zauważy. Zachowuj się, jakby go tam nie było.

- No jasne, mam udawać, że nikt nie widzi Mount Everestu na mojej twarzy.

- Kochanie, jeżeli nigdy nie przydarzyło ci się nic gorszego, to możesz sobie powiedzieć, że pobłogosławił cię sam Bóg. - W czasie nieobecności mamy ciotka Natalie zawsze odgrywała rolę eksperta od wszystkiego.

Na szczęście przynajmniej Brad wrócił do Seattle. Cody martwił się, że zostanie na dłużej i będzie kręcił się w pobliżu, zadając setki pytań. Brad lubił odgrywać rolę dobrego kumpla, a Cody wcale nie miał ochoty opowiadać mu o swoim spotkaniu z ojcem i o całym tym bajzlu.

Rozpoczynanie nauki w nowej szkole w połowie roku było torturą, której nie ścierpiałyby nawet najgorszy przestępca. Na początku trzeba było zaprezentować się przed klasą i wysłuchać nauczyciela, który jak zwykle w takich sytuacjach mówi: „Mamy nowego ucznia”. Potem otrzymuje się podręczniki i przybory niezbędne do nauki, a na koniec trzeba wypełnić mnóstwo formularzy.

Po tym wszystkim przychodzi moment, w którym należy wybrać sobie miejsce.

Na nieszczęście wszystkim nauczycielom wydawało się, że robią mu wielką przysługę, sadzając go w pierwszym rzędzie, żeby nie przegapił ani słowa z fascynujących wykładów o prawie do głosowania oraz fitoplanktonie. Tym samym sprawili, że mógł wysłuchać wszystkich komentarzy na swój temat. Co gorsza słyszał urywki rozmów, ale nie widział rozmówców.

- ...gdzie ma kolczyk?
- Moim zdaniem jest śliczny...
- ...zachowuje się jak waźniak, bo jego dziadek to ten aktor...
- ...zaczekaj, aż usłyszysz, kto jest jego ojcem...

Szepty przebijające się przez słowa nauczycieli od historii, trygonometrii i chemii uderzały go w kark niczym twarde piłki. Kiedy spoglądał w kierunku plotkujących uczniów pod pretekstem podniesienia ołówka z ziemi, napotykał ciszę i tępe spojrzenia.

Nieudacznicy. Wszyscy w tej pieprzonej szkole byli nieudacznikami.

W starej szkole przerwa na lunch była jego ulubioną porą dnia, ponieważ zawsze siedział przy stoliku, gdzie wszyscy byli OK, a pozostali tylko marzyli o tym, żeby do nich dołączyć.

Stanął w kolejce do bufetu i zamówił hamburgera oraz colę. Wiedział, że w ten sposób nie ryzykuje życia. Zamówienie

czegokolwiek innego mogło okazać się fatalnym wyborem, nawet w jego szkole w Seattle.

Bardzo długo wybierał serwetkę i sztucce. Jeszcze dłużej stał niepewnie przy bufecie i wodził wzrokiem po zatłoczonej sali. Gdzie mam usiąść? Gdzie mam usiąść?

Mimo że stolików było nieco mniej niż w jego szkole w Seattle, ich rozkład był dokładnie taki sam. Popularni zajmowali stolik pośrodku sali. Tak jak w Seattle popularni byli w mniejszym lub większym stopniu przystojni, zrelaksowani i zaśmiewali się, podczas gdy cała szkoła tłoczyła się dookoła nich. Niedaleko nich siedzieli zawodnicy drużyny futbolowej oraz cheerleaderki, a zaraz obok neutralni uczniowie bez określonego statusu. A w najdalszych zakątkach sali zasiadali nieudacznicy, kretyni i niedojdy.

Przy ich stolikach było mnóstwo wolnego miejsca. Niektórzy przegrani chowali się za komiksami, inni za grubymi brudnymi szklami okularów. Totalne ofiary zachowywały się tak, jak gdyby nie miały pojęcia, że są ofiarami. Pozostali po prostu trzymali się na uboczu i jak gdyby nigdy nic konsumowali swój lunch zapakowany w dziecinne pudełka i obciachowe termosy. Te dzieciaki nie miały zielonego pojęcia, że znajdują się na ostatnim szczeblu szkolnej drabiny społecznej.

Na początku pomyślał, że może powinien przycupnąć na skraju stolika dla przegranych, zjeść swojego burgera, a później spróbować zaprzyjaźnić się z neutralnymi.

Nie, nie mógł tego zrobić.

Jeżeli nie wymyśli nic lepszego, zostanie zjedzony żywcem przez wielkich tej szkoły.

Wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku stolików dla zwykłych dzieciaków. Wszystkie były zatłoczone, ale udało mu się wypatrzeć jedno wolne miejsce. Na odległym krańcu stołu, przy którym siedzieli prawie sami chłopcy, stało puste krzesło. Nie odrywając od niego wzroku, ruszył przed siebie. Nie śpieszył się. Udawał, że dopiero szuka wolnego miejsca.

- Hej, to moje miejsce. - Jakiś chłopak chwycił wolne krzesło.

Cody wzruszył obojętnie ramionami, ale czuł, że się czerwieni. Znalazł się w pułapce. Stał na środku sali niczym idiota ze swoją tacą i wyrazem zagubienia na twarzy.

Ktoś go potracił. Cola rozlała się po całej tacy.

- Uważaj - warknął, nie za głośno, żeby nikt go nie usłyszał.

Bułka od hamburgera całkiem przesiąkła colą. Cody dobrze wiedział, że jeżeli zaraz nie znajdzie sobie miejsca, ludzie zaczną się na niego gapić. Ale jedyne wolne miejsca, które teraz widział, znajdowały się przy stole dla nieudaczników. Pot spływał mu po karku. Poczul, że za chwilę sięgnie dna i przegra. Będzie musiał usiąść przy stole dla przegranych. Przy cholernym stole kretynów.

- Cody!

Odwrocił się na dźwięk swojego imienia i zobaczył Molly Lightning.

Poczul się tak, jak gdyby zstąpił do niego sam anioł. Przyglądał się jej, jak jednym kolanem opiera się o krzesło i macha do niego ręką.

- Chodź, usiądź ze mną. - Zajmowała miejsce przy stoliku dla neutralnych, gdzie nikt nie był ani przegrany, ani popularny. Po prostu wszyscy byli normalni.

Cody skinął obojętnie głową, ale w środku szalał ze szczęścia. Molly uratowała mu tyłek i to było w tej chwili najważniejsze.

Czując się niczym zbiegły jeniec wojenny, Cody wyskoczył z zatłoczonego, głośnego autobusu, który przesiąkł zapachem obuwia i zapoconych strojów sportowych. Czul się, jak gdyby uszedł z życiem z katastrofy lotniczej. Miał wrażenie, jakby przez cały dzień wstrzymywał oddech ze strachu, że może go usłyszeć ktoś, kto na niego poluje. Już wcześniej Sam obiecał mu, że zwolni go z zajęć, jeżeli coś pójdzie nie tak w czasie operacji, jednak nikt nie przerwał tortur pierwszego dnia w nowej szkole. Mimo to cieszył się, że tak się stało.

Zarzucił plecak na ramię i ruszył oblodzoną drogą w kierunku domu Sama. Kolejny bonus, pomyślał ponuro. Jak gdyby miał mało zmartwień.

Mimo wszystko ucieszył się na widok Scout, która podbiegła do niego i polizała różowym językiem jego twarz. Przez krótką chwilę Cody nie potrafił zapanować nad emocjami i roześmiał się głośno. Nagle zobaczył Sama, który wyszedł z domu.

Jeżeli zapyta mnie, jak minął mi dzień w szkole, przyrzekam, że w niego rzucę.

- Cześć, Cody. - Wrzucił płócienne torby na tylne siedzenie starej ciężarówki. A potem położył z przodu lodówkę z napojami oraz paczkę chipsów. - Domyślam się, że od razu chcesz jechać do szpitala.

Ten facet czytał w jego myślach.

Obaj milczeli, kiedy Sam ruszył autostradą na południe. Stary dodge pachniał świeżym sianem i olejem napędowym. Sam McPhee ani trochę nie przypominał lekarzy, z którymi Brad grywał w golfa. W ogóle nie przypominał Cody'emu żadnego znanego mu lekarza.

- Mama nauczyła mnie jeździć na rowerze, kiedy miałem pięć lat - powiedział nieoczekiwanie. Jego oddech zasnuł szybę mgłą.

Sam zacisnął dłonie na wytartej, lśniącej kierownicy. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od drogi.

- Tak? - Znów zapanowało milczenie. Po pewnym czasie Sam odezwał się: - Nie mamy w okolicy zbyt wielu rowerów. Za to mamy mnóstwo koni. Może nauczysz się na nich jeździć.

Cody'emu bardzo spodobał się ten pomysł, ale nie dał po sobie niczego poznać. W rzeczywistości bardzo chciał nauczyć się jeździć konno, ale martwił się, że będzie się głupio czuł. Większość dzieciaków w Crystal City urodziła się w siodle. Od najmłodszych lat potrafili łąpać bydło na laso i robić tym podobne rzeczy.

- Może - odparł ostrożnie.
- Mógłbyś też pojeździć na śnieżnym skuterze.
- To mogłoby być całkiem fajne.

~ Potrafisz kierować standardową maszyną? - zapytał Sam. - Mam na myśli samochód.

Cody zacisnął usta.

- Jasne. Potrafię.

- Mam starego džipa, którego mógłbym ci pożyczyć," żebyś mógł jeździć nim do szkoły i z powrotem. W ten sposób nie musiałbyś czekać na autobus. Miałbyś więcej czasu, żeby popracować.

Cody ostrożnie rozważył wszystkie za i przeciw, chociaż dobrze wiedział, że nie ma się nad czym zastanawiać. W autobusie śmierdziało jak w szatni.

- Byłoby fajnie - odparł. Po chwili dodał niechętnie: - Dzięki.

Sam zachowywał się tak, jak gdyby to nie miało większego znaczenia. Otworzył torbę z chipsami i podał ją Cody'emu. Milczeli przez dłuższy czas, do momentu, kiedy Cody odezwał się bez zastanowienia:

- Ten dzień był do bani. - Zrobiło mu się głupio, że nie potrafi trzymać języka za zębami.

- Masz na myśli transplantację czy szkołę?

- Transplantację. Szkołę też. Cały dzień był do bani. W szpitalu wszyscy zachowywali się strasznie nerwowo. - Spojrzał w boczne lustro i zrobił głupią minę. - Na pewno sobie myślisz, że jestem strasznym egoistą. - Nagle pożałował, że w ogóle wypowiedział te słowa na głos. W końcu nie musiał zwierzać się ze swoich problemów obcemu facetowi. Ale mimo to chciał mówić.

- Dlaczego miałbym tak myśleć?

- Ponieważ nie poddałem się testom, które mogłyby wykazać, że nadaję się na dawcę dla dziadka.

- Podejrzewam, że zostałeś przebadany, gdyby geny twojej mamy nie pasowały idealnie do genów dziadka.

- Nikt nawet nie zapytał mnie o zdanie.

- I to cię martwi?

Cody przetrzął dłonią zaparowaną szybę.

- Potraktowali mnie, jak gdybym w ogóle nie istniał.

- Wykazałeś inicjatywę? Powiedziałeś, że chciałbyś zostać przebadany?

- Mama o niczym mi nie powiedziała. Dopiero pewnego dnia obwieściła, że przeprowadzamy się do Montany, żeby mogła oddać nerkę.

Sam chrząknął- Cody'emu wydawało się, że się uśmiechnął. Bardzo dobrze rozmawiało mu się z Samem, chociaż nie wiedział dlaczego. Podczas rozmowy nie naciskał i nie starał się bardziej, niż to było konieczne.

- Tak czy inaczej - ciągnął - atmosfera była bardzo napięta. Wszystko działo się tak szybko. Zabrali mamę na salę, Założyli jej na głowę jakąś papierową czapkę, a wszędzie dookoła niej było tyle przewodów i rurek. Musiałem do niej wejść, żeby się z nią pożegnać. Czułem się, jak gdyby zaraz miała odlecieć na inną planetę i ja już nigdy nie miałabym jej zobaczyć. A potem musiałem wracać do Crystal City na zajęcia w Hicksville High.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego ten dzień był do bani.

- Kiedy nikt nie zadzwonił ze szpitala w czasie lekcji, pomyślałem, że wszystko dobrze się skończyło. Ale przez cały dzień byłem strzępkiem nerwów.

- Mhm - odparł powoli Sam. - To zupełnie tak jak ja.

35

Mamo, cześć, mamo. - Cody? Głos jej dziecka podział na nią o wiele silniej niż jakikolwiek lek. Powoli Michelle wyłoniła się zza mgły.

- Cody... - Poruszała ustami, ale potrafiła wydobyć z siebie tylko szept. Nadał otaczała ją chmura bólu, ale tym razem miała o wiele więcej siły, żeby z nią walczyć.

- Gdzie... ja...

- W twoim pokoju, Michelle. - Ten głos był o wiele głębszy i z pewnością należał do mężczyzny.

- Brad... - Nie. Sam. Sam. - Boli - jęknęła.

- Bardzo cierpi. - Odezwał się do kogoś, kto stał obok. - Proszę podać jej dawkę morfiny.

- Bóg zapłać, Sam.

- Już prosiliśmy o...

- Teraz, rozumiesz? Trzeba jej podać morfinę w tej chwili.

Typowy lekarz, agresywny, szorstki i niemiły. Michelle nie była pewna, jak szybko personel zastosował się do jego zaleceń, ale już po chwili poczuła, jak kolejne krople przedostają się do jej krwiobiegu. Ktoś położył jej kciuk na przycisku, którym mogła regulować prędkość, z jaką narkotyk wydostawał się z kroplówki. Nacisnęła guzik i prawie natychmiast morfina ukoїła jej ból.

Nie pamiętała, czy jej dotknął, od kiedy odzyskała przytomność. Prawdopodobnie nie. Lekarze niezbyt często dotykali

swoich pacjentów. Starła się przypomnieć sobie, co wydarzyło się między nimi, kiedy widzieli się po raz ostatni. Byli w hotelu. Przerwało im coś bardzo ważnego. Nie mogła dłużej myśleć.

- Szkoła. - Bardzo powoli wymawiała każde słowo. - Cody. Jak było w szkole?

- Przetrwałem - odparł po prostu.

Chciała poznać szczegóły, ale nie potrafiła skupić się na jednej rzeczy.

- Widziałeś... mojego ojca?

- Zaraz zabiorę do niego Cody'ego- poinformował ją Sam. - Gavin leży na tym samym piętrze co ty, tylko w innym skrzydle. Przez pewien czas zostanie na oddziale intensywnej terapii. Zajrzymy do niego.

Michelle dryfowała na fali bólu między świadomością a nieprzytomnością. Uśmiechnęła się, kiedy Cody podszedł do jej łóżka i ostrożnie dotknął jej ręki.

Kołysana do snu przez morze morfiny, słyszała, jak Sam i Cody rozmawiają o powrocie do Crystal City. Wyszepiała „kocham cię”, a kiedy wyszli, odwróciła twarz do ściany i rozplakała bez powodu.

Kiedy znów odzyskała przytomność, w pokoju nie było żywej duszy. Zewsząd otaczały ją monitory i przewody. Między zasłonami prześwitywało nocne niebo.

Nacisnęła przycisk dozujący morfinę i poczuła kojące działanie narkotyku.

Niebo poczerwieniało, jak gdyby otaczała je łuna ognia.

Trochę później poczuła, jak ktoś zakłada jej coś na kostki.

- Co to takiego? - wymamrotała słabym głosem.

- Poduszki wypełnione powietrzem. Co dwadzieścia minut usłyszysz pani elektryczny dźwięk wydawany przez to urządzenie.

- Teraz już wcale nie będę mogła spać.

- Nie może pani tego ściągnąć, zanim nie wstanie pani z łóżka.

Ogromną siłą woli zmusiła się, żeby usiąść i oprzeć się na ramieniu pielęgniarki. Przy jej pomocy udało jej się zrobić jeden krok. Zaraz potem opadła na krzesło obok łóżka.

- W porządku - powiedziała. - Proszę zabrać ode mnie te poduszki.

Pielęgniarka dotknęła brzeczka.

- Wygrała pani. Pani mąż ostrzegł nas, że nie należy z panią zadzierać.

Mąż. Sam. Nic podobnego. Nie był jej mężem. Był... kimś o wiele bardziej skomplikowanym, żeby mogła to teraz wytłumaczyć pielęgniarce.

Po jakimś czasie Michelle zmusiła się, żeby ponownie wstać z łóżka. Posiedziała trochę na krześle, a nawet zjadła pudding, który był zdecydowanie za słodki i miał za mało gałki muszkatołowej. A kiedy wróciła do łóżka, czuła się, jak gdyby przed chwilą ukończyła maraton. Potem odwiedziła ją Donna. Jej twarz promieniała uśmiechem.

- Chciałam się tylko upewnić, że o wszystkim wiesz. Twoja nerka świetnie się sprawuje.

Michelle zamknęła oczy.

Udało nam się, tato. Udało nam się.

36

Boże, są absolutnie niesamowite! Kiedy je zrobiłaś? - Głos Natalie wyrwał Michelle z dziwnego snu. W tym śnie unosiła się na łagodnych falach ciepłych źródeł, gdzie kiedyś kochała się z Samem. Tylko tym razem była całkiem sama, wołała go, ale nikt jej nie odpowiadał.

- Michelle? - nalegała Natalie. - Pytałam o twoje prace. Wyrwała się z zamyślenia i otworzyła oczy.

- Jakie... prace?

- Napij się. - Gody przysunął plastikową butelkę do jej ust. Michelle piła łąpczywie.

- Dzięki. O czym ty mówisz?

- Znalazłam je w twojej walizce. - Natalie pokazała jeden ze szkiców, które Michelle wykonała tuż przed operacją. - Są naprawdę cudowne.

- Naprawdę niezłe, mamo.

Wypiła kolejny łyk. Nie chciała w tej chwili myśleć o tych rysunkach ani o tym, co wydarzyło się tamtego dnia przed operacją. Właściwie nie miała pojęcia, czy tamto doświadczenie w ogóle coś znaczyło.

- Czuję się tak, jak gdybym spała całą wieczność - powiedziała. - Jaki mamy dzisiaj dzień?

- Wtorek.

Przyjrzała się uważnie Cody'emu. Wydawał się... jakiś inny, odmieniony. Praca na świeżym powietrzu nadała trochę żyw-

szego koloru jego zazwyczaj bladej cerze. Może ostatnio więcej jadł. Był trochę większy i pełniejszy. Co spowodowało taką zmianę? - zastanawiała się z niedowierzaniem. Zmiany nie dokonują się w ciągu jednej nocy. Dlaczego wcześniej niczego nie zauważyła?

- W szkole wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak.

Nie uwierzyła mu. Prawdopodobnie ktoś poradził mu, żeby nie zdręczał jej swoimi problemami.

- Dogadujesz się z Samem?

Wzruszył ramionami.

- Raczej tak.

- Przez cały czas czuвам nad sytuacją - przypomniała jej Natalie. - Moim zdaniem, świetnie się dogadują.

- On wcale mnie nie zna - stwierdził Cody. - Jest obcym facetem. Au! Przestań mnie kopać, ciociu!

- A teraz chcę usłyszeć szczerą odpowiedź - powiedziała Michelle. - Jak w szkole?

- Beznadziejnie - odparł dokładnie tak, jak przewidziała. Skrzywił się, kiedy Natalie ponownie kopnęła go w nogę. - Jakoś sobie radzę, mamó, ale wolałbym wrócić do Seattle.

- Jeżeli mowa o powrotach, muszę niedługo wyjechać, kochanie - wtrąciła Natalie. - To znaczy zostanę, jeżeli mnie potrzebujesz.

Michelle uśmiechnęła się. Miała wrażenie, że usta rozpadną się jej z wysiłku.

- Poradzę sobie, chociaż bez ciebie nie będzie tutaj tak wesoło.

Kiedy godziny odwiedzin dobiegły końca, pielęgniarka pozwoliła Michelle przejść się po korytarzu. Trawił ją ból, ale mimo to szła przed siebie, podpierając się metalowym wieszakiem od kroplówki. Na szczęście nie miała już cewnika. Skoncentrowała całą uwagę na szuraniu swoich kapci o linoleum. Kierowała się w stronę pokoju Gavina.

Kiedy do niego weszła, spał otoczony sterylnym kokonem z plastiku. Wyglądał strasznie. Przypominał woskową figurę. Nie! Chciała wykrzyknąć swój ból i frustrację. Tato. Och, tato. Jeszcze nie wszystko sobie wyjaśniliśmy. Dopiero udało nam się odnaleźć. Poczuała się tak, jak gdyby wszystko miało rozpaść się w drobny mak.

Wszyscy zapewniali ją, że operacja przebiegła pomyślnie i że jej nerka pracowała, jak należy.

Proszę, niech to będzie prawda. Proszę, proszę, proszę, niech to będzie prawda.

Uniosła rękę i delikatnie przycisnęła palce do plastikowej powłoki.

- Kocham cię, tato - powiedziała. Słowa wydały jej się takie mizerne i nic nie znaczące przy ogromie maszyn, które wypełniały pokój.

Klatka piersiowa Gavina delikatnie unosiła się i opadała.

Kiedy Michelle wracała powoli do swojego pokoju, zastanawiała się, czy kiedykolwiek przedtem wyznała mu miłość.

Nie potrafiła sobie przypomnieć. Nie zrobiła tego.

Ale gdyby Gavin nie zdawał sobie z tego sprawy, nigdy by się z nią skontaktował.

37

Sam uprzątnął styropianowe opakowania ze znakiem restauracji Trudy's. Nigdy nie był dobrym kucharzem, dlatego ucieszył się, że Cody nie gardził hamburgerami ani pizzą. Przez cały dzień zachowywali się jak para psów, które węszą dookoła i starają się wybadać teren. Trochę ze sobą rozmawiali. Czasem Sam czuł, jak nawiązuje się między nimi więź, ale przez większość czasu odnosił wrażenie, że byli sobie całkiem obcy. Powtarzał sobie, że musi być cierpliwy. W końcu większość ojców miała do dyspozycji całe lata, żeby poznać własne dzieci. On miał tylko kilka dni.

- Dzisiaj wieczorem grają Sonics - powiedział. - Jesteś ich fanem?

Cody zatrzymał się w połowie schodów.

- Tak jakby.

Sam poszedł do pokoju i włączył telewizor, który wypełnił całe pomieszczenie rażącym światłem i szybkim komentarzem prezentera sportowego. Nie patrząc na Cody'ego, usiadł w fotelu i skupił się na grze. Cody zajął miejsce na skraju kanapy, skąd w każdej chwili mógł uciec.

W pewnym momencie spojrzął na duży obraz zawieszony nad kominkiem.

- Namalowała go moja mama? - zapytał.

- Zgadza się. - Sam wstał, żeby zapalić światło w pokoju. - Przyjrzyj się, jeśli masz ochotę.

Cody wstał, wsunął ręce do kieszeni i z uwagą obejrzał zimowy pejzaż.

- Jest niesamowity - stwierdził, spoglądając na podpis i datę widniejące w dolnym rogu.

Sam starał się sobie wyobrazić, co działo się w głowie Cody'ego, kiedy patrzył na obraz, który namalowała jego matka na długo przed dniem jego narodzin. Zastanawiał się, czy potrafił wyobrazić sobie młodą dziewczynę, którą kiedyś była, zobaczyć w niej kogoś więcej niż tylko własną matkę. Prawdopodobnie nie.

- Twoja mama powiedziała mi, że już nie maluje.

- Robi różne projekty do firmy, przeważnie w komputerze. - Ponownie usiadł na sofie. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Reklamy dobiegły końca i na ekranie znów pojawili się gracze. Sam nie potrafił wymyślić nic, co mógłby jeszcze powiedzieć, ale nie potrafił znieść tej ciszy, dlatego zapytał:

- Jak spisał się dżip?

- W porządku. - Cody zawahał się. - Po szkole podwiozłem Molly Lightning do domu.

Sam nie bardzo wiedział, jak zareagować. Czy powinien skomentować fakt, że chłopak podwiozł do domu swoją koleżankę? Czy powinien przestrzec go, żeby uważnie prowadził i zapinał pasy? A może należało zbesztać syna za to, że nie poprosił o pozwolenie, żeby wozić pasażerów?

- Powinieneś porozmawiać ze mną, zanim zdecydowałeś, że będziesz woził ludzi - odezwał się w końcu.

Cody spojrział mu prosto w oczy.

- Dlaczego?

- Ponieważ odpowiadam za ciebie.

Cody prychnął.

- Jasne.

- W tym tygodniu jestem twoim opiekunem, cholera jasna... - Sam zamilkł, zaskoczony swoją porywczością. Ten dzieciak wiedział, co robi, kiedy chciał komuś dokuczyć. - W porządku, posłuchaj mnie uważnie - dodał, odzyskując nad

sobą kontrolę. - Powiniennem być powiedzieć ci, żebyś zapytał mnie, zanim postanowisz wozić pasażerów.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo znalazłem się w nowej dla siebie sytuacji. Popełniam błędy, ponieważ poruszam się po omacku.

- To oczywiste.

- Nie ułatwiasz mi tego, Cody.

- A dlaczego miałbym to robić?

Sam zacisnął zęby i nie odezwał się słowem, dopóki nie był pewien, że znów potrafi zapanować nad emocjami.

- Dobrze się bawisz? - zapytał powoli.

- Mieszkając tutaj? Jasne, że nie - odparł Cody bez przekonania. - Ty też nie jesteś zadowolony, więc może powinieneś odesłać mnie do Seattle razem z ciotką Natalie. - Poklepał kieszeń koszuli. - Mam ze sobą rozkład jazdy autobusów.

- Nie ma mowy - odparł Sam, spoglądając na obraz nad kominkiem. - Obiecałem, że zaopiekuję się tobą w tym tygodniu i zrobię to. Możemy jakoś się dogadać, jeżeli przestaniemy sobie dokuczać. Posłuchaj, jesteś nastolatkiem i do ciebie należy łamanie zasad, które ja powiniennem ci dyktować. Skoro nie wspomniałem słowem o wożeniu pasażerów dżipem, nie wywiązałem się ze swojego zadania. Ale mam zamiar naprawić ten błąd. Zasada numer jeden brzmi: liczba osób w samochodzie nigdy nie może przekraczać liczby pasów. Zrozumiałeś?

- Tak. Jak sobie chcesz.

- Twoim zadaniem jest informowanie mnie, dokąd idziesz, kiedy wychodzisz i o której wrócisz.

- Nie rozumiem, dlaczego...

- Jeżeli kiedykolwiek nie wrócisz na czas, ekipa ratownicza będzie mogła szukać twojego martwego ciała - warknął Sam.

Cody wstał.

- Jezu, nie chciałem rozpętać trzeciej wojny światowej. Wspomniałem tylko, że podwiozłem dziewczynę do domu. Ona mnie lubi. Czy tak ciężko ci uwierzyć, że ktoś mnie lubi?

- Chryste, nie, Cody. Ja też cię lubię. Chcę, żebyś był bezpieczny. Chcę, żebyśmy się dogadali. Mogę na ciebie liczyć?

- Wszystko mi jedno - odparł. Chwycił ciężki plecak i ruszył na górę. - Muszę odrobić lekcje.

Sam skrzyżował ręce na piersi i bez większego zainteresowania spojrzął na ekran telewizora. Ta rozmowa uzmysłowiła mu, że będąc rodzicem, trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć tak, a kiedy nie. Trzeba wyczuć odpowiedni moment, żeby karać albo nagradzać.

38

Dopiero następnego dnia po szkole, kiedy zaparkował samochód na ranczu Samotna Sosna, Cody zdał sobie sprawę, że znów zapomniał zadzwonić do Klaudii. Jeżeli przestanie się z nią kontaktować, gotowa pomyśleć, że umarł albo odleciał na inną planetę.

Ale dni ciągnęły się w nieskończoność, a odległość między Montana a Seattle była ogromna. Czas działał na jego niekorzyść.

Oczywiście nadal mógł do niej zadzwonić, tylko że dzisiaj w drodze ze szkoły znów wyleciało mu z głowy, żeby wstąpić na ranczo dziadka i wykonać jeden telefon. Nie chciał korzystać z telefonu Sama. Pewnie nie miałyby nic przeciwko temu, ale Cody nie chciał go pytać o pozwolenie.

Nawet nie wiedział, jak określić swoje stosunki z Samem. Mieszkanie w jego domu było takie dziwne. Każdego dnia dowiadywał się o nim czegoś nowego, jakiego kremu do golenia używał i jakie gazety czytał. Czasem ze sobą rozmawiali i wszystko wydawało się w porządku. Jednak czasem następowali sobie na odciski i zaczynali się kłócić. Cody cały czas wmawiał sobie, że to nie miało dla niego znaczenia. Przez całe życie radził sobie bez ojca i teraz też go nie potrzebował.

Sam McPhee był strasznie trudnym facetem, a już pewnością nie był człowiekiem, któremu Cody chciałby coś zawdzięczać, nawet możliwości skorzystania z telefonu.

No trudno, pomyślał, zsuwając się z siedzenia kierowcy. Jutro też jest dzień. Jutro zadzwoni do Klaudii.

Scout przebiegła podwórze, czekając wniebogłose. Przez te parę dni suka zdążyła poznać Cody'ego, a przez ostatnie kilka nocy spała w nogach jego łóżka. Rzuciła się na niego z prędkością torpedy. Cody chwycił ją w ramiona i bawił się z nią przez chwilę. Roześmiał się, kiedy polizała mu twarz. Czuł się wspaniale, kiedy ktoś witał go z takim entuzjazmem.

Postanowił, że kiedy wróci do Seattle, poprosi mamę, żeby kupiła mu psa albo kota.

- W ten sposób okazuje swoją lojalność - powiedział Sam, zмирzając w jego stronę. - Wystarczyło, że raz spuściłem z niej wzrok, a moja najlepsza dziewczyna, znalazła się w ramionach innego mężczyzny.

Cody starał się nie uśmiechać, kiedy uspokajał psa.

- Jak radzi sobie źrebię?

- Chodź i sam się o tym przekonaj. - Sam czym prędzej odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Cody zastanawiał się, czy zawsze był taki chłodny, czy po prostu nie zależało mu, żeby zacieśnić z nim więź. A może bał się zaangażować w znajomość z dzieciakiem, którego prawie nie znał. Albo może Cody starał się odczytać zbyt wiele z zachowania Sama. Tak naprawdę było mu bardzo ciężko nie zadawać tysiąca pytań, ale nie chciał zrobić pierwszego ruchu. To mogłoby go zgubić.

Kiedy zobaczył źrebię, natychmiast zapomniał o swoich zmartwieniach. Mała zachowywała się tak, jak gdyby cieszyła się na jego widok. Brykała po całym boksie, wpadając przy tym na ściany i ocierając się o matkę.

- Już wkrótce będę musiał nadać jej imię. Muszę ją zarejestrować - odezwał się Sam.

- Tak?

- Jak twoim zdaniem powinniśmy ją nazwać?

Cody spojrział na konia i wszystko, co przyszło mu na myśl, było słodkie i urocze. Gwiazdka. Skarpetka. Chochlik. W końcu wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno.

Sam skrzyżował nogi i oparł się plecami o ścianę boksu.

- Dobry koń może pożyć dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat. Trzeba się dobrze zastanowić, zanim nada mu się imię.

- Więc zrób to.

- A ty nie chcesz?

- Dlaczego ja?

- Ponieważ to ty pomogłeś temu zwierzęciu przyjść na świat. Pomyślałem, że może miałbyś ochotę je nazwać.

Cody znów wzruszył ramionami. Nie wiedział, jak się zachować. W ogóle nie miał pojęcia, jak dzieci zachowują się w stosunku do swoich ojców.

- Na razie nic nie przychodzi mi do głowy.

- W takim razie może później coś wymyślisz. Daj mi znać, dobrze?

- Dobrze.

Mała klacz zmęczyła się brykaniem i w końcu zwinęła się w kłębek na sianie i zapadła w sen. W tym czasie Sylwia wylizała dokładnie jej sierść.

- Masz lekcje do odrobienia? - zapytał Sam. Prawie natychmiast potrząsnął głową. - Jakie to dziwne, zadawać takie pytania.

Tobie się wydaje, że dziwnie się czujesz? - pomyślał Cody.

- Zrobiłem wszystko na przerwie.

- Super, w takim razie możesz mi pomóc. - Zanim Cody zdążył odpowiedzieć, Sam podał mu łopatę i dodał: - Jak to dobrze, że mogę na ciebie liczyć.

Cody rzucił mu ostre spojrzenie. Co było w tym takiego dobrego? Jego towarzystwo? Czy jego umiejętności w czyszczeniu stajni? Udali się do magazynu, założyli ogrodniczki oraz rękawice. Cody'emu zrobiło się miło, kiedy Sam też wziął łopatę. Poza wykonaniem zwyczajnych czynności, czekało ich dodatkowo wysprzątanie koszów na owies, pozbycie się resztek jedzenia, wyszorowanie metalowych pojemników i napełnienie ich świeżym owsem.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, co chciałbyś robić po maturze? - zapytał Sam.

- Trochę. Ale jeszcze nie zdecydowałem.

- Chciałbyś pójść do college'u?

- Jasne. Większość osób wybiera się na uniwersytet i ja też pewnie tam skończę.

Praca bardzo pomagała im w rozmowie. Machanie łopatom pomagało im wyznaczyć rytm konwersacji. Rozmowa niczego nie ułatwiała, ale też nie mogła niczego popsuć.

- Pewnie spodoba ci się w college'u - stwierdził Sam. - Mnie się tam bardzo podobało.

Cody zastanawiał się, co musieli czuć Sam i jego mama wiele lat temu, kiedy spłodzili dziecko, a potem nigdy więcej się nie spotkali. Odsunął od siebie tę myśl, skupiając się na pracy. Mimo że nie była lekka, Cody lubił spędzać czas w stajni otoczony końmi.

O zachodzie słońca Sam i Edward pracowali w magazynie. Właśnie wymieniali świece w silniku skutera, kiedy usłyszeli trzask zamykanych drzwi samochodu. Sam wyszedł na zewnątrz i zobaczył Cody'ego oraz Tammi Lee zmierzających w stronę domu.

- Najwyższy czas na kolację - zawołała Tammi Lee, po czym wskazała na dwa duże pudła z pizzą, które niósł Cody.

- Zaraz przyjdziemy. - Sam uśmiechnął się na widok matki w towarzystwie wnuka. Udział w życiu rodzinnym był dla niego całkiem nowym doświadczeniem.

- Chyba mu się u mnie podoba - zwrócił się do Edwarda. - Być może polubił nawet moją matkę.

Edward poszperał przez chwilę w pudle z narzędziami, po czym rzucił Samowi ostre spojrzenie.

- Bardzo przywiązałeś się do tego dzieciaka?

- Jest moim synem. - Za każdym razem, kiedy wypowiadał te słowa, czuł się wspaniale. - Twoim zdaniem, nie powinienem się do niego przywiązywać?

- Ja tego nie powiedziałem. Ale zastanawiałeś się, jak to będzie, kiedy oni wyjadą?

To i wiele podobnych pytań niepokoiło Sama od dłuższego czasu.

- Przecież nie odlecą na inną planetę - odparł.

Zza wzgórza dobiegło ich rozpaczliwe szczekanie. Edward przysłonił oczy.

- Trzeba to sprawdzić.

Sam wyteżył wzrok, spoglądając w kierunku, który wskazał mu Edward, i ogarnął go strach. To była Scout. Biegła w ich stronę. Rzucił się pędem w jej kierunku i dopadł ją w połowie wzgórza. Za nią na śniegu widniały ślady krwi. Płynęła z dużej rany na przedniej łapie suki. Na pysku też widniało kilka zadrapań.

- Co się stało? - zapytał Cody, wybiegając z domu.

Sam chwycił psa na ręce i pobiegł do magazynu w stajni, gdzie w rogu stał stalowy stół, nad którym wisiało kilka lamp. Ostrożnie położył Scout na blacie i uważnie przyjrzał się ranom.

- Trzeba wezwać weterynarza? - zapytał Edward.

- Zaraz zobaczę. - Kiedy Sam ściągał rękawice, Cody stanął z drugiej strony stołu. Łagodnie wymawiał imię suki i głaskał ją po głowie. Sam napotkał spojrzenie chłopca.

- Uspokój ją. Muszę opatrzyć jej rany. - Edward otworzył dużą apteczkę pierwszej pomocy, w której znajdowało się mnóstwo przyrządów niezbędnych weterynarzowi. Sam odgarnął szczypcami długie biało-czarne włosy, odsłaniając paskudne rozcięcie.

- Jak to się stało? - zapytał Cody. - Czy to przez drut kolczasty?

- Prawdopodobnie zaatakował ją kuguar - wyjaśnił Sam. Widzisz zadrapania na jej nosie? Scout jest znana z tego, że zbyt często wchodzi w drogę dużym kotom i ma z tego powodu same kłopoty.

- Nic jej nie będzie?

- Zaraz postaramy się jej pomóc.

Cody spojrział na brunatne niebo za małym kwadratowym oknem.

- Czy w pobliżu kręci się dużo kuguarów?

- Całe mnóstwo - odparł Edward, wyciągając z lodówki niezbędne lekarstwa. - Rozstawiliśmy pułapki, ale te bestie są sprytnie. Ostatniej zimy złapaliśmy trzy koty i wysłaliśmy je do parku Yellowstone, gdzie mogą żyć w swoim naturalnym środowisku.

Sam wciągnął chirurgiczne rękawiczki i zabrał się do pracy. Cody pomagał mu, jak mógł. Przez cały czas, kiedy Sam odkażał rany, chłopak uspokajał Scout. Edward odsunął się od nich i przyglądał uważnie.

- Podaj mi strzykawkę z lidokainą - Sam poinstruował Cody'ego. - Nie zdejmuj nasady, dopóki ci nie powiem. - Po tych słowach przemył kawałek psiej skóry i zrobił zastrzyk. Suka zaskomlała cicho, a Cody przytrzymał ją. Kiedy czekali, aż znieczulenie zacznie działać, Sam przyjrzał się rękom syna.

Niesamowite, pomyślał, on ma moje dłonie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Cody'ego. - Zaraz zrobi się nieprzyjemnie.

- Skoro wyciągnąłem żrebaka, mogę znieść wszystko - zapewnił go chłopak.

Sam wybrał zaostrzoną z dwóch stron igłę oraz nić chirurgiczną. W pewnej chwili podniósł głowę, spojrział na Cody'ego i całkowicie zaskoczył go wyraz jego twarzy. Pomyślał, że posiadanie syna jest wspaniałe. Ale posiadanie syna, który cię podziwia, dodaje skrzydeł.

- Popsikaj ją furexem - powiedział, wskazując plastikową butelkę. - Właśnie tak, w górę i w dół, wzdłuż rany. Czy robiłeś kiedykolwiek zastrzyk?

- Nie.

- Chcesz się nauczyć?

- Chyba tak.

Sam przygotował dawkę leku przeciwzapalnego oraz penicyliny i poinstruował Cody'ego, jak wkuć igłę i dozować

POWRÓT

lekarstwo. Kiedy pracował, Cody był całkowicie pochłonięty tym, co robił. Scout zaskomlała, kiedy poczuła ukłucie. Gdy było po wszystkim, Cody wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Wyglądał, jak gdyby urósł kilka centymetrów. Rozpierała go duma.

- Tworzycie zgrany zespół - zauważył Edward, kiedy myli ręce nad zlewem.

39

Zamęczony po całym dniu zajęć Cody zarzucił plecak na jedno ramię i ruszył w kierunku głównego wyjścia. Jakimś cudem udało mu się przetrwać kolejny dzień w szkole.

Cieszył się, że tego dnia nie musiał jechać do szpitala, tylko od razu mógł kierować się na rancho Sama. Dobrze wiedział, że mama czuła się o wiele lepiej, a to oznaczało, że gdyby ją odwiedził, zaczęłaby zadawać mnóstwo pytań. Chciałaby wiedzieć, jak mu minął dzień, jacy są nauczyciele, czy poznał nowych kolegów i wiele innych rzeczy, o których nie miał ochoty opowiadać.

Jedynym światełkiem w tym zapomnianym przez Boga miejscu była dla niego Molly Lightning. Była naprawdę cudowna. Nie robiła nic wielkiego, ale każdego dnia przedstawiała go kolejnym uczniom swojej szkoły. Tutejsze dzieciaki bardzo różniły się od jego kumpli z Seattle. W końcu kto by pomyślał, że na każdej przerwie będzie rozmawiał o łapaniu kóz na łące?

Nie było tak najgorzej. Przynajmniej nie siedział przy jednym stole z frajerami.

Może dzisiaj wieczorem zadzwoni do Molly pod pretekstem pomocy przy pracy domowej albo czegoś innego.

- Cody?

Głos z pewnością należał do dziewczyny, ale to nie była Molly.

Zatrzymał się przy ciężkich drzwiach. Od razu rozpoznał

dziewczyne, którą zapamiętał z zajęć. Przypominała prawdziwą seksbombę. Miała lśniące długie blond włosy i ogromny biust.

Uśmiechnął się do niej.

- Tak?

- Nazywasz się Cody, prawda? Cody Slade?

- Turner.

- Och. - Wsunęła kciuk za pasek dżinsów, odsłaniając przy tym niewielki fragment nagiego brzucha. — Ktoś mi powiedział, że jesteś spokrewniony z Gavinem Slade'em.

- Bo jestem, tylko mam inne nazwisko. - Popchnął ciężkie drzwi i stanął z boku, żeby puścić ją przodem. Pachniała gumą do żucia i słodkim szamponem. Jej sweter był obcisły. Wyjątkowo obcisły. - Gavin jest moim dziadkiem. Mieszkam u niego.

Jej ładna buzia pojaśniała.

- To super. - Przechyliła głowę i spojrzała na niego przez długie rzęsy. - Nazywam się Iris York. Chodzimy na te same zajęcia.

- Na angielski. - Zaczerwienił się. - Zauważyłem cię na ostatnich zajęciach z angielskiego. - Tak naprawdę zauważył ją dużo wcześniej, w czasie przerwy na lunch. Siedziała przy świętym stole szkolnej elity, ale wtedy nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem.

Skrzywiła się.

- Nie mogę znieść tej nauczycielki, pani Lightning. Strasznie się o wszystko czepia i jest beznadziejna. Nie mogę się doczekać końca semestru, kiedy będę mogła w końcu wybrać zajęcia z teatru.

Zdaniem Cody'ego, pani Lightning, matka Molly, nie była taka zła. Ona jedyna spośród wszystkich nauczycieli nie kazała mu usiąść w pierwszej ławce i nie obchodziła się z nim jak z jajkiem tylko dlatego, że przyjaźniła się z Samem McPhee.

- Podwieźć cię gdzieś? - zapytał niby od niechcenia, wskazując ręką na dżipa.

- Hm... - Rozejrzała się dookoła, po czym wzruszyła ramionami. - Nie widzę nigdzie mojego szofera, więc chyba

skorzystam z okazji. Mieszkam w Windemere Hills, niedaleko pola golfowego.

Ruszyli przez parking.

- Opowiedz mi o twoim dziadku. Moim zdaniem stare filmy są takie cholernie...

Zza rogu wyjechał samochód marki El Carnino i zatrzymał się tuż przed nimi. Cody odskoczył do tyłu, wyciągając ręce w obronnym geście. Śnieg rozprysnął się pod kołami i lodowate krople wylądowały na dżinsach Cody'ego.

- Cześć, Iris. - Kierowca wysiadł na zewnątrz, obszedł samochód dookoła i otworzył drzwi od strony pasażera. - Myślałem, że za mną tęsknisz, ale nic się nie martw, już jestem.

Iris przygryzła wargę.

- Cześć, Billy. To jest Cody Turner. Cody, to jest Billy Ho. Chłopaki z tyłu to Ethan Lindvig i Jason Kittredge. - Chłopaki siedzący na zniszczonym tylnym siedzeniu skinęli do niego głowami. Przypominali gangsterów.

Przystojny Billy był najpopularniejszym chłopakiem w całej szkole. Cody był o tym przekonany. Kilka dni temu przed biblioteką Molly pokazała mu Billy'ego i powiedziała, że jest palantem, ale zdaniem Cody'ego był po prostu wyluzowany. Może Molly tego nie widziała.

- Cody zaproponował, że podwiezie mnie do domu - wyjaśniła Iris. - Pomyślałam, że pojechałeś beze mnie - dodała pośpiesznie, wydymając dolną wargę.

- Dziś jest twój szczęśliwy dzień. - Billy jeszcze szerzej otworzył dla niej drzwi.

Kiedy się zawahała, Cody zrozumiał, że nie dostanie drugiej szansy. Musi się odezwać i przekonać do siebie najfajniejszą dziewczynę w szkole albo już zawsze będzie siedział przy jednym stole z burakami.

- Moja oferta jest nadal aktualna - powiedział.

Billy się nie odezwał, ale jego czarne błyszczące oczy i wściekły wyraz twarzy mówiły same za siebie. Cody przekroczył pewne granice, a Billy nie lubił takich jak on.

- Może innym razem - odparła Iris.

- Może nigdy - warknął Billy.

Chwytał Iris za ramię, a Cody bez zastanowienia stanął między nimi.

- Może powinna sama za siebie decydować - powiedział.

- Zejdź mi z drogi. - Billy odepchnął go. Jego pchnięcie było naprawdę mocne. Cody zatoczył się. Wyciągnął rękę za siebie, ale nie miał się o co oprzeć, więc upadł na kopę zmarzniętego śniegu.

Podniósł się, przeklinając głośno. Już chciał się bić, kiedy zdał sobie sprawę, że nie mógłby zrobić nic głupszego. Billy Ho przypominał maszynę do zabijania. Był zbudowany jak ciężarówka. Cody roześmiał się głośno i miał nadzieję, że jego słowa przekonają rozwścieczonego chłopaka.

- Dajmy temu spokój - powiedział, starając się opanować szczękanie zębów. - W końcu nic się nie stało.

W tej samej chwili el camino zakrzusił się i zgasał.

- Kurde. - Billy przekręcił kluczyki w stacyjce i próbował zapalić. - Przez cały dzień mam z nim same problemy. - Spróbował jeszcze kilka razy, ale samochód ani drgnął. - Chyba będziemy musieli go pchać.

Iris usiadła za kierownicą. Chłopcy stanęli za samochodem. Billy odgarnął z oczu długie, czarne włosy.

- Będziesz tak stał, czy nam pomożesz?

Cody ściągnął plecak i natychmiast zapomniał o całej złości. To była jego szansa, żeby zaskarbić sobie sympatię tych chłopaków. Jeżeli się z nimi zakumpluje, to jego życie w szkole może w końcu stanie się znośne.

Kiedy dopchali samochód na miejsce parkingowe, Iris spojrzała krzywo na Billy'ego.

- I kto mnie teraz podwiezie do domu?

Tylko przez chwilę Cody rozważał słowa Sama, który zabronił mu wozić więcej osób, niż jest pasów w samochodzie. W obecnej sytuacji miałby jednego pasażera za dużo. Nie musiał długo się zastanawiać. Chrzanić Sama. Przecież i tak nigdy się o tym nie dowie.

- Podwożę was wszystkich.

- Doskonale, stary. Muszę dostać się do sklepu z częściami do samochodu. - Cała piątka wcisnęła się do dżipa. Dżinsy Cody'ego były całkiem mokre. Bardzo przydałaby mu się teraz kąpiel i czyste ręczniki. Kiedy ruszał z parkingu, usłyszał znajomy głos.

- Hej, Cody!

- O rany, Molly Lightning. - Iris zmarszczyła nos. - Kowbojka.

Molly odłączyła się od grupy uczniów.

- Podwieziesz mnie na arenę?

- Nie! - warknął Billy, kładąc rękę na ramieniu Cody'ego. - Jezu, to dzieciak nauczycielki. Jej matka się na mnie uwzięła.

Cody zastanawiał się tylko przez chwilę. Spojrzał na Molly, kiedy zbliżyła się do samochodu, wziął głęboki oddech i wypalił:

- Przykro mi, mała. Mam komplet. - Przynajmniej nie musiał kłamać. Wcisnął pedał gazu, bryzgając śniegiem spod kół.

- Dobry ruch, człowieku! - Ethan klepnął go po plecach.

Cody zerknął w lusterko i zobaczył Molly, jak potrząsa torbą na książki. Poczuł coś lodowatego, o wiele zimniejszego niż śnieg na parkingu. Coś, czego nie da się zmyć ciepłą wodą.

40

Stary el camino zzerany przez rdzę skręcił z ogromną prędkością na drogę prowadzącą na rancho Samotna Sosna, rozbryzgując pod kołami śnieg i żwir. Powłócząc zranioną nogą, Scout w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z maską samochodu. Sam wyszedł na ganek. Był wściekły na nierozważnego kierowcę. Nadał miał na sobie robocze ubranie, ponieważ dopiero przed chwilą wrócił do domu po całym dniu pracy w klinice.

Za el camino pojawił się Cody w dziupie. Tylko się nie unoś, tylko spokojnie, powtarzał sobie Sam, kiedy szedł w stronę stajni. Nikt ci nie obiecywał, że rola ojca okaże się łatwa.

Z samochodów wysiadła czwórka zwiastujących same kłopoty chłopaków, a jego własny syn wyglądał na największego łobuza z nich wszystkich. Sam zacisnął zęby i zmusił się do uśmiechu.

Gdzieś za łąką odezwał się kuguar. Scout przylgnęła do nogi Sama. Tym razem miała na tyle oleju w głowie, żeby nie biec za niebezpiecznym drapieżnikiem. Sam zmrużył oczy, przyglądając się drzewom w oddali, ale nie zauważył żadnego ruchu.

- Cześć, chłopaki - przywitał kolegów Cody'ego. - Jak tam w szkole?

Wszyscy trzej zmrużyli oczy.

- Do bani - odparł Cody.

- Naprawdę? - zdziwił się Sam, rozluźniając krawat. - A jakie widzisz dla siebie inne wyjście?

- Gdyby nie było szkoły? Byłoby genialnie.

Sam potrząsnął głową.

- Kiedy miałem szesnaście lat, pracowałem po dziesięć godzin dziennie, rozwijając zamrożone bele siana. Możesz mi uwierzyć, że to wcale nie było zabawne.

Oczywiście żaden z nich mu nie uwierzył. Dzieciaki nigdy nie wierzą w opowieści zaczynające się do słów „Kiedy miałem...”

- Przywiozłem chłopaków, żeby pokazać im małą kłaczkę - wytłumaczył Cody.

- W porządku. Zachowujcie się spokojnie w obecności Sylwii. Nie stawajcie między nią a...

- Wiem, wiem. - Cody machnął ręką. - Zawsze stawaj twarzą do kłaczy i dawaj jej do zrozumienia, że nic jej nie zrobisz, bla, bla, bla.

- Rozumiemy się.

- Możemy pojeździć na skuterach?

Sam zawahał się.

- No dobrze, ale pamiętajcie, że to są narzędzia pracy, a nie zabawki. Więc nie szalejcie... - Zamilkł. Chryste, zaczyna mówić jak stary belfer. - W porządku, możecie poszaleć, ale uważajcie. Załóżcie kaski.

- Masz to jak w banku - odparł Cody.

Sam skinął głową do przyjaciół Cody'ego.

- Miło było was spotkać, ale nie mogę dłużej z wami zostać. Muszę wziąć prysznic i trochę się ogolić. - Potarł dłonią o brodę.

- Szykuje się wielka randka? - zapytał Billy Ho, mrugając porozumiewawczo do Sama.

- Można to tak nazwać. - Jeżeli wizyta w szpitalu w ogóle może być rozpatrywana w kategoriach randki.

Cody spojrział na niego podejrzliwie. Już dawno jasno się wyraził, że nie pochwała spotkań Sama z Michelle. Chyba taka jest naturalna reakcja każdego dziecka wychowywanego przez

samotną matkę, kiedy w jej życiu pojawia się intruz. Bez względu na przyczyny jego wroga postawa drażniła Sama.

- Chodźcie. - Cody odwrócił się na pięcie i czym prędzej ruszył do stajni. Koledzy poszli za nim, a Sam wrócił do domu.

Na razie zabawa w ojca i syna przerosła ich obu. Czasami wytwarzała się między nimi więź, którą czuł, która była prawie namacalna. Na początku wydawało mu się, że na więcej nie powinien liczyć. W głębi serca nadal zadawał sobie pytanie, czy chciał czegoś więcej. To wahanie bardzo go martwiło. Przez szum prysznic przebił się warkot silników skuterów. Poruszały się bardzo szybko.

Wyszorował się dokładnie, zmywając wszelkie ślady ciężkiego dnia pracy. Przyjął zbyt wielu pacjentów, był wzywany do zbyt wielu pilnych przypadków i miał zbyt mało czasu. Przynajmniej dzisiaj, kiedy odwiedzi Michelle, pojawi się w szpitalu tylko jako gość. Wszedł spod prysznic i właśnie się wycierał, kiedy usłyszał walenie do drzwi.

W pośpiechu wciągnął dżinsy i zbiegł na dół.

Billy Ho stał na ganku z tyłu domu. Miał zaniepokojoną minę i wytrzeszczone oczy. W niczym nie przypominał tego zblazowanego nastolatka, który wysiadł z el camino, a na twarzy miał wypisane „chrzań się”.

- Cody ma... problem. Z końmi.

Sam zdążył włożyć skarpetki i buty. Chwycił parkę z wieszaka w korytarzu i włożył ją na gołe ciało.

- Jaki problem?

- No cóż, ten mały koń... źrebak... on uciekł.

- Nic się nie stało - odparł Sam z ulgą w głosie. - Wróci, jak tylko wyprowadzimy klacz. Takie młode konie nigdy nie trzymają się zbyt długo z dala od matki.

- Ale, człowieku, on uciekł na dwór. Za ogrodzenie. Nagle spanikował i dał nogę.

Sam zaczął biec. Billy popędził za nim. Z trudem łapał oddech, starając się wytłumaczyć całą sytuację.

- Trochę rozglądaliśmy się dookoła. Nikt nie przypuszczał, że koń ucieknie. Cody pobiegł za źrebakiem.

- Gdzie jest klacz?
- W stajni, przytrzymałiśmy ją. Jest naprawdę wkurzona, człowieku...

Sam słyszał ją z oddali. Rżenie i stukot kopyt niosły się echem po stajni. Na śniegu Sam zauważył ślad skutera, który prowadził w kierunku lasu. Cholera. Młody źrebiak nigdy nie oddali się od swojej matki, a już na pewno nie ruszy się ze znanego mu miejsca, chyba że ktoś bardzo go wystraszy. Prawdopodobnie chłopcy popędzili źrebię na skuterach. Kiedy Sam zakładał rękawice, starał się sobie przypomnieć, w co Cody był dzisiaj ubrany. Miał na sobie zwyczajne szkolne ciuchy. Jeżeli zabłądzi, z pewnością zamrze z zimna.

Przymocował do jednego ze skuterów apteczkę pierwszej pomocy. Czym prędzej zapalił silnik i ruszył po śladach, które zostawili źrebię i Cody. Przerażony koń potrafił biec naprawdę szybko. Pomimo młodego wieku mógł umknąć Cody'emu, zwłaszcza jeśli był przerażony, a do tego zgubił matkę.

Ślady na śniegu prowadziły do lasu. Sam wjechał między drzewa. Posypał się na niego deszcz igieł. Zwolnił, żeby nie rozbić się na pniu. Wkrótce musiał zsiąść ze skutera. Miał on zbyt szerokie płozy, żeby mógł zmieścić się między drzewami. Zeskoczył z maszyny, przeklinając pod nosem, i resztę drogi pokonał pieszo.

Kiedy ucichło wycie silnika, usłyszał groźne pomruki, a potem warczenie. Zamarł. Takie odgłosy mogło wydawać tylko jedno zwierzę. Warczenie stawało się coraz głośniejsze. Zimny wiatr niósł mrozący krew w żyłach dźwięk.

Sam wspiął się na pagórek. Pod jego ciężarem śnieg obsunął się, tworząc niewielką lawinę. Nagle zauważył Cody'ego, który stał na krawędzi skarpy. Był po pas zanurzony w śniegu. Obok niego stał koń. Jego nogi zsuwały się niebezpiecznie w dół.

Obok nich widać było ślady świeżej krwi.

Tuż nad nimi na gołej skale stał kot. Był naprawdę duży.

Łapą przecinał powietrze. Ostrzył pazury. Szczrzył zęby,

obnażając kły. Na ten widok Gody chwycił grubą gałąź i starał się obronić przed szybkimi łapami.

- Dobrze! - krzyknął Sam, machając rękoma. - Właśnie tak, wal ją! Wal tę starą, głupią sukę!

Kot znieruchomiał. Spojrzył na Sama błyszczącymi ślepiami.

- Zachowaj spokój, Cody. Nie staraj się zejść w dół ani odwrócić do niego plecami, dobrze? - krzyczał Sam.

Twarz chłopca była szara z przerażenia.

- Te koty lubią małe ofiary - kontynuował Sam, modląc się, żeby Cody nie spanikował. - Nie biegnij, inaczej tylko rozbudzisz jego instynkt i sprowokujesz do ataku. Skup uwagę na gałęzi. Musisz zachowywać się agresywnie.

Przez cały czas szedł powoli w kierunku kuguara. Kiedy widział wygłodniałe spojrzenie zwierzęcia, zaciskał pięści.

- Nie patrz mu prosto w oczy - wrzasnął, przykładając do ust zwinięte dłonie.

Długi ogon poruszał się rytmicznie i nerwowo. Żrebie znieruchomiało z przerażenia.

- Jeżeli cię zaatakuje, walcz, Cody - nawoływał Sam, śpiesząc się, jak tylko mógł. - Słyszysz mnie, synu? Walcz!

- D...dobrze- odparł Cody słabym głosem. Uniósł gałąź niczym miecz.

Kuguar wygiął się w łuk. Przez chwilę Sam był chory z przerażenia, że kot szykuje się do skoku. Dobrze wiedział, że kuguary zawsze rzucają się do gardła. W końcu znalazł się blisko zwierzęcia. Pomachał rękoma i kopnął w śnieg. Górski lew cofnął się o kilka kroków, a potem zawrócił i warknął. Sam wrzasnął i znów zaczął machać rękoma. Chwycił grudę lodu i cisnął nią tak mocno, jak potrafił. Trafił kuguara w gardło. Zwierzę czym prędzej czmychnęło do lasu.

- Cody! - Sam rzucił się pędem w dół po zboczu. - Nic ci nie jest? Skąd wzięła się ta krew?

Naga ręka chłopca zaciskała się kurczowo wokół szyi żrebaka.

- Nic mi nie jest. Wyciągnij ją stąd. Utknęła. Widzisz? - Miał białą twarz. Jego głos drżał z przejęcia.

- Kto krwawi? - zapytał Sam.

Cody uniósł do góry wolną rękę.

- Zawadziłem o coś, kiedy zbiegałem w dół. - Trzęsła mu się broda. Chyba nawet cały drżał. Sam nie był tego pewien. - Pomóż mi, tato.

To słowo wymknęło mu się całkiem zwyczajnie. Prawdopodobnie nic nie znaczyło, ale wywarło na Samie ogromne wrażenie.

- W porządku, trzymaj ją i nie puszczaj. Boi się, ponieważ nie może ustać na nogach. Nie ma przyczepności. Pomożemy jej wdrapać się na górę. - Bardzo powoli wciągnęli żrebaka po zboczu. Był przerażony. Mrużył oczy i ślizgał się przy każdym kroku.

- Uważaj na nogi - uprzedził Sam przez zaciśnięte zęby. Kiedy wciągali ją na szczyt, minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Śnieg zsuwał się po spadzistym terenie, utrudniając im każdy ruch. Kiedy w końcu wszyscy troje znaleźli się na górze, Cody omal się nie rozplakał. Potem przywiązali żrebaka do skutera.

- Przytrzymam ją, a ty prowadź - poinstruował go Sam. Zębami ściągnął rękawiczki i podał je Cody'emu. - Załóż je. Jeszcze odmroziś sobie palce. - Jeszcze przez chwilę Sam zmagął się ze żrebakiem, ale w końcu ruszyli w dół stoku, w stronę domu. Kiedy dojechali na miejsce, po el camino nie było nawet śladu. Sam wcale nie zdziwił się, że zmyli się, kiedy zaczęły się kłopoty.

Sylwia prawie wyłamała drzwi z zawiasów. Gdy tylko mała znalazła się w środku, klacz podbiegła do niej, obwąchała ją i wylizała dokładnie. Cody stał na zewnątrz, szczękał zębami i miał czerwony nos.

- Dzięki - powiedział cicho.

- Cieszę się, że cię znalazłem.

Chłopak zawahał się, po czym spojrzał mu prosto w oczy.

- To ja się cieszę, że cię znalazłem.

Bez chwili wahania Sam przytulił go mocno.

Cody trząsał się coraz bardziej.

- Powiesz o wszystkim mamie?
- Twoja mama i bez tego ma wystarczająco dużo zmartwień. - Sam chwycił go za ramię i pociągnął w stronę domu. - Musisz się rozgrzać.

Kilka minut później siedzieli przy kuchennym stole. Cody trzymał rękę na rozłożonym na stole ręczniku, a Sam oczyszczał jego ranę.

- Co się stało w stajni? - zapytał, koncentrując się na głębokim cięciu.

Cody wzruszył ramionami, przybierając na powrót buntowniczą minę.

- Nie ruszaj się - powiedział Sam przez zaciśnięte zęby. - Co się tam wydarzyło?

- Jeździliśmy trochę na dworze. Wypuściliśmy klacz i źrebkę na wybieg, a potem zaczęliśmy jeździć na skuterach i... mała uciekła w stronę lasu. Chyba przestraszyła się hałasu.

- Uciekła, bo zostawiłeś otwartą bramę.
- To nie ja, to jeden z chłopaków ją otworzył. Nie wiem który.

- Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? Miałeś wszystkiego dopilnować, Cody.

- Wszystko dobrze się skończyło. Nikomu nie stała się krzywda. Odwal się, człowieku.

Ręka Sama nie zadrżała, jego wzrok pozostał skupiony na ranie, ale coś w środku zamarło.

- Nie wszystko dobrze się skończyło. Żrebak mógł umrzeć albo złamać nogę. Sylwia mogła zrobić sobie krzywdę, wierzgając z niepokoju w boksie. Ty omal nie zginałeś. Co by było, gdybym was nie znalazł?

- Człowieku, nie było cię przy mnie przez szesnaście lat i jakoś dawałem sobie radę. - W jego głosie słychać było pogardę i lekceważenie.

Sam przestał oczyszczać skaleczenie. Odłożył pęsetę i spojrział na zbuntowaną, wrogą twarz, tak bardzo podobną do jego twarzy i jednocześnie tak obcą i daleką.

- Ale teraz wróciłem. Przestań pieprzyć głupoty. Wydawało

mi się, że opieka nad źrebakiem może wyjść ci na dobre. Nie dawaj mi powodów, żebym doszedł do wniosku, że się pomyliłem, Cody.

- Może przez cały czas mylisz się co do mnie.

Sam wyjął butelkę z płynem do dezynfekcji.

- Trochę poszczypie.

- Au. Uważaj, człowieku. - Cody napiął mięśnie ramienia.

- Może powinieneś trochę ostrożniej dobrać sobie przyjaciół. Mógłbyś wykazać się większym rozsądkiem...

- Hej...

- ...nie przerywaj mi. Schrząniłeś sprawę i musisz ponieść konsekwencje. Jeżeli ci się wydaje, że do tej pory ciężko pracowałeś, to teraz...

Cody wyrwał rękę, zanim Sam zdążył dokończyć opatrunek.

- Nie jesteś moim strażnikiem. - Podniósł się szybko. Nogi krzesła zapiszczały głośno. - Czego ty ode mnie chcesz?

Sam nie był przygotowany na to pytanie. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Założę ci opatrunek.

Cody wyrwał mu gazę z ręki.

- Sam sobie poradzę. - Cofnął się, ale po chwili stanął przy drzwiach. - Wiem, czego chcesz od mojej mamy i nic nie mogę na to poradzić, ale ode mnie trzymaj się z daleka.

41

Wydawało się, że przynajmniej połowa mieszkańców Missoula znalazła jakiś pretekst, żeby zatrzymywać się pod drzwiami pokoju Gavina. Na początku wszyscy zachowywali się bardzo nieśmiało, pytali, czy niczego mu nie brakuje i gawędzili z nim trochę. Po kilku dniach, kiedy przenieśli go do separatki, liczba gości znacznie wzrosła. Pielęgniarki, salowe, dyżurni, wolontariusze i wielu innych oblegali jego pokój. W końcu wszyscy zapomnieli o nieśmiałości i w przypływie odwagi zaczęli prosić o autografy.

Gavin zrobił wielki błąd, dając pierwszy autograf salowej o brązowych oczach, która przypominała mu trochę ostatnią kochankę.

Dziewczyna musiała paplać o tym na całym piętrze, ponieważ w ciągu tygodnia Gavin musiał borykać się z prawdziwym tłumem fanów. Gdy wreszcie miał wrócić do domu, odetchnął z ulgą.

Kiedy wjechał na wózku na korytarz, zobaczył Michelle, którą wieziono z drugiej strony korytarza. Uśmiechnięci wolontariusze wręczyli im zielone goździki w okazji dnia Świętego Patryka. Gavin rozejrzał się podejrzliwie dookoła. Obawiał się, że media znalazły sposób, żeby dostać się do środka. Nie zniósłby, gdyby jakiś dziennikarz za pięć groszy zrobił mu teraz zdjęcie, na którym w dodatku zarobiłby sporo pieniędzy.

Mimo obaw rozkoszował się tą chwilą.

Michelle. Jego córka. Zawsze była niesamowicie piękna.

Promieniowała energią i ciepłem. Zawsze patrzyła na świat w ten szczególny, niepowtarzalny sposób. Jej cudowną odmiennosc dostrzegał nawet w laurkach, które jako mała dziewczynka przysyłała mu na święto ojca. Nawet teraz, kiedy siedziała na wózku i uśmiechała się do niego, potrafiła poruszyć jego serce.

Poczuł uścisk w gardle. Nie potrafił opanować emocji. Tym razem opuściły go wszystkie zdolności aktorskie.

- Dziękuję, kochanie - powiedział niespodziewanie, dotykając jej policzka. - Jesteś największym darem, jaki otrzymałem od życia.

Michelle zamrugała. W ciągu minionych dni odwiedzali się nawzajem, spędzili razem mnóstwo czasu, dużo rozmawiali, ale ta chwila była wyjątkowa. Zrobili wszystko, co było do zrobienia i nareszcie mogli wrócić do domu.

Ujęła jego dłoń i przytuliła do swojego policzka.

- Wszystko gotowe, tato?

- Tak. Chciałbym ci powiedzieć, że od dwóch lat nie czułem się tak dobrze jak dzisiaj. Już nie jestem chory.

- Tak trzymaj.- Uśmiechnęła się do niego szeroko. - Gotowy?

- Jeszcze jak. - Spojrzał na pielęgniarza, który popychał jego wózek, i odezwał się z angielskim akcentem: - Do windy, proszę.

- Cieszę się, że wracamy do domu.

Gavin nie był pewien, co miała na myśli. Czy domem nazwała ranczo Błękitna Skała, czy raczej swoje mieszkanie w Seattle? Niewiele wiedział o jej życiu.

Pod szpital zajechał cadillac w kolorze burgunda. Zamiast kierowcy, którego spodziewał się zobaczyć Gavin, ze środka wysiadł Cody. Posłał Michelle pytające spojrzenie, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Wiedziałaś o tym?

Roześmiała się.

- Jasne.

Zagwizdał przeciągle.

- Chyba pojedę do domu na wózku.
- Bądź miły, tato. Droga do Crystal City jest prosta jak drut.

Cały czas jedzie się autostradą. Od dawna nie padał śnieg, więc nawierzchnia jest sucha. Poza tym Cody naprawdę bardzo się starał. Sam powiedział, że ćwiczył cały tydzień.

Gavin zauważył, jak kurczowo zaciska palce na poręczy swojego fotela na kółkach.

- Jak podobało mu się u Sama?

Patrzyła, jak personel ładował ich torby do bagażnika.

- Nie wiem. Niewiele o tym opowiada. - W końcu spojrzała na niego. - Tato, co się stanie, jeżeli się okaże, że lepiej dogaduje się z Samem niż ze mną?

Gavin żałował, że nie był wystarczająco blisko niej, żeby móc jej dotknąć.

- To nie są zawody, Michelle. - Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. - Wszystko będzie w porządku - dodał.

Drzwi otworzyły się ze świstem i oboje ruszyli w kierunku samochodu. Cody trochę tu nie pasował, ale był zdecydowany pozostać na miejscu. Prowadzenie cadillaca Gavina z pewnością było dla niego wyzwaniem. Musiał czuć się ważny, skoro polecono mu transport dwojga pozszywanych ludzi, w których żyłach płynęło więcej lekarstw niż krwi.

- Ruszamy. - Gavin podniósł się z wózka.

Nie był ani trochę zdenerwowany jazdą z Codym za kierownicą. Jak to możliwe? Coś dziwnego, coś magicznego stało się z nim w szpitalu.

- Uwielbiam cuda - powiedział.

42

Przez cały wieczór Cody udawał, że nie denerwuje się szkołą i nie przeraża go fakt, że jutro rano znów musi tam pójść.

Michelle odnosiła wrażenie, że obawiał się nadchodzących dni. Poznała to po jego zachowaniu, po jego spojrzeniu i po nerwowym uderzeniu nogą w krzesło, kiedy jedli kolację. Razem z Gavinem siedzieli w dużej jadalni. Jedzenie jak zwykle przygotował dla nich Tadao. Michelle zapytała Cody'ego, czy podobały mu się zajęcia, czy poznał nowych kolegów, jak mieszkało mu się u Sama, ale on zbywał ją tylko zdawkowymi *odpowiedziami*. Nie dowiedziała się *wiele* na temat minionych dni. W końcu zapytała, dlaczego ma zabandażowaną rękę, a on odparł, że skaleczył się w czasie pracy na ranczu Sama.

Gavin wypił do kolacji lampkę wina, pierwszą od chwili kiedy lekarze powiedzieli mu, że cierpi na niewydolność nerek. A kiedy spróbował Cabemeta, omal nie rozpłakał się ze szczęścia. Potem przeprosił wszystkich i bardzo wczesnie poszedł spać, chociaż słowem nie wspomniał, że jest zmęczony.

Kiedy wrócili do swojego bungalowu, Cody spędził wyjątkowo dużo czasu pod prysznicem, a potem zamknął się w swoim pokoju. Michelle została całkiem sama w salonie na sofie. Musiała się zadowolić towarzystwem pilota od telewizora. Czuła się słaba i bezsilna. Wciąż dokuczał jej ból. Martwiła się czekającymi ją sprawami, martwiła się, że nie może zasnąć,

martwiła się swoim ojcem i tym, jak zareaguje, kiedy spotka się z Samem.

Ale kiedy wyjrzała przez okno i ujrzała padający śnieg, wszystkie obawy rozplynęły się w powietrzu. Ten dar podarowano jej w dzień operacji. Jeszcze wtedy nie rozpoznała swojego starego przyjaciela, ale wszystko działało się dokładnie tak, jak wiele lat temu powiedział jej Joseph Rain. Dar przychodzi w tajemnicy. Jeżeli twoje serce i umysł nie są otwarte, omija cię.

Dopiero teraz, kiedy była w kwiecie wieku, zrozumiała znaczenie tych słów. Przypomniała sobie przestrzeń, która wyglądała do niej ze szpary między zasłonami. Właśnie wtedy pojawił się jej dar. Tylko od niej zależało, co zamierzała z nim zrobić.

Ignorując zalecenia lekarza, zwlekła się z sofy i wyszła na dwór. Już po chwili znalazła się w tym samym studiu, które porzuciła siedemnaście lat temu. Włączyła ogrzewanie, roztarta ręce i wzięła głęboki uspokajający oddech. Fizycznie była padnięta, ale nie potrafiła opanować naglącej potrzeby uzewnętrznienia swoich uczuć. Później będzie miała czas na sen.

Natalie, niech Bóg ją błogosławi, przygotowała blejtramy, na które naciągnęła płótno, i wystawiła farby oraz pędzle. Nawet gdyby nie miała pod ręką żadnego z tych przyborów, to nie miałyby to dla niej znaczenia, ponieważ nareszcie była gotowa, żeby malować. Zniżyła sztalugi i ustawiła je przed czerwoną kanapą. Usiadła, zakasała rękawy i zabrała się do pracy.

Pracowała jak w amoku, kierowana uczuciami, które skrywała przez lata. To było bolesne doświadczenie. Ale chociaż raz w życiu nic jej nie powstrzymało. Po tym, przez co przeszła w ciągu ostatniego tygodnia, już nic nie wydawało się jej trudne.

Kiedy do studia wszedł Sam McPhee, nie była zaskoczona. Poczowała się wspaniale na myśl, że szukał jej i znalazł właśnie tutaj.

Stał w wąskim przedśionku. Był cały pokryty śniegiem. Nie

uśmiechał się, a w jego oczach dostrzegła to, na co tak długo czekała.

- Zobaczyłem zapalone światło - powiedziała,

Całkiem niespodziewanie ogarnęło ją zdenerwowanie. Chwycała szmatę i wytarła ręce.

- Nie... nie mogłam spać.

- A powinnaś. Całkiem niedawno przeszłaś poważną operację...

- Nic mi nie jest, Sam. Nie zachowuj się jak lekarz. Miałam z nimi wystarczająco wiele do czynienia w ciągu ostatnich kilku dni. Siedzę na kanapie. Widzisz?

- Powinnaś leżeć płasko na plecach.

- W takiej pozycji trudno byłoby malować.

Przyjrzał się jej uważnie. Michelle przygotowała się do odparcia kolejnych komentarzy, ale on nie dodał nic więcej. Zdjął kurtkę, powiesił ją na haku za drzwiami. Był ubrany w dżinsy i grubą, flanelową koszulę.

- Promieniejesz - odezwał się w końcu.

- Naprawdę? - Na święta Bożego Narodzenia Michelle kupiła Bradowi dokładnie taką samą koszulę, ale on nigdy jej nie włożył. Prawdopodobnie do dzisiaj leżała w jego szafie zapakowana w folię.

- Michelle, na pewno dobrze się czujesz?

To pytanie zadał Sam lekarz, a nie Sam jej były chłopak, sam ojciec jej dziecka.

- Tak. - Oparła się o starą sofę. - Naprawdę, nic mi nie jest. Oboje z tatą mamy się świetnie. Przy kolacji świętowaliśmy nasz powrót do domu. Cieszę się, że wpadłeś. Chciałam ci podziękować za opiekę nad Codym.

Uniósł lekko kąciki ust.

- Wychowywanie tego chłopaka przypomina zabawę w cyrk. Musimy postarać się uchronić go przed wpadaniem w kolejne tarapaty. On jest w tym prawdziwym mistrzem.

My. Czy on mówił poważnie?

- Nie chciał mi powiedzieć, jak skaleczył się w rękę.

Sam wsunął kciuk w tylną kieszeń dżinsów.

- Wypadek przy pracy - odparł wymijająco.

Przeszedł przez pokój i usiadł obok niej na kanapie. Znajdował się tak blisko, że poczuła jego zapach. Dotknął jej policzka.

- Więc nic ci nie jest?.

- Mhm.

- Bardzo bolało?

- Tak. - Wstrzymała oddech, kiedy spojrzał na wysokie sztalugi oświetlone przez lampy halogenowe. - Jeszcze nie skończyłam.

Z uwagą przyglądał się płótnu. Michelle nie miała odwagi oddychać. Widziała, jakie wrażenie zrobiło na nim to, co ujrzał. W końcu odwrócił się do niej.

- O rany - powiedział.

- To znaczy, że ci się podoba?

- Chcesz mi powiedzieć, że tego nie wiesz?

- Sam, ból dokucza mi jak diabli. Z trudem przypominam sobie własne imię.

Wyciągnął rękę w jej stronę. Zawahała się, po czym chwyciła ją, nie odrywając wzroku od obrazu.

- Pierwszy raz od lat namalowałam coś, co nie było mi potrzebne do pracy - wyznała.

- Najwyższy czas, Michelle.

- Ale co o nim myślisz, Sam?

- Nie jestem ekspertem, ale moim zdaniem jest zdumiewający. Ten obraz sprawia, że czuję się odmieniony. Sprawia, że nie mogę oderwać od niego oczu, że chciałbym się w niego zagłębić, zespolić z nim w jedność, sam nie wiem...

Starła się spojrzeć na ten obraz jego oczami. Zobaczyć to, co on. Cała kompozycja była klasyczna, podręcznikowa. Najważniejszy motyw, który znajdował się na środku, powstał z jej wizji, przedstawiał tajemniczą przestrzeń między rozchylonymi zasłonami. W przestrzeni znajdowała się abstrakcyjna gra kolorów, światła oraz cieni. Dostrzegła tam ból, pasję i głębię. Zdała sobie sprawę, że wyraziła dokładnie to, co chciała. Nie miało dla niej znaczenia, czy ten obraz miał jakąkolwiek wartość.

- Wiesz co? - odezwała się nagle. - Nie musisz mi mówić, czy ci się podoba. Ten obraz powstał z mojego wnętrza i tylko to się liczy.

- Uważam, że jest niesamowity.

- Nie uważasz, że namalowałam go pod wpływem lekarstw? Może jestem na haju.

- To nie jest sprawa lekarstw, Michelle.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, wpatrując się w obraz. Michelle czuła się wypalona, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Pozbyła się napięcia, które od dawna nie dawało jej spokoju. Dopiero teraz mogła powiedzieć, że została wyleczona. Wszystkie uczucia i emocje, te dobre i te złe, zmieszały się ze sobą i przybrały nową formę, potężną i piękną.

Wyjrzała przez okno. Może powinna zapytać Sama, jak minął mu tydzień z Codym? Ale wtedy stałoby się jasne, że Cody nic jej nie powiedział. Nagle przypomniała sobie słowa swojego ojca: To nie są zawody.

- Co się dzieje? - zapytał Sam, przyglądając się odbiciu jej twarzy w szybie okna. - Wszystko w porządku?

- Właśnie się zastanawiałam. Chciałabym poznać relacje z zeszłego tygodnia. Jak spędzałeś czas z Codym?

- Było całkiem nieźle, Michelle. Wydaje mi się, że całkiem nieźle się dogadywaliśmy. - Boże, zachowywał się tak samo jak Cody. Nie mówił jej całej prawdy.

- Co sądzi o nowej szkole?

- Jest do bani - odparł, naśladując sposób mówienia Cody'ego. - Czego innego można się było spodziewać?

- Poznał nowych kolegów?

- Trudno powiedzieć. Zadawał się z kilkoma chłopakami. Dużo czasu spędzał też z Molly Lightning.

Kiedy Michelle rozmawiała z Samem o swoim synu, czuła się całkiem... normalnie. Może tak właśnie zachowywały się małżeństwa. Odsunęła od siebie tę myśl.

Po chwili Sam zapytał:

- Zdziwiłem się, że Brad nie pojawił się na operacji.

Michelle poczuła się zagrożona. Nie miała pojęcia, jak

powiedzieć mu o Bradzie. To było zbyt... żenujące. Poza tym Sam mógłby zacząć snuć spekulacje, doszukiwać się rzeczy, których nie było. Ale czy zerwałaby z Bradem, gdyby Sam nie pojawił się w jej życiu? Chciała wierzyć, że tak właśnie by się stało, ale nie była o tym przekonana.

- Musiał wracać do pracy - odparła wymijająco. Zacerwieniła się. Pozwoliła Samowi, żeby się z nią kochał. Czy on rozumiał, że nie oddała mu się tak po prostu? Czy wiedział, że niczego nie robiła tak żywiołowo jak dawniej? Czy wiedział, przez ile lat przytłaczały ją pragnienia, nostalgia i namiętność, których potrzebowała bardziej niż powietrza?

A może to wszystko było tylko wymówką?

- Skoro naprawdę jesteś tak zaangażowana w związek z innym facetem, to dlaczego on jest teraz w Seattle, podczas gdy ja siedzę tutaj i robię...

- Co takiego?

- To.

Położył ręce na jej ramionach i pocałował ją namiętnie. Jego uścisk dawał jej poczucie bezpieczeństwa, podtrzymywał ją, a jego pocałunek odcisnął na niej swoje piętno. Kiedy wszystko się skończyło, poczuła się głupio i niezręcznie.

Chciała coś powiedzieć, powstrzymać go, ale nie mogła wydusić słowa. Wierzyła w łagodność jego dłoni, kiedy ją pieścił. Wyzwał w niej bezwstydną ogromne pożądanie.

- Nie możemy tego zrobić, Sam. - Ogarnęło ją poczucie winy. Wiedziała, że jeżeli znów pozwoli mu sobą zawładnąć, będzie zgubiona.

Odsunął się od niej i spojrzał na nią.

- Posłucham cię tylko dlatego, że jeszcze nie doszłaś do siebie po operacji. W innym wypadku znów zaprzyjaźnilibyśmy się z tą starą kanapą.

Roześmiał się na widok jej zacerwienionej twarzy. Potem wyłączył światła i odprowadził ją do domu. Przy drzwiach pocałował ją raz jeszcze niczym amant, który zostawia dziewczynę po miłej randce. Weszła do środka i patrzyła przez okno w ciemnym salonie. Patrzyła, jak płatki śniegu wirują w blasku

reflektorów jego samochodu. Łzy napłynęły jej do oczu. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby zostali razem?

Gdyby.

Palące pytania jej życia.

Gdyby tylko wierzyła w Sama, gdyby bardziej starała się go odnaleźć i powiedzieć mu o dziecku, jej życie byłoby całkiem inne. Wspieraliby się nawzajem w ciągu tych trudnych lat, ale teraz tworzyliby rodzinę.

Nie. Gdyby Sam dowiedział się o Codym, nie startowałby w mistrzostwach rodeo, nie skończyłby medycyny i nie wyjechałby na praktyki na Jukatan.

Nie udało jej się z Bradem. Samowi nie udało się z Alice. Może oboje nie byli stworzeni do stałych związków.

43

Przez większość dnia Michelle rozmyślała o Samie. Gavin leżał w łóżku ze słuchawką przy uchu i starał się jak najprędzej umówić na testy, które pozwoliłyby mu odnowić licencję pilota. Cody poszedł do szkoły. Michelle próbowała czytać, oglądać telewizję, szkicować projekty obrazów, ale zawsze łapała się na wspomnianiu chwil spędzonych z Samem.

Godziny minęły niepostrzeżenie, dlatego kiedy usłyszała samochód parkujący przed domem, była zaskoczona. Wstała z łóżka i zobaczyła Cody'ego, który wysiadał z dżipa. Samochód był starym gruchotem. W Seattle Cody'emu byłoby wstyd rozbijać się takim gratem, ale tutaj wszystko było inne. Nawet jej syn stał się inny. Z uwagą przyglądała się, z jaką pewnością siebie zarzuca plecak na ramię. Po chwili ruszył w stronę stajni.

Michelle włożyła kurtkę i wyszła na zewnątrz. Zastała Cody'ego rozprawiającego z kowalem. Obok nich na podeście stał lśniący gniady koń. W powietrzu unosił się gorący zapach lampy lutowniczej.

- Witam panią. - Kowal przeżuwał tabakę, wydymając przy tym dolną wargę.

- Cześć, mamó. - Cody siedział z pudełkiem gwoździ na kolanach.

Michelle nie mogła przestać się uśmiechać.

- Nie każdego dnia mogę być świadkiem takich wydarzeń.

Kowal splunął do popsutego koryta.

- Podaj mi szóstkę - poprosił rzeczowo.

Michelle była zaskoczona, że Cody potrafił odróżnić gwóźdz numer sześć od rozmiaru piątego czy ósmego.

- Chodź, zobaczymy, co słyhać na arenie - zaproponowała Michelle, kiedy koń został podkuty.

Oboje stanęli przy ogrodzeniu i przyglądali się, jak jeden z pracowników tresował konie. Zwierzęta miały przyczepione po bokach rzemienie, które bardzo je irytowały. Kopały i wierzgały tylnymi nogami, a im wyżej je podnosiły, tym lepiej się spisywały. Hodowanie zwierząt dla potrzeb rodeo było bardzo poważnym biznesem. Dobry koń albo byk mógł stać się sławny na swój sposób. Wiele zwierząt z rancza Błękitna Skąła zyskało sobie sławę w całym kraju, ale ten rozgłos wymagał nieustającej ciężkiej pracy.

- Zanim tutaj przyjechaliśmy, nie miałem pojęcia, że ludzie trenują konie - odezwał się Cody, opierając łokcie na górnej żerdzi. - Zawsze mi się wydawało, że po prostu są dzikie.

- Niektórzy kowboje słyną z tego, że po zawodach jeżdżą do domu na swoich rumakach. Po prostu zdejmują rzemienie i konie stają się potulne jak baranki.

Jeszcze przez chwilę przyglądali się ćwiczeniom. Michelle rozkoszowała się czystym powietrzem, odgłosami kopyt i rżeniem, a także białymi górami, które odznaczały się na tle błękitnego nieba.

- Trochę się dzisiaj spóźniłeś po szkole - zwróciła się do Cody'ego. - Musiałeś zostać za karę?

- Podwoziłem kilka osób do domu.

- Cieszę się, że poznałeś nowych kolegów. - Bardzo powoli wypuściła powietrze, po czym wbiła wzrok w jaskrawą linię górskich szczytów. Nie chciała, żeby wyraz jej twarzy wpłynął na decyzję jej syna. - Cody?

- Tak?

- Brad i ja nie będziemy się już więcej spotykać.

Kątem oka zauważyła, że znieruchomiał.

- Tak? - odparł zmienionym głosem.

- To dobry człowiek, ale do niczego nas to nie zaprowadziło. - Zawahała się. Cody najwyraźniej nie miał zamiaru komentować tego wydarzenia. Po chwili dodała:- Gzy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak by to było, gdybyśmy zostali tutaj, zamiast wracać do Seattle?

- Nie ma mowy, mamó - odparł. Natychmiast zeskoczył z płotu i odsunął się od niej w nagłym przypływie paniki. Dotknął opatrunku na głowie, pod którym kiedyś były szwy. - Tutaj nic nie ma. Nic! Mieszkamy w Seattle. Tam jest nasze miejsce. - Zaczął chodzić w tę i z powrotem. - Nikt nie przeprowadza się w połowie roku szkolnego. Wszystko tutaj jest do bani. - W końcu zwolnił, zatrzymał się i oparł o płot. - Chyba nie myślisz poważnie, żeby tutaj zostać?

- Ostatnio myślałam o wielu sprawach, Cody.

Rzuciła okiem na bandaż na jego rękę.

- Chciałabym, żebyś opowiedział mi całą prawdę o twoim pobycie u Sama w zeszłym tygodniu - dodała.

Cody wsunął zabandażowaną rękę do kieszeni.

- Nie wydarzyło się nic szczególnego. On jest zwykłym facetem jakich wielu. Mieszkaliśmy razem tylko ze względu na ciebie.

- Mielicie mało czasu.

- To nie ma nic do rzeczy. Poza tym i tak niedługo wracamy. Prawda, mamó? Prawda?

Nie odpowiedziała.

44

W ostatnich dniach najbardziej doskwierała Samowi pustka. Nie zdarzało mu się to zbyt często, ponieważ już dawno nauczył się żyć bez wsparcia ze strony innych. A mimo to raz na jakiś czas dopadało go poczucie samotności. Odczuwał je tym bardziej, że przez cały zeszły tydzień mógł cieszyć się obecnością Cody'ego.

Co gorsza, właśnie dzisiaj był jeden z tych dni, kiedy wydawało mu się, że był beznadziejnym lekarzem i nie potrafił nikomu pomóc. Najpierw przyszedł do niego czterdziestoletni palacz, który uparł się, żeby całą winę za swojego złośliwego raka płuc rzucić na barki Sama. Później w gabinecie pojawiła się zrozpaczona matka, której odmówiono renty i z tego powodu musiała zaprzestać leczenia syna astmatyka. Przez całą noc płakała z bezsilności, podczas gdy chłopak walczył o każdy oddech. Następnie odwiedził go mężczyzna ze złamaną ręką, który twierdził, że doznał urazu w czasie slalomu przez beczki. Jednak gdy tylko do gabinetu zajrzał szeryf O'Shea, Sam domyślił się, że kowboj złamał rękę na twarzy jakiegoś innego faceta. Następnie przyjął panią Duckworth, która jak zwykle cierpiała z powodu wymagowanych chorób i dolegliwości, odprawił z kwitkiem włóczęgę, który poprosił o receptę na narkotyki, a na koniec wysłuchał nastolatki, która zastanawiała się, czy usunąć sześciotygodniowy płód. Zmiany, jakie zaszły niedawno w życiu Sama, sprawiły, że wyznanie ostatniej pacjentki bardzo go przygnębiło.

Kiedy jechał do domu, czuł, jak rośnie w nim napięcie. Dobrze wiedział, że gdy tylko przekroczy próg, pustka i cisza odbiją się echem w jego duszy i rozdrapią tę ranę, z którą nauczył się żyć. W takich chwilach zazwyczaj odwiedzał Candy, która nigdy nie odmawiała mu swojego ciała. Ale dzisiaj potrzebował czegoś innego. Nie potrafił się dłużej oszukiwać i nie chciał tego. Często zastanawiał się, jak by to było wracać do ciepłego, oświetlonego domu, który wypełniałyby zapach kolacji i obecność innego człowieka.

Dawno temu marzył o takim życiu. Starał się je dla siebie stworzyć, ale jego wysiłek okazał się daremny. Razem z Alice naprawdę ciężko pracowali i próbowali zbudować wspólnie dom, ale ich małżeństwo zawsze było takie sztuczne. Ich uczucie okazało się nieszczerze. Zawsze kiedy trzeba było zrobić krok do przodu, oni się cofali.

Jego problem polegał na tym, że nie potrafił kochać kobiety, która go nie potrzebowała. Kobiety, która potrafiła być silna nawet bez jego wsparcia.

Sam przeklął pod nosem. Kiedy dojechał do drogi prowadzącej na ranczo Samotna Sosna, nie zjechał z autostrady, tylko jechał dalej. Już wkrótce minął imponującą bramę prowadzącą na ranczo Błękitna Skała oraz ciemne potężne głazy przy wjeździe, przywodzące ma myśl wejście do średniowiecznego zamku.

Z daleka dojrzał światło w oknach studia Michelle. Nie zatrzymał się nawet na chwilę, żeby pomyśleć, po prostu zaparkował samochód i stanął przed drzwiami. Zajrzał przez okno i zobaczył ją, jak siedziała na sofie. Zaczekał, aż opadną emocje i na powrót odzyska spokój ducha.

Michelle znajdowała się teraz w zupełnie innym wymiarze. Nie miał co do tego wątpliwości, kiedy przyglądał się jej twarzy. Dobrze znał to spojrzenie. Taki sam wyraz twarzy miała jako młoda dziewczyna, kiedy bez pamięci oddawała się obrazom na dużym płótnie naprzeciwko niej.

Zapukał do drzwi, ale nie czekał, aż zaprosi go do środka.
- To ja - zawołał, popychając drzwi. - Nie wstawaj.

- Sam. - Ucieszyła się, ale była ostrożna.
- Gdzie jest Cody?
- W głównym budynku. Odrabia lekcje. Musi przygotować jakąś pracę na komputerze, dlatego pracuje w gabinecie ojca.
- Jak czuje się Gavin?

Poląła ręce jakimś płynem, po czym wytarła dłonie w szmatę.

- Jest niesamowity. Każdego dnia staje się zdrowszy i silniejszy. Narzeka na leki, które musi zażywać. Twierdzi, że mają koszmarnie skutki uboczne, ale wierzy w ich działanie. Dzisiaj w czasie kontroli zdjęli mi szwy. — Kiedy wyczyściła ręce, podciągnęła kolana pod brodę. - Cieszę się, że jest po wszystkim. - Dostrzegła wyraz jego twarzy. - Lekarz, który w tobie drzemie, na pewno jest przekonany, że jeszcze nie uporaliśmy się ze wszystkimi trudnościami. To prawda, lekarze ostrzegali nas, że nadal powinniśmy spodziewać się komplikacji, kiedy organizm będzie chciał odrzucić nerkę, ale ja już ostrzegłam tatę, żeby się nie ważył wzgardzić moim organem.

Przez cały czas uśmiechała się i zachowywała pogodnie, ale Sam i tak wyczuwał jej zdenerwowanie. Okres odrzucenia organu zawsze był bardzo trudny dla pacjenta. Gdyby znów zaczęły się komplikacje, Michelle i jej ojciec mieliby o wiele więcej do stracenia niż tylko nerkę.

- W dzisiejszych czasach lekarze potrafią zapobiegać najróżniejszym komplikacjom - zapewnił ją. - Powinnaś przestać się zamartwiać czymś, co nie jeszcze nie zastąpiło i być może w ogóle się nie zdarzy. Czy mogę zobaczyć, nad czym pracujesz? - Powiesił kurtkę na wieszaku za drzwiami.

- Jasne. - Odwróciła sztalugi w jego stronę. - Pracuję w reklamie, pamiętasz? Przyzwyczaiałam się do ludzi, którzy zagląдают mi przez ramię. Czasem czuję ich oddech na karku.

Sam podszedł do sztalug, do których był przymocowany ten sam obraz, nad którym Michelle pracowała zeszłej nocy. Ta duża, kolorowa, pełna emocji abstrakcja działała na jego wyobraźnię. Może chciał się doszukać zbyt wielu rzeczy w tym obrazie, ale był prawie pewien, że wyzierał z niego gniew

i melancholia, ale także nadzieja. Ta praca była dziwna i poruszająca, zadziwiająca i dręcząca.

- Michelle, twój obraz ani trochę nie przypomina reklamy.

- Chciałam popracować nad projektami do pracy, ale zamiast tego zaczęłam malować. - Wzruszyła ramionami w przepraszającym geście.

- Nie tłumacz się. Nie staraj się Znaleźć racjonalnego wytłumaczenia. Nie musisz mi nic tłumaczyć.

Spojrzała na niego.

- Nie robiłam nic podobnego.

- I nie atakuj mnie. To nie byłby dobry początek, zwłaszcza kiedy weźmie się pod uwagę to, co zamierzam ci powiedzieć.

Rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie.

- A co chcesz mi powiedzieć?

Sam wziął głęboki, odprężający oddech, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Przez siedemnaście lat byłeś dla mnie martwa- powiedział. - Musiałem żyć tak, jak gdybyś nigdy nie istniała. A ty nagle wróciłaś.

Zacisnęła ręce na koszuli.

- Nie przyjechałam tutaj, żeby cię torturować.

- To prawda. Ale twój przyjazd sprawił, że coś się wydarzyło. Coś dobrego i całkiem nowego.

- Sam, to wszystko już minęło.

- Posłuchaj, to nie było tylko młodzińcze zauroczenie, o którym zapomnieliśmy i od którego zdołaliśmy się uwolnić. Wiem to, ponieważ przez siedemnaście lat nie potrafiłem o tobie zapomnieć, a możesz mi wierzyć, że nie stało się tak z braku innych propozycji. Po prostu nigdy nie przestałem cię kochać, Michelle.

Odwróciła od niego wzrok, potrząsnęła głową.

- Skąd mam wiedzieć, że nie wpasowałam się między jedną a drugą propozycję? Skąd mam mieć pewność, że nie zainteresowałeś się mną jedynie ze względu na Cody'ego?

- On też jest częścią naszego życia. Poza tym sama wiesz

najlepiej, że on nie jest potulnym dzieckiem. Ale to mnie nie zniechęca. Tym bardziej chcę, żeby się udało i chcę walczyć.

Podeszła do długiego stołu obok sztalug i zaczęła sprzątać. Nerwowo zakręcała tubki z farbami i wkładała pędzle do pojemników z rozpuszczalnikiem.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała.

- Na początek chciałbym, żebyś usiadła. Powinnaś odpoczywać.

- Mam dość odpoczywania. - Pracowała coraz szybciej, jak gdyby chcąc mu zrobić na przekór. Zawsze taka była. Kończyła jedną rzecz, zanim zaczęła drugą. Musiała skończyć porządkowanie farb, zanim zdecyduje się poświęcić uwagę mężczyźnie, który obnaża przed nią duszę.

Sam czekał cierpliwie. Kiedy w końcu usiadła, ciągnął:

- Dużo o tobie myślałem, Michelle. Nie sprawiasz wrażenia osoby szczęśliwej, a twoje szczęście jest dla mnie bardzo ważne.

Znów zmięła koszulę.

- Nie udawaj, że chodzi o mnie i o moje szczęście, Sam. Chodzi o ciebie...

- Pozwól mi skończyć, do cholery. - Wiedział, że stapał po cienkim lodzie, ale mimo to postanowił zaryzykować. - Zapytałaś, czego od ciebie chcę. Dlaczego nie zapytasz, co mogę ci dać?

- Dlaczego miałabym myśleć, że chciałbyś mi cokolwiek dać?

- Nauczyłaś się niczego od nikogo nie oczekiwać. Potrafisz dawać, Michelle, ale nie umiesz brać. Dajesz Cody'emu wszystko, czego potrzebuje, i niczego nie oczekujesz w zamian.

- To się nazywa matkowanie.

Sam potrząsnął głową. Nic nie potoczyło się po jego myśli.

- Żałuję tych rzeczy, których sobie nie powiedzieliśmy, Michelle.

- Niby czego? - Stała przed nim, taka piękna, delikatna, taka wyzywająca i krucha.

Kiedy pomyślał o swoim życiu, o wszystkich latach, które stracił, o wszystkich ścieżkach, którymi kroczył, i o wszystkich

ludziach, których poznał i których zapomniał, dobrze wiedział, że spotkał tylko jedną osobę, od której nie potrafił uciec. Ta osoba była mu przeznaczona i już do końca swoich dni będzie ją nosił w sercu. Był tego pewien jak niczego innego w życiu.

- Kocham cię. - Jego słowa wydawały się takie nieadekwatne do rozmiaru jego uczuć. - Nigdy nie przestałem cię kochać.

Michelle usiadła i przysunęła kolana do piersi, jak gdyby nagle zrobiło się jej zimno.

Sam poczuł skurcz w żołądku i zrozumiał, jak bardzo jest przerażony. Od dawna nie czuł takiego strachu. Ułożył sobie życie, nie miał smartwień, był zadowolony z tego, co osiągnął, aż pewnego dnia pojawiła się ona i zepchnęła go na skraj przepaści.

- Mówię poważnie, Michelle.

Wyglądała równie na przerażoną.

- Ale to nic nie znaczy. To niczego nie zmienia.

Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej policzka.

- To wszystko zmieniło.

- Nie, nie w taki sposób, jak ty to widzisz. Tamtej nocy w kinie...

- Chcesz powiedzieć, że również to, co wydarzyło się w gorących źródłach, nie miało żadnego znaczenia? - Odsunął od niej rękę. - To znaczy, że masz w zwyczaju oszukiwać swojego chłopaka?

- Chyba w tej chwili dałeś mi pretekst, żeby zdzielić cię po twarzy.

Przezcesał włosy palcami.

- Nie powinienem był tego mówić. Ale musisz się bardziej postarać i powiedzieć mi coś więcej poza „to się nie uda” czy „to niczego nie zmieniło”, ponieważ oboje wiemy, że tak nie jest.

Zbladła i przygryzała wargi. Była wściekła i przerażona jednocześnie. Widział to wszystko w jej oczach i nie mógł znieść, że jest przyczyną jej frustracji.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytała po dłuższym czasie.

- Chciałbym, żebyś była ze mną absolutnie szczerą. Czy zostawiłaś w Seattle coś, do czego chciałabyś wrócić? A może jest to miejsce jakich wiele?

- Bardzo ciężko pracowałam, żeby poukładać sobie życie w Seattle...

- Nie o to pytam. - Wskazał na płótna. - Czy chciałabyś to robić w Seattle?

Machnęła rękę, jak gdyby chciała go zbyć.

- Kiedy jestem w domu, pracuję. Ten czas, który tutaj spędzam, nie jest rzeczywisty. To wszystko nie dzieje się naprawdę. Jestem na urlopie. Odpoczywam od pracy, odpoczywam od życia. Ale nic nie trwa wiecznie. A ty nadal nie odpowiadasz na moje pytanie. Czego ode mnie oczekujesz? Chcesz, żebym porzuciła wszystko, na co pracowałam przez piętnaście lat i przeprowadziła się tutaj? Chcesz, żebym została twoją kobietą?

- Zaczynasz rozsądnie mówić.

- A może spojrzymy na to z drugiej strony? Może ty rzucisz wszystko i przeprowadzić się do miasta?

- Czy chcesz, żebym tak zrobił? Mam sprzedać ranczo, załatwić sobie praktyki w Bellevue albo w innej miłej dzielnicy?

- Zrobiłbyś to? - Jej głos był bardzo cichy, pełen niedowierzania.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Taka miłość nie zdarza się każdego dnia. Uwierz mi, ja to wiem. Trochę czasu zajęło mi zrozumienie, ale teraz to wiem. Kochałem cię, kiedy byliśmy młodzi, ale straciłem cię. Odnaleźliśmy się po tylu latach. Nie chcę znów cię stracić. Będę o ciebie walczył.

- To nie jest walka. - Z jej oczu wyzierała panika. - Nie przemyślałaś tego, Sam. Powiedzmy, że Cody i ja postanowimy zamieszkać w Montanie. Zostanę podrzędną artystką sprzedającą swoje prace na jarmarkach i festynach, a Cody nigdy mi nie wybaczy, że odsunęłam go od jego przyjaciół. Może z tą różnicą, że obwiniałby nas oboje za swoje nieszczęście.

- Nie mam zamiaru pozwolić temu dzieciakowi obwiniać kóregokolwiek z nas, Michelle. Ani poświęcać mu całego życia.

- Och, Sam. Dzieci właśnie tego wymagają. Po to żyją. Kiedy jesteś rodzicem, każdego dnia stajesz twarzą w twarz z triumfami i kryzysami twojego dziecka. Jesteś dla niego o każdej porze dnia i nocy, ale ty tego nie zrozumiesz.

- Daj mi szansę. Daj mi szansę, żebym mógł zrozumieć.

- A co jeśli stwierdzisz, że takie życie nie jest dla ciebie? Co zrobisz, kiedy postanowisz odejść? Odeślesz nas do Seattle?

- Wcale mnie nie słuchasz. Nie proponuję, żebyśmy spróbowali, tylko żebyśmy to zrobili. Bądźmy rodziną, Michelle.

Zamknęła oczy.

- Nie uważasz, że powinniśmy z tym trochę poczekać?

- Bez względu na to, jak długo będziemy czekać, nie zmienię swojej decyzji.

- Ale ja potrzebuję czasu. Jest już późno, Sam. Lepiej już idź.

Wstał. Zmusił się, żeby od niej odejść.

- Do zobaczenia, Michelle. - Wyszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć. Na zewnątrz otoczyła go zimna, jasna noc. - Tak poza tym - dodał, odwracając się w kierunku jej rozświetlonej twarzy - to, co mówiłem wcześniej o zakładaniu rodziny... to była propozycja małżeństwa.

45

Propozycja małżeństwa. Michelle patrzyła przed siebie, wbijając wzrok w najbardziej odległy punkt ścieżki wysadzonej niskimi krzewami jeżyny. Brnęła przez wysoki śnieg. Chirurg z pewnością nie pochwaliłby jej decyzji o wyjściu na spacer, ale ten jeden raz nie potrafiła się opanować. Chciała korzystać z pięknego dnia, w którym wiosna wyraźnie dawała o sobie znać. Jej życie przestały wypełniać puste słowa i wątpliwe obietnice. Mimo że fizycznie czuła się dobrze, emocjonalnie przypominała wrak człowieka.

Propozycja małżeństwa. Tymi dwoma słowami Sam zawładnął całym jej światem i wywrócił jej życie do góry nogami. Po jego odejściu targały nią wątpliwości... i nadzieja.

Po bezsennej nocy musiała wyjść na przechadzkę. Chciała patrzeć, jak zbliża się wiosna, którą obwieszczał ciepły wiatr. Poruszała się bardzo wolno i ostrożnie.

Ciszę przerywał jedynie cichy szum strumienia. Za zakrętem ujrzała zasypaną śniegiem zatoczkę. Słońce rozświetlało południowe zbocze góry. Zatrzymała się, żeby napić się lodowatej wody.

Kątem oka dostrzegła szybki ruch i natychmiast odwróciła się w tamtą stronę. Na błękitnym niebie wirowały trzy jastrzębie.

W duszy Michelle zrodziło się coś na kształt lotu jastrzębi, które kotłowały się w jednym miejscu, żeby za chwilę rozpierchnąć się w różnych kierunkach.

Artystka, która drzemała w Michelle, rozpoznała bogactwo i mroczność swojej natury. Przez wiele lat więziła tę istotę, starała się ją zamrozić, zniszczyć, ale teraz znów była wolna. Odnalazła swój dom.

Przez całe życie Michelle uciekała przed wszystkim, co ją przerażało. Utrata matki i nieobecność ojca nauczyły ją zmagać się z emocjonalnymi zawikłaniami. W końcu jednak udało jej się zmienić. Nadal czuła ból, ale już się nie bała. Pozwoliła swoim uczuciom płynąć swobodnie. Ta fala oczyściła ją, przypomniawszy, że nadal żyje. Przywróciła ją dawnym marzeniom, które tak naprawdę nigdy nie umarły.

Przez całą noc słowa Sama dźwięczały jej w głowie i wracały do niej, żądając odpowiedzi. Nie mogła ich zignorować, nie potrafiła. Ich ostatnia rozmowa nie dawała jej spokoju.

Nigdy wcześniej nikt nie prosił jej o rękę. Starła się rozkoszować tym nowym dla niej przeżyciem, ale zamiast tego czuła tylko strach. Brad nigdy się jej nie oświadczył, mimo że byli razem, mieszkali tuż obok, dzielili łóżko przez długie trzy lata.

Ale Sam nie znał zasad. Nie wiedział, jak zachowywała się na co dzień. Nie wiedział, że zawsze starała się ukryć przed sprawami, które ją przerażały, że ignorowała swoje marzenia, żeby nie narazić się na ból.

Może nie dała Samowi natychmiastowej odpowiedzi, ponieważ tak do końca nie wierzyła, że naprawdę chciał się z nią ożenić.

Poza tym sama przed sobą musiała odkryć sekrety swojego serca. Sam McPhee sprawił, że na powrót zaczęła bujać w obłokach, tak jak wtedy kiedy była młodą dziewczyną. Jednak nie mogła zapominać, że już dawno dorosła. Dojrzała część jej osoby wiedziała, że prośenie o rękę było najłatwiejszą częścią małżeństwa.

To, co dzieje się potem, jest zawsze najtrudniejsze.

Właśnie dlatego nadal mu się opierała. Potrafiła wznieść się ponad wir namiętności i zobaczyć, że zostało im jeszcze wiele

SUSAN WIGGS

pracy do wykonania, a nie była to praca, w której kiedykolwiek się sprawdzili. Kiedy minie pasja, kiedy pojawi się codzienność, a nawet rozczarowanie, czy uda im się przetrwać każdy kolejny rok wspólnego życia?

Zwróciła twarz w kierunku olśniewających promieni słońca. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź. Zawsze ją znała.

46

Samochód Tanimi Lee Gilmer pachniał papierosami, ale Cody'emu to nie przeszkadzało. Najważniejsze, że mu go pożyczyła. Już jakiś czas temu znacznie ograniczył palenie, ponieważ w tej zabitej dechami wiosce trudno było skombinować papierosy. Sprzedawcy w sklepie Ray's Quik Chek zwracali się do wszystkich dzieciaków po imieniu i dokładnie znali wiek każdego z nich. Zawsze byli nieugięci, kiedy chodziło o sprzedaż nikotyny nieletnim.

Prawdopodobnie Cody'emu mogłoby się udać skombinować jedną albo dwie paczki od Tammi Lee, ale czułby się fatalnie, gdyby cokolwiek od niej ukradł. Musiał przyznać, że jego babka była całkiem fajna i nawet lubił spędzać z nią czas. Gdyby dawniej ktoś powiedział mu, że polubi swoją babcie, która całkiem niedawno wyszła z nałogu, prawdopodobnie roześmiałyby się mu w twarz. Ale w rzeczywistości on i Tammi Lee stali się przyjaciółmi bardziej niż rodziną i to w pełni mu odpowiadało.

Dzisiaj wieczorem jadł u niej kolację, ponieważ dżip Sama stał teraz w garażu i nie będzie można go odebrać z warsztatu McEvoya wcześniej niż przed ósmą. Poruszanie się samochodem po okolicy było przyjemne i nieskomplikowane. Cody nie musiał się martwić o natężenie ruchu, korki i jednokierunkowe ulice takie jak w Seattle.

Tammi Lee upiekła dla niego kurczaka, a na deser przygo-

towała ciasto czekoladowe. Po kolacji Cody musiał udać się do biblioteki, żeby wypożyczyć książkę o historii Montany na zajęcia, dlatego babcia zaproponowała, że pożycz mu samochód. Poprosiła go także, żeby w drodze powrotnej oddał do wypożyczalni kasetę wideo.

Kiedy Cody myślał o jej samotnym życiu i o tym, jak każdego wieczoru ogląda filmy na wideo albo czyta romanse, żeby tylko nie myśleć o głodzie alkoholowym, robiło mu się jej żal. Ona sama mówiła mu, że czasem nie potrzebowała wiele, żeby zrekompensować sobie brak alkoholu.

- Kiedy pójdę do biblioteki, oddam kasetę do wypożyczalni - zaproponował Cody.

Tammi Lee nie zawahała się nawet przez chwilę.

- Masz kluczyki od mojego samochodu, a to jest klucz do sklepu. Zostawiłam kasetę na zapleczu, w szafce. Na drzwiczkach widnieje moje imię i nazwisko.

W bibliotece szybko znalazł książkę, której potrzebował, i poprosił o założenie karty na swoje nazwisko. Cała procedura zajęła mu nie więcej niż kilka minut. W rubryce adres domowy odruchowo wpisał ranczo Błękitna Skała. Sam był tym zdziwiony.

Na parkingu zauważył kilkoro nastolatków wychodzących z biblioteki. Każdy z nich miał zarzucony na ramiona plecak. Nim rozeszli się w różnych kierunkach, pomachali sobie na do widzenia. Jedna uczennica szła całkiem sama. Była wysoka i smukła. Cody pochylił się na siedzeniu i wyjrzał przez okno.

- Cześć, Molly - powiedział.

Dziewczyna zamarła bez ruchu. Nie rozmawiali ze sobą od tamtego wydarzenia na szkolnym parkingu, ponieważ Cody nie miał pojęcia, jak ją przeprosić za swoje postępowanie. Nigdy nie potrafił przyznawać się do błędów, a tym bardziej nie miał doświadczenia w przepraszaniu.

Molly podeszła do samochodu, odgarnęła czarny, lśniący kosmyk włosów za ucho, po czym pochyliła się i zajrzała do środka przez okno od strony pasażera.

- Co słyszać, Cody? - Nie patrzyła na niego tak jak wtedy,

kiedy spotkali się po raz pierwszy. W jej oczach nie dostrzegł nieśmiałości ani zainteresowania, które tak bardzo mu się w niej podobały. Zachowywała się z rezerwą.

- Załatwiam sprawunki dla mojej babci - odparł. Może jeżeli podwiezie ją do domu, będzie mógł z nią porozmawiać. - Może podwieźć cię do...

- Cody! - zawołał znajomy głos. - Skąd masz taką brykę? - Nie czekając na odpowiedź, Billy Ho i jego nieodłączny kompan, Ethan Lindvig wskoczyli do środka. Jeden zajął miejsce z przodu, a drugi z tyłu. - Mój el camino znów nawalił. Nie mogłem go odpalić. - Billy posłał Molly pogardliwy uśmiech. - Chcesz się przejechać, kowbojko?

Dziewczyna potrząsnęła głową i czym prędzej się cofnęła. Jej oczy błysnęły, a jej twarz stężała.

- Na razie, Cody - powiedziała szybko.

Cody nie miał jak jej odpowiedzieć, ponieważ Billy i Ethan przez cały czas szturchali go w plecy.

- Gdzie jedziemy? - zapytał ich.

- Do mnie do domu - odparł Ethan.

- Muszę się na chwilę zatrzymać. - Cody zapalił silnik. - Potem podrzucę was do domu. - Spojrzał w tylne lusterko i zobaczył Molly stojącą na chodniku. Była taka delikatna i giętka niczym młode drzewko. Przez chwilę patrzyła na samochód, po czym odwróciła się i odeszła.

Cholera.

Nie słuchał Billy'ego ani Ethana, którzy darli się wniebogłosy przez całą drogę. Zatrzymał się przed pasmanterią.

- Zaraz wracam. Muszę wziąć coś dla mojej babki - powiedział.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Sklep pachniał tkaninami i starymi kobietami. Słabe światło nad ladą oświetlało wiekową kasę.

- Super - krzyknął Billy. - Nigdy wcześniej tutaj nie byłem. Do czego służy całe to gówno? - Chwycił belkę materiału i rozwinął ją dookoła siebie, wyśpiewując przy tym marsz weselny.

- Nie powinieneś tutaj wchodzić - wrzasnął Cody. - Muszę tylko coś wziąć z zaplecza.

- Wyluzuj się - wtrącił Ethan, chwytając manekina za piersi. - Trochę się pobawimy.

Kretyni, pomyślał Cody, wychodząc na zaplecze. Nie miał pojęcia, dlaczego się z nimi zadawał. Wcale ich nie lubił ani oni nie lubili jego. Podobało się im tylko to, że był wnukiem Gavina Slade'a, który miał duże wpływy i cztery kółka. Nie mógł uwierzyć, że zostawił Molly Lightning dla tych dwóch palantów i pozwolił jej marznąć na mrozie.

Słyszał, jak chłopaki buszowali po sklepie, podczas gdy on wyjął z szafki Tammi Lee kasetę wideo. W końcu zamknął za sobą zaplecze i powiedział:

- Idziemy. Odłożyliście na miejsce wszystko, czym się bawiliście?

Ethan i Billy wymienili spojrzenia.

- Niczego nie wzięliśmy, człowieku - zapewnił go Billy.

Cody'emu nie spodobał się przebiegły wyraz ich twarzy, ale za bardzo się spieszył, żeby się tym przejmować. Chciał wyrzucić ich ze sklepu, zanim zdążą cokolwiek zepsuć.

47

Promień słońca, który zaświecił prosto w duże kuchenne okno w domu Gavina przywiódł Michelle na myśl stare freski w kościołach. Kiedy była dzieckiem, mogła patrzeć na nie godzinami. Coś w promieniach słońca i ciszy, która panowała w domu, sprawiło, że cofnęła się myślami do przeszłości. Poza tym o wiele łatwiej było jej teraz wspominać minione dni, niż zastanawiać się, co przyniesie jutro.

Była winna Samowi odpowiedź, ale od paru dni nie mieli okazji, by się spotkać. Zastanawiała się czy nie porozmawiać z nim przez telefon, ale o takich sprawach nie należy dyskutować na odległość.

Gdy tylko w kuchni zadzwoniły dwa budziki, w drzwiach pojawił się Gavin. Musiał zażyć lekarstwa.

- Cześć, tato. - Wstała z taboretu przy kuchennym blacie i nalała mu szklankę wody.

- Jak czuje się moja dziewczynka? - Uśmiechnął się, a zdrowy wygląd jego twarzy sprawił, że omal nie rozpląkała się ze szczęścia.

Mimo wszystko musiała zapytać:

- Jak się czujesz?

- Świetnie.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że wężę tutaj małe kłamszewko.

- No dobrze, efekty uboczne czasem mnie drażnią. - Wyciągnął rękę, która zdrząła niespodziewanie. Znów się uśmiechnął. - Koniec uzalania. Wystarczy, że pomyślę o alternatywie, i zapominam o wszystkich niedogodnościach.

Michelle podała mu szklanę z wodą i zaczęła, aż wyjmie masywne plastikowe pudełko z przegródkami na tabletki na każdą porę dnia.

Szybko połknął lekarstwo i spojrzał na plik korespondencji na barku. Powoli podniósł gruby list. Michelle widziała, jak się waha i jak lekko drżały mu ręce, kiedy otwierał kopertę i wyjmował ze środka dokumenty. Przez chwilę przeglądał je uważnie, po czym zamknął oczy i pocałował certyfikat.

- Odnowili moją licencję pilota - oznajmił. - Wróciłem do gry, kochanie.

- Żartujesz, tato?

- Nie żartuję. To jest druga najlepsza rzecz, jaka mi się przytrafiła, od kiedy zachorowałem.

- A jaka jest pierwsza? - Wstrzymała oddech.

- Że odnalazłem ciebie i Cody'ego, kochanie. Nie wiedziałaś tego?

Przez chwilę nie mogła powiedzieć słowa. Jej serce zabiło mocniej. Ten moment radości i triumfu był tak cudowny, że całe jej ciało przepełnił szczęściem. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz pozwoliła sobie na takie głębokie, wszechogarniające uczucie?

- Och, tato - odezwała się w końcu. Coś w jej głosie sprawiło, że podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. - Wiedziałam.

Zwyczajne proste słowa. Zwykła rozmowa. A jednak przez całe życie czekała, żeby dzielić ten moment z ojcem. W ciszy dokończyli śniadanie, a potem Gavin nalał sobie kawy, przytknął z zachwytyu oczy.

- Brakowało mi kawy.

Jeszcze przez chwilę rozkoszowali się ciszą, pili poranną

kawę i przyglądali się grze światła na granitowych blatach kuchennych i lśniącem garnkom zawieszonym na hakach na ścianie.

- Będiesz pracowała dzisiaj nad swoim obrazem?

- Tak. Nie mam pojęcia, co z tego wyniknie, ale uwielbiam spędzać czas w studiu.

- Ten obraz, który namalowałaś, sprawia, że jestem z ciebie dumny.

- Dzięki. - Wskazała stos kartek z numerami telefonów i wiadomościami. - Byłeś bardzo zajęty.

- To prawda.

- Czym się zajmowałaś?

Przebiegł wzrokiem zapiski.

- Jedna wiadomość pochodzi od Carolyn. - Zamrugał i mimo całego cynizmu w jego głosie słyhać było ból. - Jest gotowa, żeby wrócić i mnie pocałować, skoro już nie noszę ze sobą torby do dializy.

- Jesteś na to gotowy?

- Powiedziałem jej, żeby się odwaliła. - Zmiał notatkę. - Nie będziemy się bawić w kotka i myszkę. Kolejna wiadomość jest od mojego kontrahenta z Polson. Zamierzam wkrótce stworzyć Lynwood.

- Naprawdę? - Ogarnęło ją wzruszenie. Stary budynek był pełen wspomnień. Pamiętał ją, tamto dawne minione lato i pewną śnieżną noc nie tak dawno temu. - Cieszę się. To miasto od dawna potrzebowało rozrywki.

Jeden z faksów popchnął w jej kierunku.

- Ale przede wszystkim powinniśmy porozmawiać o tym. Zanim dotarło do niej, na co patrzy, minęło trochę czasu.

- Tato?

- Kiedy obudziłem się dzisiaj rano, znalazłem to w faksie. Przysłał mi go ten sam kontrahent, który chce wyremontować Lynwood.

Michelle przełknęła, ale nadal czuła suchość w gardle.

- Tato - wyszeptała - co się tutaj dzieje?

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Czytaj dalej.

Miała przed oczami projekt wyremontowania sklepu, który znajdował się tuż przy kinie. Na prośbę Gavina budynek zostanie zaadaptowany na galerię sztuki. Na samą myśl o starych drewnianych podłogach, bordowych framugach przy wejściu i wybitym suficie Michelle poczuła lekki zawrót głowy. Miała wrażenie, że na jej oczach wydarzył się cud.

- Galeria - powiedziała.

- Może wniesiesz trochę kultury do Crystal City. - Dotknął jej ręki. - Nigdy w życiu nie miałaś własnej wystawy, Michelle. Sam Bóg wie, że na nią zasłużyłaś. To znaczy urządzimy ją, pod warunkiem że tego chcesz.

To było coś, o czym nawet nie odważyła się marzyć. Może właśnie temu miała służyć choroba Gavina. Może dzięki niej miała zrozumieć, co jest w życiu najważniejsze. Może tylko tak mogła wyrwać się monotonii życia, która ją dopadła. Bardzo powoli wstała, podeszła do Gavina i przytuliła się mocno do niego.

- Tato...

Nagle zadzwonił telefon. Gavin podniósł słuchawkę.

- To może być kontrahent. - Jednak po chwili oddał jej słuchawkę. - Dzwoni Sam.

- Sam!

- Dzwonię w nieodpowiednim momencie?

- Nie.

- Tęskniłem za tobą. - Jego głos był niski i bardzo seksowny.

Przeszył ją dreszcz. Poczuła, jak całe jej ciało zaczyna się uśmiechać.

- Ja też. - Spojrzała na faks, który leżał na blacie. Przypomniała sobie, co jej powiedział, kiedy spotkali się ostatnim razem, i wszystko, o czym rozmawiali. Co by to dla niej oznaczało, gdyby zdecydowała się wyjść za Sama za męża? Dręczyło ją wiele pytań. Musieli omówić jeszcze tyle spraw.

POWRÓT

Nie mogła wyjaśnić mu tego wszystkiego przez telefon, -
Może zjesz ze mną kolację dziś wieczorem? - udało jej się
w końcu wykrztusić. - Muszę ci coś powiedzieć.

Zapadła chwila milczenia, a kiedy znów się do niej odezwał,
słyszała, że się uśmiechał.

- Kochanie, nawet wołami nie mogliby mnie odciągnąć od
spotkania z tobą.

Możesz złapać jabłko - zasugerowała Molly.

- Jakie jabłko? - zapytał przerażony Cody. Głos załamał mu się na ostatniej sylabie.

Molly najwyraźniej niczego nie zauważyła.

- Uchwyt przy siodle - wyjaśniła mu. - Jeżeli czujesz się trochę niepewnie, zawsze możesz chwycić się za siodło albo złapać się za grzywę konia,

- Och. - Złapał zwierzę zbielełymi od zaciskania palcami. - Wydawało mi się, że tak nie można.

- Chcesz się ze mną przekomarzać?

Lubił uśmiech, który widział w jej oczach. Kiedy na nią patrzył, prawie zapominał, że siedział na całej górze kości, muskuł i podków gniadego wałacha o imieniu Ace.

- Nie - odparł.

- Postaraj się odprężyć, dobrze? Jeśli będziesz spięty, koń to wyczuje. - Cody czuł się naprawdę dobrze, kiedy Molly tłumaczyła mu, jak powinien się zachować. Wykazała się ogromną cierpliwością i nie traktowała go z góry tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie jeździł konno. Powoli wprowadzała go w kolejne arkana wiedzy i już po pewnym czasie polubił siedzenie w siodle, chodzenie w kółko po arenie i wsłuchiwanie się w trzeszczenie siodła oraz stukot kopyt. Dzięki Molly poczuł się naprawdę świetnie.

Dzisiaj po południu w czasie przerwy podszedł do niej,

spojrzał jej prosto w oczy i przeprosił, że zachował się jak ostatni palant. Ku jego zaskoczeniu nie zgmiotła go jak robaka, ale wybaczyła mu z wielkodusznością, na którą nie zasłużył. Do końca życia zapamięta jej słowa, „Lubię cię bez względu na wszystko, Gody”. Nikt nigdy nie powiedział mu nic podobnego. Kiedy napomknął jej, że chciałby się nauczyć jeździć konno, jej uśmiech rozjaśnił dzień.

Mniej więcej po godzinie jazdy Ace zmęczył się i spociał, dlatego Cody zsiadł na ziemię i bardzo ostrożnie zdjął z niego siodło, uzdę i całą uprząż. Oboje z Molly poszli do biura w stajni, gdzie Cody umył ręce i wyjął dla nich napoje z lodówki. Potem usiedli na starej kanapie z wybrzuszeniami na siedzeniu. Cody czuł się zupełnie swobodnie, kiedy objął ją ręką, a Molly nie miała najwyraźniej nic przeciwko temu, ponieważ oparła głowę na jego ramieniu. Przez chwilę wsłuchiwali się w ciche rżenie koni. Mieli całe to miejsce tylko dla siebie. Sam był w pracy, a Edward załatwiał sprawy w mieście.

Cody włączył radio, ale nie mógł znaleźć nic poza muzyką country. W tej chwili to i tak nie miało dla niego znaczenia.

Molly nie odezwała się słowem. Po prostu wzięła od niego puszkę po napoju i odstawiała ją na bok. Kiedy odwróciła twarz w jego stronę, pocałował ją delikatnie, a potem mocniej i dłużej niż za pierwszym razem. Była słodka i chłodna. Wszystko w niej było idealne. Przysunęła się bliżej niego, dając mu jasno do zrozumienia, że te pocałunki podobały się jej nie mniej niż jemu. Kiedy osunął się na sofie, tak że znalazł się w pozycji półsiedzącej, pochyliła się nad nim. Wsunął język z jej usta. Wysunął rękę. Tak bardzo chciał jej dotknąć.

Odsunęła się od niego nieznacznie.

- W porządku - wyszeptwała, po czym odpięła dwa górne guziki drelichowej koszuli. - Dużo o tym myślałam, Cody. Chcę tego. Nie mam nic przeciwko temu.

Mówiła tak, jak gdyby czytała w jego myślach, a jej szczerość rozpałała w nim dziki płomień i poruszyła do głębi. Jednak pomimo jej słów i podekscytowania, które dostrzegł w jej

błyszczących oczach, domyślał się, że nie ma doświadczenia w tych sprawach. Jej pocałunki były hojne i kuszące, jej ręce przypominały dwa niesforne kociaki turlające się po jego ciele. Bardzo szybko zdjęli koszule. Wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli. Kiedy próbowała rozpiąć guzik jego dżinsów, jęknęła ze zniecierpliwienia i podekscytowania. Wtedy zrozumiał, że tylko od niego zależy, co wydarzy się dalej. Odsunął się od niej i spojrzał jej w twarz.

- Dziewczyno, doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Jej oczy błyszczały.

- Naprawdę? Nie byłam pewna, czy mnie pragniesz.

- Oczywiście, że cię pragnę.

- Cieszę się, Cody. Naprawdę bardzo się cieszę. - Podniosła się w jego stronę, a on nie potrafił się opanować. Znow ją pocałował i rozkoszował się słodkim smakiem jej ust.

Była taka miękka, taka oddana, a jej dotyk łagodny. Pierwszy raz w życiu, od kiedy zaczął spotykać się z dziewczynami, znalazł tę jedną, przy której czuł coś nowego i wzruszającego, coś, co miało o wiele więcej wspólnego z uczuciami niż z seksem. To było zdumiewające.

Mimo to w decydującym momencie Cody zaskoczył samego siebie.

- Jesteś bardzo miłą dziewczyną, Molly - powiedział. - Ale powinniśmy przestać.

- Nie chcę przestać - odparła cicho, przyciskając dłoń do jego torsu.

- Ja również tego nie chcę - przyznał. - Lubię cię i może pewnego dnia przyjdzie odpowiedni moment, żeby to zrobić, ale teraz musimy przestać. Powinniśmy poczekać. Dobrze? - Człowieku. To naprawdę bolało. Nie mógł uwierzyć, że zdobył się na takie słowa.

- Nie jestem dzieckiem. Wiem, czego chcę.

- W takim razie czekanie niczego nie zmieni. - Każde kolejne słowo wymawiał z trudem. Nagle z oddali dobiegł go odgłos samochodu osobowego albo ciężarówki, ale nie przejął się tym zbyt, ponieważ w tej chwili miał ważniejsze rzeczy

na głowie. W tej chwili miał Molly tam, gdzie chciałby ją mieć każdy chłopak. Pragnęła go, a on zmarnował szansę. Jak mógł zachować się tak głupio? Ale mimo to nadal wydawało mu się, że postąpił słusznie. Jakimś cudem Cody nadal wiedział, co dobre, a co złe.

Kiedy Sam wracał do domu po pracy, przyłapał się na tym, że z impetem przyciska pedał gazu. Wyjątkowo tego dnia chciał jak najszybciej dotrzeć do domu, wziąć prysznic i pojechać na spotkanie z Michelle. Dziś wieczór spełni się jego marzenie. Miłość, która narodziła się siedemnaście lat temu, z każdym dniem stawała się silniejsza. Tak mocne uczucie mogło nawet przerazić. Ale o wiele bardziej przerażająca była dla niego wizja samotnego życia bez niej.

Zacisnął palce na kierownicy i starał się rozluźnić plecy i ramiona zeszywniałe po męczącym dniu pracy. Nad autostradą pojawił się cień i Sam spojrzął w górę. Maszyna, którą ujrzał na niebie, mogła być małym Mustangiem P-51 Gavina Slade'a. Samolot unosił się nad doliną. Sam uśmiechnął się, pomimo mieszanych uczuć, które żywił do ojca Michelle. Gavin znów latał, a to oznaczało, że naprawdę wrócił do formy.

Kiedy Sam zatrzymał samochód na ranczu, zauważył dżipa zaparkowanego przed stajnią. Z wewnątrz dolatywała muzyka country. Kierowany ciekawością ruszył w tamtą stronę. Zauważył konia należącego do Lightningów uwiązane go z boku. Bardzo dobrze, pomyślał. O wiele bardziej podobał mu się pomysł zaprzyjaźnienia jego syna z córką Ruby niż z tymi punkami, którzy spłoszyli konia. Sam postanowił wejść do środka, przywitać się i poinformować, że jest już w domu.

Kiedy wszedł do biura, Cody i Molly Lightning byli tak samo zaskoczeni i zawstydzeni jak on sam. Oboje zeskoczyli z sofy i zaczęli poprawiać rozchełstane ubranie. Włosy Molly były potargane, a jej twarz czerwona jak burak. Chwyliła poły rozpiętej koszuli.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała roztrzęsionym głó-

sem. Wyszła, zanim Sam zdążył pomyśleć, co mógłby jej odpowiedzieć.

Odwrócił się w stronę Cody'ego. Nadal nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Nie był przygotowany na to, co zobaczył. Nawet przez myśl mu nie przeszła podobna sytuacja.

Cody starał się przemknąć obok niego.

- Lepiej wróć na ranczo Gavina - wymamrotał pod nosem.

- Nawet o tym nie myśl! - krzyknął Sam, odgradzając mu drogę ucieczki.

- Hej, człowieku...

- Nie staraj się mnie zbyć - powiedział, zaciskając pięść. - Co ty sobie u diabła myślałeś, traktując ją w ten sposób?

- Oboje mamy szesnaście lat - zauważył Cody. - Może mi nie uwierzysz, ale nie wydarzyło się nic wielkiego.

- Jasne - odparł Sam. - Oczywiście, że ci nie wierzę.

- Nic nie zrobiłem. - Podniósł butnie głowę. - A poza tym to jest sprawa pomiędzy Molly a mną i tobie nic do tego.

- Jeżeli coś dzieje się pod moim dachem, to jest także moja sprawa.

- Nikogo nie prosiłem, żeby tutaj przyjeżdżać. W każdej chwili mogę wrócić do Seattle, wystarczy jedno twoje słowo. Niestety, na razie utknąłem tutaj na dobre i jedyne, co mogę zrobić, to poznać nowych znajomych.

- Wygląda na to, że szukasz nie tylko znajomych. Dorastałeś w przeświadczeniu, że należy ci się każda cholerna rzecz na tym świecie. - Złość Sama była irracjonalna. Zapaliła się i wyrwała spod kontroli. - Taki mądrała jak ty powinien wiedzieć, czym może skończyć się seks bez zabezpieczenia.

- Nie uprawialiśmy seksu - warknął Cody.

- Tylko dlatego że pojawiłem się w odpowiednim momencie.

- Nie możesz tego wiedzieć. Zawsze widzisz we mnie same najgorsze rzeczy.

Coś w nim pękło i zalała go złość.

- Czy nigdy nie zastanowiłeś się, jak bardzo ryzykowałeś?

Nigdy nie przyszło ci do głowy, że możesz spłodzić jeszcze jedno nie chciane dziecko...

Sam Ugryzł się w język, ale było za późno. Zrozumiał to, gdy wyrzucił z siebie te jadowite słowa. Na twarzy Cody'ego pojawiła się czerwona smuga, która tylko potwierdziła jego obawy. Żaden z nich nie odezwał się słowem, ale w tej chwili nawet cisza była niczym burza.

W tej chwili Sam zrozumiał, że kocha swojego syna. Był tego pewien, ponieważ cierpiał, kiedy zadał mu ból.

Zadzwonił telefon, przerywając napiętą atmosferę. Sam zatrzymał Cody'ego, wyciągając rękę w jego stronę i jednocześnie podniósł słuchawkę z telefonu na ścianie.

- Sam McPhee. - Skrzywił się, kiedy głos w słuchawce poprosił o wciśnięcie jedynki, jeżeli wyraża zgodę na pokrycie kosztów rozmowy. Wzruszył ramionami i nacisnął przycisk.

- Cześć, kochaniutki. Mówi twoja mama.

Sam nie poruszył się. Coś w jej głosie sprawiło, że cały jego świat runął w gruzach.

- Mamo, gdzie jesteś? Co piłaś?

Błada twarz Cody'ego wyostrzyła się, ale Sam nie miał teraz czasu, żeby myśleć o chłopaku.

- Mamo? Mów do mnie.

- Jestem w Kalispell. Mają tutaj karaoke. Myślisz, że pozwolą mi zaśpiewać? Kiedyś tak dobrze śpiewałam. Pamiętasz, jak nagrywaliśmy ten album w Reno? Siedziałeś wtedy w swoim kojcu...

Doskonale słyszał jej zapity głos. Jezu, pięć lat! Przez pięć lat była trzeźwa, a teraz coś takiego.

- Mamo, zwolnij. Co się stało?

- Ta stara krowa LaNelle wyrzuciła mnie ze sklepu.

- LaNelle Jacobs zwolniła cię? Dlaczego? - Kątem oka Sam dojrzał, jak Cody skrada się w stronę drzwi. Zmroził go lodowatym spojrzeniem. Chłopak zacisnął zęby i zaklął pod nosem, ale nie wyszedł.

- Powiedzieli mi, że ukradłam wszystkie pieniądze z kasy. Całe czterdzieści dwa dolary. Wielka fortuna. Po prostu... ogromna.

- To jakiś absurd, mammo. LaNelle dobrze wie, że niczego byś nie ukradła ze sklepu.

--'Wczoraj wieczorem ktoś widział mój samochód zaparkowany przed sklepem, a rano nie było pieniędzy. Oczywiście, że za wszystko winią mnie. Kto inny mógłby to zrobić, synu? Kto inny mógł to być?

- Mamo...

- Nigdy tak naprawdę nie odetniesz się od przeszłości, synu.

- Jadę po ciebie - powiedział. - Nie ruszaj się stamtąd. Zamów sobie kawę i siedź.

Ale ona już go nie słuchała. Sam słyszał, jak ktoś zapytał, czy miałyby ochotę na jeszcze jedną tequilę sunrise. Słyszał jej zachrypnięty chichot. Och, mammo. Tylko nie to. Odłożył słuchawkę z trzaskiem.

- Co się dzieje? - zapytał Cody, jego twarzy była dziwnie blada. - Ktoś powiedział, że ukradła coś ze sklepu?

- Kiedy znajdę tego sukinsyna, który to zrobił, zabiję go. Przysięgam na Boga, że go zabiję.

- Hej, to jeszcze nie koniec świata, człowieku.

- Nie mam teraz czasu, żeby się z tobą użerać - warknął Sam. - Muszę jechać. - Chwyć parkę i kluczyki. - Powiedz mamie, że nie dam rady przyjść dzisiaj wieczorem. Powiedz jej... - Przerwał. - Powiedz jej, że jest mi przykro.

Jak ci minął dzień w szkole? - Szczotka wyslizgnęła się Michelle z rąk i upadła na podłogę. Niech to szlag, pomyślała. Przez cały dzień przypominała kłębek nerwów.

- W porządku - odparł Cody z głową w lodówce. Stał w białej poświacie światła i z uwagą przyglądał się zawartości półek.

Michelle podniosła szczotkę i spojrzała na syna. Był ubrany w czarne dżinsy i skórzaną kurtkę i zachowywał się tak, jak gdyby stapał po rozżarzonych węglach. Uderzyło ją, że zachowywał się dokładnie tak samo jak pierwszego dnia, kiedy przyjechali do Crystal City. Na ręce miał naciągnięte rękawiczki, które skrywały bandaż na jego dłoni, a na głowie nosił kapelusz z dużym rondem, który zasłaniał szwy założone przez Sama.

Michelle podeszła do niego.

- Coś się stało? - zapytała.

Odsunął się od niej, spuszczać głowę, jak gdyby chciał uniknąć niechcianego pocałunku.

- Nic szczególnego. - Rzucił plecak na podłogę i wyjął z lodówki karton mleka.

- Mhm - odparła automatycznie, podczas gdy on zaczął pić. - Mógłbyś skorzystać ze szklanki.

Spojrzał na nią przez ramię, kiedy wyjmował kubek z szafki.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne, Cody.

Wylał trochę mleka na blat, a Michelle odruchowo chwyciła papierowy ręcznik. Cody zabrał go jej ze złością i sam wytarł plamę.

- Zastanawiałem się, czy ty... Chciałaś mnie? To znaczy, czy kiedykolwiek przeszło ci przez myśl, żeby się mnie pozbyć?

Nigdy wcześniej nie zadał jej takiego pytania. Michelle zastanowiła się, od jak dawna tłumił w sobie tę wątpliwość. Poczowała piekące łzy i ucisk w gardle. Dotknęła jego policzka.

- Och, Cody. Nawet przez chwilę nie miałam wątpliwości. Chciałam cię. Byłeś całym moim życiem. - Przełknęła ciężko. Miała nadzieję, że się nie rozpłacze. Cody prawie nigdy nie widział, żeby płakała. Przypomniła sobie z zaskakującą wyrazistością okres, kiedy była w ciąży. Ból i cierpienie nie były częścią tych wspomnień. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła twarz dziecka, ogarnęło ją poczucie spełnienia.

- Ocaliłeś mnie - dodała. - Byłeś najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przydarzyła, i nadal jesteś dla najważniejszy.

Cody był trochę zakłopotany jej odpowiedzią.

- Super - odparł, po czym napił się mleka. - Na jaką okazję tak się szykujesz?

Michelle roześmiała się. Chciała uściskać go ze szczęścia.

- Mam wspaniałe wieści.

Zmrużył podejrzliwie oczy. Kiedy nauczył się to robić? Kiedy doszedł do wniosku, że jej dobre wieści oznaczają dla niego kłopoty? Oparł się o blat, pił mleko i czekał.

- Wiesz, że ostatnio zaczęłam malować. - Czują się wspaniałe, mogąc wypowiedzieć wszystko, co skrywała przez wiele dni. Kiedy opowiadała o swoich planach, jej serce tańczyło z radości. Jej zachowanie było impulsywne, ale nie miała zamiaru się powstrzymać. - Tak jak robiłam to wiele lat temu. Myślałam, żeby dokonać paru zmian. Razem z Gavinem chcielibyśmy otworzyć galerię sztuki w Crystal City. - Jej pragnienia omal jej nie przerażały. Bała się tego, jak wiele znaczyły dla niej te marzenia.

Cody zmierzył ją wzrokiem od stóp po czubek głowy.

Przyjrzał się z uwagą jej czarnym kaszmirowym spodniom, czarnemu swetrowi z angory i jej najlepszym perłom.

- To dlatego tak się ubrałaś?

- Sam przychodzi dzisiaj na kolację. - Starła się ukryć drżenie w głosie. Już za chwilę powie mu o czymś, czego pragnęła bardziej niż kolejnego oddechu. - Sam poprosił mnie o rękę. Jeszcze się nie zgodziłam, ale zamierzam to zrobić. Dzisiaj wieczorem.

- Cholera. - Odstawił szklankę i minął ją, po czym usiadł ciężko na sofie.

Poczuła smak szminki, kiedy przygryzła wargę.

- Miałam nadzieję, że będziesz mnie wspierał. - W tej chwili chciała go błagać, żeby nie odbierał jej szczęścia, żeby nie zachowywał się w ten sposób. Ale z drugiej strony zaczęły dręczyć ją myśli, które nie były obce żadnej matce: Jak mogę robić coś takiego własnemu dziecku? Jak mogę odcinać go od jego życia i starać się na siłę zaadaptować w nowym środowisku? Czy nie istnieje żadna droga kompromisu? Czy nie mogę zrobić nic, żeby uszczęśliwić ich obu?

Przez długi czas Cody milczał. Michelle umierała z obawy, co działo się w jego głowie. W końcu wziął głęboki oddech, spojrział jej prosto w oczy i powiedział:

- Nie trać czasu, czekając na niego. Sam wyjechał.

- Co to znaczy, że wyjechał?

- Nie ma go, zwał, dał nogę.

Przeszył ją dreszcz. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Dokąd wyjechał?

- Wyniósł się z miasta. Powiedział, żeby ci przekazać... - Cody zwiesił głowę.

- Co takiego? Co powiedział? Co się stało? - Niedowierzanie przerodziło się w przerażenie. Musiała poznać prawdę. Chciała znać powody. Jeszcze chwila i zacznie wytrząsać informacje z tego chłopaka.

- Chyba nie chciał zostać moim ojcem.

- Na litość boską, przecież to nie ma sensu. Sam mnie kocha i chce pokochać ciebie, Cody...

- Już nie chce. - Zwiesił głowę jeszcze niżej. - Coś się stało.

Oparła się o blat kuchenny tak mocno, że poczuła bliznę po operacji. Ciekawe co wypełniło pustkę po nerce? - zastanowiła się absurdalnie.

- Mów do mnie, Cody - powiedziała, skupiając uwagę na synu. - Zaczynj od początku.

- Dzisiaj po południu Molly i ja byliśmy u niego, a on... zachowywał się, jak gdybym ją molestował albo coś w tym stylu. Nie robiliśmy nic złego, mamó, naprawdę.

Michelle wzięła głęboki oddech, starając się poukładać w głowie wszystko, co jej powiedział.

- Daj mi się zastanowić. Ty i Molly pojechaliście do Sama.

- Tak. - Spojrzał na czubki butów. - Jeździłem konno i było naprawdę cudownie, a potem poszliśmy do biura. Trochę się bawiliśmy, ale nic takiego się nie wydarzyło...

- Bawiliście się. - Jej żołądek skurczył się do rozmiarów śliwki.

- To nic takiego - powtórzył. - Nie jesteśmy dziećmi. Wiemy, kiedy przestać. Byliśmy całkiem ubrani, mamó, przez cały czas. A potem Sam wystraszył Molly i zaczął na mnie wrzeszczeć.

Wystarczyła jedna noc, pomyślała. Przez jedną noc jej syn z małego chłopczyka z kolanami pobrudzonymi trawą przemienił się w prawie dorosłego mężczyznę... którym targały męskie żądze.

- Spójrzmy na to z jego perspektywy. Molly jest jego sąsiadką. Córką jego przyjaciółki. Czy można go za to winić?

- Powiniennem się domyślić, że staniesz po jego stronie.

- Nie staję po jego stronie...

- Ale mi nie wierzysz. Nie słyszałaś tych rzeczy, które on wykrzykiwał, mamó. Zaczął wygłaszać tyradę na temat bezpiecznego seksu i nie chcianych dzieci. - Cody skrzyżował ramiona na piersi. - A potem powiedział... że nie chce mieć takiego syna.

Ból, który ją przeszył, był ostry i gorący.

- Nie mógł tego powiedzieć.

- Zadzwoń do niego. Tylko spróbuj. Nie odbierze. Przysięgam na Boga, że on mnie nie chce i dobrze się składa, bo ja też go nie chcę.

Przyjrzała się uważnie jego bladej, napiętej twarzy i lodowaty, twardy mur na powrót otoczył jej serce, tylko tym razem był jeszcze mocniejszy niż przedtem.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Ponieważ taka jest prawda, mammo. Sam jest na ciebie napalony, ale nie chce mieć nic wspólnego ze mną.

Michelle starała się uspokoić nerwy, mimo że przerażenie narastało w niej z każdą chwilą. Zadzwoiła do Edwarda, który przez cały dzień był w mieście i nawet przez chwilę nie widział Sama. Potem zadzwoniła do szpitala, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Nikt nie odbierał telefonu u jego matki. Jego partner, Karl, nie miał pojęcia, gdzie go szukać.

Miała lodowate dłonie i cała się trzęsała, kiedy odkładała słuchawkę po raz ostatni. Miała straszne deja vu. Doskonale pamiętała, jak tamtej dawno minionej nocy pojechała do Sama chora z przerażenia i wyczerpana. Chciała powiedzieć mu, że jest w ciąży, ale na miejscu okazało się, że wyjechał z miasta bez słowa.

Wyjechał. Wyjechał. Wyjechał. Zaszył się w noc tak jak siedemnaście lat temu.

50

Michelle czuła się słaba z braku snu, ale mimo to wstała skoro świt. Szybko się ubrała, po czym poszła zajrzeć do Cody'ego. Drzwi do jego pokoju były zamknięte. Ze środka nie dochodził żaden odgłos. Zastanawiała się, czy nadal znała swojego własnego syna. Tak naprawdę mogła się tylko domyślać, co działo się teraz w jego głowie. Emocjonalny kołowrotek spowodowany odnalezieniem ojca i ostatnią kłótnią z Samem musiał mocno odbić się na psychice chłopca. Może nie potrafił sobie z tym poradzić. Może spadło na niego zbyt wiele jak w tak krótkim czasie. Czuła jego złość i ból, ale także inne uczucie, o wiele silniejsze od dwóch pozostałych. Podejrzewała, że coś przed nią ukrywa, a może nawet wstydzi się czegoś.

Postanowiła, że porozmawia z Codym, gdy tylko wstanie. Włożyła buty i udała się do głównego budynku. Weszła do salonu i stanęła przy kominku. Przypomniała sobie pierwszy wieczór, kiedy oboje z Gavinem siedzieli w tym pokoju. Czasy, kiedy czuli się nieswojo w swoim towarzystwie, teraz wydawały się jej takie odległe. Dzisiaj przyszła do niego, ponieważ go potrzebowała.

Przycisnęła chusteczkę do policzków. Do pokoju wszedł jej ojciec. Spojrzał na nią i bez słowa wziął ją w ramiona. Przytuliła się do niego i łzy napłynęły jej do oczu. Ojciec przestał być dla niej nieznanym. Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Sam wyjechał, tato. Wczoraj wieczorem pokłócił się z Codym - powiedziała. - Było strasznie i teraz Cody myśli, że Sam go nie chce.

- Cody się myli. Sam chce zaopiekować się własnym synem. Zaufaj mi - odparł Gavin. Zaprowadził ją na sofę, po czym usiadł obok niej.

- Skąd wiesz?

Rysy na jego szorstkiej twarzy wyostrzyły się.

- Wiele lat temu, kiedy pozwoliłem ci odejść, zrobiłem najgłupszą rzecz w swoim życiu. Zanim przyjechałaś do mnie po śmierci matki, wydawało mi się, że nie chcę mieć dzieci. Nie wiedziałem, jak być ojcem. Nie byłem w tym dobry. Kiedy odeszłaś, przekonałem siebie, że tak będzie dla nas najlepiej, ale myliłem się. Chciałem odzyskać córkę, tylko nie wiedziałem, jak to zrobić. Właśnie dlatego wiem, że Sam chce opiekować się synem. Nic tego nie zmienia, cokolwiek się między nimi wydarzy.

- Ale jeżeli Cody nie wierzy, że Sam go chce, pojawia się problem. I coś mi mówi, że nie uda się go rozwiązać tak po prostu.

- Jeżeli Sam wyjechał, musiał mieć powód.

- To prawda, ale nie mogę stanąć po stronie Sama, jeżeli naprawdę uciekł przy pierwszym konflikcie. Powinien był do mnie zadzwonić.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Staram się, ale czuję się... oszukana. Może nie jest mi pisane życie z takim mężczyzną jak Sam McPhee. Ludzie tak naprawdę nigdy się nie zmieniają. Siedemnaście lat temu zniknął z mojego życia i teraz zrobił dokładnie to samo. - Nawiedziły ją upiory tamtych lat, kiedy czuła się porzucona. Najpierw straciła matkę i ojca, potem Sama... a teraz miała wrażenie, że traci Cody'ego. - Może -przyznała - nie potrafię kochać ich obu tak, jak na to zasługują.

Gavin odwrócił się do niej.

- Sama w to nie wierzysz. Ze wszystkich osób, które znam, ty masz najbardziej szczodre serce. Przyjechałaś do mnie

mimo wszystko. Przyjechałaś, chociaż wiedziałaś, że będzie ci ciężko. Rzeczywistość okazała się o wiele trudniejsza do zniesienia, niż ci się na początku wydawało, a mimo to zostałam.

Oboje milczeli.

- Kiedy Sam wyjechał po raz pierwszy, nawet nie próbowałam go odszukać. - Wzięła głęboki oddech i w końcu sama przed sobą przyznała się do czegoś, z czego nigdy nie była dumna. - Jakaś część mnie widziała w nim nicponia, chłopaka, który nigdy nic w życiu nie osiągnie. Tak bardzo się pomyliłam. Wina leżała po mojej stronie. Właśnie tego nie jestem pewna, tato. Nie jestem pewna, czy stałam się lepsza.

- Opowiem ci, co wydarzyło się za pierwszym razem. - Gavin objął ją ramieniem.

Spojrzała mu prosto w twarz, która zaokrągliła się pod wpływem leków. Dostrzegła ból i cierpienie.

- Sam i jego matka wyjechali z miasta, ponieważ ja to wszystko zaaranżowałam - powiedział cicho.

Michelle wpatrywała się w niego. Zmięta chusteczkę w dłoniach.

- Nie rozumiem.

- Z biura zarządcy zniknęły pieniądze. Może Sam je wziął, a może nie. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Myślałem tylko o tobie, Michelle. Dowiedziałem się, że spotykasz się z Samem, i nie podobał mi się ten pomysł. Pomyślałem, że chłopak i jego matka i tak mają problemy. Nie chciałem, żeby cię skrzywdził. Razem z szeryfem O'Shea oskarżyliśmy go o kradzież pieniędzy. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Przy okazji szeryf przypomniał Tammi Lee o paru czekach bez pokrycia i kilku sprawach sądowych. Mogła wybierać. Mogła zniknąć w odpowiednim momencie. Sam nie miał żadnego wyboru.

- Mój Boże. - Odsunęła się od ojca.

- Nigdy ci o tym nie powiedział, prawda? - zapytał Gavin cichym głosem.

- Nigdy nie wspomniał o tym słowem.

- Przykro mi jak diabli, kochanie. Nie wiedziałem, co robić. Bałem się, że z nim uciekniesz.

- I uciekłam, tylko że nie z nim. - Przyciągnęła kolana do piersi.

- Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu, ale byłem taki desperowany, ponieważ cię kochałem i tak bardzo się przestraszyłem.

Poczuła uścisk w gardle.

- Dlaczego... - zaczęła w wysiłkiem. - Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego nigdy nie powiedziałaś, że mnie kochasz? Nigdy tego nie powiedziałaś.

- Wydawało mi się, że wiesz. - Przez dłuższy czas milczała. Wpatrywał się w swoje ręce. - Teraz sama jesteś matką. Miłość istnieje, bez względu na to, czy się o niej mówi, czy nie. Dokonałaś wielu wyborów związanych z życiem Cody'ego. Niektóre były dobre, inne złe, ale zawsze kierowałaś się miłością. Czasem każdy rodzic popełnia błędy, mimo że jego cele są szlachetne - zauważył Gavin. - Tak bardzo mi przykro, Michelle. Powinienem być ci wtedy zaufać.

- Chcesz mi przez to powiedzieć, że mam zaufać Cody'emu?

- Może. Chyba tak. Posłuchaj, zawiodłem cię, ale ty nadal masz szansę pogodzić się z synem.

- Jedyne problem polega na tym, że Cody nie chce zrobić w swoim życiu miejsca dla Sama.

- Przypuszczam, że zmieni zdanie. Jak każde dziecko najpierw myśli o sobie. Jak każde dziecko nie chce przeprowadzać się w połowie roku szkolnego. Ale nie możemy zapominać, że to także twój syn. Chce, żebyś była szczęśliwa, Michelle. Robi to, co uważa za słuszne także dla ciebie. Prędzej czy później zrozumie.

- Nie mogę mu tego zrobić, tato. Nie mogę ich zmusić, żeby mieszkali pod jednym dachem i udawać, że wszystko jest w porządku.

- Sama nie wiesz, jak ułoży się wasze życie. Może wszystko będzie w porządku. Oczywiście będziecie mieć gorsze chwile, ale kto ich nie ma? Bo o co tak naprawdę chodzi w tym życiu?

- Pójdę obudzić Cody'ego do szkoły - powiedziała.

Wróciła do bungalowu i delikatnie zapukała do drzwi pokoju syna. Nikt jej nie odpowiedział.

- Cody? - zawołała, popychając drzwi.

Rzeczywistość docierała do niej bardzo wolno. Łóżko w pokoju Cody'ego było równo pościelone. Prawdopodobnie nikt w nim nie spał zeszłej nocy. Otwarta na oścież szafa zionęła pustką. Duża torba podróżna znikła.

Ogarnęła ją panika. Cody zniknął.

Jej syn zniknął.

Taki scenariusz pojawiał się w snach każdej matki. Wybiegła z pokoju. Rzuciła się pędem w kierunku głównego budynku. Po drodze wołała ojca. Przed oczami wyobraźni widziała Cody'ego pobitego przez kogoś, kto zaproponował mu podwiezienie.

Gavin wybiegł do niej i złapał ją w ramiona. W rękę trzymał telefon bezprzewodowy.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał ją.

Jej słowa z trudem przeniknęły przez pancerz, który otaczał jej serce.

Gavin zacisnął palce na słuchawce.

- Nic mu się nie stało. Jest w Seattle. Trzymaj. Natalie wszystko ci opowie.

Drżącą ręką Michelle chwyciła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Natalie mówiła spokojnie i łagodnie. Z wyjątkowym dla niej opanowaniem poinformowała, że Cody przyjechał nocnym autobusem z Missoula. Dobry Boże. Jej syn uciekł z domu. Nie, tak naprawdę uciekł do domu. Uciekł od niej.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - poprosiła Michelle. Z trudem opanowała łzy. Bała się, że jeżeli teraz się nie uspokoi, to już nigdy nie przestanie płakać.

- Poszedł do szkoły. Chciał pojawić się na zajęciach trochę wcześniej, żeby zdążyć złapać klimat.

- Pozwoliłaś mu pójść do szkoły bez skonsultowania tego ze mną? - wybuchnęła.

- Powiedziałam mu, że powinien do ciebie zadzwonić, ale

on odparł, że zrobi to potem. - Natalie zawahała się. - Michelle, nie wspomniał mi słowem, dlaczego wrócił, ale mogę się domyślać. Nic mu nie jest. Pozwól mu ochłonać, dobrze? Jeżeli nie dasz mu czasu do namysłu, żeby mógł zrozumieć, jak bardzo cię kocha i jak bardzo za tobą tęskni, być może już nigdy się tego nie dowie.

Kiedy Michelle skończyła rozmowę, nadal się trzęsła. Z początku chciała zadzwonić do liceum Garfielda i zażądać, żeby odszukali jej dziecko i poprosili je do telefonu. Dopiero chwilę później podniosła głowę i spojrzała przed siebie na tajemnicze białe pola rancza i jakiś cichy głos w jej głowie powiedział: Nie. W końcu oddała telefon ojcu.

- Chcesz, żebym poleciał do Seattle?

- Nie. - Słowa same cisnęły się jej na usta. - Natalie powiedziała mi coś, co ma sens. Musi sam uporać się z własnymi uczuciami. Nadszedł czas, żeby sam dokonał wyboru i poniósł konsekwencje swoich czynów.

Gavin przyglądał się jej przez dłuższy czas.

- Kiedy byłaś młoda, też uciekałaś z domu. A ja byłem na tyle głupi, że pozwoliłem ci odejść. Byłem zbyt uparty. Ty też jesteś zbyt uparta, czy naprawdę uważasz, że postępujesz słusznie?

Rozłożyła bezradnie ręce.

- Kto wie, co jest słuszne w takiej sytuacji? Wiem tylko tyle, że to wszystko, co robiłam przedtem, nie poskutkowało. Może za dużo od niego wymagałam. Może byłam zbyt wielką idealistką. To chyba przez moje postępowanie zbuntował się przeciwko światu.

Dopiero teraz z ciężkim sercem pojęła, na czym polegał jej błąd. To zrozumiało, że tak bardzo oddalił się od jej oczekiwań. Musiała pozwolić mu znaleźć swoją własną drogę.

- Zalewałam go miłością, chwytałam go za każdym razem, kiedy upadał, zamiast pozwolić mu poobijać się i znaleźć w sobie siłę, żeby się podnieść. - Decyzja, którą podjęła, sprawiła jej wiele bólu, ale była słuszna. Musiała pozwolić Cody'emu odejść. Inaczej być może nigdy nie uda mu się

odnaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Dorósł i jego życie nie znajdowało się dłużej w jej rękach.

szóstej trzydziści nad ranem Cody stał na mokrym chodniku przed kompleksem budynków ratusza w Seattle. Czuł się bardzo dziwnie. Brakowało mu ciemności Montany i tej niepowtarzalnej przejrzystości atramentowej nocy w górach. Tutaj, w Seattle, nigdy nie było ciemno. Przez cały czas miasto oświetlały jasne lampy uliczne, świecące ozdoby i krzykliwe neony. Wysoki cypel okalał widok na Zatokę Elliotta. Połyskujące punkciki wyznaczały linię brzegu.

Ten dzień był bez wątpienia najdziwniejszym dniem w życiu Cody'ego. Gdy tylko przyszedł do szkoły, udał się do sekretariatu po stosowne dokumenty. Potem rozpoczął się zwykły dzień zajęć. Uczestniczył w tych samych zajęciach, spotykał tych samych znajomych.

Spotkał się z tą samą Klaudią.

Znalazł ją tam gdzie zwykle, na niewielkim otoczonym drzewami placu, który wszyscy nazywali strefą palaczy. Niezauważony stał za zasłoną z gałęzi i patrzył na nią. Spodziewał się, że coś wydarzy się w jego sercu. Patrzył, jak odrzuciła do tyłu głowę i wypuściła z ust smugę dymu. Tak naprawdę nic nie poczuł. Nawet nie ucieszył się na jej widok. Nie czuł podekscytowania, które nieraz nie dawało mu zasnąć w nocy, nie ogarniała go duma, która sprawiała, że chodził po szkole z wysoko podniesioną głową. Jego dusza nie zaczęła śpiewać. Nie wydarzyło się nic szczególnego, a jedynym dźwiękiem, który go przywitał, był monotony dźwięk siąpiącego deszczu uderzającego o liście cedrów i olch.

Kiedy go dostrzegła, rzuciła się na niego i zaczęła zasypywać go pytaniami o Gavina. Chciała wiedzieć, jak to jest mieć sławnego dziadka. Miała mu za złe, że nie wspomniał jej o tym słowem. A na koniec dopytywała się, czy zostawił dla niej kilka tabletek przeciwbólowych.

Po szkole włączył się ze starą paczką, ale wszystko wydawało

się nie na swoim miejscu. Jego znajomi nie zmienili się na jotę, ale on bardzo się zmienił. Wyparowała z niego cała energia, niczym gaz z otwartej puszki coli. Ich kawały wydawały mu się płaskie, a śmiech głupi. Nie mógł porozmawiać z nimi o koncercie Phisha, który odbył się w zeszły weekend. Wydawało mu się, że nie było go całe lata, a nie kilka krótkich tygodni.

Na koniec dnia postanowił, że wieczorem zadzwoni do Klaudii i zerwie z nią raz na zawsze, a potem, jeżeli opanuje nerwy, wykona telefon do Molly Lightning. Czuł się fatalnie, że wyjechał z Crystal City bez słowa wyjaśnienia. Pewnie pomyślała sobie, że zwiął ze szkoły na węgry. Tak czy inaczej to nie będzie najtrudniejsza rozmowa, jaka go czeka w najbliższym czasie. Przede wszystkim musiał zastanowić się, jak dogadać się z matką i z Tammi Lee. W końcu to z jego winy straciła pracę. Przez jego głupotę i tchórzostwo sprawy przybrały taki obrót. Zabrakło mu odwagi, żeby powiedzieć prawdę, kiedy sytuacja tego wymagała. Przez jego głupotę znów zaczęła pić.

Kątem oka zauważył obok ruch, a potem cień. Jego serce zadrżało. Tuż za nim stał włóczęga, który mruczał coś do siebie pod nosem. Zbliżywszy się do Cody'ego, zapytał:

- Masz papierosa?
- Nie - odparł Cody. - Rzuciłem.

Uginał się pod plecakiem, ciężkim jakby wypełnił go cegłami. Ruszył ścieżką prowadzącą do swojego domu. Jeszcze przez kilka minut stał na zewnątrz, wsłuchiwał się w cichy bulgot podgrzewanego basenu i czuł wilgoć na włosach. Wziął głęboki oddech, wystukał kod zabezpieczający i wszedł do środka.

Cały dom pachniał olejkiem z paczuli i eksperymentalną kuchnią Wschodu. Dzisiaj wieczorem Natalie miała występ, dlatego zostawiła mu obiad w lodówce i notatkę wykaliografowaną różowym markerem: Zadzwoni do mamy.

- Wiem, wiem - mruknął Cody. Odłożył plecak i włączył muzykę. W domu było zdecydowanie za cicho. Przez jakiś

czas włączył się z kąta w kąt. Czuł się samotny jak nigdy wcześniej. Bez celu wszedł do studia matki. W pomieszczeniu panował idealny porządek. W środku znajdował się stół ze szklanym blatem, duża narożna tablica kreślarska i dwa komputery, na których czarnych ekranach gromadził się kurz. Cody podszedł do szafy i rozsunął drzwi. Wtedy zrozumiał, czego szukał.

Chciał obejrzeć prace matki.

Stały schowane w najciemniejszym rogu, owinięte płaskim portfolio składanym na trzy części. Bardzo ostrożnie wyjął płótna i szkice, po czym oparł je o ścianę. Nie było ich zbyt wiele. Poza tym nie oglądał ich często. Widział je tylko kilka razy.

Zawsze uważał, że prace mamy były dobre, a nawet wspaniałe. Były pełne życia, kolorów i ruchu. Wydawały się mówić coś bardzo ważnego. Podobnie jak obraz, który wisiał u Sama w domu. Aż do dzisiaj myślał o tych pracach jak o dziełach kogoś obcego, kogo nigdy nie znał.

Pierwszy raz w życiu udało mu się połączyć obrazy z własną matką. Wyobraził ją sobie w studiu na ranczu Błękitna Skała, pochłoniętą malowaniem. Zachowuje się zupełnie inaczej niż w trakcie pracy dla agencji reklamowej. Nie jest spięta i wcale się nie śpieszy. Nagle przypomniał sobie, jak wyglądała wczoraj, kiedy jej powiedział, że nigdy nie będzie z Samem. W głębi serca Cody naprawdę wierzył, że miał rację. Sam go nie chciał.

Poza tym musiał przyznać, że trochę wykrzywił rzeczywistość. To prawda, że Sam był na niego wściekły, ale nigdy nie powiedział, że nie chce mieć syna. A skoro tak bardzo się zdenerwował, kiedy chodziło o Molly, to jaką ciężką artylerię wytoczy, kiedy dowie się, co zaszło naprawdę w pasmanterii?

Cody poczuł uścisk w gardle.

Dobrze jednak wiedział, że Sam nie wyjechał z Crystal City ze względu na mamę czy niego. Kiedy zadzwonił telefon i Sam odebrał... Cody doskonale pamiętał wyraz jego twarzy. Pamiętał tę wściekłość i zawód, które wykrzywiły jego rysy. Pamiętał też coś o wiele gorszego. Ból. Sam musiał natychmiast wyje-

chać, żeby ratować matkę. A tymczasem Cody uciekł, ponieważ nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Targany mieszanymi uczuciami wyjął jogurt z lodówki, po czym opróżnił ćwierć kartonu soku pomarańczowego. Następnie chwycił telefon i wybrał numer Klaudii. Po trzecim sygnale zadzwonił dzwonek do drzwi. Na ten dźwięk Cody omal nie wyskoczył ze skóry. Skrzywił się, po czym odłożył słuchawkę. Nikogo się nie spodziewał.

Był zaskoczony, kiedy strażnik podał mu przez słuchawkę imię i nazwisko gościa. Gavin Slade. Cody zapalił światło nad wejściem, po czym otworzył drzwi.

- Cześć - powiedział niepewnie.

- Cześć. - Gavin wpadł do domu niczym burza. Twarz miał surową.

Cody ruszył za nim do środka.

- Jak się tutaj dostałeś?

- Przyleciałem mustangiem na lotnisko boeingów. Nie zamierzałem podróżować moim staruszkim jeszcze przez jakiś czas, ale oto jestem. - Jasnoniebieskie oczy przesywały Cody'ego. - Podejrzewam, że znasz cel mojej wizyty.

Cody rzucił mu zbuntowane spojrzenie. Poczuł, jak zalewa go złość.

- Jeżeli przyleciałeś tutaj, żeby wygłosić mi kazanie na temat mojego złego postępowania w stosunku do mamy, to tylko zmarnowałeś czas. Już podjąłem decyzję. Nie pasuję tam.

Gavin z uwagą rozejrzał się po pokoju. Cody zrozumiał, że ogląda mieszkanie swojej córki pierwszy raz w życiu.

- Szczerze mówiąc - odparł - miałem w tym własny interes. Chyba przyleciałem do ciebie, ponieważ dawno temu schrząniłem sprawę z twoją mamą. Potrzebowała mnie, a mnie przy niej nie było. - Jego głębokie oczy przepełniał smutek. - Przez siedemnaście lat - dodał. - Przyleciałem tutaj, ponieważ powinienem był zrobić to kilkanaście lat temu. Powinienem był po nią przyjechać.

- To zupełnie co innego. Sam nie może znieść mojego widoku a ja jego.

- Nie wiem, co wydarzyło się między tobą a Samem, ale z całą pewnością mogę stwierdzić, że najbardziej ucierpiała na tym twoja mama.

Cody'emu zaschło w gardle. Gavin miał rację. Ostatniego wieczoru była taka szczęśliwa, rozpromieniona i spokojna. Aż do chwili wielkiego kłamstwa.

- Musiałem zachorować na nerki, żeby was odzyskać - kontynuował Gavin. - Co musi się stać tym razem? Ktoś musi przeżyć atak serca?

- Nic nie rozumiesz - zaproponował Cody. - Nie rozumiesz, jaki jestem zły. - Był zbyt zrozpaczony, żeby się wstydzić, kiedy łamał mu się głos.

- To wytłumacz mi wszystko, Cody.

- Nie spodoba ci się to, co powiem - powiedział. W końcu udało mu się zapanować nad emocjami i spokojnym głosem wyznał całą prawdę. Opowiedział o wszystkim, co zrobił.

Gavin gwizdnał przeciągle.

- Ale narozrabiałeś.

- Widzisz? Sam nigdy mi tego nie wybaczy. Ma do tego prawo.

Gavin milczał. W tym czasie żołądek Cody'ego wyczytniał ewolucje. Nienawidził siebie za to, co zrobił. Nie mógł znieść, że był takim kretynem. W końcu Gavin przerwał ciszę.

- Chyba zaczynam wszystko rozumieć. Dobrze wiesz, że Michelle nie ma takich problemów jak twoja babcia, ale to wcale nie oznacza, że cię nie potrzebuje.

- Czego mogłaby potrzebować od takiego nieudacznika jak ja?

- Nie jesteś jedynym nieudacznikiem na świecie, który nie wie, jak naprawić to, co popsuł - stwierdził Gavin. - Nigdy nie poczujesz spokoju ducha, jeżeli nie wyjaśnisz całego zamieszania. Wiesz o tym, prawda?

- Masz rację - przyznał Cody, a jego serce wypełniło uniesienie i strach.

Sam stał pod prysznicem. Zbyt ciepła woda leciała mu prosto na głowę. Na całym świecie nie istniało nic gorszego niż wyciąganie własnej matki z nałogu, pomyślał. Czuł się tak, jak gdyby bomba zegarowa doszczętnie zrujnowała jego życie, rozrywając je na kawałeczki, których nie sposób było połączyć w całość.

Ostatniego wieczoru starał się wyciągnąć ją z zadymionej speluny. Kolejny raz wysłuchał jej protestów i obietnic. Kolejny raz był nieugięty wobec jej zdesperowanego błagania. A na koniec odwiózł ją do szpitala w Missoula i dopilnował, żeby wykonano wszystkie niezbędne zabiegi.

- Znów to zrobiliśmy, prawda? - zapytała, wyglądając przez okno ciężarówki. - Znów przekroczyliśmy linię. Staraliśmy się dopasować do szanowanych mieszkańców miasta, do których tak naprawdę nie pasujemy. Nadal znajdujemy się po złej stronie drogi, Sammy. Już zawsze będziemy tam stać.

W czasie jazdy do domu przepełniała go wściekłość jak zwykle w takich sytuacjach. Co ta pieprzona LaNelle Jacobs sobie myślała, oskarżając Tammi Lee o kradzież? Upiory przeszłości wróciły do niego niczym bumerang. Spędził w Crystal City pięć spokojnych lat, które pozwoliły mu uwierzyć, że przeszłość nie ma znaczenia.

Zakręcił wodę. Opasał się ręcznikiem w pasie, podniósł słuchawkę i niecierpliwym ruchem ręki wybrał numer.

- Błękitna Skała - odezwał się znajomy, niemiły głos. Jake Dollarhide we własnej osobie.

- Mówi Sam McPhee. Szukam Michelle.

- Zobaczę, czy uda mi się ją złapać przez intercom. - Sam usłyszał szyderczą nutę w przeciągłym głosie Dollarhide'a. Nagle przeszłość zaatakowała go ze wzmożoną siłą. Przypominał sobie tamto lato, kiedy wiele razy starał się dodzwonić do Michelle i kiedy Gavin albo któryś z jego pracowników odsyłali go z kwitkiem.

- Wiesz co - powiedział Sam po chwili - zapomnij, że dzwoniłem. - Bez słowa wytłumaczenia, odłożył słuchawkę i poszedł się ubrać.

Wyjący wiatr wzbijał w powietrze tumany śniegu. Wszyscy przy zdrowych zmysłach postanowili zostać dzisiaj w domu. Ale nie Sam. Nie dzisiaj wieczorem. Był wyczerpany po wydarzeniach ostatniej nocy i przypominał swój własny cień, ale po prostu musiał spotkać się z Michelle.

Nie był pewien, co powinien jej powiedzieć. Nigdy wcześniej nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać w takiej kryzysowej sytuacji. Zawsze radził sobie sam. Był do tego przyzwyczajony. Mimo to był jej winien wyjaśnienia.

„Zjedz ze mną kolację dziś wieczorem”. Była taka podniekcytowana. Taka ożywiona i pełna energii. Przypominała Michelle, którą znał w młodości. Ale od jej zaproszenia wydarzyło się wiele nieprzewidzianych rzeczy. Najpierw stracił nad sobą panowanie, kiedy rozmawiał z Codym. Tamto zajście sprawiło, że zaczął się zastanawiać, jak poradzi sobie w roli ojca. Do tego wszystkiego jego matka odpłynęła na fali wysokoprocentowych drinków, przypominając mu w ten sposób, że kochanie kogoś potrafi zranić nawet najtwardsze serce.

Kiedy zobaczył ją przez okno w studiu, jak stała naprzeciwko płótna i wpatrywała się w nie, zrozumiał, że kryła przed nim tajemnice, których istnienia nawet się nie domyślał. Jeżeli chciał je poznać, musiał znaleźć sposób, jak wydobyć je z jej wnętrza.

Kiedy zapukał i wszedł do środka, skrzyżowała ramiona na piersi.

- Sam.

- Zostałem pilnie wezwany - powiedział. - Dopiero teraz mam chwilę czasu, żeby ci wszystko wytłumaczyć.

Stała milcząca w poświacie lamp. Pragnął wyjaśnić jej wszystko od początku do końca, ale słowa nie chciały układać się w zdania. Kiedy chodziło o jego matkę, zazdrośnie chronił swoją prywatność. Trochę wstydził się, jak gdyby nałóg jego matki był spowodowany jego słabością. Cisza utworzyła przepaść oddzielającą go od Michelle. Ostatni raz, kiedy byli razem, poprosił ją o rękę, a teraz nie potrafił wydusić z siebie słowa.

Śnieżna burza waliła w okna i drzwi. Michelle zadrżała. Ogień w kominku tlił się słabym płomieniem. Sam podszedł do paleniska, otworzył metalową kratkę i dorzucił kilka szczap.

- Cody powiedział mi, co się wydarzyło, kiedy zastałeś go razem z Molly w stajni - zaczęła Michelle.

Sam zmiął stare gazety i wetknął je między drewno.

- Przedstawił ci swoją wersję. Molly jest córką mojej dobrej przyjaciółki. To bardzo miła dziewczyna.

- Zgodnie z tym, co mówił Cody, nie robili nic złego. Sam, oni mają szesnaście lat. Właśnie tak zachowują się nastolatki. Nie możemy ich przed tym powstrzymać. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie posuną się za daleko.

Chwycił miech i podsycił nim ogień.

- Problem polega na tym, że nadzieja czasem nie wystarcza, żeby ich powstrzymać, a konsekwencje mogą być bardzo poważne. - Powietrze z dmuchawy obudziło do życia nowy żółty płomień, który zajął świeżą szczapę.

- Cody zrozumiał twoje słowa. Jasno powiedziałaś mu, że przyszedł na świat przez przypadek i że nikt go nie chciał. Kiedy wrócił do domu, zapytał mnie, czy kiedykolwiek zastanawiałam się nad aborcją albo oddaniem go do adopcji. Nigdy wcześniej nie zadawał mi podobnych pytań. Nigdy.

Sam zamknął kratkę i wstał, żeby na nią spojrzeć. Poczł zimny dreszcz przesywający jego ciało. Wątpliwości nie dawały mu spokoju. Nie udało mu się zdobyć jej serca. Jak to możliwe, że jeszcze dwa dni temu był taki pewny siebie?

W tej chwili niczego nie był pewien, może oprócz tego, że kochanie kogoś pociąga za sobą konsekwencje, które potrafią zniszczyć człowieka. Przez całe życie czuł się odpowiedzialny za swoją matkę. Cena tego poświęcenia była ogromna.

- A co powinienem być powiedzieć, kiedy zastałem go w takiej sytuacji? - zapytał.

- Nie istnieją żadne zasady, którymi mógłbyś się kierować w wychowywaniu dziecka. Musisz się modlić, żeby wszystkie decyzje, które podejmujesz, były słuszne. W sprawach seksu

Cody wie, jak powinien się zachować. Mogę mieć tylko nadzieję, że cokolwiek zdecyduje, nie zgubi drogi i nie zapomni, kim chce zostać w życiu.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Michelle.

Wyciągnęła ręce w kierunku ognia, rozgrzewając je.

- Podejrzewam, że poradziłabym mu, żeby zaczekał i był ostrożny. Przypomniałabym mu, że ma przed sobą całe życie. - Spojrzała na Sama. - Powiedziałabym mu, że wiem, jak cholernie ciężko jest czekać, kiedy się ma szesnaście lat.

- Ale to jest naiwne jak cholera. Ten chłopak przypomina burzę szalejących hormonów...

- Wie, kiedy przestać, Sam. Muszę w to wierzyć. Jeżeli mu nie zaufam, jaką będę matką?

Sam zazdrościł Michelle jej wiary. Zrozumiał, dlaczego wąpił w swoje ojcowskie umiejętności. Bóg wiedział, jak bardzo chciał mieć syna, ale jednocześnie obawiał się, że może wszystko popsuć.

- Żałuję, że powiedziałem Cody'emu coś takiego - odezwał się w końcu. - Może nie jestem dla niego wystarczająco wyrozumiały i cierpliwy. Chyba dowiodłem tego, kiedy na niego nawrzeszczałem. - Wskazał w kierunku drzwi. - Powinienem pójść do niego i pogadać.

Michelle milczała. Cienie tańczyły na jej twarzy. Nie potrafił odkryć jej myśli.

- Michelle?

- Lepiej już idź, Sam. To nie jest najlepsza pora na rozmowę z Codym.

Jego serce zadrżało.

- Tak ciężko to zniósł?

Znów zapanowało milczenie. Michelle przygryzła wargę. Wahała się, jak gdyby nie była pewna, czy powinna coś dodać. Nerwowym ruchem ręki odgarnęła włosy z oczu.

- To nie jest odpowiednia chwila - powtórzyła. - Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, poza tym, że nie uda nam się dojść do porozumienia, zanim ty i Cody nie nauczycie się żyć w zgodzie. - Otworzyła drzwi, zza których wyłoniła się

POWRÓT

głucha noc. - Nie pozwolę rozdzierać się na kawałki przez was obu.

Kiedy Sam jechał do domu, czuł, jak narasta w nim niepokój. Niech to szlag! Ostatnim razem, kiedy widział się z Michelle, poprosił ją o rękę. Dwa dni później praktycznie wyrzuciła go za drzwi. Tuman białego puchu wzbił się w powietrze. Już chciał zawracać, ale ogarnęły go wątpliwości. Ostatecznie powstrzymały go słowa jego matki.

- Nie goń za nią - poradziła mu zapijaczonym głosem nie dalej niż wczoraj. - Nie pozwól, żeby wdeptała twoje serce w ziemię.

51

Następnego dnia rano Michelle nadal miała w uszach srebrne kolczyki, które założyła tego wieczoru, kiedy szykowałą się na kolację z Samem. Tamta noc wydawała się nie mieć końca. To była noc, która wydarzyła się całe wieki temu. Daleko stąd. W całkiem innym życiu. Dzięki Samowi poznała miłość, która nawet teraz nie dawała jej spokoju. Kiedy wczoraj wieczorem patrzyła, jak odchodzi, czuła, że cały jej świat wali się w gruzy. Czuła się jeszcze gorzej niż siedemnaście lat temu, kiedy odszedł od niej pierwszy raz, ponieważ dopiero teraz naprawdę zrozumiąła, co straciła.

Zdjęła kolczyki i zacisnęła je w dłoni. Nic nie układało się tak, jak powinno między nią, Codym i Samem. Najgorsze, że nie miała pojęcia, jak naprawić stosunki między nimi. Nie wiedziała, czy w ogóle można było je jeszcze naprawić. Może powinna była powiedzieć Samowi, że Cody wyjechał z Montany, zamiast ukrywać przed nim prawdę. Powinna była mu powiedzieć, ale nie zrobiła tego. Dlaczego?

Ponieważ wtedy musiałyby się przyznać do porażki. Musiałyby przyznać, że jest matką, która straciła kontrolę nad własnym dzieckiem. Miała już dosyć myślenia o sobie w ten sposób.

Od śniadania nie widziała się z ojcem. Wiedziała tylko tyle, że pojechał na lotnisko. Sama spędziła cały dzień w studiu. Malowała i zamartwiała się, czekając na telefon od Cody'ego.

Ale on nie dzwonił.

Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wsiąść do samochodu i pojechać do Seattle. Dawna Michelle na pewno nie czekałaby ani minuty dłużej, a dawny Cody na pewno spodziewałby się, że po niego przyjedzie. Ale teraz wszystko wyglądało inaczej. Aż do czwartku myślała, że Sam stanie się częścią tego nowego życia, ale teraz nie była tego taka pewna. Dziecko, któremu dali życie, powinno stanowić część ich miłości. Zamiast tego stało się kością niezgody, symbolem ich wątpliwości i różnic.

Z czasem coraz wyraźniej dostrzegała wszystko to, co tak bardzo ich różniło. To bolało. Wspomnienie wszystkich nieprzyjemnych chwil i wszystkich niemiłych słów, które zostały wypowiedziane w ostatnim tygodniu, przypominało interludium, które zazwyczaj zwiastowało koniec.

To wszystko musiało przydarzyć się komuś innemu, pomyślała. Ulotne szczęście z Samem wydało jej się nierzeczywiste. Niczyje życie nie układa się tak po prostu. Ale jej pełne nadziei, głupie serce przypominało, że każda bajka ma w sobie szczyptę prawdy, która całej historii dodaje siły.

Nawet teraz. Nawet ostatniego wieczoru miała nadzieję. Kiedy zrozumiała, że nawet cała jej miłość do Sama nie wystarczała, żeby doprowadzić do szczęśliwego zakończenia, poczuła szok. Zaschło jej w gardle, do oczu napłynęły łzy. Zamrugła pośpiesznie. Postanowiła, że pojeździ na koniu, namaluje obraz i spróbuje normalnie żyć.

Albo raczej zaczeka, aż zadzwoni telefon.

Ślady ustępującej zimy z dnia na dzień stały się coraz bardziej widoczne. Oślepiające słońce starało się rozgrzać wszystko wokół. Michelle ruszyła do stajni. Niespodziewanie usłyszała pisk opon i zobaczyła samochód, który zjechał z głównej drogi. Cadillac zatrzymał się przed starym budynkiem, w którym znajdowało się jej studio. Zasłaniając oczy przed słońcem, ujrzała dwie wysiadające postacie. Jej serce zamarło.

Ani Cody, ani jej ojciec nie zauważyli jej. Obaj byli ubrani w skórzane kurtki lotnicze. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie mogła uwierzyć, że ojciec pojechał po Cody'ego i że Cody wrócił do Crystal City. Ale najwyraźniej tak właśnie się stało. Gavin zrobił dla Cody'ego to, co powinien był zrobić dla niej, przywiózł go tu, gdzie jego miejsce.

Zaschło jej w gardle, kiedy patrzyła na swojego ojca i syna. Gavin był wysoki, dystyngowany i miał białe włosy, a Cody szczupły i spięty. Rozmawiali przez chwilę, po czym Gavin poklepał Cody'ego po ramieniu tak niepewnie, że Michelle nie mogła powstrzymać śmiechu przez łzy.

Przez tyle czasu Gavin nie potrafił być dla niej ojcem. Mimo wszystko ostatniej nocy usiadła nad zeszytem, który jeszcze przed transplantacją podarowali jej lekarze, i z uwagą przyjrzała się czystym kartkom. Przez całą noc leżała w łóżku i zapisywała białe strony. Zrozumiała, że Gavin był dla niej ojcem w jedyny znany sobie sposób. Opisała wszystkie cudowne chwile, które spędzili razem siedemnaście lat temu. Opowiedziała o porannej przejażdżce na oklep, o leniwych popołudniach na tarasie i o tym, jak razem wpatrywali się w wierzchołki gór królujące nad łąkami lili. Opowiedziała o wieczorach przy kominku i o tym, jak szkicowała, podczas gdy on przeglądał korespondencję. Podarował jej te wszystkie chwile. Teraz rozumiała, że dał jej wystarczająco dużo. Dziękuję ci, tato.

Otarła policzki. Cody wyciągnął dużą paczkę z samochodu. Wyjął coś, czego nie oglądała od dłuższego czasu, jej walizkę z pracami z dawnych lat.

Łzy znów popłynęły jej po twarzy. Michelle przycisnęła dłoń do ust. Zastanawiała się, po co przywiózł ze sobą te obrazy. W końcu poszła do pokoju i przyniosła dziennik dla swojego ojca.

Wyraz twarzy Gavina oznaczał, że rozpoznał tajemniczy zeszyt.

- Przeczytaj to - powiedziała, całując go w policzek. - Myślę, że ci się spodoba.

- Jestem tego pewien, kochanie - odparł, przyjmując prezent. - A teraz porozmawiaj z synem. Ma ci wiele do powiedzenia.

- Dzięki, tato. Dzięki, że przywiozłeś go do domu. - Znów go pocałowała, po czym udała się do studia na spotkanie z Codym.

- Witaj, nieznajomy - powiedziała od progu.

Cody zamarł w bezruchu, czym bardzo ją zdziwił. Wcześniej, kiedy chciała z nim rozmawiać, zachowywał się tak, jak gdyby szykował się do walki. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj było inaczej. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Mamo - powiedziała. - Mamo, bardzo mi przykro, że uciekłem.

Chciała coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zrobiła krok do przodu. Ugięły się pod nią kolana.

Cody wyjął jej obrazy i ustawił je pod ścianą. Światło rozświetlało ich żywe kolory. Uderzyło ją, jak wiele czasu minęło od chwili, kiedy ostatni raz oglądała swoje prace. Wszystkie były piękne, pełne prawdy i emocji. Miała wrażenie, że namalował je ktoś inny, ktoś bardziej uczuciowy, bardziej czuły, z bogatszym wnętrzem i wspanialszą duszą.

Wyciągnęła ramiona. Cody uściskał ją. Zdumiała się, jaki jest wysoki, o wiele wyższy i silniejszy, niż zapamiętała ostatnim razem.

- Cieszę się, że wróciłeś - powiedziała.

Spojrzał na bandaż na ręku.

- Nigdy nie powinienem był wyjeżdżać, mamu. To było głupie - odparł.

- Damy sobie z tym radę - pocieszyła go. Była zaskoczona wiarą we własne słowa. - Cody, jestem ci winna przeprosiny.

Jego twarz zbladła.

- Mamo, nie. To ja jestem winien...

- Chyba jednak ja. - Podniosła rękę, żeby go uciszyć. Czuła żal, że pewne sprawy potoczyły się między nimi w ten sposób.

Zawsze uważała, że powinna go bronić, ale zamiast tego nauczyła go, jak uciekać przed uczuciami. - Czasem byłam dla ciebie okropna. Moja własna frustracja sprawiła, że zachowywałam się jak kwoka i nie dawałam ci spokoju.

- Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

W jego głosie było coś takiego, że bez słowa usiadła pod oknem na wymoszczonym poduszkami parapecie. Cody był bardzo przybity i spięty, kiedy zajmował miejsce obok niej. W za dużej kurtce Gavina wyglądał dziwnie i jednocześnie znajomo.

- Wszystko schrzaniłem, mammo - odezwał się. - Schrzaniłem na całej linii.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Potarł ręką o spodnie.

- Masz prawo być na mnie wściekła po tym, co usłyszysz.

- Wyduś to z siebie, Cody. Nie potrafię czytać w twoich myślach.

Ponownie spojrzął na bandaż na ręce.

- Nie powiedziałem ci całej prawdy o tym, co wydarzyło się w czwartek między mną i Samem. - Mówił cicho, ale spokojnie. - On, to znaczy jego matka, Tammi Lee, miała kłopoty. Sam tego nie powiedział, ale chyba piła alkohol. Właśnie dlatego musiał wszystko rzucić i jechać ją ratować.

Michelle poczuła skurcz w żołądku. Sam nie wspomniał jej o tym słowem. Ukrył przed nią tę informację, podobnie jak ona zataiła przed nim zniknięcie Cody'ego. Nigdy nie знаła zbyt wielu szczegółów dotyczących problemów Sama z jego matką. Nigdy nie zastanawiała się, jak ciężko musiało mu być, jak ciężko musiało być im obojgu. Na domiar złego jej syn nic nie powiedział. Jej syn...

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytała. W jej głosie było o wiele więcej zdumienia niż złości.

- Nie wiedziałem, co robić. Wszystko działo się tak szybko. Sam nawrzeszczał na mnie z powodu Molly i przez niego zrobiło mi się przykro, a potem pojechał ratować z opresji

swoją mamę. Zwolnili ją z pracy. Wiedziałaś o tym? Jestem jedyną osobą, która zna prawdziwy powód, dla którego straciła posadę. - Jego policzki płonęły. Michelle była zaszokowana, kiedy zobaczyła łzy w jego oczach. - Kilku chłopaków ze szkoły ukradło pieniądze ze sklepu. Podejrzanie spadło na Tammi Lee. Zamiast powiedzieć wszystko, pozwoliłem Samowi odejść, a potem zacząłem się zastanawiać, jak bardzo mnie zniechęca, kiedy wróci i pozna prawdę, dlatego nikomu nie pisałem słowa...

Wyczuła w jego głosie nutę buntu. W tej chwili nie stać jej było na kolejną konfrontację.

- To tylko wymówki, Cody. Podaj mi prawdziwe powody.

Przez chwilę nic nie mówił. Michelle nie wiedziała, jak się zachować, kiedy patrzyła, jak walczył ze łzami.

- Bałem się, mamó - odezwał się w końcu.

- Czego się bałeś, Cody? Powiedz mi.

- Przestraszyłem się na myśl o tym, że Sam zostanie moim ojcem. - Wyrzucił z siebie to wyznanie razem z potokiem łez, które tak długo tłumił.

Bał się. Serce Michelle zabiło szybciej. Doskonale wiedziała, co Sam starał się jej powiedzieć, kiedy spotkali się ostatnim razem. Zrozumiała jego ostrzeżenie, że Cody może stać się taki jak ona. Tak jak ona będzie uciekał przed miłością ze strachu, że zostanie skrzywdzony. Tak jak ona przez całe życie będzie starał się unikać emocjonalnych niebezpieczeństw i w ten sposób nie będzie żył pełnią życia.

- Widziałem, jaka jesteś przy nim szczęśliwa - dodał Cody. - Chyba bałem się, że pokochasz go bardziej niż mnie.

- Och, synku. - Dotknęła jego twarzy. - Nie możesz myśleć w ten sposób. Moje serce zawsze będzie należało do ciebie i to się nigdy nie zmieni.

- Przepraszam, mamó. Przepraszam. Przepraszam.- Zarzucił jej ręce na szyję. Nadal pachniał jak mały chłopiec mydłem i świeżym powietrzem i nadal potrzebował swojej mamy. Tak mocno jak ona potrzebowała jego.

- Naprawię wszystko, co popsułem. Pogodzę się z Samem i Tammi Lee - obiecał. - Przysięgam, że tak zrobię. Mam tylko nadzieję, że mi wybaczą. - Cody wyprostował się i potarł twarz wierzchem dłoni. Potem otoczył ją ramieniem i wszechświat nareszcie odzyskał równowagę.

Kiedy na niego spojrzała, w jego oczach dostrzegła spojrzenie Gavina. Jej ojciec i jej syn. Obaj uświadomili jej, że życie jest zbyt krótkie. Nikt nie może być pewien, ile czasu mu zostało. Bez względu na to, gdzie i kim będzie, już nigdy nie przestanie malować swoich obrazów. Będzie kochać z pasją. Zrobi wszystko, żeby Cody stał się jej przyjacielem.

Dawniej, kiedy na niego patrzyła, zastanawiała się, gdzie zniknął jej mały chłopiec. Dzisiaj udało jej się go odnaleźć. Odnalazła go w tym zbolałym, zagubionym, dobrym dziecku, które w przyszłości wyrośnie na dobrego człowieka. Wstrzymała oddech. Szukała odpowiednich słów, które mogłaby powiedzieć.

- Wiesz, co jest jeszcze bardziej przerażające? Że omal cię nie straciłam, Cody. Chociaż teraz mam wrażenie, że wszystko się między nami ułoży. - Zrozumiała, że straciła Sama, ponieważ sobie nie ufała. Zamiast zaprzętania sobie głowy tysiącem pytań, powinna przeżywać swój związek tak samo, jak dawała się porwać w wir uczuć, kiedy malowała. Tamtego wieczoru, kiedy na nowo poczuła, że potrafi malować, obudziło się w niej życie. Sam pomógł jej odnaleźć siebie.

Pomyślała o transplantacji. Strach i miłość były czasem równie potrzebne i nieuniknione. Dopiero teraz zrozumiała, że nie było nic złego w cierpieniu, jeżeli potrafiło się je ukoić.

- Zadzwonimy do Sama? - zapytał Cody. - Da mi *jeszcze* jedną szansę, prawda?

Oparła ręce na jego ramionach. Boże, jak dobrze było znów trzymać go w ramionach. Nigdy wcześniej nie czuła się taka bliska własnemu dziecku. W wieku szesnastu lat Cody uczył

POWRÓT

się tego, czego pragnęła, żeby nauczył się już dawno temu. Uczył się, że trzeba kochać mimo bólu i mimo braku gwarancji. Musisz dać z siebie wszystko, mimo że nigdy nie wiesz, co dostaniesz w zamian.

- Och, Cody. - Chciała zapewnić go, że Sam mu wybaczy, ale skąd mogła to wiedzieć? Ona miała szesnaście lat, żeby pokochać i zrozumieć Cody'ego, żeby nauczyć się, kim był. Sam nie miał tyle czasu i być może bez tego nie będzie potrafił wybaczyć i uwierzyć.

Trochę później tego dnia spadł śnieg. Cały świat pograżył się w ciszy, a na bezbarwnym niebie wirowały płatki śniegu. Michelle i Cody jechali range roverem. Światła reflektorów rozjaśniały szarzejący dzień. Rytmiczne szuranie wycieraczek o szybę przerywało ciszę.

Chyba oszalałam, pomyślała Michelle. Sama proszę się o zawał serca. Kiedy Cody zadzwonił na ranczo Samotna Sosna, Edward Bliss przekazał mu nie najlepsze informacje. Podobno Sam zabrał matkę na odtrucie, a potem przywiózł ją do domu, żeby odpoczęła pod jego czujnym okiem dzień lub dwa, zanim dojdzie do siebie. Edward nie był pewien, czy Tammi Lee i Sam mają ochotę na towarzystwo, a mimo to Michelle postanowiła zawieźć swojego syna na ranczo Samotna Sosna, podobnie jak pierwszego dnia ich pobytu w Crystal City. Boże, czy od tamtego dnia dzieliły ich tylko trzy tygodnie? Czy to możliwe, że jeszcze trzy tygodnie temu Sam i Cody nie mieli pojęcia, kim dla siebie są?

Dlaczego przyszło jej na myśl, że powinni odwiedzić Sama? Dlaczego się jej wydawało, że ma prawo wkraczać w jego życie, że ma prawo mieć nadzieję i błagać go, żeby pozwolił jej wrócić?

Ogarniały ją wątpliwości i przerażenie. W przeszłości strach powstrzymałby ją przed podjęciem odpowiednich kroków. W przeszłości zrezygnowałaby z bólu i radości na rzecz pustki.

Ale teraz wiedziała lepiej, jak się zachować. Przez krótką wspaniałą chwilę czuła kwintesencję wszystkich pragnień, które ogarniały ją w ramionach Sama McPhee. Los podarował jej coś, czego większość ludzi nie ma okazji doświadczyć, coś, co może się już nigdy nie powtórzyć.

Kiedy parkowała przed domem Sama, Tammi Lee stała na ganku. Miała na sobie za dużą kurtkę i paliła papierosa.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? - zapytała Michelle Cody'ego.

- Nie. Poradzę sobie sam.

Wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku domu. Michelle zrozumiała, że nie musi trzymać go za rękę, tak jak to robiła w przeszłości, nawet kiedy powinna była dać mu wolny wybór.

Tammi Lee zgasiła papierosa. Stała sztywno w oczekiwaniu na Cody'ego. Czuła się wyczerpana, opadła z sił, jak gdyby przed chwilą biegła w maratonie. Nienawidziła siebie za to, że jej wnuk widział ją w takim stanie, ale w końcu nie mogła uciec przed rzeczywistością. Była tym, kim była, kimś, kto upadał i podnosił się o wiele więcej razy, niż potrafiła zliczyć.

- Czy mogę z tobą porozmawiać? - zapytał Cody. Jego twarz była blada i bardzo spięta. Ręce wsunął głęboko do kieszeni.

- Jasne - odparła. Jej oddech zamrażał powietrze. Oczywiście mogła go wysłuchać, tyle mogła dla niego zrobić.

- Chodzi... o to, co wydarzyło się w sklepie. - Wszedł na ganek. - Tamtej nocy, kiedy pożyczyłem od ciebie samochód, coś się stało.

Tammi Lee zaczęło szumieć w głowie, co omal nie doprowadziło jej do szału. Rzuciła ostre spojrzenie w kierunku zdenerwowanego młodego chłopaka. W tej chwili wyglądał na tak samo wyczerpanego jak ona.

- To moja wina, że zginęły pieniądze z kasy - wymamrotał. - Nie wiedziałem... ja... to moja wina.

Tammi Lee nie poruszyła się. Podły los wzmocnił ją i nauczył stawiać czoło niepowodzeniom.

- Pieniądze znikły wtedy, kiedy byłem w sklepie - dodał. - To wszystko moja wina.

- Zabrałeś te pieniądze? - zapytała cicho.

Jeszcze głębiej wsunął rękę do kieszeni.

- To nie ma znaczenia. Byłem odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Schrzaniłem sprawę. Byłem dzisiaj u pani Jacobs. Wszystko jej wyjaśniłem i oddałem pieniądze. Jest jej strasznie przykro, że tak cię potraktowała, i pyta, czy przyjdiesz jutro do pracy. - Wcisnęła czubek buta w zamarznąłą grudkę śniegu na progu drzwi. - Naprawdę bardzo przepraszam - dodał. - Zrobię wszystko, żeby naprawić swoje błędy. Chciałbym dostać jeszcze jedną szansę.

Tammi Lee poczuła się trochę lepiej. Przestała spadać w otchłań. Serce łomotało jej w piersi, ale w tej chwili ból nie miał znaczenia. Me o to chodziło w życiu. Mogła wybaczyć temu chłopcu i zacząć wszystko od nowa albo mogła unieść się gniewem i dać się ściągnąć w przepaść.

Kiedy spojrzała w jego oczy, zobaczyła oczy Sama. Sam dał jej w życiu tyle drugich szans, na ile nikt tak naprawdę nie zasługiwał, chociaż to on zasługiwał na to, żeby dostać od życia drugą szansę. Wyciągnęła ramiona. W oczach Cody'ego pojawił się uśmiech, kiedy ją przytulił. Ponad jego ramieniem zobaczyła Michelle Turner, która stała przy samochodzie i przyglądała się im z dłońią na ustach.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptła Tammi Lee. Nadzieja, która wypełniła jej serce, uniosła ją nad ziemię. - Wszystko będzie dobrze.

Sam wyszedł ze stajni i zaczął iść w stronę Michelle. Kiedy patrzyła na niego, kolana miała jak z waty. Czuła przenikliwy chłód, mokry śnieg, który pokrywał czubki jej butów, i bliźnę po wyciętej nerce.

Zawsze myślała, że leczenie polega na zabliznianiu ran

i porządkowaniu całego bałaganu. Dopiero teraz zrozumiała, że musiała pozwolić sprawom biec swoim własnym torem.

Musiała przestać szukać przyczyn i usprawiedliwień dla wszystkiego, co działo się w jej życiu. Życie czasem musiało przypominać bałagan. Zdawała sobie z tego sprawę na tyle, żeby nie oczekiwać żadnych zapewnień. Jej serce biło jak oszalałe. Nigdy wcześniej nie czuła się bardziej żywa. Nie miała pojęcia, co wyrażała jej twarz, ale to już nie miało znaczenia. Kiedy spojrzała na Sama, zobaczyła wszystko, czego pragnęła od przyszłości.

Nadzieja i strach utknęły niewypowiedziane w jej gardle. Oboje podeszli na skraj pokrytego śniegiem podjazdu.

- Cody obwinia się za wszystko, co się wydarzyło - powiedziała w końcu. - Chce się pogodzić z tobą i twoją matką.

Sam spojrział w kierunku domu i zobaczył Cody'ego i Tammi Lee, pogrążonych w rozmowie.

- Chyba powinienem się z tego cieszyć.

- Czy mu się uda? - zmusiła się, żeby zapytać. - Czy uda mu się wszystko naprawić? Czy nam się uda? - Zaczęła nerwowo wykręcać palce w rękawiczkach.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem.

- Ostatniej nocy oboje nie byliśmy wobec siebie szczerzy. Nie powiedziałeś mi o swojej matce, a... - przełknęła ciężko - ...ja nie powiedziałam ci, że Cody uciekł z domu. - Z trudem spojrzała prosto w jego pełne zdumienia oczy. - Wyjechał autobusem do Seattle. Chciałam ci o tym powiedzieć, Sam, ale nie wiedziałam jak. Mój ojciec przywiózł go dzisiaj rano z powrotem.

- W takim razie Cody musi się przede mną wytłumaczyć. - Sam wpatrywał się w jej oczy. - Postaramy się ze wszystkich sił. Prawda, kochanie?

Udało jej się wydusić jego imię, a potem coś w niej pękło i popłynęło niczym górski potok. Szloch ulgi wydobył się z najgłębszych pokładów jej duszy, których nie potrafiła kontrolować. Sam był dla niej podporą. Był ciepły, milczący i spokojny. Miłość do niego stała się jej opoką.

- Tak się bałam. - Ścisnęła kurczowo jego kurtkę. - Tak się bałam, że Cody i ja okazemy się dla ciebie zbyt dużym ciężarem.

Cały czas tulił ją do siebie.

- Och, Michelle. Nie zawsze wszystko będzie się doskonale układać, ale uda nam się przetrwać każdą burzę. Dobrze o tym wiesz.

- Czasem myślę, że nie zasługuję na to wszystko, że nie jestem wystarczająco dobra, żeby dostać od życia taki prezent - wyszeptęła.

Odsunął ją od siebie, a kiedy na nią spojrzął, miał taką piękną twarz. Było w niej tyle uczuć. To była twarz człowieka, który przeżył wiele trosk i radości. Płatki śniegu opadały powoli na jego policzki i ramiona.

- Razem nam się uda. Będziemy o siebie walczyć, ty, ja i nasz syn.

- Nasz syn, jak to dobrze brzmi. - Poczuli uścisk w gardle i przełknęła z trudem. - Kocham cię, Sam. - Nadszedł najwyższy czas, żeby wymówić te słowa. To było takie łatwe. Coś, co kiedyś wydawało się niemożliwe, przyszło bez najmniejszego wysiłku. - Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać.

Przytulił ją mocno. Przycisnął usta do jej włosów. W tym momencie rozwiały się jej ostatnie wątpliwości.

- Wiem, kochanie. Wiem - odparł Sam.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

Michelle zamknęła oczy i poczuła, jak wypełnia ją radość. Niczym śnieg, który pokrywał pola, jej szczęście przysypało wszystkie rany, które zadała jej przeszłość. Cały świat stał się piękny i doskonały.